

*Zjawiskowe! Krwiste postaci
i fantastyczna akcja
robią niesamowite wrażenie.*
CHARLAINE HARRIS

STACIA
KANE

NIEŚWIĘTE
DUCHY



KANE STACIA

Dolna dzielnica #1 Nieswiete

duchy

STACIA KANE

Rozdział 1

I żywi modlili się do swoich bogów,

błagali o ocalenie przed armią

umarłych,

nie było odpowiedzi.

Albowiem nie ma bogów.

Księga Prawdy, Artykuł początkowy

12

Gdyby człowiek, którego miała przed sobą Chess, nie był już martwy, prawdopodobnie próbowałaby go zabić. Cholerne duchy. Przez półtora roku nie musiała mieć z żadnym z nich do czynienia – najlepszy wynik w dziedzinie demaskatorstwa w całym Kościele. I akurat teraz, kiedy potrzebowała premii bardziej niż kiedykolwiek, on się pojawił. Unosił się kilka stóp nad parkietem – w wygodnym kilkupoziomowym podmiejskim domu Sanfordów w samym centrum Cross Town – z założonymi rękami i znudzoną miną. Zupełnie jakby sobie z niej drwił.

–Nie zamierza pan pójść tam, gdzie powinien, panie Dunlop?

Duch Dunlopa pokazał jej środkowy palec. Duppek. Czemu nie potrafi po prostu pogodzić się z tym, co nieuniknione?

Za życia też był dupkiem, jak wynikało z posiadanych przez nią informacji. Hynam Dunlop z Westside, bankier i ojciec dwojga dzieci (wszyscy już nie żyją), od pięćdziesięciu lat powinien spoczywać w pokoju, a nie zjawiać się tu, żeby dzwonić rurami, tłuc porcelanę i robić inne głupie rzeczy.

Położyła psią czaszkę na środku pokoju, zerknęła na kompas, aby się upewnić, że jest zwrócona na wschód, i zapaliła czarne świece po obu stronach czerepu. Poruszała się automatycznie, bo ustawiała swój ołtarz już dziesiątki, jeśli nie setki

razy. Sięgnęła po rozwidlony pręt osadzony w srebrnej podstawie i opleciony specjalnie hodowanymi niebieskimi i czarnymi różami, a torebkę ziemi z grobu pana Dunlopa umieściła przed czaszką.

Kilka minut zajęło jej przygotowanie kociołka na trójnogu. Pan Dunlop przesunął się za jej plecami, ale go zignorowała. Okazać strach przed zmarłym – czy w ogóle jakąkolwiek emocję – znaczyło prosić się o kłopoty. Napełniła kociołek wodą, zapaliła umieszczony pod nim palnik i wrzuciła szczyptę tojadu lisiego.

Kawałkiem czarnej kredy naznaczyła drzwi wejściowe, a potem wzięła się do okien, rozmyślnie przechodząc przez widmo Dunlopa, mimo nieprzyjemnego chłodu. Jego buntownicze spojrzenie straciło na stanowczości, kiedy wyjęła sól i zaczęła ją rozsypywać.

–Pewnie będzie bolało – uprzedziła.

Jej wzrok powędrował w stronę staroświeckiego zegara w kącie, tuż za byle jak nakreślonym solnym kręgiem. Dochodziła ósma. Cholera. Zaczynało ją swędzieć.

Nie jakoś okropnie, ale wystarczająco, żeby rozproszyła się nieco, akurat wtedy, kiedy powinna być maksymalnie skoncentrowana.

Ledwo zaczęła odcinać dostęp do holu, pan Dunlop wymknął się na schody prowadzące na górę. Już wcześniej zabezpieczyła sypialnię, więc symbole na drzwiach i oknach uniemożliwią mu opuszczenie budynku, ale... jasna cholera!

Zapomniała o kominku w sypialni pana domu. Przewód kominowy.

Nie zastanawiając się, chwyciła torebkę z cmentarną ziemią i popędziła za panem Dunlopem. Ziemi miała użyć dopiero później, kiedy pojawi się psychopomp, żeby eskortować ducha, ale żaden inny sposób zatrzymania Dunlopa nie przyszedł jej do głowy.

Wpadła do sypialni. Nad paleniskiem widać było już tylko stopy pana Dunlopa, Rzuciła w nie garścią ziemi z torebki.

Dunlop spadł, jego usta ułożyły się w słowa, które zdecydowanie nie należą do przyjemnych. Nie zwracając na to większej uwagi, zanurkowała do kominka, żeby naznaczyć przewód kredą, zanim duch znów spróbuje zwiać.

–Żadnego uciekania – powiedziała stanowczo. – Wiesz, że nie powinno cię tu być.

Wzruszył ramionami.

Wyjęła z kieszeni ektoplazmarker, w który wyposażył ją Kościół – Kościół wie, jak

chronić ludzkość przed duchami – i go otworzyła. Dunlop skurczył się w panice. Gdy pochyliła się ku niemu, on zaczął wsiąkać w podłogę.

Zanim zdołał całkiem zniknąć, zbiegła na dół po sól i dokończyła odcinanie holu. Dunlop spłynął z sufitu – poza kręgiem.

Przez tych kilka minut, kiedy byli na górze, atmosfera w pokoju uległa zmianie. Jej energia zmieszana z energią ziół wypełniła pokój mocą. Chess zerknęła na ołtarz. Psia czaszka grzechotała jak kastaniety, unosząc się nad podłogą. Psychopomp nadchodził.

Dunlop cofnął się, kiedy ruszyła ku niemu z ektoplazmarkerem w wyciągniętej ręce. Przypomniała sobie jego symbol przejścia. Teraz musi tylko zapędzić go z powrotem do kręgu i naznaczyć symbolem, zanim przybędzie pies.

Jeden jedyny raz słyszała o Demaskatorze, któremu się to nie udało. Miał szczęście, bo pies zabrał ducha.

Ale był to wyłącznie fart. Bez symbolu przejścia w chwili, kiedy pies się zmaterializuje, wyzionęłaby ducha.

Dunlop uderzył o ścianę i obejrzał się zdziwiony. Duch może przenikać przez przedmioty nieożywione, chyba że dany przedmiot zostanie utwardzony w wymiarze metafizycznym.

–Naznaczyłam ściany. – Chess rozgarnęła stopą sól, przerywając linię. – Nie możesz przez nie przejść i uciec. Byłoby dużo łatwiej; gdybyś się uspokoił i pozwolił mi wykonywać moją pracę.

Pan Dunlop skrzyżował ręce na piersi i pokręcił lekko głową.

Chess westchnęła.

–Dobra. Jak chcesz. – Rozkruszyła między palcami trochę asafetydy i rozsypała ją na podłodze wokół niego. Hyramie Dunlopie, rozkazuję ci wejść do tego kręgu, abyś został naznaczony i odesłany na wieczny spoczynek, Rozkazuję ci opuścić ten wymiar bytu.

Wzdrygnęła się na dźwięk warczenia, które rozległo się w pokoju. Czaszka skoczyła w górę, a za nią zaczęła się materializować reszta psa – w pełgającym świetle świec było wyraźnie widać każdą kość.

Niech to szlag! Wciąż była w kręgu sama.

Co gorsza, oboje pachnieli asafetydą. Nie umyła rąk. Pies – za sprawą magii

wyczulony na zapach ziela – nie rozróżni ich.

Chess krzyknęła, kiedy rzucił się na nią. Jednocześnie jego szkielet obrastał ciałem, pokrywał się skórą i sierścią. Wpadła na Hyrama Dunlopa, a właściwie przeleciała przez niego. Tym razem chłód wydał jej się jeszcze bardziej przejmujący. Może dlatego, że nie była na to przygotowana, a może przeraził ją widok ostrych zębów kłapiących w powietrzu zaledwie centymetry od jej ręki.

Upiorny pies chwycił ją zębami za łydkę i pociągnął. W jego pustych do tej pory oczodołach pojawiły się jarzące się czerwienią ślepia, rozbłyskujące tym jaśniej, im bardziej zaciskał uchwyt.

Powietrze za nim zafalowało. Na ciemnoszarych ścianach pojawiły się jakieś cienie i czarne sylwetki na tle blasku pochodni.

Pies – psychopomp – wykonywał swoje zadanie, ciągnąc zagubioną duszę z domu Sanfordów do miasta umarłych. Ale jej dusza nie była zagubiona, przynajmniej nie w sensie, o jaki tu chodziło. Chess zdobyła się na ostatni wysiłek.

Oczy Hyrama zrobiły się okrągłe, kiedy znów po niego sięgnęła, a jej dłoń przeszła przez jego pierś.

–Hyramie Dunlopie, rozkazuję ci...

Słowa przeszły w stłumiony jęk. Ból, co za cholerny ból. Zupełnie jakby ktoś obdzierał ją ze skóry, warstwa po warstwie, obnażając każdy czuły nerw, a miała ich wiele.

Obraz przed oczami stracił ostrość. Gdyby chciała, mogłaby dać sobie spokój. Mogłaby odpłynąć – pies złagodniałby, gdyby wiedział, że ją ma – i zniknąć. Żadnych więcej problemów, żadnego bólu, już nic...

Poza nudą tego miasta, której nie ma czym uśmierzyć. I świadomością, że tak głupio zginęła i pozwoliła wygrać widmu żalosego palanta. Nie! Mowy nie ma!

Uniosła rękę, znów sięgając po Dumlopa. Tym razem jej palce zetknęły się z czymś, co sprawiało wrażenie ciepłego i żywego. Dunlop? Nie. przecież on nie żyje, znaczy, że ona umiera.

Umierając, mogła go chwycić i wciągnąć do przerwanego kręgu. Mogła siłą woli zbliżyć ektoplazmarker do zestalonego nagle ciała Hyrama Dunlopa i naznaczyć go symbolem przejścia – symbolem określającym jego tożsamość rozpoznawalną dla psychopompa utrzymującym go w miejscu.

Zaczęła kreślić symbol na ramieniu Hyrama. podczas gdy jej dusza rozciągała się

między nim a psem jak napięty sznur do wieszania bielizny. Nie odważyła się spojrzeć za siebie, żeby zobaczyć, co robi jej ciało.

Zdażyła postawić ostatnią kreskę, zanim pociemniało jej w oczach. Padając na podłogę z łoskotem, który wstrząsnął domem, poczuła przeszywający ból, ale był to ból fizyczny, a nie cierpienie duszy żywcem oddzieranej od ciała.

Otworzyła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak Hiram Dunlop znika za zasłoną falującego powietrza.

Wymacała zatrzask ciężkiego srebrnego puzderka, podniosła wieczko i wyłowiła dwie duże białe pigułki. Wrzuciła je do ust i rozgryzła. Skrzywiła się, czując gorycz. Smak był okropny i zarazem cudowny. To, co rzeczywiście najśłodsze, jest z zewnątrz gorzkie, powiedział kiedyś Bump. Miał rację.

Zacisnęła palce na butelce z wodą. Odkręciła zakrętkę i wzięła solidny łyk, aby rozgryzione pigułki zaczęły się rozpuszczać i wnikać do krwiobiegu, zanim dotrą do żołądka.

Już po chwili poczuła ulgę. Nie była jeszcze taka, jaka będzie za dwadzieścia minut czy pół godziny, kiedy cepty całkiem się wchłoną, ale drżenie ustało na tyle, że Chess znów panowała nad dłońmi.

Sprzątanie jest najgorszą częścią procedury banicyjnej. Czy raczej było do tej pory. Tym razem najgorsze było poczucie, że dusza odrywa się od ciała jak oporny plaster. Włożyła wszystkie elementy ołtarza do torby. Na wierzchu umieściła owiniętą w konopny papier psią czaszkę. Będzie musiał kupić nową. Ten pies posmakował jej krwi. Nie może już używać jego czerepu.

Cepty musiały do końca się wchłonąć, bo wreszcie garnęło ją to cudowne uczucie podniecenia, wywołujące bezwiedny uśmiech na twarzy. Wcale nie było tak strasznie. Przecież żyje i bardzo jej się to podoba.

Gdy Sanfordowie wrócili, klęczała przed frontowymi drzwiami z młotkiem i żelaznym gwoździem w dłoni.

–Witajcie w domu – powiedziała, podkreślając każde słowo uderzeniem młotka. – Nie powinniście już mieć kłopotów.

–On odszedł? – Pani Sanford wytrzeszcza ciemne oczy. – Naprawdę odszedł?

–Tak.

–Nie wiem, jak ci dziękować – zahuczał pan Sanford charakterystycznym basem wydobywającym się z głębi piersi i odbijającym się echem od zdobionych sztukaterią ścian.

–To należy do moich obowiązków.

W tej chwili nie potrafiła złościć się na Sanfordów. To nie ich wina, że są uczciwi i nie fingowali nawiedzenia, jak to bywa w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków.

Skończyła wbijać gwóźdź i wstała.

–Nie wyjmujcie go, choćby nie wiem co – ostrzegła. – Domy raz nawiedzone są bardziej narażone na kolejne wizyty duchów. Gwóźdź powinien temu zapobiec.

–Nie ruszymy go na pewno.

Chess schowała młotek do torby i popatrzyła z uśmiechem na Sanfordów. Oboje przestępowali niepewnie z nogi na nogę, zerkając na siebie. O co im?...

No tak.

–Może wejdziemy do środka, załatwimy formalności i wypiszę czek?

Niepokój Sanfordów natychmiast ustąpił. Chess rozumiała ich reakcję. Gdyby to ona miała zainkasować pięćdziesiąt tysięcy dolarów tylko za to, że jej dom nawiedził zbiegły duch, też byłaby wyluzowana. Tak samo cieszyłaby się na swoją premię. Miała dostać dziesięć kawałków za tę robotę. Wystarczyłoby na spłacenie Bumpa i jeszcze coś by zostało do następnej wypłaty.

Ale głupie duchy zawsze wszystko psują, jak wrzeszczące bachory w zacisznej restauracji.

Sanfordowie zaproponowali jej kawę, Odmówiła, lecz dokończyła swoją wodę, gdy oni podpisywali rozmaite formularze i oświadczenia. Dopiero o wpół do dziesiątej wręczyła im czek, a przecież musiała zatrzymać się przy cmentarzu, zanim wreszcie mogła dotrzeć na targowisko. Cholerny pan Dunlop. Miała nadzieję, że spotka go sprawiedliwa kara.

Rozdział 2

*Oto Kościół zawarł z ludzkością układ,
na mocy którego ma ją chronić przed
wrogością umarłych.*

*Gdyby zaś zawiódł jest zobowiązany
naprawić szkodę.*

Księga Prawdy, Veraxis, Artykuł 201

Bazar tętnił życiem, kiedy zjawiła się tam tuż przed jedenastą, wyciszona, z uporządkowanym umysłem. Szybki prysznic, wysuszenie ufarbowanych na czarno włosów, pozbycie się roboczych, ciuchów i ulga przyniesiona przez kolejnego cepta sprawiły, że znów poczuła się normalnie.

Wśród zgiełku głosów wypełniających powietrze wokół niej minęła kruszejący kamienny podest prowadzący kiedyś do kościoła. Kościół ten został zburzony, bo nie był już potrzebny. Kto marnowałby życie, wierząc w Boga, skoro Kościół dysponuje dowodem na życie po życiu i wie, jak okiełznać magię i energię?

Podest ocalał jako bezużyteczna pozostałość – jak wiele innych rzeczy, łącznie z nią samą – pomyślała.

Pod samym murem stragany z żywnością oferowały owoce i warzywa, błyszczące od wosku i wody w pomarańczowym świetle pochodni. Z belek zwieszały się tusze wieprzowe, całe krowy, kury, kaczkę i jagnięta, nasycając ciasną przestrzeń wonią krwi. Krew kapłała na ziemię, plamiąc buty przechodzących obok palenisk w metalowych beczkach, na których można było przyrządzić swoje zakupy.

Dalej sprzedawano ubrania – nic szczególnie porządnego ani czystego. Kramarze na Dolnym Targu znali swoją klientelę. Postrzępione czarne i szare szmaty powiewały na wietrze jak duchy Jaskrawe spódnice i czarny winyl zdobiły chwiejące się tymczasowe przepierzenia i wiewały się z zakurzonych pudeł na ziemię. Biżuteria, wykonana głównie z żyłek i kolców, błyskała odbiciami płomieni.

Chess szła wąskimi alejkami, nie zwracając uwagi na obcych, w popłochu ustępujących jej z drogi. Ci, którzy ją znali, skłaniali głowy na znak szacunku lub obdarzali ją krótkim, niepewnym uśmiechem, ale nieznanymi... Widząc jej tatuaże,

rozpoznawali czarownicę i odsuwali się. Zgodnie ze ściśle przestrzegany prawem, tylko pracownikom Kościoła wolno było tatuować magiczne symbole i runy, a pracownicy Kościoła, niezależnie od specjalności, nie wszędzie byli mile widziani. Zwłaszcza w miejscach, w których ludzie mieli powód nienawidzić władz.

Kiedys ją to martwiło. Teraz było jej wszystko jedno. Kto by chciał, żeby jakaś banda ludzi wtykała nos w jego sprawy? Na pewno nie ona.

Chess lubiła targowisko. Zwłaszcza gdy jej wzrok tracił ostrość na tyle, żeby nie widziała rozpaczliwej chudości niektórych handlarzy i dzieci w brudnych łachmanach, płaczących się między straganami i starających się chwycić jakieś resztki rzucane przez ludzi. Nie musiała patrzeć, jak kulą się przy beczkach z paleniskami nawet w tak wyjątkowo ciepłą jak na tę porę roku noc, jakby chciały ogrzać się na zapas, żeby przetrwać nadchodzącą zimę. Nie musiała myśleć o kontraście między przedmieściem zamieszkanym przez klasę średnią, skąd właśnie wróciła, a samym centrum Dolnej Dzielnicy – jej domem.

Gdzieś pośrodku znalazła Edsela stojącego przy swoim stoisku. Sprawiał wrażenie nieboszczyka wystawionego na pokaz w salonie pogrzebowym. Na nieruchomość jego ciała i ciężkie, opuszczone powieki ludzie nabierali się zawsze. Wystarczyło jednak, że ktoś sięgał, by czegoś dotknąć – ceremonialnego ostrza, zestawu wypolerowanych kości, grzechotki ze szczurzej czaszki – a w pół ruchu czuł dłoń zaciskającą się na nadgarstku.

Jeśli w ogóle kogokolwiek miałyby nazwać przyjacielem, to właśnie Edsela.

–Chess – wycedził, pieszcząc swoim przydymionym głosem jej nagie ramiona. – Powinnaś zniknąć, mała. Mówią, że Bump chce twojej głowy.

–Jest tu dzisiaj? – Rozejrzała z udawaną swobodą.

–Nie widziałem. Widziałem za to Terrible'a. Pilnuje. Może być, że mnie, bo wie, że przyjdiesz powiedzieć „cześć” Potrzebujesz czegoś?

–Wszyscy mamy swoje potrzeby – stwierdziła, przesuwając opuszkami paków po tygrysiach pazurach naznaczonych runami. Moc popłynęła z nich wzdłuż jej ręki. Uśmiechnęła się. To też był haj i to nawet dozwolony przez Kościół. – Właściwie to przydałaby mi się nowa Rączka. Masz?

Skinął głową i pochylił się, tak że jego złote włosy zsunęły się z okrytych jedwabiem ramion; zakrywając twarz.

–Pracujesz nad nową sprawą?

–Mam nadzieję, że już wkrótce.

Edsel podał jej Rączkę. Z bladą, pomarszczoną skórą i sękatymi palcami wyglądała jak martwy pajak albinos. Chess pogłaskała jeden z palców. Drgnął.

–Będzie dobra. Ile?

–Lepiej nie płąć teraz. Terrible zobaczy, że masz forszę, i nie ucieszy się.

–a czy cokolwiek cieszy Terrible'a? Edsel wzruszył ramionami.

–Krzywdzenie ludzi.

Pogadali jeszcze chwilę, ale w gęstniejącym tłumie nie czuła się już tak bezpiecznie jak w chwili, kiedy tu przysła Tylu ludzi, a większość ma dwoje oczu.

Zresztą nie w tym rzecz. I tak musiała się z nim zobaczyć, nie miała wyboru. Mogła albo czekać, aż on ją złapie, albo sama przejść przez czarne drzwi. Zdecydowanie bardziej wolała to drugie.

Włożyła Rączkę do torby – palce próbowały przy tym chwycić jej dłoń – podziękowała Edselowi i odeszła. Nie było sensu robić więcej zakupów, skoro Terrible ją obserwował, Edsel miał rację. Gdyby zobaczył, że wydaje pieniądze, choćby niewielkie, mógłby się wściec. Skierowała się prosto do biura, licząc na to, że element zaskoczenia zadziała na jej korzyść.

Niestety, nie da się zaskoczyć kogoś, kto tylko czeka przyczajony. Terrible złapał ją, ledwo skręciła za róg. Jego wargi wygięły się w kształt, który u normalnego człowieka uchodziłby za uśmiech. Ale nie u niego. On wyglądał, jakby szykował się, żeby ugryźć.

–Bump cię szuka, Chess – oznajmił, wbijając jej palce w ramię. – Już od jakiegoś czasu.

–Widziałam się z nim dwa dni temu.

–Ale on chce cię widzieć dziś. Na przykład teraz. Chodź, spotkasz się z nim.

–Właśnie do niego szłam.

–Naprawdę? To się dobrze składa.

Nawet nie próbowała uwolnić ramienia z jego żelaznego uchwytu, kiedy prowadził ją do czarnych drzwi, lecz za róg, do meliny Bumpa. Nigdy jeszcze tam nie była.

Terrible zastukał synkopowanym rytmem przypominającym kawałek Ramonesów. Chess rozejrzała się. Kilkoro ludzi obrzuciło ich krótkim spojrzeniem i zaraz odwróciło wzrok, jakby jej orzechowe oczy mogły sprowadzać nieszczęście.

–i co, jak się sprawdzają te wielkie baki, Terrible? Znalazłeś wreszcie stałą partnerkę?

Do diabła, czemu nie miałyby się z nim podrażnić? Nie skrzywdziłby jej bez rozkazu Bumpa, a gdyby Bump mu kazał, nie stałaby tutaj. Leżałaby w jakimś brudnym, cuchnącym uryną zaułku na tyłach targowiska i pobita wyrzygiwałaby bebechy. Jej praca miała swoje dobre strony. Przemoc wobec pracownika Kościoła mogła się źle skończyć.

–Nie martw się o mnie – burknął.

–Więc znalazłeś! Jest człowiekiem?

Ku zaskoczeniu Chess policzki Terrible'a przybrały kolor ciemnej czerwieni. Prawie zrobiło jej się go żal. Niezupełnie, ale prawie. Nie wiedziała, że on ma jakieś uczucia.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Stała w nich drobna blondynka w prześwitującym szarym topie i błyszczącej czerwonej minispódnicy – zapewne jedna z dziewczyn Bumpa. Czarny makijaż wokół oczu nadawał jej twarzy przestraszony wyraz, przynajmniej dopóki nie ziewnęła. Zlustrowała Chess i Terrible'a od stóp do głów i nie odwracając wzroku, cofnęła się na tyle, żeby mogli precyzyjnie się koło niej i wejść do środka.

Gdyby Chess nie wiedziała, że Bump jest – między innymi – dilerem narkotyków i alfonsem, widząc to miejsce, domyśliłaby się natychmiast. Wszystko było złocone albo pokryte futrem, jakby Bump zwiedzał muzeum Liberace'a i postanowił mieć takie samo, tylko lepsze. Liczne obrazy ze stylizowanymi strzelbami i waginami sprawiały, że pokój nie był tylko zwyczajnie szmirowaty, ale i nabierał freudowskiego charakteru.

Bump, rzecz jasna, nigdy nie słyszał o Freudzie. Kościół trzymał takie sprawy pod ścisłym nadzorem. Chess jednak wolno było studiować w archiwach, gdzie miesiącami co noc czytała prawie do świtu. Patrząc na skomponowaną przez Bumpa odę do id, zastanawiała się, czy Freud faktycznie był takim gównem, jak zawsze sądziła.

Blondyna poprowadziła ich wściekle czerwonym korytarzem – jeszcze więcej id – do dużego czerwonego pokoju. Wszystko tu było czerwone: wykładzina, meble, ściany. Różne odcienie jaskrawej czerwieni, jak w koszmarnym śnie. Oczy Chess niemal wyskoczyły z orbit na ten widok. Pobyt w tym pokoju sam w sobie byłby męką. A już dostać się tu z dawką narkotyku kipiącego w żyłach, to jak wpaść w piekielną pułapkę.

–Siadaj. – Terrible wskazał jej jedną z pluszowych kanap. – i czekaj na niego.

–Wątpię, żebym mogła gdziekolwiek pójść, nawet gdybym chciała.

–Ja też w to wątpię. – Gęste baki poruszyły się, kiedy wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. – Ale i tak czekamy.

Odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy odcinając się od koszmarnej czerwieni. Pozostała ona jednak po wewnętrznej stronie powiek prześladowając Chess nawet w jej własnej głowie. Skrzywiła się. Już było tam mnóstwo demonów.

Z zewnątrz dochodził zgiełk targowiska pełnego radioodbiorników i muzyki na żywo. W sąsiednim pomieszczeniu ludzie zamawiali, czekali pod ścianami na swoją kolej i wreszcie schodzili na dół na fajkę. Chess zaczęła się kręcić. Dzięki pigułkom jakoś funkcjonowała, ale fajka to było coś ekstra. Miała nadzieję, że jeszcze tej nocy uda jej się zejść na dół i napełnić płuca gęstym szarym dymem, a potem odpłynąć do domu, do łóżka. Z każdą chwilą wydawało się to jednak coraz mniej prawdopodobne.

Ile właściwie wisi Bumpowi? Trzy kawałki, cztery? To, że sprawa Sanfordów nie była mistyfikacją, poważnie zaszkodziło jej finansom. Demaskatorzy byli kiepsko opłacani, pensja ledwo wystarczała jej na czynsz i rachunki. Dopiero premie dawały prawdziwe pieniądze, za które mogła kupić ekwipunek i wszystkie inne potrzebne rzeczy.

Trzy czy nawet cztery kawałki to nie tak znowu dużo. Bywała mu winna większe sumy i zawsze spłacała.

Usłyszała szcęk metalu i poczuła na skórze gorąco. To Terrible przypalał papierosa płomieniem wysokim na piętnaście centymetrów Chess się wyprostowała.

–Mogę się poczęstować?

Z miną mówiącą „czemu nie” podał jej paczkę i zakręcił kółkiem czarnej zapalniczki. Musiała przechylić głowę, żeby nie oparzyć nosa.

Czekali jeszcze kilka minut, aż wreszcie otworzyły się drzwi w czerwonej ścianie i do pokoju wtoczył się Bump.

Poruszał się, jakby jeździł na platformie z dobrze naoliwionymi kółkami, cicho i płynnie, szybciej niż można by się spodziewać po jego wyglądzie. Na jego palcach połyskiwały pierścienie, a w uszach skrzyły się brylantowe sztyfty, lecz ubranie było zaskakująco zwyczajne. Chess pomyślała, że to jego „domowy” strój. Kilka razy widziała go na ulicy i wtedy wyglądał jak przemoknięty średniowieczny monarcha. Tego wieczoru jednak miał na sobie gładką jedwabną koszulę w kolorze burgunda – kolejny ton czerwieni dołączył do fałszywie brzmiącego chóru – i czarne spodnie. Był boso, jeśli nie liczyć złotego pierścienia na dużym palcu prawej stopy.

Wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i niedbale rzucił ją na stół przed Chess. W

środku spały sobie pigułki, a każda szeptała obietnicę. Różowe pandy tuliły się do zielonych hopperów, niebieskie oozery i czerwone nipy wyglądały patriotycznie na tle czystej bieli ceptów. Każda była inną jazdą. W górę lub w dół, słodko albo leniwie. Przed nią leżały dwa miesiące dobrego samopoczucia. Ślina napłynęła jej do ust. Przełknęła ją, wraz z odrobiną swojej dumy na dokładkę.

–Jesteś mi winna forszę, Chess. – Głos Bumpa sączył się przez pokój, dopełniając wrażenia człowieka, który wolno myśli i wolno się porusza. Ale Bump nie byłby królem ulic na zachód od Trzydziestej Trzeciej, gdyby był powolny. – Jesteś mi winna sporą sumę, mała.

Nie bez wysiłku oderwała wzrok od torebki i skupiła na jego zmierzwionej brodzie.

–Wiesz, że jeśli o to chodzi, jestem w porządku – powiedziała, nienawidząc tego jękliwego tonu, który wkradł się do jej głosu. Odchrząknęła i usiadła prosto. – Do tej pory zawsze płaciłam i teraz też zapłacę.

–Teraz nie jest tak, jak przedtem. Wiesz, ile mi wisisz? Podam ci sumę, żebyś nie musiała się wysilać. Piętnaście, mała. Jesteś mi winna piętnaście kawałków. Jak to spłacisz?

–Piętn... nie, to niemożliwe.

–Zapominasz o procentach. Wisisz Bumpowi kasę, płacisz odsetki.

–Do tej pory nigdy nie płaciłam. Wzruszył ramionami.

–Nowa polityka.

Nowa polityka? w co on, do cholery, gra? Spodziewała się gróźb, ale nie czegoś takiego.

–Nawet jeśli taka jest twoja nowa polityka, mój dług nie może być większy niż cztery kawałki. Jakie jest oprocentowanie, dwieście?

–Nieważne. Liczę cholerny procent jak chcę. – Oparł się o poręcz drugiej kanapy wyjął z kieszeni nóż i zaczął czyścić nim paznokcie. – Jak mówię, że piętnaście, to piętnaście. Kiedy zapłacisz?

–Mogę pójść gdzie indziej.

–a pewnie, biedroneczko. Idź, gdzie chcesz. Idź do Slobaga na Trzydziestą i zobacz, czy twoje tatuaże spodobają się tym pieprzonym mętom. Idź, ale i tak będziesz winna mnie.

Znów zerknęła na torebkę.

–Chcesz jedną? Śmiało, bierz. Co tylko chcesz. – Przesunął torebkę w stronę Chess. – No weź.

Spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

–a ile mi za to policzysz?

Jego śmiech brzmiał, jakby zaczynał się w stopach i przetaczał przez ciało.

–Nic, mała. Już i tak wystarczająco, dużo jesteś mi winna, prawda? – Złożył nóż i schował do kieszeni. – Teraz, jak tak o tym myślę... chyba wiem, jak zapłacisz. Odpracujesz to, co jesteś winna.

–Zapomnij – burknęła. Tak nisko nie upadnie, choćby nie wiadomo co. Nawet ona ma trochę szacunku do siebie i sama myśli, że taką tłusta plama jak Bump miałyby z nią swoje brudne sprawy... brrr.

–Wiem, mała, co ci chodzi po głowie, ale to nie to. Chociaż gdybyś chciała, miałybyś naprawdę słodką jazdę. Laski z nikim nie miały lepiej niż ze mną. – Roześmiał się, a potem potrząsnął torebką. – No, dalej. Weź jedną. Wiem, czego ci trzeba, no nie? Bump zawsze wie. Bump jest twoim pieprzonym przyjacielem. Więc ufaj Bumpowi. Weź, co chcesz, i pogadamy. Może pomożemy sobie nawzajem.

Ostrożnie sięgnęła po torebkę. Korciło ją, żeby wziąć oozera, ale zdołała się powstrzymać i wzięła kolejnego cepta. Czują: że umysł będzie jej jeszcze potrzebny.

–No dobra. A teraz Bump coś ci powie. Chcesz usłyszeć mój plan?

Skinęła głową, przełykając cepta.

Usiadł koło niej, na tyle blisko, że poczuła zapach palarni fajek, którym przesiąknięte było jego ubranie. Uśmiechnął się.

–Powiedzmy, że mam problem. I powiedzmy, że ty możesz mi pomóc.

No, no. Będzie musiała mu odmówić. Czarownice o przysługę proszą tylko ci, którzy chcą albo piekielnego fartu, albo podłego uczynku, a Chess nie miała ochoty na żadną z tych rzeczy. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Bump i tak jest farciarzem, a ona nie jest morderczynią.

–o jaką przysługę chodzi? Nie zgadzam się, tylko pytam.

–Myślę, że się zgodzisz, biedroneczko. Myślę, że kiedy mnie wysłuchasz, powiesz tak. Ale do rzeczy. Znasz lotnisko?

–Muni?

Nawet gdyby trzeci cept zaczął działać – a nie zaczął – nie byłaby bardziej zdezorientowana. Muncypalny Port Lotniczy w Triumph City był głównym węzłem komunikacyjnym i jednym z kilku obszarów pilnie strzeżonych przez policję. Większość mieszkańców Dolnej Dzielnicy, zwłaszcza dilerzy narkotyków, trzymała się z daleka od Muni i wokół strefy przemysłowej lotniska.

–Nie, co ty pieprzysz? Nie chodzi o Muni. Znasz lotnisko Chester?

–Jest zamknięte od lat.

–Jest, ale może Bump znów je otworzy. Może Bump rozszerza swoją pieprzoną działalność i je otworzy.

To zaczynało mieć jakiś sens.

–Mam za małe wpływy w Kościele, żeby przekonać władze miasta do czegoś takiego.

–Ale Bump ma wpływy. Bump już to załatwił, rozumiesz? To już z głowy. Ale jest inny problem. Samoloty Bumpa, które przynoszą słodkie pigułki takim biodroneczkom jak ty, rozbijają się. Coś atakuje samoloty, kumasz? Ucisza je. Wyłącza.

–Nic nie wiem o samolotach. Nigdy nawet nie byłam w...

–Nie chodzi o samoloty, biodroneczko. Chodzi o duchy. Mówią, że Chester jest nawiedzone. Nie wierz w to. Ktoś wysyła sygnały, ucisza samoloty. Elektromagnetyka i takie tam, kapujesz? Znajdziesz tego, co wysyła sygnały. Znajdziesz go i będzie spokój.

Odchylił się, zapalając papierosa. Dym zaczął się wić wokół jego głowy.

–Złapiesz te lipne duchy, żeby moje samoloty mogły latać, i będziemy kwita. Nie będzie długu u Bumpa.

Rozdział 3

Pracować dla Kościoła to chronić nie

tylko siebie i swoich

najbliższych, ale cały rodzaj ludzki.

Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć.

Praxis Turpin *Kariera w Kościele*

Przewodnik dla nastolatków

Zasłaniać się hajem to nie najlepszy pomysł na wykręcenie się od roboty dla dilerów narkotyków. Chociaż z drugiej strony, to był bardzo dobry pomysł. Jadąc z Terrible'em w stronę lotniska, Chess czuła w całym ciele wesołą lekkość, jakby właśnie usłyszała puentę świetnego dowcipu na bajecznym przyjęciu. Przynajmniej wyobrażała sobie, że tak właśnie by się wtedy czuła.

Bump pokruszył dla niej jeszcze cztery nipy, żeby mogła je wciągnąć następnego dnia, gdyby nasza ją ochota. Przecież musi być jakaś korzyść z tego, że złapał ją za jaja – metaforycznie – i ścisnął, prawda? a że robota nie zapowiadała się na długą – prawdopodobnie jedna noc wystarczy – powinna wyciągnąć z niej, ile się da. Sprzęt potrzebny do zrzucania na ziemię samolotów raczej niełatwo ukryć. Znajdzie go, powie Bumpowi i jej dług, który w tajemniczy sposób urósł z czterech do piętnastu tysięcy odejdzie w niebyt. Naprawdę korzystny układ.

Czuła się tak rozluźniona i pewna siebie, że mogłaby wparadować nago na nabożeństwo.

Coś zimnego i mokrego dotknęło jej ramienia.

–Łyknij trochę – mruknął Terrible, podtykając jej butelkę wody. – Do rana nie poczujesz, że ci się chce pić. Ten speed strasznie wysusza.

–Mam swoją. – Wyjęła butelkę z torby i wzięła duży tyk. – Ale dziękuję, że mi przypomniałeś.

Wzruszył ramionami.

Wyjechali z Dolnej Dzielnicy i teraz pędzili autostradą. Światła miasta uniemożliwiały obserwację gwiazd, ale Chess wiedziała, że one tam są, mrugają nad nimi ułożone w

konstelacje. Z westchnieniem poprawiła się na fotelu i spojrzała na prędkościomierz.

–Naprawdę jedziesz sto dwadzieścia? Terrible znów tylko wzruszył ramionami.

–Gadatliwy to ty nie jesteś, co?

Tym razem spojrzał na nią groźnie. Zielonkawe światło deski rozdzielczej wydobyło szokującą brzydotę jego profilu. Krzywy nos – musiał być złamany kilka razy – brwi sterczące jak klif nad oceanem, kwadratowa szczęka. Uniosła ręce, otwartymi dłońmi na zewnątrz.

–w porządku, to tylko rozmowa.

–Laski zawsze chcą rozmawiać.

–Nie żeby chciały robić z tobą coś innego.

Terrible włączył radio. Z głośników ryknęli Misfits śpiewający o czaszkach. W pewien sposób pasowało to do nastroju chwili. Chess oparta głowę o drzwi, wciąż próbując wypatrzeć gwiazdy.

Ledwie zdążyła mrugnąć, już byli na miejscu. Czy ten Bump naprawdę zamierza szmuglować narkotyki przez lotnisko położone tak blisko miasta? Nie wie, że ludzie będą słyszeć samoloty, zobaczą je?

Głupie myśli. Bumpa to nie obchodzi. Jej też nie. W gruncie rzeczy, im łatwiej mu będzie dostarczać narkotyki, tym lepiej dla niej.

Terrible zatrzymał samochód – czarnego chevelle rocznik 1969, pochodzącego z czasów zwanych teraz Przed Prawdą – przed ruiną starego dworca, z którego zostały tylko przeszywające niebo belki.

Trawa porastała pasy startowe nieregularnymi plamami, jak wysypka. Nic tu nie wylądowało od lat, od czasu, kiedy Kościół uczynił Triumph City swoją siedzibą i zbudowano Muni. Atmosfera zapomnienia i zaniedbania ogarniała wszystko, od ziemi po niebo.

Terrible Obszedł samochód, żeby otworzyć Chess drzwi – uprzejmość, która tak ją zaskoczyła, że prawie zapomniała wysiąść. Opamiętała się jednak i wysiadła, zabrawszy swoją torbę z tylnego siedzenia.

Przyglądał się bez słowa, jak wyjmuje kościelny spektrometr i podaje mu go, a potem sięga po kawałek czarnej kredy i nóż, na wszelki wypadek. Niektóre czarownice używają soli, ale Chess lepiej panowała nad kredą, która nigdy jej nie zawiodła. Była łatwiejsza do wyczyszczenia i skuteczniejsza, a skuteczność sama w

sobie stanowiła nagrodę.

–Podejdź do mnie.

Terrible podszedł posłusznie i pochylił głowę, kiedy wyciągnęła rękę, żeby naznaczyć go kredą. Pieczęć ochronna pełzała przez jego czoło jak skorpion. Na sekundę zamknął oczy. Czy poczuł? Nie wyglądał na ten typ, ale ona też nie.

A przecież coś poczuła. Pod radosnym szmerem ciała poczuła subtelny znajomy przepływ mocy i jeszcze bardziej subtelny cień podniecenia.

Pokręciła głową. Stoi na opuszczonym, zarośniętym parkingu z Terrible'em i robi się napalona. To przez te nipy. Speedy zawsze tak na nią działały. Niestety, pieprzenie się na speedzie jest nic niewarte. Gdyby było, kazałaby Terrible'owi, żeby podrzucił ją na targowisko, i znalazłaby faceta, który by o nic nie pytał i o nic nie prosił.

Otrząsnęła się i skupiła na rysowaniu pieczęci na swoim czole, u nasady nosa. Nie było to konieczne – większość zabezpieczeń zawierały jej tatuaże – ale niespodziewanie przeszedł ją dreszcz. To pewnie ten Terrible. Sama myśl, że przez ułamek sekundy była gotowa pozwolić, by jej dotknął, każdą zdrową na umyśle kobietę przyprawiłaby o dreszcze.

–Znasz to miejsce? – spytała, odsuwając się od niego.

Kiwnął głową. Oczy Terrible'a połyskiwały jak brudne klejnoty w cieniu pod brwiami.

Wzięła od niego spektrometr i włączyła.

–No to chodźmy. Oprowadź mnie.

Zaprowadził Chess do dziury w ogrodzeniu z zardzewiałej siatki, puścił ją przodem, a potem prześlizgnął się za nią.

Ich kroki zachręściły na żwirze pozostałym przy plocie i ucichły, gdy dotarli do popękanego betonowego chodnika. Tu też rosły chwasty. Ocierały się o buty, wywołując niemiłe skojarzenie z dłońmi usiłującymi chwycić się lśniącej, grubej skóry.

Lotnisko było większe, niż wydawało się z zewnątrz. Pasy startowe ciągnęły się dalej, niż sięgał jej wzrok w ciemności.

Na częściowo zburzonej ścianie przed nimi pojawiła się plama światła. Chess odskoczyła gwałtownie, zatoczyła się i wpadła na Terrible'a. W wielkiej dłoni trzymał latarkę.

–Śmiertelnie mnie przestraszyłeś! – krzyknęła. – Myślałam, że to światło to... Cholera, nie rób tego nigdy więcej!

–Przepraszam.

Jestem chyba najgłupszą kobietą na ziemi, pomyślała, skoro zgodziłam się przyjechać na opuszczone lotnisko na odludziu z mięśniakiem od narkotyków, którego boi się całe miasto. Gdyby porzucił tu jej ciało, minęłyby miesiące lub nawet lata, zanim by ją znaleziono. O ile w ogóle by znaleziono.

–Ej, Terrible, słyszałeś kiedyś, co czeka kogoś, kto zabije czarownicę?

Chrząknął. Uznała to za „nie”.

Będzie nawiedzony do końca życia, Zwłaszcza jeśli zabije kościelną czarownicę, taką jak ja. Kościół nie udziela żadnej dyspensy, wiesz? Nie ma mowy o zadośćuczynieniu ani ułaskawieniu. Morderca jest dręczony dzień w dzień i noc w noc i nie ma od tego ucieczki. Marny los, prawda?

–Nikt nie ma zamiaru cię zabić, Chess.

–Ale gdyby miał, nie odwróciłbyś się nagle i nie powiedział: „A tak przy okazji, Bump kazał mi cię zabić, więc bądź tak miła i podejdź bliżej, żebym mógł ci zacisnąć palce na gardle”?

Chwilę gapił się na nią, po czym wydał dźwięk trochę przypominający skrzypienie drzwi, a trochę bulgotanie w starym kaloryferze. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że to jego śmiech.

–Wariatka z ciebie – powiedział. – Od speedu dostajesz świra, co nie? Ale nie przejmuj się. Nikt cię tu nie zabije. Jesteś potrzebna Bumpowi. Na inne czarownice nie ma haka, więc potrzebuje ciebie.

Była to chyba najdłuższa przemowa, jaką od niego usłyszała. Uwierzyła mu. Nie na tyle, żeby schować nóż do torby, ale wystarczająco, by przestać się trząść.

–Słuchaj, a co właściwie robi to pudełko? – spytał. – Ma zapiszczeć, zaświecić czy coś?

–Coś – odparła. – Po prostu mnie oprowadź. Zobaczymy, co się zdarzy.

Wziął ją pod rękę i wprowadził przez ziejący ciemny otwór do budynku. Została tylko część dachu – zardzewiała blacha oparta na zbutwiałych drewnianych słupach – ale i tak przesłaniała blade światło księżycy wpadające do wnętrza.

Śmierdziało robactwem, rozkładem i paliwem – odrażający koktajl, od którego wywracał się jej wrażliwy pusty żołądek.

Brodzili w warstwach kości i śmieci, jakieś drobne stworzenia uciekały im spod nóg. Deski, które kiedyś były ścianami, wyglądały jak pasy zebry, kiedy tak przedzierali się przez zrujnowane wnętrza.

Spektrometr wciąż milczał, ale przecież dopiero zaczęli poszukiwania. A te gadżety mogą być schowane wszędzie. W samym budynku, w wysokiej trawie, pod jakimś kamieniem...

Nie dopuszczała innej możliwości, a ściślej mówiąc, nie czuła jej. Nie czuła charakterystycznego ciepła rozgrzewających się tatuaży ani jeżenia się włosów na karku. Wprawdzie zaczynała ją otaczać niezwykła energia, ale nie pochodziła od duchów, skoro spektrometr nic nie pokazywał. Chociaż reakcje jej ciała mogły być przytłumione przez speed bardziej, niż chciałyby przyznać, spektrometr powinien działać niezależnie od wszystkiego.

–Daj mi latarkę.

Terrible wcisnęła jej latarkę w rękę.

Oświetliła zakamarki pod dachem. To dobre miejsce na ukrycie elektroniki, zwłaszcza czegoś tak dużego, żeby mogło zakłócić działanie komputerów pokładowych. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziała urządzenia, które byłoby do tego zdolne, ale zadziałał stary nawyk.

Ludzie nigdy nie patrzą do góry. Patrzą pod nogi, rozglądają się na boki, ale zwykle nawet nie pomyślą, żeby unieść głowę i zobaczyć; co mają nad sobą. To ludzkie dziwactwo sprawiało, że Chess zawsze najpierw spoglądała w górę, aby móc odhaczyć ten punkt na swojej liście.

Niczego niezwykłego nie dostrzegła, więc przesunęła światło niżej. Niewiele widziała z powodu tych wszystkich śmieci. Trzeba by zamieść, ale Terrible raczej nie nosi ze sobą miotły. Podeszła do ściany i posuwała się wzdłuż niej centymetr po centymetrze, nie odrywając nóg od podłogi.

–Macaj, szukając czegoś twardego – poleciała. – i ciężkiego.

Pewnie wyglądali idiotycznie – wytatuowana czarownica w topie bez rękawów i w dżinsach i zwalisty ochroniarz w koszuli z krótkimi rękawami wypuszczonej na spodnie i z czarnym lokiem opadającym na oczy, szurający stopami wzdłuż ścian, jakby próbowali jeździć na łyżwach po śmieciach – ale nie obchodziło jej to. I tak nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć.

Poza kimś skradającym się cicho po przeciwnej stronie ściany. Chess uchwyciła moment, gdy w szparze między deskami mignęła przygarbiona ciemna sylwetka.

–Coś tam jest? – Głos Terrible'a zagrzmiał w pustej przestrzeni. – Coś zobaczyłaś?

Machnięciem ręki dała mu znak, żeby był cicho. Na szczęście zrozumiał, bo znieruchomiał. Czekali.

Gdy ponownie dostrzegła sylwetkę, tym razem na zewnątrz, dokładnie naprzeciwko Terrible'a, wskazała ją gestem.

Wiedziała, że jest szybki, ale nie przypuszczała, że aż tak. Jego ręka błyskawicznie wystrzeliła przez szczelinę i chwyciła zjawę za gardło. Wciągnięty do środka przez zmurszałe deski, które rozpadły się jak mokra grzanka, rzekomy duch zakwiczał zupełnie nie jak duch.

–Nie rób mi krzywdy! Ja tylko przechodziłem Ja nic nie wiem!

Terrible nie odezwał się ani nie rozluźnił uchwytu, Chess oświetliła latarką z góry na dół trzymaną przez niego osobę – chłopaka, prawie dziecko, w postrzępionych dżinsach i brudnym poncho. Przy wciąganiu do wnętrza zsunął mu się z głowy kaptur.

–Czego tu szukasz? – spytała stanowczym głosem.

–Po prostu przechodziłem... – wyjąkał dzieciak.

–Nikt tędy tak po prostu nie przechodzi. Mów, po co tu przyszedłeś. Natychmiast.

Chłopiec spojrzał na Chess rozszerzonymi ze strachu oczyma.

–Proszę pani, ja nie...

Dźwięk uderzenia twardej dłoni Terrible'a w brudną twarz chłopca był niemożliwie głośny. Chess zrobiła krok do przodu i już uniosła rękę, ale powstrzymała się. Gangi często wykorzystują dzieci do brudnej roboty. Chłopak twierdzi, że jest niewinny, ale to wcale nie znaczy, że jest.

–Mów albo oberwiesz mocniej – zagroziła.

Chłopiec znów popatrzył na Chess, potem spuścił wzrok.

–Słyszałem, że tu są duchy. Chciałem któregoś zobaczyć.

–Od kogo słyszałeś?

–Od nikogo. Następnym policzek. Chess nie chciała na to patrzeć.

–No dobra, powiem. Od Garbusa. Tego z Osiemdziesiątej Trzeciej. On słyszał od kogoś, a tamten od jeszcze kogoś, że w niektóre noce można tu zobaczyć samoloty widma. Chciałem któryś zobaczyć i tyle.

Terrible zastanawiał się chwilę, po czym spytał:

–Jak ten Garbus wygląda?

–Taki mały facet, jarzysz? Lekko kuleje. Dziko patrzy i jest łysy. Woła na mnie Mózg, bo ponoć mam dobrze w głowie.

–Nie masz, skoro tu przyszedłeś – odparował Terrible, ale puścił chłopca. – To nie jest miejsce dla dzieci.

–Chciałem tylko zobaczyć duchy.

–Byłeś tu już wcześniej? Widziałeś kogoś?

–Nie. Byliśmy tu z moim kumplem Patem, ale nie widzieliśmy samolotów. Wy też chcecie je zobaczyć?

–Jesteśmy tu w interesach – odparł Terrible.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Chess wyjęła z torby notes, który otworzyła na czystej stronie. No tak. Garbus, Skoro to on rozsiewa plotki o samolotach widmach, jest równie dobrym punktem wyjścia, jak każdy inny.

Skrzyżował ręce na piersi.

–Spadaj – rzucił do chłopaka. – Dziś nie będzie żadnych duchów.

Ledwo Mózg przełożył nogę przez dziurę w ścianie, Chess poczuła pieczenie. Tatuże sprawiały wrażenie, jakby chciały się oderwać od ciała. Jednocześnie spektrometr zawył przeciągle. Wszystkie kontrolki rozjarzyły się jaskrawą czerwienią, rzucając niesamowity blask na dziurawe ściany. W pomieszczeniu zrobiło się widno jak w dzień, a ryk samolotu przelatującego tuż nad ziemią sprawił, że Chess padła bezwładnie na brudną podłogę.

Rozdział 4

*Nie będziesz wskrzeszał umarłych
ani próbował porozumieć się z nimi
poza Kościołem.*

*Kto tak czyni, sam skazuje się na
zgubę.*

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 26

Czekała na śmierć. Jej serce przyspieszyło trzykrotnie, a do uszu ledwo docierał piskliwy głos Mózga, zagłuszony przez huk silników. Za chwilę samolot spadnie i zginą w rozbłysku paliwa raketowego i dymie. Chess próbowała odpełznąć na bok, ale wiedziała, że nie zdąży. Zdołała się oprzeć o jedyny wciąż stojący fragment ściany w walącym się budynku i objęta rękami głowę:

Deski rozpadły się w drzazgi, które rozprysnęły się gwałtownie, trafiając ją w policzek i gołe ramiona, Próbowała się uchylić, gdy nagle coś twardego i gorącego chwyciło ją za rękę i przeciągnęło na drugą stronę ściany.

Terrible. Wyciągnął ją przez dziurę, którą wybił w zmurszałych deskach, i postawił na nogi. Już, stojąc, zorientowała się, że hałas ucichł. Nie było też światła. Słyszała tylko spazmatyczne łkanie Mózga.

Nogi miała jak z waty. Byłaby upadła, ale Terrible otoczył ją ramieniem i podtrzymał.

–Już dobrze, Chess, już dobrze.

Nie wiedziała, ile razy to powtórzył, zanim nogi przestały jej drżeć i mogła podnieść głowę, żeby na niego spojrzeć.

–Myślałem, że cię nie ruszają te całe strachy – powiedział. – Jesteś blada jak trup.

–a ty wyglądasz, jakby Elvis cię wyrzygał – wykrztusiła. – i co z tego?

Znów usłyszała skrzypienie zawiasów, kiedy się roześmiał.

–To że oboje wyglądamy fatalnie. Ale ja zawsze tak wyglądam, a ty nigdy. Lepiej ci?

–Tak, nic mi nie jest. Oprowadź mnie na zewnątrz.

–Twoja maszynka piszczała, zanim zaczął się hałas.

–Ta maszynka to spektrometr. Mierzy zakłócenia w wymiarze metafizycznym. Duchy emanują metaenergią i zostawiają za sobą jej ślad.

Terrible zmarszczył krzaczaste brwi.

–Czyli...

–Juhu! – Okrzyk Mózga rozdarł ciemność.

Chess odskoczyła, wpadając na Terrible'a. To nip spowodował nadmierną nerwowość i wyzwolił dodatkową adrenalinę. Będzie musiała coś wziąć, żeby się uspokoić.

–Widziałem! Widziałem duchy! Ale będzie, jak im powiem! Wszyscy będą mnie słuchać, wszyscy... – Słowa przeszły w bulgotanie, kiedy dłoń Terrible'a zacisnęła się na gardle chłopca.

–Nic nikomu nie powiesz, szczeniaku. Nikomu, kumasz? – Mózg przytaknął, więc Terrible go puścił. – Tu nie ma żadnych duchów. Dowiemy się, kto robi te sztuczki, i zabijemy go. A jeśli będziesz kłapał jęzorem, przyjdę i ci go wyrwę. Albo gorzej. – Wskazał na Chess. – Rozpoznajesz ją, prawda?

–Nigdy jej nie widziałem.

–Ale widziałeś jej tatuaże, szczeniaku, i wiesz, kim jest. Chcesz, żeby cię ścigała? Na pewno cię znajdzie, a ja pozwolę jej się tobą zająć.

Chess chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Uznała, że to nie jej sprawa, tylko sprawa ulicy, i wtrącanie się mogłoby się źle skończyć.

Poza tym ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali było ujawnienie jej udziału w tej historii. Kościół przymyka oczy na różne wykroczenia, lecz używanie kościelnego sprzętu i zdolności do wspierania przemytnika narkotyków nie uszłoby jej bezkarnie.

Przyglądała się więc więc bez słowa, jak przerażony Mózg przytakuje, a Terrible odprawia go ruchem głowy. Chłopiec czmychnął, rozpryskując żwir pod stopami.

–a teraz – Terrible zwrócił się do niej – kończmy to i wracajmy do domu.

Na płycie lotniska zobaczyli tylko dziko rosnącą trawę i pokruszony beton. Nie znaleźli żadnych nadajników, żadnych urządzeń zakłócających, żadnych projektorów ani nawet elektromagnesów. Może więc lotnisko jest rzeczywiście nawiedzone.

Wskazywało na to nagle przebudzenie się spektrometru. Ale dlaczego dotarło to do niej w takim nasileniu i tak nagle, dopiero kiedy widmo znajdowało się tuż nad nimi? Powinna była poczuć coś wcześniej: przyływ gorąca, gęsią skórę, cokolwiek.

Chyba że działanie speedu wykraczało poza „dostawanie świra”. Cepty właściwie nie zakłócały jej zdolności, w każdym razie nie w normalnych dawkach, a speedy brała rzadko i nigdy przy pracy.

Dziwne, że spektrometr zareagował dopiero przed samym momentem krytycznym, ale to dało się wyjaśnić, Ktoś mógł wysłać do niego ładunek magicznej energii jednocześnie z włączeniem tego, co napędzało światła i dźwięki. Istnieje mnóstwo nielegalnych urządzeń służących do oszukiwania spektrometrów. Dlatego spektrometry to jedynie proste narzędzia wykrywające pełniące rolę pomocniczą przy osobistych mocach Demaskatora.

Cholera, jeżeli taki gadżet i zestaw do efektów dźwiękowo – świetlnych są przenośne, a ich operator wystarczająco szybki, mógł zwać przez dziurę w płocie, zanim Terrible wyciągnął ją z budynku.

Tak czy inaczej, jedna z pierwszych zasad, jakich nauczyła się podczas szkolenia, głosiła, żeby nigdy niczego nie zakładać z góry i prowadzić śledztwo dopóty, dopóki nie uzyska się niepodważalnych dowodów. A to oznacza, że ta cholerna sprawa potrwa dłużej, niż jej się z początku wydawało.

Wciąż nad tym rozmyślała, kiedy dotarli do końca pola. Pozostałości budynku wydawały się z tej odległości zaledwie cieniem, a trawa sięgała tu do pasa.

Terrible torował drogę. Przedzierał się przez zielsko z szelestem przypominającym szepty umarłych w cichą noc. Przywodził na myśl drapieżnika skradającego się po równinie.

Chess zrobiła następny krok i stanęła gwałtownie, czując, że moc przepłynęła jej przez nogę, owiała skórę. Coś stało się w tym miejscu, jakiś rytuał... może nawet ofiarny. Coś, od czego krew zastygła jej w żyłach. Rozpaczliwie zapragnęła znaleźć się w domu, we własnym łóżku.

–Jakiś problem, Chess? Coś tak zbladła?

Potrząsnęła głową. To próbowało mówić do niej, powiedzieć jej coś... tylko że ona nie wiedziała co. Nie była w stanie dosłyszeć tego, co było uwięzione w szeptach. Do głowy cisnęły się jej wszystkie głosy naraz.

Skóra jej ścierpła, bo mroczna energia skupiła się nad tatuażami. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby się cofnąć, zamiast przykucnąć i słuchać, zamiast stanąć obiema stopami w kręgu i pozwolić, aby ciemność zabrała ją tam, gdzie chce.

–Ktoś tu uprawiał magię – wyszeptwała, po czym powtórzyła głośniej: – Zakazaną magię.

–Jak przywoływanie duchów?

–Być może. Nie wiem.

Zrobiła krok w prawo, starając się wyczuć krawędź kręgu. Nie chciała znów do niego wejść. W każdym razie większa jej część nie chciała.

Zawiał wiatr, unosząc jej długie do ramion włosy i chłodząc spocony kark. To nie było stare zaklęcie. Miesiąc, najwyżej sześć tygodni, ale prawdopodobnie świeższe. Nie potrafiła sobie wyobrazić, ile mocy zostało tu zgromadzone, kiedy je rzucono. Był to ten rodzaj mocy, który wymaga albo bardzo doświadczonego, potężnego maga, albo bardzo niewinnej ofiary. A najlepiej jednego i drugiego.

Innymi słowy, była to moc, z którą nie chciałyby mieć do czynienia.

Trzy kolejne ostrożne kroki dały jej pojęcie o średnicy kręgu. Prawie trzy metry, czyli dość duży dla kilku osób.

Terrible ruszył w jej stronę, ale powstrzymała go gestem.

–Stój. Nie powinieneś tu wchodzić. Masz jeszcze latarkę?

Zatrzymał się, podał jej latarkę, a potem czekał cierpliwie jak wierny pies, gdy ona dokonywała oględzin na tyle, na ile mogła, stojąc poza obwodem kręgu. Deszcz padający w ubiegłym tygodniu i upływ czasu spowodowały, że z tego, co mogłaby ewentualnie zobaczyć, nie zostało prawie nic. Coś jednak połyskiwało na ziemi, bardzo słabo, w pobliżu środka kręgu.

Poświeciła latarką, żeby lepiej się przyjrzeć. Mały złoty medalion, lśniący jak ostrze brzytwy, i na ile mogła się zorientować, tak samo ostry, leżał między źdźbłami trawy, prawie niewidoczny.

–Daj mi patyk albo coś takiego.

Jeśli to część zaklęcia, możliwe, że je przerwie, po prostu usuwając medalion, jeśli nie... schowa go do skrzynki z afrykańskiego czarnodrzewu, w której trzyma wszystkie podejrzane magiczne przedmioty, które znalazła. Energia drewna jest wystarczająco silna, żeby zablokować prawie każdą inną.

Terrible ruszył w kierunku kępy drzew za ogrodzeniem. Patrzyła, jak rozdziera siatkę, robiąc nową dziurę, i przechodzi przez nią. Dziwne, że taki zwalisty mężczyzna potrafi poruszać się bezszelestnie, ale tego wymaga jego praca. Nie ona

jedna była zaskoczona, widząc go nagle przed sobą, ale tylko dla niej nie skończyło się to pogruchotaniem kości.

Czekając, cały czas kierowała światło na złoty przedmiot w obawie, że gdyby tylko odwróciła wzrok, zamieniłby się w coś innego albo znikł. Niektórzy mogą uważać, że byłoby to niemożliwe, ale ona ma swój rozum. Jeśli chodzi o magię, prawie wszystko jest możliwe – każdy przedmiot ma energię, a energią można manipulować.

Niesamowite, przemknęło jej przez myśl, o ile czystsze jest tutaj powietrze. Zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od Dolnej Dzielnicy, ale z dala od ciągłych pożarów, tłumów i rzeźni. Mimo odoru śmieci, wyczuwalnego, ilekroć wiatr zmieniał kierunek, miała poczucie, że jest bardziej na wsi niż w mieście. Już nie pamiętała, kiedy ostatni raz w wolnym czasie wyszła z mieszkania. Bo i po co miałyby wychodzić?

Siatka zadzwoniła metalicznie, Wyrrywając ją z zamyślenia. Terrible wracał tą samą drogą, przez dziurę w ogrodzeniu. Jego sylwetka wydawała się nieruchomym cieniem, a jednak się poruszał.

Są lepsze narzędzia do tej roboty, ale patyk będzie musiał wystarczyć, Chess aż zdrętwiała z wysiłku, jaki musiała włożyć w zachowanie równowagi, kiedy pochylając się nad kręgiem, usiłowała za pomocą ułamanej gałęzi przysunąć bliżej medalion.

Bezskutecznie. Może gdyby stanęła jedną nogą w kręgu, uzyskałaby lepszą dźwignię.

Jej serce, i tak już bijące w przyspieszonym rytmie, szarpnęło się dziko na samą tę myśl. Ale przecież musi zdobyć ten kawałek metalu. Musi. On chce, żeby go miała, i ona chce go mieć.

Uniosła stopę, postawiła ją wewnątrz kręgu – najdalej, jak się dało – i zaparła się mocno.

Ból przeszył jej nogę jak cierni, wbił w nią swoje zęby. Krzyknęła, tracąc równowagę, i upadła głową naprzód do kręgu.

Było tam czarno i zimno, tak zimno, że ledwo pamiętała, jak to jest czuć ciepło. Wokół niej rozbrzmiewały echem głosy, niczym krzyki w tunelu. Mówiły okropne rzeczy, śmiały się ze śmierci i grozy. Widziała przed sobą ogromne czarne oczy osadzone w kościstej twarzy i zęby ociekające czerwoną śliną...

Energia wyciekała z jej ciała i wsiąkała w ziemię. Czuła, jak pod nią otwiera się pustka, jakby ziemia robiła się w tym miejscu cieńsza, a zarazem głosy były coraz wyraźniej słyszalne. Nie brzmiały już szyderczo. Teraz perswadowały, obiecywały. Po raz drugi w ciągu tego wieczora wzywali ją umarli, ale było to uwodzenie, a nie groźby. Jeśli odpuści, będzie miała wszystko, co chce. Jeśli się podda, oni

zatroszczą się o nią, wymażą wszystkie złe wspomnienia i ból i będzie wolna i lekka.

Spojrzała na Terrible'a. Jego wargi poruszały się, ale żaden dźwięk do niej nie docierał. Słyszała tylko szepty, słowa, których nie rozpoznawała, ale rozumiała. Otworzyła usta do krzyku, jednak zamiast głosu wydobyła się z nich lśniąca czerwona wstęga powietrza, wijąca się w gęstej ciemności wokół niej. Mogłaby dać za wygraną i byłoby po wszystkim. Skończyłby się ból, skończyłaby się nędza, odeszłyby wspomnienia. To, co usiłowała osiągnąć przez lata pigułkami i twardymi okruciami Dreamu, mogłaby mieć teraz; mogłaby przestać istnieć i znaleźć zapomnienie, którego nie potrafiła znaleźć w życiu.

Sięgnęła jeszcze raz. Jej palce zamknęły się wokół czegoś zimnego i twardego, czegoś, co rozcięło wewnątrz jej dłoni ostrą krawędzią.

Poczuła ogień w ręce. Jej krew uaktywniła metal, syciła go, zimna czerń zamieniła się w gorąco, w niebiesko – białe gorąco nie do zniesienia.

Przez mgłę agonii poczuła, że ktoś chwyta ją za kostki i ciągnie. Już miała wypuścić medalion z dłoni, ale zamiast tego ścisnęła go mocniej. Błogosławiony ból, dzięki któremu zachowała świadomość w ostatnich sekundach, zanim Terrible wyszarpnął ją z kręgu.

Wzrok Chess wracał serią chaotycznych obrazów, które nie zdążyły zapisać się w mózgu. Terrible przerzucił ją przez ramię i biegł z nią przez pole. Dłoń ją paliła, żołądek się buntował. Ostry kawałek drutu z rozdartej siatki zadrapał jej policzek, gdy przechodzili przez dziurę. Chwilę później Terrible szarpnięciem otworzył drzwi samochodu i wrzucił ją do środka.

Z rykiem muzyki i żwirem pryskającym spod kół wyjechali z parkingu. Chess spojrzała na swoją zaciśniętą pięść. Krew wyciekała spomiędzy palców i wsiąkała w jej czarne dżinsy. W dłoni miała miedziany amulet.

Rozdział 5

Sprzeniewierzyć się prawu to

sprzeniewierzyć się sobie

i tym samym stać się niegodnym.

Przebaczenie jest rzeczą ludzką, nie

boską,

musi zatem przyjść od ludzkości

trzeba na nie zasłużyć, znosząc

poniżenie i karę.

Księga Prawdy, Zasady, Artykuł 30

Skóra cierpła od samego dotknięcia amuletu, ale Chess chciała się przekonać, czy zdoła zrozumieć coś ze skomplikowanego wzoru na krawędzi. Może to runy? Nie uczyli się runów na pamięć – ich moc wynika głównie z koncentracji, jakiej wymaga ich kopiowanie – ale najwyraźniej trochę zapamiętała, bo niektóre z symboli wyglądały znajomo. Reszta mogła być wymyślona, wstawiona w puste miejsca, aby zmylić ciekawskich albo tych, którzy mieli pecha natknąć się na magiczny amulet. Chess jednak uznała, że amulet jest na to zbyt silny. A istnieje wiele magicznych alfabetów, których znajomości Kościół zabraniał swoim pracownikom.

Edsel pewnie by wiedział, ale mogła się z nim zobaczyć dopiero w niedzielę. Jutro jest sobota, dzień święty, musi więc spędzić go w kościele.

Schowała monetę do swojej czarnej skrzynki na półce z książkami i wypowiedziała kilka słów mocy, mając nadzieję, że to wystarczy.

Zazwyczaj margines nieprzewidywalności w magii fascynował ją, ale nie w przypadku przedmiotów takich jak ten. Kto wie, jakiego rodzaju energią emanuje ten amulet i jak może oddziaływać na nią i jej dom?

–No dobrze – powiedziała, odwracając się. – Przestało krwawić?

–Na to wygląda. – Terrible oderwał chusteczkę higieniczną od rany na ramieniu i przyjrzał się jej. – Nic mi nie będzie, Chess. Nie martw się.

–Pokaż.

Krwawienie ustało, ale rana po drucie z ogrodzenia wyglądała na głęboką i paskudną. Uratował jej życie, więc była mu winna przynajmniej trochę środka dezynfekującego.

Ledwo napoczęta butelka stała w szafce w łazience. Ostra woń uderzyła ją w nozdrza. Nasączyła płynem świeżą gazę i przyłożyła Terrible'owi do ramienia. Lekko drgnął, ale nie ruszał się, dopóki nie skończyła oczyszczać rany, którą następnie zakleiła świeżym plastrem.

–Przepraszam, że bolało. Wzruszył ramionami.

–Bywało gorzej.

Przeszła do malutkiej, ciemnej kuchni i wyjęła z lodówki dwie butelki wody, dla siebie i dla Terrible'a.

Zapadła niezręczna cisza, kiedy usiedli, pijąc wodę.

No bo o czym miałyby z nim rozmawiać? Ledwo go znała. Właściwie nikt go nie znał. Tak naprawdę, nikt nie chciał go znać. Lepiej było uciekać na jego widok.

Odchrząknął, wziął łyk i znowu odchrząknął.

–Ładnie tu.

–Dzięki.

Nieprawda, wcale nie jest ładnie. Jest pusto, banalnie nudno, jeśli nie liczyć ogromnego witrażowego okna zajmującego całą ścianę. Z drugiej strony, gdyby musiała przebywać przez większość czasu w gabinecie magii nekologicznej, jakim jest mieszkanie Bumpa, prawdopodobnie też uważałaby, że tu jest ładnie.

–i jak myślisz, Chess? Chester jest nawiedzone? Pokręciła głową.

–Nie wiem. Muszę rozejrzeć się w dzień.

–Jutro?

–Sobota. Mam kościół.

–Racja. Brakowałoby im cię, gdybyś nie przyszła, co nie?

–Właśnie. Pokiwał wolno głową i wstał.

–Pogadam z Bumpem i powiem, jak było Przyjdź wcześniej. Przyjmie cię.

–Dzięki.

Po jego wyjściu nie było mowy o śnie. Wyglądało na to, że czeka ją całonocny maraton, czy tego chce, czy nie. Wzruszyła ramionami i zabrała się za przygotowywanie następnej kreski. Równie dobrze może sobie zrobić przyjemność, pooglądać filmy, ufarbować włosy – rude odrosty już zaczynają być widoczne spod czerni – zanim rano pójdzie do kościoła.

Zwykle zjawiała się w kościele przed rozpoczęciem Rozrachunków, żeby nie musieć tego oglądać. Ale tego ranka była zajęta porządkowaniem płyt CD, więc kiedy w końcu za pięć dziesiątą weszła na teren kościelny, powitali ją obywatele z torbami pełnymi dojrzałych, owoców i kijami.

Nie patrzyli na nią. Ledwo zauważali jej obecność, ona jednak czuła się, jakby wszyscy obserwowali ją kątem oka, tylko czekając, aż się odwróci, żeby zacząć ją przeklinać i bić.

Czasem trudno było pamiętać, że tego nie zrobią, że ten rozdział jej życia został zamknięty, kiedy przystąpiła do kościelnego programu szkoleniowego.

Dwóch Młodszych Starszych wprowadziło na plac pierwszego penitenta, wielkiego mężczyznę z gęstą brodą. Człapał na bosych stopach w kierunku dybów, ale wyraz jego twarzy przeczył ociągającemu się ciału. Nie mógł się doczekać, kiedy zostanie zelżony, nie mógł się doczekać, kiedy zostanie oczyszczony brudem. Łatwe odpowiedzi uszczęśliwiały każdego. Chess zastanawiała się, co zrobił. Złamał przysięgę, skłamał? a może popełnił przestępstwo informacyjne? Nie miał rękawiczek złodzieja, więc przypuszczała, że jego wykroczenie jest natury moralnej – cudzołóstwo, może kłamstwo.

Nie zatrzymując się, przeszła przez plac obok wielkiego kamienia upamiętniającego Nawiedzony Tydzień w 1997 roku. Jak zawsze pochyliła głowę, oddając cześć milionom na całym świecie, których życie zostało skradzione.

Sama nie pamiętała Nawiedzonego Tygodnia, była wtedy małym dzieckiem. Wiedziała tylko, że duchy nie zabrały jej rodziców, kimkolwiek byli – innymi słowy, ich śmierć nie była powodem, dla którego znalazła się w systemie. Porzucili ją wcześniej. Znała natomiast historię Nawiedzonego Tygodnia, jak zresztą wszyscy, mogła więc sobie wyobrazić, jak to musiało być – ludzie stłoczeni w kościołach, domach i szkołach, wznoszący modły i płaczący, podczas gdy upiory powstałe z grobów przenikały przez ściany, aby odebrać im życie. Uzbrojone w noże i odłamki szkła, w liny, topory i brzytwy, z beznamiętnym wyrazem twarzy dokonywały mordów.

Nie tylko Chess widziała ratunek dla siebie w Kościele. Istniało wprawdzie kilka grup niezadowolonych odszczepieńców, którzy usiłowali się buntować, ale był to bunt na znikomą skalę i w zasadzie bez sensu. Cała ludzkość – to, co z niej zostało, czyli jedna trzecia ludności zamieszkującej ziemię przed tym brzemiennym w skutki tygodniem – zawdzięczała życie jedynej grupie, jedynej religii zdolnej kontrolować i pokonać duchy. Zanim doszło do Nawiedzonego Tygodnia – zanim Kościół objawił światu Prawdę – była to maleńka grupka zajmująca się teorią i studiowaniem magii. Teraz rządzą światem.

A ona była wśród nich. To napawało ją dumą.

Pchnęła ciężkie żelazne drzwi i znalazła się w chłodnym błękitnym przedsionku Kościoła Realnej Prawdy.

Zawsze było to trochę jak powrót do domu, ale nic w tym dziwnego. Ten budynek był jedyną stałą rzeczą w całym jej życiu. Co dwa miesiące inni rodzice, inny dom, inne rodzeństwo. Wybór między biciem a molestowaniem przez kolejnych tatusiów do wynajęcia. Za to co sobotę przyprawiano ją tutaj, żeby słuchała Prastarszego i poznawała sekrety wchodzenia do miasta umarłych.

Kiedy tylko odkryto, że ma pewien talent, doszła jeszcze szkoła, kolejne miejsce, w którym mogła się czuć w miarę bezpieczna.

Jej obcasy zastukały na kamiennej posadzce. Dźwięk podążał pół kroku za nią, wznosił się wzdłuż nagich ścian ku rzeźbiarskim zdobieniom pod sufitem. Czaszki i wykrzywione od krzyku twarze na zachodniej ścianie, błogie uśmiechy zmarłych spoczywających w pokoju na wschodniej.

–Cesaria. Dzień dobry.

Starszy Griffin wyszedł ze swojego gabinetu. Jego aksamitny granatowy garnitur lśnił w przyćmionym świetle, podkreślając śnieżną biel pończoch opinających kształtne łydki. Szerokie rondo dopasowanego do reszty stroju kapelusza rzucało cień na twarz, przez co jego uśmiech wydawał się unosić w powietrzu, jak uśmiech kota z Cheshire.

Skłonił się nad jej dłonią.

–Wyglądasz na zmęczoną, moja droga. Dobrze się czujesz?

–Świetnie. Ale... – Wahala się, lecz tylko przez moment. – Potrzebuję nowej sprawy. Skończyłam u Sanfordów wczoraj wieczorem. Zostawię akta przed wyjściem.

–Niestety nie będzie premii. Skinęła głową.

–Były jakieś problemy u Sanfordów?

–Prawdę mówiąc, potrzebuję nowego psychopompa. Ten przybył za wcześnie. To nie problem, wszystko było w porządku – zapewniła, widząc troskę w Jego oczach. Nie chciała, żeby ją wypytywał o to, co się stało. – Ale wydaje mi się, że lepiej współpracowałby z innym Demaskatorem.

–Porozmawiaj ze Starszym Richardsem, zanim wyjdiesz. Przyniosłaś tego starego?

Przytaknęła.

–i jestem gotowa na nową sprawę. Proszę.

–To twoja kolej?

–Tak mi się zdaje. Proszę, Starszy Griffinie. Chcę zacząć, bo naprawdę... czuję, że szczęście mi sprzyja.

Zastanawiał się chwilę, mrużąc obwiedzione czernią oczy.

–Rzeczywiście coś się pojawiło późnym wieczorem. Chodź ze mną. Starszy Murray odprawia nabożeństwo, ja tylko odmawiam kredo, więc mam sporo czasu.

Światło błyskało na srebrnych klamrach jego butów, kiedy szli korytarzem do Sali Rejestrowej. Chess odwróciła wzrok na czas niezbędnego rytuału zdejmowania z drzwi strzegącego ich zaklęcia.

–Zacząłem sporządzać dokumentację dziś rano, więc nie mam jeszcze sprawozdań finansowych – rzekł Griffin, gdy znaleźli się w środku. – Mortonowie z Trebor Bay. Twierdzą, że mają problemy od kilku tygodni, ale zgłosili je dopiero teraz.

Chess zmarszczyła brwi.

–Zawsze to samo.

–No właśnie.

Bez imponującej sylwetki Dobrotliwej Tremmell stanowisko rejestrowe wydawało się dziwnie puste mimo zawalającej je sterty papierów i porozstawianych wszędzie kubków po kawie. Akta ustawione były w długim rzędzie szafek za biurkiem. Dobrotliwa Tremmell nie powalała nikomu – poza sobą samą i czasami Starszym – zbliżać się do nich, a tym bardziej ich dotykać. Samo przebywanie w tym pomieszczeniu sprawiało wrażenie nadużycia.

Ozdobnym srebrnym kluczem Griffin otworzył jedną z szuflad. Chess była prawie pewna, że zaraz rozdzwoni, się alarm, ale Starszy po prostu wyjął teczkę i podał jej,

po czym zasunął z powrotem szufladę.

–Co ci się stało w rękę?

Rana od amuletu znalezionego na lotnisku wyglądała tego ranka jeszcze gorzej, więc przed wyjściem z domu owinęła dłoń bandażem.

–Skaleczyłam się przy otwieraniu puszki tuńczyka, uwierzy pan?

–Powinnaś to pokazać któremuś z naszych lekarzy.

–Nic mi nie będzie, dziękuję. Rozcięcie nie jest głębokie, chcę tylko utrzymać je w czystości.

Prawdę mówiąc, podejrzewała, że wdało się zakażenie. W całej dłoni czuła pulsowanie.

–No dobrze, jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać. Prawdopodobnie możesz tam pójść dziś wieczorem.

–Pójść... och, chodzi o sprawę. W dzień świąty?

–Idź po zachodzie słońca. Dajemy dyspensę, żeby nadgonić po Festiwalu.

–No tak, racja.

Kościół starał się nadgonić, więc ona też. Festiwal – tydzień pokuty, żałoby i rytuałów – oznaczał pracę, nieprzespane noce i jeszcze więcej pracy. Za dnia długie godziny w kościele, po zmroku jeszcze dłuższe godziny w domu, z krwią i ziołami na drzwiach i oknach i ze skórą cierpiącą od upiornej energii. Sześć nocy, podczas których umarli znów chodzą po ziemi i są trzymani z dala od ludzi, których chcą zabić, wyłącznie dzięki wiedzy i potędze Kościoła.

To było przerażające i trudne, ale przypominało ludziom, kto tu rządzi. Nie Quantas ze swoimi bezsensownymi protestami ani nie PRA usiłująca wykorzystać kościelną instytucję rządową do podważenia autorytetu moralnego Kościoła. Nie Marenzites z ciągłymi groźbami ani nie jeszcze groźniejsi i bardziej skuteczni Lamaru z ich czarną magią i skomplikowanymi intrygami. Wszystkie te grupy pragnęły władzy.

Lecz tylko Kościół ją miał. I co roku od dwudziestego ósmego października do trzeciego listopada przypominał o tym światu w bardzo przekonujący sposób.

Starszy Griffin uśmiechnął się.

–Weź to i zorientuj się, co możesz zrobić. Życzę powodzenia.

Schowwała cienką szarą teczkę do torby z zamiarem przejrzenia jej później i poszła za nim do świątyni gdzie Starszy Murray wygłaszał kazanie o znaczeniu szacunku. Słyszała je już kiedyś, ale usiadła w jednej z tylnych ławek, chcąc mieć pewność, że Murray ją zobaczy. Chciała, aby zobaczyli ją wszyscy. Mieszkanie poza kompleksem kościelnym powodowało, że nawet bez posądzenia o nieobecność na nabożeństwie była pod baczną obserwacją – zwłaszcza ostatnio.

To przypomniało jej, żeby, zanim wyjdzie, sprawdzić, czy istnieją jakieś zapisy dotyczące lotniska Chester.

Gdy Murray skończył, na podium stanął Starszy Griffin i zamaszystym gestem zdjął kapelusz. Błękitne światło zalśniło na jego blond włosach, błysnęły białka oczu podkreślonych czarnym makijażem. Chess skłoniła głowę.

–Nie mam potrzeby wiary. – Setki głosów rozbrzmiały jednocześnie, intonując kredo. Chess wyobraziła sobie inne kościoły na całym świecie, w których wszyscy wypowiadają te słowa. – Nie potrzebuję wiary, albowiem znam prawdę. Nie muszę wierzyć. Wiara jest niekonieczna, kiedy faktem jest prawda. Nie modlę się do Boga. Modlitwa zakłada wiarę, a bogowie nie istnieją. Istnieje jedynie energia i taka jest prawda, Kościół ukazuje mi prawdę i chroni mnie, jeżeli będę trzymać się prawdy, wejdę do Miasta Wieczności i tam pozostanę.

Ostatnie słowa odbiły się echem od ścian. Wypowiadające je głosy były radosne, ufne. Energia zgromadzona w sali snuła się nad skórą Chess, rozgrzewając ją. Wiedziała, że czuje to każdy z pracowników Kościoła. Wrażliwość na takie doznania była podstawowym wskaźnikiem talentu.

–Słyszałem o Stanfordach – wyszeptał ktoś. – Pech, co?

Odwróciła się, aby spojrzeć groźnie w uśmiechniętą twarz Agnew Doyle'a. Zapewne nie szczyrzyłby się tak radośnie, gdyby go spoliczkowała, ale to nie było odpowiednie miejsce. Doyle narobił jej już dość kłopotów. Nie ma sensu wszczynać bójki w samym środku Sali.

–Chciałem tylko powiedzieć, że współczuję ci, Chessie – dodał pojednawczo. – Usłyszałem dziś rano, że to było prawdziwe nawiedzenie, i pomyślałem...

–Pomyślałeś, że będziesz miał parę dobrych plotek do puszczenia w obieg?

Ludzie zaczęli przeciskać się koło niej, opuszczając salę. Nabożeństwa z zasady trwały krótko. Nie musiały być długie. Liczyło się przede wszystkim przesunięcie przez czytnik karty magnetycznej stwierdzającej tożsamość, aby udowodnić, że jest się wiernym. Obecność na nabożeństwach nie była obowiązkowa, ale wszyscy wiedzieli, że kto na nie uczęszcza, ma większe szanse na dobrą pracę i na przyjęcie dzieci do najlepszych szkół. Z wszelkich przywilejów zapewnianych przez Kościół

zawsze w pierwszej kolejności korzystali ci, którzy robili, co do nich należy.

Kościół nie zabiegał o datki, nie apelował o wsparcie finansowe, jak miały w zwyczaju dawne religie. Kościół ochraniał lud, a lud płacił Kościołowi podatki. Bez pośrednika i bez sporów o przeznaczenie pieniędzy. Wydawane były na to, na co Kościół chciał je wydać, a gdyby ludowi się to nie podobało, hordy złośliwych duchów czekały w Mieście Wieczności, chętne znów powstać i mordować, gdyby tylko Kościół postanowił je uwolnić.

Poza tym Rozrachunki były ogromną atrakcją, ale żeby zostać wpuszczonym, trzeba było uczestniczyć w nabożeństwach.

–To nie w porządku. Ja naprawdę...

–Wiesz, co jest nie w porządku, Doyle? To, że przez ciebie połowa ludzi, z którymi pracuję, myśli, że jestem dziwką. Zejdź mi z drogi.

Skręcało ją na samą myśl, że ludzie wiedzieli o niej pewne rzeczy. Wprawdzie ona i Doyle nie złamali żadnej zasady – oboje byli wolnego stanu i pełnoletni – ale znosić te znaczące spojrzenia, te uśmieški...

–Ja nikomu nie powiedziałem. – Chciał dotknąć jej ramienia, ale cofnął rękę, jakby jej skóra parzyła. – Ktoś musiał się dowiedzieć w inny sposób.

–Jasne. Pewnie któryś z tych szpiegów kryjących się w twojej sypialni.

**–Po co miałbym mówić? Wiesz, nie tylko tobie ludzie się przyglądają, Ktoś musiał...
– Rozejrzał się po pustej sali i ściszył głos. – Ktoś musiał nas podsłuchać.**

–Więc możliwe, że podsłuchuje i teraz. Muszę iść. Mam robotę.

–Nie mogli ci dać tak od razu następnej sprawy.

–Dali, i w odróżnieniu od niektórych osób, ja naprawdę jej potrzebuję. Nie wszystkim trafiają się Szare Wieże!

–To był szczęśliwy przypadek.

–Przypadek i zaślepiona Dobrotliwa, chciałeś powiedzieć.

Szare Wieże były podmiejską rezydencją, którą otaczała sława nawiedzonej. A właściciele eksploatowali tę sławę, oferując zwiedzanie i dbając o to, by w prasie publikowano opowieści o rozmaitych zdarzeniach – dźwiękach, manifestacjach fizycznych, nawet o ataku psychicznym. Doyle udowodnił mistyfikację i chodziły słuchy, że zarobił na tym prawie sto tysięcy dolarów. Była to najwyższa premia

kiedykolwiek przyznana Demaskatorowi – ponad dziesięciokrotność wynagrodzenia zasadniczego za likwidację szkody w postaci pojedynczego ducha. Wszyscy byli wściekli, a najbardziej Bree Bryan, następny w kolejce do otrzymania zlecenia.

Kąciki ust Doyle a opadły.

–Po co ja w ogóle o tym z tobą rozmawiam? Nie wierzysz mi, w porządku. Miłego dnia, Chessie. I powodzenia z nową sprawą.

Patrzenie za nim było błędem. Ta linia jego szerokich ramion, niebieskie światło połyskujące na czarnych, długich do ramion włosach... niebywale miękkich, przypomniawszy sobie.

Pójście za Doyle'em oznaczało dostanie się do Archiwum najkrótszą drogą, ale ona wybrała dłuższą, skręcając za drzwiami w prawo, obok windy. Idąc tędy, zawsze dostawała gęsiej skórki, jechała tą windą tylko raz – powolny zjazd pod powierzchnię ziemi, a potem dwadzieścia minut podróży pociągiem do samego Miasta – podczas swojej pierwszej wizyty orientacyjnej. I wcale nie pragnęła tego doświadczenia powtórzyć. Między innymi dlatego wołała zostać Demaskatorem, a nie Łącznikiem. Miasto Wieczności nie było miłym miejscem, w każdym razie nie dla niej.

To, co inni uważali za spokojny i szczęśliwy zasłużony odpoczynek, Chess wydawało się zimnym i bezosobowym piekłem, nieznacznie tylko gorszym od jej codzienności. Starła się zrozumieć to, z czym inni się godzili – ale po prostu nie potrafiła. Kolejny zgubiony splot w tkaninie jej życia, kolejne odczucie, którym nie mogła się z nikim podzielić. Kolejna sprawa, przez którą czuła się inna i samotna.

Za windą były schody, wijące się ciasną spiralą w górę. Żelazne stopnie klekotały pod jej stopami. Tymi schodami i tym korytarzem chodzili tylko Łącznicy, a oni nie pracowali w dzień świąty.

Przystanęła w dwóch trzecich drogi i sięgnęła do kieszeni po pudełko na tabletki. Po dodatkowych ceptach, które wzięła, aby uśmierzyć ból dłoni, zrobiła się senna, a to było jedyne miejsce w całym budynku, gdzie na pewno nikt na nią nie patrzył. Zdjęto nawet kamery ochrony, kiedy Łącznicy narobili szumu, że są obserwowani podczas przygotowań do podróży. Chess rozumiała ich oburzenie. Do umarłych trzeba iść nago.

Prawa ręka odmawiała jej posłuszeństwa, więc postawiła pudełko na stopniu i lewą otworzyła zatrzask.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła długą kpinę do włosów, która miała idealną szerokość do miażdżenia pastylek i wygodne zagłębienie pośrodku. Trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym, zaczerpnęła odrobinę proszku. Prawym kciukiem zatkała jedną dziurkę od nosa i podniosła spinkę.

–Mówię panu, że coś jest nie w porządku.

–Daj spokój, Bruce. Jesteś przewrażliwiony.

Chess spojrzała w dół między prętami poręczy. Co tu robią Prastarszy i Bruce Wickman? Bruce był Łącznikiem a oni sprawiali wrażenie jakby kontaktowali tylko między sobą albo z umarłymi. I dlaczego rozmawiają tutaj, a nie w gabinecie Prastarszego?

Gdyby spojrzeli w górę, dostrzegliby ją. Dobrze, że żaden tego nie zrobił.

–Nie jestem przewrażliwiony. Umarli naprawdę są... niespokojni. Nie tylko ja to zauważyłem. Gdyby zechciał mi pan użyczyć trochę materiałów, mógłbym porozmawiać z którymś z duchów starych Demaskatorów i dowiedzieć się, co myślą.

–Co to znaczy niespokojni?

–Poruszeni, jakby się czymś martwili albo czegoś bali. Trudno nam było się z nimi porozumieć.

–Od zakończenia Festiwalu minęły dopiero dwa tygodnie, Zawsze są tacy, kiedy ich tydzień wolności dobiega końca. Pamiętasz, jak dwa lata temu usiłowali zbiec trzy dni po zamknięciu bram? Byłeś tu wtedy prawda?

–Tak, ale to nie jest...

Prastarszy położył dłoń na plecach Bruce'a. Wyglądało to na przyjacielski gest, ale Łącznik lekko się wzdrygnął.

–Powiedz innym Łącznikom, że zamierzam rozważyć twoją prośbę. Jestem jednak pewien, że niebawem wszystko wróci do normalności.

Bruce bez entuzjazmu skinął głową, Chess natomiast starała się nie zwracać uwagi na płatki pokruszonego nipa sypiące się z jej spinki. Swędziała ją stopa, ale nie śmiała się poruszyć na rozklekotanych, schodach.

Więc Bruce uważa, że Miasto jest niespokojne? Hm Prastarszy miał rację. W okresie bliskim Nawiedzonego Tygodnia powtarzają się warunki astrologiczne i atmosferyczne, które umożliwiły umarłym powrót za pierwszym razem – planety ustawiają się w jednej linii, a magiczna energia Ziemi dokonuje corocznego zwrotu. W rezultacie następuje przyływ mocy wystarczający, aby duchy mogły się przedrzeć. Ustawienie planet w jednej linii nie trwa długo, ale musi minąć jakiś czas, zanim wszystko wróci do normy.

Chess zawsze zastanawiała się, czy Festiwal nie jest czymś więcej niż tylko okazją

do przypomnienia ludziom o długu, jaki mają wobec Kościoła, i do głoszenia jego chwały. Może gdyby duchy nie zostały wypuszczone z Miasta w sposób kontrolowany, pod strażą Kościoła i psychopompa, uciekłyby same, co byłoby bardzo niebezpieczne.

Nie miało to jednak większego znaczenia. Festiwal był faktem.

–Dobrze, powiem im. Ale proszę... proszę to rozważyć.

–Rozważę. A teraz idź już, Bruce. Fakty są prawdą.

–Fakty są prawdą, proszę pana.

Swędzenie stawało się nie do wytrzymania. Prastarszy nie ruszał się z miejsca, wpatrując się w drzwi windy. Dlaczego jeszcze nie poszedł? Przecież ma dokąd iść, a ona ma swędzącą stopę do podrapania i dopalacz do wciągnięcia nosem.

–Czego boją się umarli? – wymamrotał, kręcąc głową. – Co może przestraszyć umarłych?

Rozdział 6

Odtąd więc zwać się będzie Triumph

City,

albowiem jest miejscem triumfu prawdy

i tu przypadło nam zamieszkać w chwale.

z mowy inauguracyjnej Prastarszego

wyłoszonej 1 grudnia 1997 roku (po

Prawdzie)

Symboli znajdujących się na amulecie nie znalazła w żadnej z klasycznych ksiązek, co wcale jej nie zdziwiło. Gdyby tam były, rozpoznałaby je. Nigdy jednak nie zaszkoździ sprawdzić, więc to zrobiła. Przeglądając kolejne alfabety, dostrzegła tylko jeden pasujący znak.

Etosz.

Wspomniano o nim, bo wiązał się z innym symbolem występującym w przytoczonym przykładzie, ale nie podano jego znaczenia. Ślepy zaułek.

W czytelni publikacji zastrzeżonych znalazłaby coś Więcej, ale tego dnia służbę pełniła Dobrotliwa Glass, która wręcz nie cierpiała Chess. Zresztą z wzajemnością. Chess nie miała ochoty prosić tej wścibskiej staruchy z długim nosem i włoskami na brodzie, żeby ją wpuściła do czytelni. Dobrotliwa zadałaby zbyt wiele kłopotliwych pytań.

Skierowała się w stronę regałów na końcu sali, bo odniosła wrażenie, że dostrzegła tył znajomej głowy. Nie był to jednak Doyle; lecz Randall Duncan, inny Demaskator. Gdyby od razu przyjrzała się uważnie, nie pomyliłaby ich – włosy Doyle'a były miękkie, lśniące i zadbane, podczas gdy Randy'ego zwisały w strąkach, świadcząc, że ma na głowie ważniejsze sprawy niż strzyżenie.

Odwrócił się, jakby poczuł na sobie jej wzrok, i jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

–Cześć, Chess! Rozglądałem się za tobą, ale nigdzie cię nie widziałem.

Każdego innego zapytałaby, po co jej szukał, ale Randy'ego nie musiała. Sam jej powie. Dyskrecja nie była jego mocną stroną.

–Wszystko w porządku, Randy? Przytaknął.

–Słyszałem o Stanfordach. Co za pech.

–Niestety. Ale już dostałam nową sprawę. Wygląda na dobrą. Mam nadzieję na niezły zarobek.

–Jak my wszyscy, prawda? a przynajmniej większość z nas. Bo Doyle już chyba nie musi się o to martwić.

Skinęła głową na znak, że się z nim zgadza, ale chciała, żeby już sobie poszedł. Rozmowa z Randym była stratą czasu. Chciała wreszcie zajrzeć do akt, a przy nim nie mogła.

–Skoro już mówimy o Doyle'u – podjął konspiracyjnym szeptem – mam ci coś do powiedzenia na jego temat. Coś, co pewno ci się nie spodoba. Krążą plotki o was dwojgu. Ludzie gadają...

–Tak, Randy, wiem. Gdzie to słyszałeś? Wzruszył ramionami.

–Przypadkiem usłyszałem, jak jedna z Dobrotliwych pytała o to Doyle'a. On zaprzeczał, ale... ja po prostu nie chcę patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

–Tak, wiem, ale nie martw się, Randy. U mnie wszystko w porządku.

Spojrzał na nią spod gęstych brwi.

–Dobra, ale jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, no wiesz, choćby porozmawiać, zawsze możesz do mnie zadzwonić. Naprawdę.

Skinęła głową, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

–Dzięki. Niewykluczone, że zadzwonię.

Poklepał ją po ramieniu i odszedł, zerkając jeszcze przez ramię, zanim zniknął między półkami.

Więc to jedna z Dobrotliwych. Pewnie tej cholerniej Tremmell wydaje się, że skoro zajmuje się przydziałem spraw, ma też prawo osądzać Demaskatorów. Nic dziwnego, że wszyscy w kompleksie kościelnym o tym wiedzieli.

Kręcąc głową, wysunęła szufladę z aktami C... Ch... Che. Lotnisko Chester miało swoją teczkę, i to całkiem grubą. Wyjęła ją i zaniósła na stół.

Lotnisko otwarto w 1941 roku. Działo przez pięćdziesiąt lat, ale nigdy go nie rozbudowano i obsługiwało tylko lokalne rejsy. W teczce były zdjęcia, zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę, jaką ruinę Chess widziała poprzedniego wieczoru. Na fotografiach mały budynek dworcowy wyglądał skromnie, ale bardzo schludnie. Przejrzała wycinki ze starych gazet. Chester miało niechlubne pierwsze miejsce w statystyce wypadków lotniczych i liczbie śmiertelnych ofiar. Aż dwadzieścia trzy wypadki w ciągu ostatnich dziesięciu lat przed zamknięciem lotniska. Wprawdzie małe prywatne samoloty rozbijają się częściej niż wielkie pasażerskie, się liczba katastrof wydawała się Chess podejrzenie duża.

Czy duchy Bumpa – jeżeli to faktycznie są duchy – były tam obecne przez tak długi czas? Skoro wedle nauki głoszonej przez Kościół duchy zadają śmierć, aby pożywić się żywymi, a żaden samolot nie wylądował na Chester ani nie wystartował z niego ad niemal trzydziestu lat, w tej chwili, muszą to być cholernie głodne duchy. Nic dziwnego, że rzuciły się na samoloty Bumpa jak dzieci z Dolnej Dzielnicy na ochłapy.

Ale jeśli ktoś odprawiał na lotnisku rytuały – żadne „jeśli”, wiedziała, że ktoś to robił – do czego mogło tam dojść? Czy ten ktoś usiłował na własną rękę oczyścić Chester z duchów, posługując się kawałkiem miedzi pochodzącym od jednego z szarlatanów, których Kościół zawsze starał się ścigać?

Otworzyła notes i zapisała: „Spytać Bumpa, czy próbował procedury banicyjnej. Spytać Edsela, czy rozpoznaje amulet”.

Na myśl o ponownym dotknięciu amuletu wzdrygnęła się, Magia była, rzecz jasna, legalna, jak mogłaby nie być? Nie sposób przecież zdelegalizować energii, sił nierozzerwalnie związanych z ziemią i powietrzem.

Tyle że magia magii nierówna. To Kościół decydował, co jest dopuszczalne, a co nie, i Chess była właściwie pewna, że cokolwiek działo się na lotnisku Chester, nie zyskałoby akceptacji żadnego z prawomyślnych Starszych. Czuła się winna, że wzięła amulet, i w ogóle cała ta sytuacja wywoływała u niej poczucie winy.

Przejrzała do końca zawartość teczki. Od zamknięcia lotniska nie było żadnych skarg na nawiedzenia. Nie było też żadnych wzmianek o przypadkach nawiedzenia w okolicy, ale to nie musiało nic znaczyć. W razie potwierdzonego nawiedzenia Demaskatorzy powinni sprawdzać budynki w sąsiedztwie, ale prawie nigdy tego nie robili Chess sama zapominała o tym w co najmniej połowie przypadków.

Tak więc poza teorią „zaniedbanych duchów” nic nie wskazywało, że Chester jest faktycznie nawiedzone.

Ale przecież początkowo nic nie wskazywało, że nawiedzenie u Sanfordów jest autentyczne, a przecież było.

To tyle, jeśli chodzi o to, jak sprawa wygląda na pierwszy rzut oka.

Mortonowie wyglądali jak każda zwykła miła rodzina z przedmieścia, która dorobiła się dużego domu zbudowanego według typowego projektu, z dziesięcioma metrami trawnika w każdą stronę. To jednak nic nie znaczyło. A właściwie znaczyło, że Chess musiała być czujna, bo Mortonowie najwyraźniej bardzo kochali ten swój przyjemny podmiejski dom. Widać to było na ich gładkich, zwyczajnych twarzach.

Ludzie, którzy czegoś pragną, są niebezpieczni. Będą kłamać, oszukiwać i kraść, żeby to zdobyć.

Rozciągając wargi w fałszywym uśmiechu, wyjęła notes i spytała:

–Kiedy zaczęły się te zjawiska?

Pani Morton zastanawiała się chwilę, przykładając, paluszek z różowym paznokietkiem do pociągniętych różową szminką usteczek.

–Sądzę, że jakieś pięć tygodni temu, prawda, kochanie? Byłeś wtedy na zjeździe. – Spojrzała na Chess i wyjaśniła: – Mój Bill jest optometrą.

–To wspaniale – powiedziała Chess.

Co innego miała powiedzieć? Bill mógł badać wszystkie oczy w okręgu, a ją obchodziło to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Pani Morton była jednak wyraźnie dumna z faktu, że jej małżonek obejrzał wystarczająco dużo oczu, by zostać ekspertem, a ostatnią rzeczą, jakiej Chess potrzebowała, było zrażenie do siebie tej rodziny.

–Akurat byłam w pralni – ciągnęła pani Morton – i wkładałam pranie do suszarki, kiedy usłyszałam krzyk Alberta. Zdziwiłam się, bo Albert jest takim dzielnym, spokojnym chłopcem. Zupełnie jak jego tatuś.

Gdyby pani Morton przestała werbalnie dopieszczać męża i syna, wszystko dałoby się zrobić dużo szybciej, ale Chess domyśliła się, że to chyba jedyna dostępna tej kobiecie forma seksu. Pan Morton, wymoczek w wełnianym bezrękawniku. Wyglądał na faceta, który jada rybę nożem i widelcem, więc trudno przypuszczać, żeby w sypialni zamieniał się w dziką bestię, chociaż kto wie?

–Czy widziała pani widmo, pani Morton, czy tylko Albert je widział?

–Wtedy nie, ale tak dobrze mi je opisał, że czułam się, jakbym widziała. Za to później widziałam. W sypialni. Właśnie się położyłam.

–i jak wyglądało?

–Było potworne. Jak... jak jakaś zmara albo coś. W pokoju zrobiło się bardzo zimno... I czuć było zło. – Wzdrygnęła się. – Było szare i jakieś takie pomarszczone, spleśniałe, jeśli rozumie pani, co chcę powiedzieć. Miało na sobie łachmany... może kiedyś to była suknia, nie wiem. Nie wiem nawet, czy to był mężczyzna, czy kobieta, ale musiało nie żyć już bardzo długo. Czy uciekło z Miasta Wieczności? Myślałam, że nie mogą stamtąd uciekać, ale przecież gdyby naprawdę nie mogły, nie mielibyśmy nawiedzeń, prawda?

–Niektóre duchy nigdy nie dotarły do Miasta – wyjaśniła Chess. – Wciąż sprzątamy bałagan po starych religiach.

Zapisała w notesie: „Skłonna przypisać winę Kościołowi. Nie potrafi opisać zjawy szczegółowo”. Po krótkiej chwili dopisała: „Wódka. Mydło do prania. Pasta do zębów”.

Pani Morton musiała dostrzec coś w twarzy Chess, bo zapewniła:

–My nie obwiniamy Kościoła! Jesteśmy jak najdalsi od tego. Ale to jest takie... przerażające. Biedny Albert boi się spać we własnym pokoju i żadne z nas nie czuje się tu bezpiecznie, a przecież to jest nasz dom. Nie możemy nawet go sprzedać, kiedy jest tu niemar! – Gwałtownym gestem zasłoniła dłonią usta.

Chess zignorowała zarówno epitet, jak i przesadny wyraz szoku na starannie umalowanej twarzy pani Morton. Słowo „niemar” – skrót od „niemartwy” – należało do mniej obraźliwych. Chociaż gorsze od usankcjonowanych przez Kościół „duch”, „zjawa”, „widmo” czy „istota”, wśród określeń slangowych było całkiem niewinne.

–Mamy nadzieję, że zdoła nam pani pomóc – odezwał się wreszcie pan Morton. Jego głos był zaskakująco głęboki i miły dla ucha, jak na tak wątego mężczyznę.

–Na pewno – odparła. – Pokażcie mi, państwo, wszystkie miejsca, w których ta istota się ukazała. Chciałabym zobaczyć również te, w których jej obecność dała się odczuć w inny sposób. Jakież dźwięki, symbole pojawiające się na ścianach albo na zaparowanym lustrze czy drzwiach kabiny prysznicowej? Duchy często próbują się porozumieć w ten sposób.

Mortonowie wpatrywali się w nią oczami tak wytrzeszczonymi, że wyglądały jak sztuczne.

–Czy coś pojawiało się na ścianach albo oknach? – pytała cierpliwie. – Mielicie poczucie, że jesteście obserwowani? Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka? Dziwne zapachy? Dotyk? Jeżeli zdarzyło się coś takiego, proszę mi pokazać gdzie.

Wyjęła z torby dyktafon i spektrometr i włączyła oba urządzenia. Mortonowie wciąż się nie ruszali. Chess zaczynała tracić cierpliwość.

–Jakiś problem?

–Przepraszam – powiedziała wreszcie pani Morton. – Ja tylko... przeraziła mnie pani. Niczego tak straszego tu nie mieliśmy. Czy to się wydarzy?

–Może.

Chess przyjrzała się Mortonom. Czasami miała wrażenie, że widzi trybiki obracające się w głowach ludzi, którzy kombinowali, jak urządzić jeszcze bardziej widowiskową mistyfikację. Nawet przyłapała kogoś dzięki temu w drugim roku swojej pracy. Kiedy skończyła wymieniać możliwe zjawiska, klient wykrzyknął: „Wiadomość na zamarznętej szybie? Na to nie wpadłem!”

–Och!

Pani Morton ścisnęła kurczowo swój sweterek. Jej niebieskie oczy lustrowały pokój, strzelając niespokojnie w tę i z powrotem, jakby w każdej chwili coś mogło się zmaterializować i na nią wyskoczyć. Albo jest świetną aktorką, albo rzeczywiście się przestraszyła. Czy to możliwe, żeby syn Mortonów – Albert – urządził mistyfikację bez wiedzy rodziców? z podobnym przypadkiem też się już zetknęła – mąż upozorował nawiedzenie, żeby przerażona żona nie zgłaszała roszczeń do domu, kiedy porzucił ją dla innej kobiety.

Chess zapisała w notesie: „Przyjaciółka pana M.?”

–Jestem pewna, że potrafimy uporać się z tym, zanim zaczniesz być naprawdę źle – powiedziała. – Czy mogliby państwo oprowadzić mnie po domu?

Ku niezadowoleniu Chess w oględzinach towarzyszyła jej cała trójka Mortonów. Nadmiar ciał stłoczonych w niewielkiej przestrzeni ciasnego korytarza nie był tym, czego by sobie życzyła w stanie lekkiego podenerwowania, będącym pozostałością po nipach. Jeżeli mały Albert niby przez przypadek znów otrze się o jej biust, nie wytrzyma i go zdzieli. Jakość i ilość pornografii, jaką spodziewała się znaleźć pod jego łóżkiem podczas rewizji, będzie zapewne porażająca.

Pani Morton powiodła smukłym palcem po ramach zdjęć wiszących w korytarzu.

–Potrafimy prześledzić historię naszej rodziny na trzysta lat wstecz – oznajmiła. – Korzenie są bardzo ważne, nie uważa pani?

–Jak najbardziej.

Ciekawe, co powiedziałyby pani Morton, gdyby dowiedziała się, że ona nie ma pojęcia, kim byli jej rodzice, nie mówiąc już o sięganiu dalej.

Tatuaże nawet jej nie mrowiły, a spektrometr nie zapiszczał, kiedy weszli do małej sypialni po prawej, sprawiającej wrażenie, jakby mieszkało w niej dziecko o dziwacznych upodobaniach. Tapeta z Batmanem kłóciła się z plakatami przedstawiającymi kaczkę krzyżówki i reprodukcjami z Tate Gallery. Pluszowy miś usadzony był na komodzie obok kolekcji srebrnych spinek do mankietów. Książki stojące luźno na odrapanej sosnowej półce wyglądały jak krzywe zęby. Kiedy Chess podeszła bliżej, zobaczyła smugi kurzu, jakby ktoś niedawno – całkiem niedawno – usunął pewne tytuły.

Mały Albert interesował się fantastyką naukową i techniką. Były tam wszystkie wielkie nazwiska literatury fantasy i SF – Tolkien, Card, Anthony i Wiess obok Sagana, Heinleina, Sturgeona i Strauba... Nie było natomiast żadnych książek technicznych, choćby jednego poradnika z serii *Nie dla orłów*, co wydawało się dziwne, ponieważ rozglądając się po pokoju, zauważyła zwoje kabli wystające spod łóżka. Dostrzegła też pustą półkę nad płaskoekranowym telewizorem w kącie. Albert wyglądał na chłopca z klubu audio – wideo, a chłopcy z klubu audio – wideo czytają książki o hakerstwie, obróbce zdjęć i efektach specjalnych. Czytają o obrazie cyfrowym, kinie domowym i podłączaniu głośników. Później, może jutro wieczorem, będzie musiała rozejrzeć się dokładniej.

Przeszła za gospodarzami przez pokój gościnny i łazienkę do sypialni pana domu. Dowody pięcia się w górę za wszelką cenę były widoczne w całym domu, jakby doszło tu do eksplozji katalogu L. L. Bean: piękna komoda w sypialni z zupełnie niepasującymi do niej stolikami nocnymi, drogie balsamy na popękanej półeczce w łazience. Egzemplarz Księgi Prawdy przy łóżku leżał tak, że kiedy stanęła w drzwiach, zobaczyła światło odbijające się od złoconych liter.

–To było tutaj. – Pani Morton nerwowym gestem wskazała miejsce na podłodze po swojej lewej stronie. Chess dostrzegła coś znajomego w tym ruchu i w samej pani Morton, ale nie potrafiła skojarzyć, co konkretnie. Może Mortonowie bywali w kościele i tam ich widziała. – Leżałam w łóżku, jak już mówiłam, a to tak jakoś, zawisło tutaj i patrzyło na mnie. Wyglądało na wściekłe, zupełnie nic wiedziałam, co robić...

To strata czasu, pomyślała Chess. Wyłączyła spektrometr i dyktafon i schowała do torby.

–No cóż, na razie wystarczy tego, co widziałam. Może wrócimy do salonu i podpiszecie skargę, to będziemy mogli nadać sprawie bieg.

–Ale... nie widziała pani ducha. Czy to ma znaczenie?

Zasuważąc zamek błyskawiczny torby, Chess zauważyła, że jej ręka lekko drży. Spojrzała na zegar przy łóżku. Za pięć dziesiąta. Musiała iść.

–Jeszcze nie skończyłam – odparła, starając się nadać głosowi pogodne brzmienie.
– Trzeba tygodnia albo dwóch, żeby rzetelnie zbadać sprawę. Dziś chodziło tylko o wypełnienie papierów i zorientowanie się, z czym mamy do czynienia. Będziemy się widywać dość często, pani Morton, proszę się nie martwić.

Pani Morton uśmiechnęła się blado. Oszuści nie lubią słyszeć, że będą pod kontrolą. A Mortonowie oszukiwali, wiedziała to. Ani jednego pisku czy piknięcia spektro. Bardzo dziwne w zamkniętej przestrzeni z duchami.

Jeśli ma rację i Mortonowie sfingowali całą sprawę, na pewno zdobędą dogłębną wiedzę o zamkniętych przestrzeniach. Kościół nie traktuje pobłażliwie prób wyłudzenia. Panu Mortonowi trudno będzie badać gałki oczne w małej zamkniętej celi.

–Podpiszmy te dokumenty i będę mogła życzyć państwu miłego wieczoro...

Coś śmignęło w powietrzu za panem Mortonem tak szybko, że dopiero po chwili Chess uświadomiła sobie, że nie było to złudzenie. Czarny kształt wielkości człowieka, ale skulony. Odniosła wrażenie, że twarz zakrywał kaptur, a w świetle lampy stojącej przy łóżku błysnęło ostrze, zanim postać znikła w ściennej szafie.

Wyglądała jak z kreskówki, jak obraz rzucony na ścianę, a nie poruszający się przed nią, ale Chess tak dawno nie widziała żadnego filmu rysunkowego, że mogła się mylić.

Nie myliła się natomiast co do odczucia niepokoju, była to coś więcej niż niepokój organizmu zaczynającego domagać się zaspokojenia swoich potrzeb. Cholera, nie powinna była czekać z wzięciem pigułek, bo teraz była zdezorientowana. Po raz pierwszy cień wątpliwości ogarnął jej umysł. Objaw abstynencyjny czy duch? Nie wiadomo.

Mortonowie patrzyli na nią, czekając, aż skończy zdanie. Oni niczego nie zauważyli. A może zauważyli i teraz chcieli sprawdzić, czy coś powie.

No jasne. Obraz wyglądał, jakby był skądś nadawany, bo rzeczywiście tak było. Kiedy tu wróci, poszuka projektora. Prawdopodobnie jest za lustrem nad komodą. Ta myśl była pocieszająca, ale nie na tyle, żeby osuszyć zimny pot na czole i całym ciele. Czuła, że się lepi.

–Miłego wieczoro – dokończyła. – Przepraszam, że przetrzymałam państwa do późna, ale przedłużył mi się poprzedni wywiad. Skontaktuję się z państwem.

Wcześniej niż przypuszczacie, dodała w duchu.

Rozdział 7

Posada Demaskatora wydaje się

najatrakcyjniejsza ze

wszystkich kościelnych posad, ale

tylko nieliczni posiadają

zdolności, inteligencję i – nade

wszystko –

prawość, jakiej wymaga.

Praxis Turpin Kariera w Kościele.

Przewodnik dla nastolatków

Wszędzie kłębił się tłum i nie było dokąd pójść. W każdym razie nie przed trzecią, kiedy miała znów zbadać dom Mortonów.

Targowisko było zamknięte. U Bumpa jest otwarte – nigdy nie jest zamknięte – ale tam niespecjalnie chciało się jej iść. Miała wszystko, co trzeba.

Jednak w małym mieszkaniu było jej ciasno. Światło padające przez witrażowe okno przesuwano się po ścianie pozbawionymi intensywności plamami koloru, które zdawały się ją gonić.

Mogła wyjść po papierosy. Kiosk Stop na rogu miał specjalną dyspensę i mógł działać przez całą dobę. To byłoby nawet przyjemne – spacer w chłodnym nocnym powietrzu. mógł rozwiać pajęczynę niepokoju w jej głowie.

Co, u diabła, zobaczyła u Mortonów? Nigdy czegoś takiego nie widziała. Rzutowany obraz czy nie, niewątpliwie było to groźne. Miała dziwne poczucie, że gdyby ta postać odwróciła się i spojrzała na nią, chyba zaczęłaby krzyżeć.

Może powinna coś zjeść. To nie w jej stylu ulegać paranoi. Trzeba się uspokoić, pozbyć czczości żołądka. W kiosku sprzedają też coś na ząb.

Znalazła w torbie dwudziestkę, wyjęła jeszcze nóż i wsadziła do kieszeni. Iść samej bez broni po Dolnej Dzielnicy to kiepski pomysł. Wychodząc, zamknęła drzwi na

wszystkie trzy zasuwę.

Budynek, w którym mieszkała, był kościołem katolickim do czasów, gdy Kościół Prawdy sprawił, że wszystkie inne religie stały się zbędne.

Wiele dawnych miejsc kultu popadło w ruinę, ale świątynie o jakiejś wartości historycznej lub po prostu atrakcyjne architektonicznie zaadaptowano do innych celów Budynek Chess łączył obie te cechy i cieszyła się, że może tam mieszkać. Chociaż podział na piętra trochę psuł efekt, był to jeden z najładniejszych gmachów w Dolnej Dzielnicy.

Dwuskrzydłowe frontowe drzwi były uchylone. Dziwne. Zwykle zamykano je na klucz. Może stara pani Radcliffe z pierwszego piętra zostawiła je otwarte. Były dla niej za ciężkie, poza tym często zapominała, w jakiej okolicy mieszka.

A może czterej członkowie gangu Slobaga spod trzydziestki przyczaili się pod osłoną mroku między ogromnymi drewnianymi płaszczyznami a murem. Chess chciała sięgnąć po nóż, ale nie zdążyła. Jakaś dłoń zakryła jej usta, zanim zdążyła je otworzyć do krzyku, a ukłucie igły było ostatnim odczuciem, nim zapadła ciemność.

Obudziło ją swędzenie. Leżała na zimnej betonowej podłodze, a swędzenie promieniowało. Od wnętrza dłoni i podeszew stóp wzdłuż rąk i nóg do piersi i szyi.

Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale sądząc po tym, w jakim była stanie, musiał być co najmniej późny niedzielny ranek. Cholera. Nie poszła do Mortonów. Oni co prawda nie wiedzieli, że zamierza przyjść, ale i tak zawałiła.

Poczuła pulsowanie w głowie, kiedy zmusiła się żeby usiąść. Najważniejsze to nie zacząć się drapać. Swędzenie tylko by się nasiliło, wiedziała o tym z doświadczenia. Gdyby zaczęła drapać skórę, pod którą mrowiło się niewidzialne robactwo, to byłoby jak wypowiedzenie mu wojny. A niewidoczne robactwo nie lubi przegrywać.

Żołądek był bezkonkurencyjny w swojej kategorii tortur. Czowała się, jakby przełknęła solidną porcję kwasu. Na dodatek dłoń tak ją bolała, że miała ochotę wyć.

Przez okno znajdujące się wysoko na przeciwległej ścianie do pomieszczenia wpadało słabe światło. Gdyby odchyliła głowę, mogłaby zobaczyć skrawek szarego nieba, jest więc wczesny ranek albo pochmurny dzień. Stawiała na to drugie. Nie miałyby takich objawów abstynencyjnych, gdyby minęło tylko kilka godzin.

Sługusy Slobaga położyli na podłodze kołdrę. Chess owinęła się nią, żeby choć trochę się rozgrzać, i oparła się o ścianę.

Nawet nie próbowała otworzyć drzwi. Ciężki żelazny zamek wyglądał na nowy i bardzo mocny. Innych drzwi nie było. Nie było nawet kółka do otwierania sekretnej klapy w podłodze.

Była za to toaleta. Nie zamierzała z niej korzystać – może przecież być obserwowana – ale przynajmniej to jej zapewniono. Nie ma to jak uprzejmy porywacz.

Cholera. Czego oni od niej chcą? Nie mogli wziąć jej za kogoś innego, nie z jej tatuażami. Musieliby być głupi, a ludzie Slobaga głupi nie są.

Niewiele wiedziała o Slobagu – ani to jej sąsiad, ani jej diler, więc nie musiała wiedzieć. Orientowała się jednak, że tak jak Bump, rządzi w swojej części miasta i tak jak Bump, jest absolutnie bezlitosny. Natomiast w odróżnieniu od Bumpa, miał jej za złe samo to, dla kogo pracuje. Na dominację Kościoła patrzono znacznie bardziej podejrzliwie w Azji niż na Zachodzie, a Slobag i jego ludzie pochodzili z Kantonu.

W ostatniej chwili powstrzymała odruch podrapania się. Szczelniej owinęła się kołdrą, ale nie przestawała się trząść. Jej organizm domagał się kolejnej dawki. Potrzebowała swoich pigułek. Na myśl o tym jęknęła.

Metal szczęknął o metal, zasuwka została odsunięta i drzwi się otworzyły.

–No i się obudziła.

Chess nie rozpoznała mężczyzny stojącego w drzwiach. Włosy na jego głowie sterczały jak krótkie czarne rolce. Wszystko miał czarne, z wyjątkiem skóry, srebrnych łańcuchów, którymi był obwieszony, i masywnego srebrnego sygnetu z czaszką na palcu prawej dłoni. Czarny chiński znak wytatuowany na grzbiecie lewej pozwalał zidentyfikować go jako człowieka Slobaga, chociaż rysy jego twarzy na to nie wskazywały. Wszyscy ludzie Slobaga mieli taki tatuaż. Jej tatuaże zapewniały pewną ochronę przed duchami i dawały dodatkową moc do ich zwalczania. Pewnie ich tatuaż również ma jakąś moc. Może nie tego rodzaju, ale kto wie?

Za mężczyzną w drzwiach stało kilku innych, nie miała zatem szans na ucieczkę. Ale nawet gdyby był sam, pewnie też nie zdołałaby uciec, nie w jej stanie. W żadnym stanie, jeśli dać wiarę pogłoskom o ludziach Slobaga.

–Co to za mina, dziewczyno z tulipanem? Naprawdę, aż przykro na ciebie patrzeć.

Głos miał głębszy, niż mogłaby się spodziewać, a akcent zupełnie nie z ulicy, bez względu na to, co mówił.

Zagryzła wargę i spuściła głowę, żeby ciemne włosy opadły jej na twarz. Nie miała innego wyboru, niż wyglądać i zachowywać się jak najpotulniej, żeby dali jej spokój. Przynajmniej dopóki nie dowie się, czego chcą.

Mężczyzna sięgnął po krzesło stojące na korytarzu i usiadł kawałek od niej, z łokciami opartymi na kolanach.

–Nazywam się Lex. Rzuciła mu chmurne spojrzenie.

–Nie chcesz się odezwać? No cóż, trudno. Ale chyba mam coś, co może rozwiązać ci język.

Sięgnął za połę kurtki. Chess zeszywniała. Nie miała swojego noża ani żadnej innej broni, ale w razie potrzeby potraktuje go paznokciami albo solidnym kopem w jaja.

Ale on nie wyciągnął broni. Czy raczej nie taką, którą mógłby jej zrobić krzywdę. Jednak nic nie dałoby mu większej władzy nad nią. Tak samo jak Bump, wyciągnął torebkę pełną pigułek i trzymał ją w palcach, dyndającą przed nosem Chess. Ślina napłynęła jej do ust.

–i co, dziewczyno z tulipanem? Jak zaczniesz mówić, może pozwolę ci wziąć jedną.
– Sięgnął do torebki i między jego ciemnymi palcami błysnęła biel cepta. – Albo nawet dwie.

Pigułka świeciła jak brylant tuż przed jej oczami. Jej żołądek zaczął się kurczyć, nogi zrobiły się miękkie, jeżeli nie weźmie czegoś zaraz...

–Ja mam całą noc, ale ty chyba nie. – Pochylił się i zniżył głos do pieszczotliwego, sugestywnego szeptu. Jego czarne oczy utkwione były w jej oczach. – Czujesz to swędzenie, co? Jest coraz silniejsze, jakby nigdy nie miało ustać. Żołądek ci się buntuje, te długie nogi są jak z gumy...

Chciała wtopić się w ścianę i zniknąć. Powinna była pozwolić, żeby zabrał ją psychopomp. Pozostanie przy życiu było błędem.

–a z czasem nie będzie lepiej, tulipanku.

Podrzucił cepta w powietrze, złapał go, podrzucił znowu i tym razem nie złapał. Pigułka spadła na podłogę.

Chess rzuciła się w tę stronę, ale nie zdążyła. Nadepnął na pigułkę, miażdżąc ją na proszek. Nie szkodzi. Jak tylko sobie pójdzie... nie będzie to piękny widok, ale podłoga wydaje się czysta, prawda? Jeżeli nie zabrali jej pieniędzy, zwinie banknot w cienką rurkę... Tylko niech on wreszcie wyjdzie. Niech po prostu wyjdzie.

Nic z tego. Wyjął z kieszeni butelkę wody.

–Jarkman.

Do pomieszczenia wszedł drugi, niższy mężczyzna. – Co jest?

–Przynies trochę ręczników. Narozlewałem.

Lex odkręcił butelkę, odsunął stopę i zaczął lać wodę na rozkruszoną pigułkę. Chess zagryzła wargę do krwi.

Jarkman wrócił po chwili z rolką papierowych ręczników. Posprzątał bez słowa i wyszedł.

–Chcesz spróbować jeszcze raz? Mam tu całą torebkę i mogę pokruszyć wszystkie. Jarkman potrzebuje ruchu. – Wyluskał następną pigułkę. – Znasz ten najgorszy etap? Przechodziłaś przez to? Kiedy wnętrzności wariują i zaczynają się wywracać. Chyba nie ma nic gorszego niż...

–Przestań. – Słowo padło z jej ust. zanim się zorientowała. – Po prostu przestań, dobra?

Skinął głowę.

–No i mamy pięć słów, czy to nie miłe? Proszę, tulipanku. To dla ciebie.

Rzucił jej pigułkę jak kawałek chleba kaczce. Niewzięcie jej było najtrudniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dokonała.

–Ach, pewnie myślisz, że dajemy ci truciznę?

Spodobałby się jej uśmiech, którym ją obdarzył, gdyby nie to, że była bliska łez. Potrząsnął torebką i wyjął kolejną pigułkę. Patrzyła, jak ją połyka i popija.

–To nie trucizna – zapewnił. – To dobra rzecz, tulipanku. Weź.

Zanim zdążył dokończyć, już złapała pigułkę leżącą w fałdach kołdry. Wrzuciła ją do ust i zmiażdżyła między zębami, zamieniając w gładki gorzki proszek.

Bez słowa podał jej wodę. Popiła, przełknęła i ucisk w piersi trochę zelżał.

–Teraz jesteś gotowa do rozmowy? – spytał Wyciągnął przed siebie dłoń, na której leżał następny cept.

Wzięła go, rozgryzła i popiła.

–To zależy od tego, o czym chcesz rozmawiać – odparła.

–a twoim zdaniem o czym?

–Myślisz, że masz ducha? Jego wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

–Nieźle, tulipanku. Twarda z ciebie sztuka.

–Dlaczego nazywasz mnie tulipankiem?

–a nie masz takiego tatuażu.

–Nie, to są... Ty sukinsynu!

Miała wytatuowanego tulipana, ale tuż nad pachwiną, zakrytego majtkami. Lex wzruszył ramionami.

–Niektóre panny chowają broń, prawda?

–Więc zrobiłeś mi rewizję osobistą, żeby się upewnić, że ja nie mam?

–Nie robiłem ci rewizji. Przecież jestem mężczyzną. Moja siostra Blue to zrobiła.

Jakoś nie miała ochoty mu podziękować. Rozległo się stukanie do drzwi. Lex odwrócił się.

–Co tam?

–Siódma.

–Dobrze. – Spojrzał z powrotem na Chess. Głodna?

–Nie. – Dreszcze dopiero zaczynały słabnąć, jak mogłaby być głodna?

–Muszę z kimś pogadać. Jarkman pokaże ci łazienkę. Weź, gorący prysznic. Porozmawiamy, jak wrócę.

–o co t u, do cholery, chodzi? Bandyci porwali mnie i wrzucili tutaj, potem zjawiasz się i kpisz sobie ze mnie, a teraz chcesz, żebym wzięła gorący prysznic i coś zjadła. Jesteś nienormalny?

–Nie sądzę – odparł. – Zastaniesz tu, tytko jeśli będziesz chciała. Ale radzę ci nie wychodzić z tego domu, dopóki nie porozmawiamy. Twój wybór.

Rozdział 8

Zbrodnie przeciwko moralności to zdrada

siebie samego,

swojej rodziny i Kościoła. I dlatego

właśnie

zdrada jest najcięższą zbrodnią moralną.

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 75

Prysznic dobrze jej zrobił, musiała to przyznać. Wychodząc spod niego, czuła się prawie normalnie. Najwyraźniej nie sprowadzili jej tu, aby ją zabić, chyba że była to część jakiegoś rytuału, którego nie rozumiała. Ale dlaczego chcieli z nią rozmawiać – czemu Slobag albo któryś z jego ludzi ją tu przywieźli – nie miała pojęcia.

Azjaci z zasady nienawidzili Kościoła i każdego, kto dla niego pracował. Ich stare religie były oparte na czci dla duchów przodków (nawiasem mówiąc, ci przodkowie powstałi z grobów, żeby ich zabić, tak jak wszędzie na świecie), więc nie mogła mieć im tego za złe, kiedy jednak wyszła z łazienki i ubierała się, wciąż czuła pewien niepokój. Jej ubrania nie były czyste, ale przynajmniej się wykąpała.

Pokój sąsiadujący z łazienką, pozbawiony jakichkolwiek dekoracji, przypominał pomieszczenie magazynowe. Do ściany tuliło się wąskie twarde łóżko przykryte niebieskim kocem. Wyłączony telewizor stał na podłodze naprzeciwko. Pusty ekran obserwował ją jak nieruchome oko, kiedy przechodziła przez pokój do okna Wyjrzała na miasto i zorientowała się, że jest w miejscu, gdzie kończy się Dolna Dzielnica i zaczyna Dzielnica Metropolitalna. W oddali przedmieścia połyskiwały jak fałszywe złoto na wzgórzach zasnutych mgłą.

Domyślała się, że jest niedzielny wieczór – Jarkman powiedział zza drzwi „siódma”, a na dworze zapadał zmrok. To oznaczało, że nie zjawiała się po południu u Bumpa, żeby pojechać z Terrible'em na Chester. Niedobrze. Będzie jej szukał. Wszyscy ludzie Bumpa będą jej szukać, a jeśli znajdą ją tutaj, może pożegnać się z życiem.

Chess nie czuła się zobowiązana wobec Bumpa z racji tego, że trząsał jej dzielnicą i sprzedawał jej narkotyki. Ale w związku ze śledztwem, które obiecała przeprowadzić. posiadała poufne informacje o jego samolotach znalezienie jej z ludźmi Slobaga byłoby katastrofalne.

Coś szczęknęło za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Lexa.

–Chodź. Jest jedzenie.

Niezbyt uprzejme zaproszenie, ale jej żołądkowi było wszystko jedno. Czy jadła coś wczoraj? Pewnie nie po tym speedzie. Nic dziwnego, że tak długo spała.

Poszła za Lexem szarym korytarzem, a ich kroki dudniły na ciemnych deskach podłogi. Kolejne mijane drzwi były coraz bardziej ozdobne – ciężkie, z czerwonego drewna, rzeźbione w smoki i pagody. Chess zastanawiała się, co się za nimi kryje.

Wreszcie dotarli do dużej sali na końcu korytarza. Złote smoki i tygrysy walczyły ze sobą na murałach zdobiących ściany. Meble miały identyczne ornamenty. Przypominało to scenografię do filmu o sztukach walki, ale nie było w tak złym guście jak u Bumpa. Genitalia namalowanych bestii zostały miłosiernie ukryte. Lex wskazał długi, lśniący stół.

–Usiądź, tulipanku. Dostaniesz jeść. To też nie będzie trucizna.

–Dlaczego to robisz? Wzruszył ramionami.

–Jestem głodny. A niegrzecznie jest nie poczęstować gościa, prawda?

–Więc dlaczego po prostu nie powiesz, co masz do powiedzenia, a zjesz, jak już pójde?

–Może usiądziesz? Mam dość tego stania przy stole.

Usiadła. Z bliska mogła dostrzec słoje blatu. Wyglądało to na prawdziwe drewno, na lite drewno, Jeszcze nigdy nie widziała takiego wielkiego kawału drewna.

Siedzieli w milczeniu, kiedy jakiś starszy mężczyzna ustawiał wniesione na tacy białe porcelanowe miseczki i rozkładał srebrne sztucce. Potem podał zupę żebraków, ulubione danie mieszkańców Dolnej Dzielnicy, ale w wykwintnej wersji, z mięsnymi kulkami, kurczakiem i ziołami. Chess nigdy nie mogła sobie pozwolić na oba gatunki mięsa. Większość pieniędzy wydawała na tabletki, a tak to jest w życiu – coś za coś.

–Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy teraz porozmawiali – zagaił Lex, kiedy wchłonęła ponad połowę swojej zupy. Była wściekle głodna, a darmowy posiłek to zawsze darmowy posiłek.

–Porozmawiali o czym? – spytała, nieruchomiejąc z łyżką w połowie drogi do ust.

–Coś mi się zdaje, że wiesz.

–Nie mam zielonego pojęcia. – Przełknęła kolejną łyżkę zupy.

–No tak. – Oparł się wygodnie, zapalił papierosa, podał go Chess i zapalił drugiego dla siebie. – Myślę, że porozmawiamy o lotniskach, tulipanku. Jak ci się podoba ten temat?

–Nie mam na imię tulipanek.

–Wiem.

–To czemu wciąż mnie tak nazywasz?

–Może interesują mnie twoje tatuaże. I mam nadzieję, że kiedyś mi je pokażesz. – Uniósł brwi, a szary dym otoczył jego najeżoną kolcami głowę.

–Może kiedyś Prastarszy będzie paradować nago po ulicy – odparowała.

–Może i będzie, nie wiadomo. A może Bump zechce Otworzyć lotnisko Chester, co ty na to?

Zaciągnęła się papierosem. Nie był to gatunek, który paliła zazwyczaj, ale niezły.

–Nic bym o tym nie wiedziała.

–Słyszałem coś innego.

–Może się przesłyszałeś.

–a może mnie okłamujesz, Cesario. Nie potrafię zrozumieć, czemu ktoś miałby kłamać dla takiego szpanera jak Bump. Masz jakiś pomysł?

–Ja nie kłamię dla nikogo.

Filtr papierosa był ciemny, z drobinami złota. Błyskały, kiedy obracała go w palcach.

–Coś mi się zdaje, że ciągle kłamiesz. Przecież nie mówisz tym w twoim Kościele, co robisz w wolnym czasie. Wiedzą że wisisz Bumpowi piętnaście kawałków? Wiedzą za co?

Kiedy nie odpowiedziała, ciągnął dalej:

–Ja wiem, że teraz mnie okłamałaś, i wiem, że byłaś w piątek na Chester. Wiem nawet, dlaczego kłamiesz. Nie chcesz, żeby Terrible zrobił z ciebie mokrą plamę. Nie ukryjesz przede mną niczego, tulipanku. Mam więc dla ciebie propozycję. Spodoba ci się.

Gdyby Bump dowiedział się, że omawia jego plany dotyczące lotniska z jednym z ludzi Slobaga, mógłby... mógłby kazać ją zabić. Nie pomogłaby jej nawet pośmiertna dyspensa udzielona przez Kościół.

Z drugiej strony, jeśli nie posłucha Lexa i nie zgodzi się na jego propozycję, on prawdopodobnie powie Bumpowi, że przyszła, aby sprzedać informacje. Co mu zależy? Jeden martwy Demaskator nic by dla niego nie znaczył.

–w porządku – powiedziała. – Nie potwierdzam niczego na temat lotniska, ale chętnie cię wysłucham.

–To dobrze. To naprawdę dobrze. – Zapalił następnego papierosa. – a teraz słuchaj uważnie, tulipanku. Bump sprowadził cię tam, żebyś rozprawiła się z duchami, tak? Ale może my nie chcemy, żebyś się z nimi rozprawiła. Nie chcemy, żeby były wysłane na banicję, czy co tam z nimi robicie. Mam ci wyjaśnić dlaczego?

Pokręciła głową. Bump sprowadzający narkotyki przez swoje prywatne lotnisko byłby groźną konkurencją dla Slobaga.

–i tu wkraczasz ty – podjął Lex. – Mówisz Bumpowi, że na lotnisku są duchy, naprawdę złe duchy, i nigdzie stamtąd nie pójdą.

–Będzie chciał, żebym przeprowadziła procedurę banicyjną.

–Może nie potrafisz?

–Ależ potrafię, Przecież z tego żyję. – Lex machnął ręką.

–Coś wymyślisz. Wierzę w ciebie. Chodzi o to, żeby Bump nie otworzył Chester. Będziesz miała poważny problem, jeśli to zrobi.

Zapach jedzenia zaczął ją drażnić. Odsunęła miseczkę.

–a jeśli nie zrobi?

–Grzeczna dziewczynka – powiedział Lex. – Jeśli tego nie zrobi, będziemy mieli dla ciebie coś specjalnego. Ile płacisz Bumpowi? Te pigułki nie są tanie, prawda? Na fajkę chodzisz też nie tanio. A możesz płacić mniej, tyle co nic. Skoro Bump chce swoich pieniędzy, my mu zapłacimy. A potem przyjdiesz do nas i dostaniesz, co ci potrzeba. Zadbamy o wszystko, tulipanku. Specjalnie dla ciebie. Dostarczone pod drzwi.

Darmowe narkotyki.

Po raz pierwszy od trzech lat miałyby pieniądze. Za następną premię mogłaby kupić

nowy samochód, zamiast spłacać Bumpa. I nowe ubrania. I jeść ciepłe posiłki częściej niż raz czy dwa w tygodniu.

Bump na pewno zauważy, że przestała u niego kupować. Może więc powinna przestawać stopniowo. Niech myśli, że zaczęła się ograniczać... To chyba niezły pomysł.

Nie, raczej idiotyczny, jedyne, co powinna zrobić, to pójść do Bumpa i powiedzieć mu, co tu usłyszała, a on wszystko załatwi.

Jak? Wytnie w pień cały gang Slobaga? To niewykonalne. A jeżeli Lex albo ktoś inny od Slobaga dowie się, że to ona ich wystawiła, jej życie będzie jeszcze mniej warte niż teraz.

Niech to szlag!

Lex przyglądał się jej wyczekująco, rozparty w fotelu. Przez rozdarcie w T – shircie widać było fragment śniadej skóry na piersi.

–Zastanowię się nad tym – powiedziała wreszcie.

–Słusznie, tulipanku. Myśl intensywnie. A jak już wymyślisz, daj mi znać. – z tylnej kieszeni wyciągnął kawałek papieru, a z buta długopis. – Zapiszę ci mój numer. Prywatny, kumasz? Zadzwoń, jak już będziesz wiedziała, co chcesz zrobić. Albo jak uznasz, że chcesz mi pokazać ten tatuaż.

–To się nie zdarzy – Wzięła kartkę, złożyła ją i schowała do kieszeni.

–Nie wiesz, tulipanku, ile się zdarza, mimo że wcale się tego nie spodziewasz. Naprawdę byś się zdziwiła, gdybyś wiedziała.

–Nie chcę tam wchodzić.

–To najbezpieczniejsza droga do domu, tulipanku. A może wolisz, żebym przeszedł z tobą środkiem ulicy? Trudno jednak zachować sekret, kiedy wszyscy na ciebie patrzą.

–To przecież tunel.

–Wiem, co to jest.

Skóra jej cierpła od samego patrzenia w wąski otwór. Zielonkawe światło jarzyło się w oddali. Nie wiedziała, czy to żarówka, czy fosforyzująca pleśń – i nie zależało jej, żeby się dowiedzieć.

–Nie przyszło mi do głowy, że kościelna czarownica może mieć klaustrofobię.

–Nie mam klaustrofobii! – zaprotestowała piskliwie. – Ale zejść pod ziemię to... hm... poważna sprawa. Pod ziemią jest miasto.

Lex skinął głową.

–Rozumiem. I tak nie masz wyboru, ale przynajmniej wiem, skąd ci się to wzięło. – Jego dłoń spoczęła na jej ramieniu. – Ściany są wzmocnione żelaznymi obręczkami, nie ma strachu Chodźmy.

Przeszli przez wąskie wejście, a potem ruszyli w dół długim ciągiem betonowych schodów, który chrząścił pod ich stopami. Temperatura spadała, w miarę jak schodzili coraz niżej, a powietrze było gęste od zapachu zgnilizny, dymu i czegoś jeszcze – ostrej woni podgrzewanego drewna.

Pokonali pół odcinka między przecznicami, kiedy zobaczyli źródło smrodu. Strzykawka leżała na wilgotnej podłodze, jej właściciel siedział oparty o ścianę, z przymkniętymi oczami. Przy jego ugiętej nodze leżał gumowy zacisk i wgnieciona osmalona łyżka.

Lex trącił go czubkiem buta.

–Nie powinieneś tu być, Szoku. Wiesz, że te tunele nie są po to, żeby w nich grzać.

Szok wybełkotał coś i zmienił pozycję. Usta miał otwarte, z białą, zaschniętą śliną w kącikach. Chess odwróciła wzrok.

–a właściwie to co to za tunele? Nigdy o nich nie Słyszałam.

Lex rzucił ostatnie spojrzenie na Szoka i ruszył dalej.

–Są tu od lat. Były jeszcze Przed Prawdą. Kościół je zablokował, bo nie chciał, żeby ktoś ta się kręcił. Rozumiesz.

–Kiedy je otworzyliście?

Zastanawiał się dłuższą chwilę. Byli coraz niżej i grunt zrobił się lekko pochyły. Co jakieś dziesięć metrów słaba jarzeniówka w metalowej osłonie brzęczała pod sufitem. Cała ta wędrówka wydawała się Chess zupełnie nierealna. Idąc pod ziemią w tej zimnej, wilgotnej betonowej rurze śmierdzącej pleśnią, miała wrażenie, że ściany zamykają się nad nią, jakby chciały ją połknąć i zamienić w jeszcze jedną rdzawą plamę na chropowatej: powierzchni.

–Trzy lata temu, może cztery? – odparł wreszcie Lex. – To wygodne. Nikt nie widzi,

dokąd idziesz, nikt nie wie, gdzie jesteś.

–Są pod całym miastem? Wszędzie?

–Zadajesz za dużo pytań. Ta wiedza nie jest ci potrzebna.

Była, bo to mogłoby wyjaśnić, jak ktoś zdołał tak szybko zniknąć z lotniska Chester piątkowej nocy.

–Po prostu byłam ciekawa. Może wpadnę kiedyś do ciebie na pogawędkę.

–Chcesz pogadać, dzwoń. – Przystanął. – Podzielisz się ze mną sekretem, to ja ci powiem, co wiem.

Błysk w jego oczach zdecydowanie nie miał nic wspólnego z lotniskiem. Wbrew sobie poczuła, jak zaczyna ją ogarniać podniecenie. Lex był dokładnie w jej typie: przystojny, arogancki, całkowicie skoncentrowany na sobie, tak samo groźny dla niej jak jej cepty i równie pociągający.

–Nie ma takiej opcji.

–Jak chcesz, tulipanku.

Przyspieszył musiała prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku. Może i nie był najbezpieczniejszym towarzyszem na świecie, ale lepsze takie niż żadne.

Dotarli do miejsca, gdzie tunel rozgałęział się na trzy. Lex skręcił w prawy korytarz, nic zwalniając tempa.

–Skąd wiesz, dokąd iść?

Nie odpowiedział, tylko zaczął pogwizdywać. No cóż, trudno.

Kawałek dalej znów skręcili, tym razem w lewo.

–Długo jeszcze będziemy na dole?

–Dopóki nie dojdziemy tam, gdzie idziemy.

–Niezbyt konkretna odpowiedź.

–Innej nie usłyszysz – mruknął.

Ale przynajmniej przestał gwizdać.

Chociaż to wcale nie było takie dobre. Ledwo odgłosy ich kroków ucichły, stłumione

przez mech i pokrywający ziemię, do uszu Chess dotarł inny dźwięk Niski, brzęczący, szemrzący jak odległy śmiech.

–Co to za dźwięk? – spytała z niepokojem. Lex zatrzymał się.

–Chcesz gadać czy dojść do domu?

–Chcę wrócić do domu, ale... czekaj... – Zaciśnęła palce na jego twardym bicepsie, kiedy spróbował się odwrócić. – Czy tu na dole to jest normalny dźwięk?

–Nic nie słyszę.

–Takie bulgotanie, jakby ktoś rozmawiał.

Teraz dźwięk był głośniejszy, jakby ten, kto go wydawał, zbliżał się. Dostała gęsiej skórki.

–Przykro mi, ale nic nie słyszę. – Lex odwrócił się i ruszył dalej.

Następna świetlówka, pod którą przechodzili była przepalona, więc korytarz tonął w ciemności.

–Cholera, możesz się zatrzymać? Bądź cicho i posłuchaj, jak możesz tego nie słyszeć? – Przeształ z nogi na nogę i omiół wzrokiem tunel.

–i co? – spytała.

–Powiedziałaś, że mam być cicho, to jestem cicho.

–Ale niczego nie słyszysz?

–Słyszę ciebie.

–Nie, to nie...

Przerwało jej skrzypienie, mrozący krew w żyłach dźwięk martwych strun głosowych usiłujących ożyć.

Chess odwróciła się z sercem bijącym jak oszalałe i zobaczyła wpatrującego się w nią ducha.

Rozdział 9

I słońce zaszło, nie istniało zatem nic

poza ciemnością,

i umarli powstali z okrutnym głodem.

Księga Prawdy, Artykuły Początkowe 2

Początkowo widziała tylko jego oczy, płonące czarne dziury w bladej twarzy. Potem zaczęła dostrzegać więcej szczegółów, kiedy tak stała skamieniała, niezdolna do myślenia o czymkolwiek poza tym, że jej torba z przyborami do pracy została w mieszkaniu. Nie miała soli ani kości, ani ziół, ani ektoplazmarkera; nie miała jak się ochronić albo wezwać psychopompa.

A im głębiej pod ziemią, tym większa jest moc duchów.

Na głowie miał spiczastą czapkę barwy sepii. W takim samym kolorze były jego kurtka i obszerne spodnie, od pasa do miejsca, gdzie stopy rozpyły się w nicości.

Lex, trzeba mu to przyznać, stał obok niej jak skała – Sprawiał wrażenie, jakby przestał oddychać.

–Powiedziałaś, że ściany są wzmocnione żelazem – mruknęła.

–Kłamałem.

Świetnie. Chess zwróciła się do ducha, pokazując otwarte dłonie w nadziei, że odczyta ten gest jako wyraz niewinności i bezradności.

–My tylko przechodzimy – powiedziała. – Nie chcemy ci przeszkadzać.

Nic z tego. Duch skurczył się, twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Przypominał lwa szykującego się do skoku. Chess odwróciła się gwałtownie do Lexa.

–Wydostań nas stąd! – wrzasnęła, chwytając go za ramię. – Natychmiast nas stąd wydostań!

Szlam pokrywający podłogę mlaskał pod jej stopami, kiedy biegli w ciemności. Z tyłu czuła ducha, czuła mroźny chłód jego widmowego ciała, niemal dotykającego jej pleców. Nie mogli przed nim uciec. Duchy się nie męczą. I nigdy nie rezygnują.

Światłówka przed nimi rozbłysła oślepiająco, po czym eksplodowała, miotając

pokruszonym szkłem. Chess schyliła głowę i szarpnęła w górę brzeg T – shirtu, żeby osłonić twarz.

Nie przestając biec, starała się utrzymać równowagę na śliskim podłożu.

Nie wiedziała, dlaczego się przewróciła – czy po prostu wypadła z rytmu, czy duchowi udało się czymś, ją trafić. Na ziemi nie wolno im atakować ludzi bez użycia broni. Pod ziemią obowiązują inne zasady.

Mętna woda wypełniła jej nos i szczypała w oczy. Miała smak ścieków i żelaza. Chess zakrztusiła się, próbując wstać, ale coś przytrzymało jej głowę w dole. Macała palcami w szlamie, szukając czegokolwiek, czego mogłaby się uchwycić. Błoto przesiąkło przez bandaż na dłoni i dotarło do rany. W chaosie panującym w tunelu bicie własnego serca wydawało się jej nienaturalnie głośnie. Głośniejszy był tylko huk wystrzału, od którego zadrżała ziemia.

Myślała, że pękną jej bębenki w uszach. Dźwięk nie ustawał, rozbrzmiewając echem w przestrzeni ograniczonej stalą i betonem. Miała wrażenie, że mijają godziny, podczas których toczyła walkę z przygniatającym ją ciężarem.

Resztkami sił zdołała przesunąć się w bok i unieść głowę nad cuchnący szlam. Powietrze przedarło się przez gardło do płuc. W słabym świetle dostrzegła Lexa opartego o ścianę i składającego się do następnego strzału.

–Nie! Rzuć to! – Miał to być krzyk, ale okazał się jedynie bulgotem.

Metal błysnął nad jej głową, kiedy duch podniósł ręce. Trzymał w nich koniec rury spod sufitu. Jeżeli jej nim dotknie, będzie po niej. Nawet z miejsca, w którym się znajdowała, widziała w środku iskrzące przewody.

Czas się zatrzymał. Chess patrzyła, jak rura zaczyna się zniżać i wystrzela z niej pojedynczy błysk. Trafiła dłonią na spojenie muru, uchwyciła się go tak mocno, że czuła każde ziarnko piasku w betonie, i próbowała odsunąć się od ducha.

Lex zrobił krok do przodu i ciężkim buciorem przygwoździł rurę do ściany, unieruchamiając ją między murem a gumową podeszwą. Duch zwrócił ku niemu wykrzywioną z wściekłości twarz.

Chess odpełzła na bok, a Lex cofnął nogę. Duch znów uniósł rurę, zamierzając się na niego, Lex jednak zdążył się uchylić. Metal zadzwonił o beton.

–Przerwij przewody! – krzyknęła, mając nadzieję, że Lex zrozumie.

Zrozumiał. Kątem oka dostrzegła, jak wyskoczył w górę i zahaczył zgiętym ramieniem o kawałek rury wciąż przytwierdzony do sufitu, używając skórzanej kurtki

jako izolacji. Przez chwilę wisiał w powietrzu z rozstawionymi nogami, niczym zawodowy koszykarz wykonujący wsad. Potem obejmą utrzymujące rurę pękły z trzaskiem i zapadła ciemność.

–Wyjdź z wody – wydyszał.

Coś przesunęło się za nią, kiedy zaparta się nogami pod ścianą.

Trwało to tylko sekundę, ale jej zdawało się, tam całą wieczność, pokryta cuchnącym błotem.

Wtem tunel eksplodował światłem, bo przewody dotknęły szlamu na chodniku.

Widziała wysoką, szczupłą sylwetkę Lexa obwiedzioną oślepiającym błękitnobiałym konturem, widziała ducha znikającego w konwulsjach. Zacisnęła powieki najmocniej, jak mogła, ale wciąż miała przed oczami ten widok, wciąż słyszała przeszywający syk, gdy tysiące woltów przeszło przez tunel.

Ostatnia eksplozja gdzieś w oddali i było po wszystkim. Nie zorientowała się, że płacze, dopóki nie poczuła słonych łez na wargach.

–Nic ci nie jest, tulipanku?

Mógł być gdziekolwiek. Tuż obok albo pięć metrów od niej. Kiwnęła głową, zanim uświadomiła sobie, że on też jej nie widzi.

–Wszystko w porządku – powiedziała.

–Nie wiedziałem, że elektryka może zabić umarlaka.

–Bo nie może. To znaczy, to nie działa w ten sposób. Prawdopodobnie nastąpiło przeciążenie, doszło do zwarcia i zgasł jak światło.

Trafiłaby na kilka miesięcy do celi, gdyby ktoś z Kościoła dowiedział się, co się stało. Maltretowanie spektralne traktowano bardzo poważnie od czasu, gdy pewien Demaskator wezwał zamiast; psa widmo wilka, który dotkliwie pogryzł ducha. Jego potomkowie wnieśli sprawę do sądu i wygrali.

Metal szczęknął o metal i tunel wypełnił się łagodnym żółtawym blaskiem. Lex trzymał zapalniczkę na wysokości głowy.

–Będzie więcej światła kilka zakrętów stąd. Ruszmy się, dobrze?

–Grunt jest bezpieczny?

–Tak. Chyba wywaliło transformator. – Postawił stopę w szlamie. – Tu nie ma

napięcia.

Chess, nie tak odważna jak on, ostrożnie stanęła po środku ścieżki.

–No dobra. Możemy już stąd wyjść? Roześmiał się.

–Jak sobie życzysz, tulipanku.

Pół godziny pod gorącą wodą we własnej łazience wystarczyło, żeby pozbyć się z nosa smrodu ścieków. Sam tunel nie cuchnął tak okropnie, ale ta maź na dnie... brr. Dłoń piekła ją od wody i hektolitrów środka dezynfekującego, który na nią wylała.

Jedyną rzeczą, na którą prysznic nie pomógł, było podjęcie decyzji, co teraz robić. Wiadomość od Terrible'a nie była długa ale jasna. Nie podobało mu się, że nie pojechali do Chester tego popołudnia, i Chess nie mogła i mieć mu tego za złe.

Przed wyjściem łyknęła jeszcze jednego cepta, przygotowując się na reprymendę. Terrible nie napisał, gdzie będzie, ale u Chucka na Pięćdziesiątej grali Dustersi, więc mogła się założyć, że go tam znajdzie. Mortonowie mogą poczekać. Nie wywalą jej drzwi ani nie zadadzą dotkliwego bólu, jeżeli wieczorem nie włamie się do ich domu bez ich wiedzy. A Terrible może zrobić każdą z tych rzeczy albo nawet obie, jeżeli nie pokaże się mu natychmiast...

Ubrana w czyste dżinsy, półprzezroczysty top i kozaki na wysokich obcasach włożyła do kieszeni nóż – zwrócony jej przez Lexa przy wylocie tunelu – dwudziestkę i klucze, po czym wyszła.

Wróciła jeszcze po torebkę asafetydy. Głupio zrobiła wychodząc poprzedniego wieczoru bez niej. Nie chciała powtórzyć tego błędu.

Oczywiście głupio zrobiła, wierząc Lexowi na słowo i wchodząc do tunelu. Głupio zrobiła, w pewnym sensie godząc się na to. Cholera, całkiem sporo ze wszystkiego, co zrobiła w ciągu ostatnich dni, było głupie.

A teraz nie mogła zrobić nic, żeby to odkręcić. Jakiś pomysł na utrzymanie dwóch dilerów i ich sługusów w niewiedzy co do swoich poczynań i w dodatku udawanie przed jednym, że nie potrafi oczyścić Chester z duchów, na pewno przyjdzie jej do głowy. Prawdopodobnie w samochodzie. Większość najlepszych pomysłów przychodziła jej do głowy w samochodzie.

Jej obcasy stukały po trotuarze, gdy skręcała na rogu Pięćdziesiątej i Ace Po ulicy kręciły się te same typy co zwykle, kuląc się w umiarkowanym listopadowym chłódzie: rockabilly punki jak Terrible, z natłuszczonymi czubami i w koszulach z

krótkimi rękawami; kilka oldskulowych dzieciaków podobnych do Lexa, z włosami na sztorc i klódkami na szyi, nawet paru chłopaków w kurtkach ze skóry rekina i creepersach. Większość dziewczyn była ubrana tak jak Chess. Punki są jak ptaki – samce bardziej się stroją.

Dustersi nie zaczęli jeszcze grać, więc wszyscy byli na zewnątrz, pijąc z papierowych toreb. Chess wysepiła coś do palenia od skatera retro – stylowego dzieciaka w postrzępionym T – shrcie od Lance'a Mountaina, który rozpadłby się, gdyby spróbować go uprać – i raz po raz zaciągając się wonnym dymem, szukała wzrokiem Terrible'a.

Większość twarzy była znajoma, ale jego nigdzie nie dostrzegła. Wmieszała się w tłum, jeżeli go tu nie ma, powinna pójść do Bumpa. Szkoda, bo wołałaby zostać na koncercie.

Jakaś para pieprzyła się przy bocznej ścianie klubu. Chess przyglądała im się przez chwilę, zażenowana, że to robi, nie potrafiła jednak odwrócić wzroku.

Dziewczyna, filigranowa platynowa blondynka w minispódniczce i butach na platformach, które wyglądały na cięższe od całego jej ciała, skrzyżowała nogi w kostkach, obejmując nimi faceta w pasie, a drobnymi dłońmi wczepiła się w jego plecy. Chess nie widziała jej twarzy ponieważ była schowana w dłoniach faceta. Nie pamiętała, żeby jej kiedykolwiek ktoś dotykał w taki sposób. Przeszyła ją szpila czystej zazdrości.

Dziewczyna pieściła jego kark, wplatała mu palce we włosy. On napierał biodrami, przyciskając ją do ściany. Gdy pochylił głowę, żeby pocałować ją w szyję, światło padło na wydatny wał brwi i zgrubienie na krzywym nosie.

To był Terrible.

Tak, zdecydowanie on. Nic dziwnego, że się zaczerwienił, kiedy dokuczała mu na temat baków. Nigdy jednak nie sądziła, że mógłby naprawdę interesować się kobietami. Wydawał się jej kompletnie aseksualny, jakby zamiast się pieprzyć, wołał bić ludzi. Głupie założenie. W końcu facet to facet.

Ona sama w zasadzie wołała narkotyki od seksu. W idealnym świecie miałyby jedno i drugie, czemu więc z nim miałyby być inaczej?

Zaciągnęła się głęboko i odwróciła, zamierzając zniknąć w tłumie do czasu, aż Terrible będzie się nadawał do rozmowy. Niestety, obcas utkwiał jej w szczelinie chodnika i lekko otarta lewa kostka skręciła się. Szurnięcie buta o beton i cichy jęk, którego nie potrafiła powstrzymać, wystarczyły.

Blondynka popatrzyła w jej stronę. Terrible też.

–Chess. Gdzie się podziewałaś, dziewczyno? Czekałem na ciebie godzinami, a ty nie przyszłaś.

Blondynka posłała Chess jadowite spojrzenie. Suka. Jeżeli nie przestanie wciskać się w Terrible'a, zrośnie się z nim jak jakaś napalona bliźniaczka syjamska.

–Utknęłam w pracy – wykrztusiła. – Nie miałam numeru twojej komórki ani...

–No tak. Przypomnij mi, to ci dam. – Wskazał głową kolejkę ustawiającą się przy drzwiach. Najwyraźniej zespół był już gotowy. – Wchodzisz?

–Chyba tak. Pomyślałam, żeby, no wiesz... czegoś się napić.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że poczuje się niezręcznie przy Terrible'u nie dlatego, że on mógłby połamać jej kości ale, dlatego, że przyłapie go na uprawianiu seksu pod ścianą klubu. Nie zgorszyło jej, że uprawiał seks w miejscu publicznym i nie chodziło o to, że chciałyby się zamienić z tą dziewczyną pod ścianą. Po prostu było to... dziwne. Zupełnie jakby zobaczyć Starszego z Dobrotliwą robiących to w kaplicy.

Terrible przedstawił ją dziewczynie – Amy – po czym przez parę minut przestępowali z nogi na nogę, zanim wreszcie weszli do środka. Terrible nigdy nie płacił za wejście z racji tego, kim był. Chess też nigdy nie płaciła z racji swoich tatuaży.

W klubie kłębił się spocony tłum. Chess próbowała precyzyjnie się do baru, ale zrezygnowała, kiedy po raz trzeci nadepnięto jej na nogę.

Dla Terrible'a poruszanie się w tłumie nie stanowiło problemu. Parł przed siebie jak pług śnieżny, a gdy po kilku sekundach ludzie zorientowali się, kim jest, sami schodzili mu z drogi. Posadził Amy i Chess przy stoliku w oddzielnym boksie w głębi sali i poszedł po coś do picia. Nie pytał, na co mają ochotę. I tak jedyną opcją było piwo.

–Cześć, Chess. Myślałem, że możesz tu być – wykrzyczał prosto w jej ucho, aż podskoczyła.

Wcale się nie uspokoiła, kiedy zobaczyła, kto to wykrzyczał.

–Co tu robisz, Doyle?

–Lubię tę kapelę.

–Nigdy cię nie widziałam na ich koncercie.

–To nie znaczy, że na żadnym nie byłem.

–o ile wiem, grają tylko w Dolnej Dzielnicy. Od kiedy tu bywasz?

Musiała przyznać, że wyglądał, prawie jakby był stąd. Cały w czerni, od butów przez dzinsy po cienką samochodową kurtkę. Oczy w obwiedzionej lśnącymi włosami bladej twarzy gapiły się na nią tak intensywnie, że omal nie wyskoczyły z orbit.

–Przychodzę tu czasami. Myślałem, że moglibyśmy się spotykać.

–To źle myślałeś.

Wrócił Terrible z piwem. Nie odezwał się, tylko stał koło Chess, patrząc na Doyle'a spod zmarszczonych brwi.

Doyle wyciągnął rękę.

–Cześć.

Terrible nie zareagował. Doyle stał chwilę z ręką w powietrzu, wreszcie wetknął ją do kieszeni. Nawet czerwone światło nie było w stanie zamaskować koloru, jakiego nabrała jego twarz.

Terrible podał Chess piwo.

–Wszystko w porządku? – spytał. Czy mowa jej ciała jest aż tak łatwa do odczytania?

–Tak, w porządku.

–Muszę z tobą porozmawiać – powiedział Doyle, odgarniając włosy z twarzy. – To ważne.

Najwyraźniej nie zamierzał odejść, więc Chess westchnęła i wstała.

–Pięć minut.

Rozdział 10

*Wiele jest spraw, których ludzkość pojąć
nie potrafi.*

Kościół ogarnia je dla was.

Księga Prawdy, Artykuł 2

Doyle zaprowadził ją na tyły budynku, blisko miejsca, w którym Terrible i Amy uprawiali seks.

–Jak ci idzie z nową sprawą?

–Więc po to mnie tutaj ciągnąłeś?

–Nie chciałaś ze mną rozmawiać w kościele ani na mityngu. Co jeszcze mam zrobić?

–Przyjąć wreszcie do wiadomości, że nie chcę z tobą gadać.

–Chess... to naprawdę niepoważne unikać mnie tylko dlatego, że niektórzy ludzie dowiedzieli się o nas.

Cofnęła się, bo pochylił się w jej stronę.

–Nie ma żadnych nas, Doyle, jedna noc nie znaczy, że jest jakieś my.

–Coś jednak znaczy.

–Owszem, Znaczy, że jestem dziwką w oczach wszystkich, z którymi pracuję. Co będzie, jak Starsi się dowiedzą? Co wtedy zrobię?

–Jesteś pełnoletnia. Od trzech lat. Nie wyrzucą cię. – Położył ręce na jej ramionach. Były ciepłe i ciężkie. – Wiem, że miałaś trudniej od nas wszystkich podczas szkolenia. Wiem, jak byłaś obserwowana, bo trafiłaś tam z łaski. Ale teraz jesteś pracownikiem, a nie wychowanką. Nawet mieszkasz poza terenem. Możesz spędzać noce z kim chcesz.

–Nie trafiłam tam z łaski. Miałam stypendium.

–Przepraszam. Chodzi o to... że naprawdę cię lubię. Myślę, że mogłoby nas spotkać coś szczególnego, gdybyś tylko pozwoliła.

Ujął ją pod brodę i uniósł jej głowę. Miał tylko trochę ponad metr siedemdziesiąt,

więc na obcasach była mu prawie równa wzrostem. Nie musiała wykonać żadnego ruchu, żeby jego wargi znalazły jej usta.

Doyle świetnie całował. Lubiła się z nim całować i teraz też jej się to podobało, mimo wątpliwości co do niego. Ale wtedy jego dłonie zsunęły się niżej, żeby objąć ją w talii, a potem jeszcze niżej, żeby wziąć ją za pośladki i przyciągnąć bliżej, odsunęła się.

–Nie jestem na to gotowa – powiedziała.

Głos jej lekko zadrżał. Niech to szlag.

Doyle przygryzł wargę i spojrzał w dół. Po chwili podniósł wzrok.

–w porządku.

–Co znaczy „w porządku”?

–Dokładnie to, co powiedziałem. Nie umiem udawać, że cię rozumiem. Coś zrobiliśmy. Chciałbym więcej, ale chciałbym też, żeby wszystko było, jak należy, i jeżeli to oznacza, że mam poczekać albo dać ci swobodę, zrobię to.

Wyglądał na szczerego, wpatrując się w nią dużymi niebieskimi oczami. Może naprawdę problem tkwi w niej. Nieufność wobec Doyle'a nie miała logicznego uzasadnienia. Znała go od lat i gdyby była uczciwa wobec siebie, musiałaby przyznać, że durzyła się w nim przez te wszystkie lata. I jeszcze seks... może nie było to doświadczenie zdolne odmienić życie, ale niewątpliwie przyjemne.

Musiał wyczuć jej niezdecydowanie, bo spytał:

–Może pojedziemy do ciebie i pogadamy? Wypijemy drinka, pooglądamy telewizję i zwyczajnie pogadamy?

Już chciała odmówić, ale powstrzymała. Co innego ma do roboty? Siedzieć przy stoliku i patrzeć, jak Terrible migdali się z Amy? Wziąć następnego cepta i zza szklanej ściany narkotycznego przymulenia obserwować, jak wszyscy inni rozmawiają z przyjaciółmi i dobrze się bawią?

Albo wrócić do domu, krążyć samotnie po mieszkaniu i wreszcie usnąć przed telewizorem?

Doyle był przynajmniej dobrym kompanem. Mieli o czym rozmawiać. Znali tych samych ludzi.

–Obiecuję, że nie będę niczego próbował – przekonywał – Zupełnie jakbyś zaprosiła na wieczór eunucha.

Chess roześmiała się wbrew sobie.

–Dobrze, ale nie na długo. Jestem zmęczona.

Okazało się, że to zły pomysł.

Gadanie o polityce Kościoła i plotkowanie o znajomych było dobre na ulicy, gdzie otaczała ich miękka ciemność, ale w jej mieszkaniu Doyle... jakoś się nie mieścił. Był intruzem. Błądził niespokojnym wzrokiem po wszystkich przedmiotach w pokoju, tak jakby chciał się zorientować, jak najlepiej zaciągnąć ją do łóżka.

Chess wyjęła z lodówki dwa piwa i podała mu jedno, zadowolona, że ma co zrobić z rękami. Przysiadła na poręczy kanapy i postawiła stopy na poduszce, odgradzając się od niego.

–Co ci się stało w rękę? Na Prawdę, czy wszyscy muszą ją o to pytać?

–Skaleczyłam się przy otwieraniu puszki.

–Byłaś z tym u lekarza?

–Nie.

–Pokaż.

Wyciągnął rękę i czekał, aż położy na niej dłoń. Zrobiła to, chociaż znalazłaby ciekawsze tematy do rozmowy niż jej rana.

Doyle odwinął bandaż.

–Do cholery, Chess. To wygląda na zakażenie.

Miał rację. Czerwona linia biegnąca przez dłoń wydawała się szersza niż poprzedniego wieczoru, a skóra dookoła była błyszcząca i nabrzmiała. Chess, zgięła palce, próbując zasłonić ranę.

–To nic, zagoi się.

–Nie sądzę. Trzeba oczyścić ranę. Zdezynfekowałaś ją?

–Oczywiście. Nie jestem idiotką. – Wyszarpnęła rękę. Ale Doyle nie ustępował.

–Za ciasno zawięłaś bandaż, poza tym widać, że zostały drobiny ziemi na brzegu. Mówię poważnie, Chess. Pozwól mi to zrobić. Przynies wszystko, co masz. Waciki,

bandaże, maści. I daj mi jakiś nóż.

–O, nie! Żadnych noży.

–Trzeba zaradzić tej infekcji.

–Może po prostu pójdę jutro do szpitala? Pokręcił głową.

–Po co czekać do jutra? Mój ojciec jest lekarzem i dziesiątki razy widziałem, jak oczyszcza rany. Przynieś wszystko z apteczki.

Wstała posłusznie i zeszywniałą dłonią nacisnęła włącznik światła w łazience. Może Doyle ma rację. To nawet miło, że troszczy się o nią. Dotychczas nikt tego nie robił.

Powinna przestać być taka podejrzliwa i odprężyć się. Chyba to właśnie robią normalni ludzie – pomagają sobie.

Rozpostarła ręcznik na kłapie sedesu i zaczęła na nim układać materiały opatrunkowe z apteczki. Demaskatorzy często pracowali na strychach i w ciasnych komórkach albo musieli się czołgać w przewodach wentylacyjnych. Urazy zdarzały się więc nagminnie. Kilka lat temu Atticus Collins został nawet ugryziony przez szczura.

Dziwne, że akurat w tę ranę wdało się zakażenie, skoro przemyła ją i starannie opatrzyła. No cóż, zamknięcie w lochu na prawie dwadzieścia cztery godziny, a potem kąpiel w ściekach nie sprzyjały gojeniu.

Miała kilka ostrych noży w kuchni, ale zdecydowała się na żyletkę. Im ostrzejsze narzędzie, tym mniej będzie bolało. Przesunęła po żyletce językiem, żeby sprawdzić, czy nie został na niej jakiś osad. Został, więc zlizwała go dokładnie.

Zgromadziła chyba wszystko. Środek odkażający, waciki, bandaż, maść antybiotykową, żyletkę i agrafkę. Połknęła następnego cepta – bo prawdopodobnie będzie bolało – i wróciła do pokoju z tobołkiem z ręcznika.

Doyle klęczał przed półką z książkami i kartkował egzemplarz *On the Road*.

–Masz dużo rzeczy sprzed Prawdy – zauważył. – Nie wiedziałem, że się tym interesujesz.

–Lubię historię. I lubię czytać.

–Ale tu wszystko jest sprzed Prawdy.

–i co z tego? To nie są zakazane książki, tylko wielka literatura.

–Wiem, ale... – Odstawił książkę na półkę. – Zawsze myślałem, że skoro nie masz przeszłości, więc nie interesujesz się nią.

–Myślałeś, że skoro jestem sierotą i nic nie wiem o swoim pochodzeniu, nie wolno mi czytać?

–Ależ nie! Ja... uważam, że to bardzo dobrze.

Przez chwilę miała ochotę drążyć sprawę, ale w końcu zrezygnowała. Ktoś, kto potrafi prześledzić historię i swojej rodziny na dwieście lat wstecz, nie potrafi zrozumieć, jak to jest, kiedy nie zna się nawet swojego prawdziwego nazwiska. Doyle już widział ją nagą. Nie musiał oglądać jej obnażonej emocjonalnie.

Podowała mu ręcznik.

–Tu jest wszystko.

–Właściwie powinniśmy pójść z tym do łazienki. Tam jest lepsze światło, prawda?

Czemu nie. To jego przedstawienie.

Przeszli do łazienki. Chess usiadła na sedesie i wyciągnęła rękę nad umywalką.

Doyle wiedział, co robi. Szybko i pewnie, a zarazem delikatnie, oczyścił ranę wacikami z płynem dezynfekującym. Potem sięgnął po żyłtkę i ją też zdezynfekował.

–Przygotuj się – powiedział.

–Jestem gotowa.

Chess wyprostowała się. Ufała mu, ale skoro miał machać żyłtką, chciała mieć nad tym kontrolę.

Przesunął ostrze wzdłuż krawędzi rany, zostawiając cienką linię krwi na zaczerwienionej dłoni. Mniej więcej w połowie kolor zbladł i zaczął się sączyć bezbarwny płyn.

–Ohyda – stwierdziła.

–Rzeczywiście paskudne. – Rzucił jej przelotny uśmiech. – Ale przynajmniej wychodzi. Gdyby zostało pod skórą i wdałaby się mart...

–Martwica? Mogłoby do tego dojść?

–Masz pęsetę? – Spytał zduszonym głosem, jakby zobaczył coś, co go przeraziło.

–Na półce. Coś nie tak?

–Nie, wszystko w porządku.

–Przecież słyszę. O co chodzi? Ścisnął mocniej jej dłoń i sięgnął po pęsetę.

–Nie ruszaj się.

–Co to... Au! Cholera! Co ty...

Głos uwiązał jej w gardle, kiedy uniósł pęsetę znad rany. W metalowych szczypcach tkwił mały tłusty robak.

Chess z trudem opanowała odruch wymiotny. Robak wił się i skręcał, a krew – jej krew – kapiała z jego ohydneho obłego ciała. Patrzyła, jak słabnie i kurczy się w agonii.

Doyle rozwarł pęsetę. Martwy robak spadł do umywalki.

–Co to jest? Co to, do cholery, jest? – Jej głos przeszedł w pisk, nienaturalnie głośny w małym pomieszczeniu.

–Ja... ja nie wiem.

–Czy to... – z trudem przełknęła ślinę – larwa?

–Nie sądzę.

Wyciągnął z rany jeszcze cztery robaki, zanim mógł ją opatrzyć.

Rozdział 11

Wiedz, że tam, gdzie znajdujesz

odosobnienie,

gdzie znajdujesz pustkę, możesz też

znaleźć duszę

pozbawioną swojego miejsca.

Księga Prawdy, Artykuł 178

–Witaj, Chess. Więc Terrible jednak cię nie zabił.

Edsel z uśmiechem odchylił się na rozklekotanym krześle. Promienie słońca odbijały się od srebrnych talizmanów wiszących na stojaku w rogu budki i rzucały jasne plamy na zasłonę w kolorze burgunda za jego plecami. Miejski zegar nie wybił jeszcze południa, więc stoisko Edsela wciąż było w nieładzie.

–Czyżbyś był rozczarowany.

–Nigdy nie jestem rozczarowany, kiedy cię widzę, dobrze o tym wiesz. Czego dziś potrzebujesz? Mam nowe eliksiry nasenne, gdyby cię to interesowało.

–Eliksiry nasenne? Wzruszył ramionami.

–Wyglądasz na zmęczoną, mała.

Cholera. Powinna była coś łyknąć przed wyjściem z domu.

Ubiegłej nocy, kiedy Doyle wreszcie wyszedł, bardzo długo przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Ale kto mógłby zapaść w sen z błogim uśmiechem, gdyby zobaczył opite krwią robaki wyciągnięte z jego ciała?

Ten obraz – i kilka innych, jeszcze mniej przyjemnych – prześladował ją nawet we śnie, więc obudziła się tuż po wschodzie słońca.

–Nic mi nie jest – powiedziała. – Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że pomożesz mi w czymś innym.

–w czym?

Sięgnęła do torby i wyjęła amulet owinięty w skrawek czarnego aksamitu. Przysiadła na chwiejnej ladzie i odwinęła aksamit.

–Rozpoznajesz któryś z tych znaków?

–Skąd go masz? – Edsel był wyraźnie poruszony. Chess wzruszyła ramionami.

–Znalazłam.

–Ajajaj. – Edsel nachylił się bliżej, ale nie próbował wziąć amuletu do ręki. – Coś mi się widzi, mała, że lepiej, żebyś odniosła go tam, gdzie znalazłaś. Nic dobrego w tym nie widzę. Nawet stąd czuję wibracje.

–Nie mogę go odnieść. To jest... to należy do śledztwa. Żaden i tych znaków nie wydaje ci się znajomy?

–Nie bardzo, chociaż... czekaj. Ten tu wygląda jak *Etosz*. A ten o dwa dalej to może być *Tretso*.

–Co one znaczą?

–*Tretso* to run bękart, kumasz? Kombinacja dwóch. Wzmacnia inne runy, dodaje mocy, ale sam nic nie oznacza. *Etosz*... ten napędza. Kieruje *Tretso* tam, gdzie ten, kto zrobił amulet, chce, żeby poszło.

–Czyli mam dwa runy, które mają dodawać mocy innym, ale co znaczą te inne, nie wiemy.

–Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc – Edsel jeszcze raz zerknął na amulet, krzywiąc się z niesmakiem. – i wątpię, żeby ktokolwiek mógł, skoro Kościół nie może.

Kościół może by i mógł, gdyby ona mogła o to poprosić, a nie mogła. Co niby miałyby zrobić? Wejść do gabinetu Prastarszego i powiedzieć mu, że znalazła amulet na ulicy?

Skinęła głową. Jej palce poruszały się powoli, jakby, ospale, kiedy zawijała amulet z powrotem w aksamit.

–Dzięki i za to, Edsel.

–Twoja ręka już w porządku?

Przytaknęła. Rozcięcie wyglądało rano mniej paskudnie, chociaż obawiała się, że nie odzyska spokoju dopóki całkiem się nie zagoi. Robaki... zmarszczyła nos.

–To tylko zadrapanie.

–Świetnie. Wiesz, tak sobie myślę, że chyba jest ktoś, kto mógłby ci pomoc z tymi runami. Tyson, znasz go?

Pokręciła głową.

–Jest stąd?

–Nie. Nie z Dołu ani nawet nie z miasta. Starej daty, rozumiesz? Mieszka za miastem, nad wodą. Tylko, że nie wiem, jak się z nim skontaktować. Bywa tu czasami. Niegłupi ten Tyson. Jak przyjdzie, dać mu twój numer?

–Czy Tyson to jego imię, czy nazwisko?

–Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wołają go Tyson.

Chess wsunęła amulet z powrotem do torby i zasunęła zamek błyskawiczny.

–Daj mu mój numer, jak go zobaczysz. Dzięki. Edsel.

–Nie ma sprawy. Dbaj o rękę, mała.

Odwrócił się i zaczął rozpakowywać pudła, szykując się na przyjęcie klientów. Chess postanowiła pokręcić się po targowisku. Terrible pewno pojawi się niedługo i zabierze ją do Chester, żeby tropiła urządzenia elektryczne, których ma udawać, że nie widzi, albo duchy, których ma udawać, że nie potrafi odprawić.

Kupiła sobie miseczkę makaronu w działającym całą dobę stoisku w pobliżu palarni Bumpa. Jadła, stojąc przed drzwiami. W środku na pewno nie ma wolnego miejsca. Zawsze było tam pełno w niedziele, niezależnie od pory dnia czy nocy. W kieszeni miała dziesięć dolarów – wystarczyłoby na długie popołudnie łagodnych snów.

Nie mogła sobie pozwolić na długie popołudnie. Jak na potwierdzenie usłyszała za sobą ciężkie kroki. Odwróciła się, żeby zobaczyć Terrible'a, który parł w jej kierunku niczym czołg.

Lotnisko Chester w świetle dnia nie straciło nic z atmosfery opuszczenia i zagrożenia, jaka była tu wyczuwalna nocą. Zrujnowany stary terminal chylący się w lewo przypominał samotnego wdowca, a zardzewiałe ogrodzenie wyglądało, jakby za chwilę miał je przewrócić silniejszy podmuch wiatru.

Chess bezskutecznie próbowała się powstrzymać przed spoglądaniem w kierunku miejsca, gdzie znalazła amulet. Jaki rytuał miał miejsce na tej pokrytej pyłem trawie?

Prawdopodobnie wolałaby tego nie wiedzieć. Ale zapewne nie uda się jej tej wiedzy

uniknąć.

–Chcesz jeszcze raz sprawdzić budynek? – spytał Terrible, przytrzymując rozerwaną siatkę, żeby mogła przejść przez dziurę w siatce.

–Tak. Chociaż nie wydaje mi się, żebyśmy coś przeoczyli tamtej nocy. – Spojrzała w prawo, w stronę ogrodzenia. – Czekaj, co to jest?

Terrible podążył za jej wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Sama nie wiedziała, jakim cudem udało się jej zauważyć to w wysokiej trawie, lecz gdy podeszła bliżej, okazało się, że się nie myliła.

Kamienie układały się w zarys prostokąta, długiego na jakieś piętnaście metrów i szerokiego na dziesięć. Brakowało dużych fragmentów, więc tylko przypatrując się uważnie, można było zauważyć, że jest to regularny kształt, a nie przypadkowo rozrzucone kamienie. Gdyby nie określony kąt padania promieni słonecznych, pewno nic by nie wypatrzyła.

–Drugi budynek – stwierdziła. – Ciekawe, co tu było.

–Może magazyn albo kwatery.

–Kwatery? – zdziwiła się.

–No, wiesz. Tu nie ma hoteli. Piloci przylatywali i czasem zostawali na noc, więc musieli gdzieś spać.

Popatrzyła na niego uważnie. Z obojętną miną przyglądał się budynkom za płotem. Ciemne okulary zakrywały oczy.

–Dobrze kombinujesz, Terrible. Pewnie masz rację.

Znów żadnej reakcji, Chess przeszła wzdłuż pozostałości muru, podnosząc kamienie, które wyglądały na lekkie albo luźne. Takie rumowisko to idealne miejsce na ukrycie sprzętu potrzebnego mistyfikatorom. Wykorzystując nieuwagę Terrible'a, mogłaby zakryć go z powrotem – gdyby sprzęt rzeczywiście istniał i nie byłoby tu duchów.

A gdyby ją przyłapał... O takiej możliwości nie chciała nawet myśleć. Lex nie odezwał się od czasu, gdy ją odprowadził, i nie była pewna, czy chciałaby, żeby się odezwał. Woląла udawać, że całe to porwanie i droga przez tunele były tylko wytworem jej wyobraźni. Niestety, wiedziała, że tak nie jest.

Wśród kamieni nie znalazła niczego, więc zostawiła miniaturową kamerę wideo z

czujnikiem ruchu w stercie najbliższej pasa startowego i zawrócili do budynku terminala. Chess zastanawiała się, co kryje się w gąszczu zbrązowiałej trawy wokół lotniska. To też powinni sprawdzić.

Domy mieszkalne przysiadły za płotem, jakby zepchnięto je na bok, robiąc miejsce. Głównie bliźniaki. Nad jednymi drzwiami dostrzegła ślady krwi pozostałe po Festiwalu. Mieszkańcy nie fatygowali się ich usuwaniem, bo pewnie uznali, że w końcu zmyje je deszcz, i prawdopodobnie mieli rację. Listopad bywał zwykle bardziej deszczowy, niż można by sądzić po ostatnim tygodniu czy dwóch.

Ktoś musiał otworzyć okno, bo z oddali dobiegły łagodne dźwięki piosenki Williego Nelsona.

Gdzieś na zaniedbanych trawnikach widać było odrapane zjeżdżalnie i rdzewiejące trójkołowe rowerki. Chess niemal czuła pod palcami popękany plastik starych zabawek. Ile dzieci w tych domach żyło w tej chwili takim życiem, jakie było jej udziałem – wykorzystywanych jako źródło dochodu, którym nikt nie zamierza się z nimi dzielić?

Budynki wzniesiono pod różnymi kątami, względem ulicy, przez co sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zaniedbanej. Jeden stał pod samym płotem, bez żadnego ogródka od frontu, następny był cofnięty o jakieś dziesięć metrów.

–Wiesz, dlaczego te domy stoją tak krzywo? – spytała, gdy dotarli do głównego budynku.

Terrible pokręcił głową.

–Chyba zawsze tak tu było. Czy to ważne?

–Tylko ciekawe. – Światło słoneczne wpadało do wnętrza ruiny. – No cóż, spróbujmy jeszcze raz przeszukać ten bałagan.

Przyjrzała się sufitowi. Był czysty i raczej nic poza pajęczynami nie czaiło się w cieniu.

Szurali nogami w śmieciach bo żadne nie miało ochoty użyć rąk. Chess czuła, że to zwykła strata czasu. Na Chester mogło coś być, ale na pewno nie w tym miejscu.

–Ten koleś wczoraj wieczorem to twój fagas? – zapytał niespodziewanie Terrible.

–Co?

–Ten palant, z którym wyszłaś z klubu.

–Doyle? Nie To tylko facet, z którym pracuję. A właśnie, jak tam koncert?

Terrible wyszczerzył się.

–Dustersi zawsze dobrze grają.

–Żałuję, że nie zostałam. Pokiwał głową.

–Dużo straciłaś.

Przeszła za pozostałości kontuaru i przykucnęła. Kilka górnych szuflad było nienaruszonych. Chess zebrała się w sobie, żeby je otworzyć. Myszy lubią zakładać gniazda w takich miejscach. Myszy, szczury i pająki. Nie uśmiechało się jej spotkanie z żadnym z tych stworzeń.

–Amy wydaje się sympatyczna – skłamała, żeby podtrzymać rozmowę, i jednocześnie wysunęła najwyższą szufladę.

–Jest w porządku.

–Od dawna się z nią spotykasz?

Tylko wzruszył ramionami.

Szuflada była pusta. Chess otwierała po kolei inne, ale nie znalazła w nich nic poza kurzem i martwym robactwem. Wysuszone truchelka przypomniały jej o przerażających robakach w dłoni, więc zatrzasnęła szuflady z większym impetem, niż zamierzała. Ostatnia pękła od uderzenia i pięść Chess prawie wpadła do środka.

–Dobra, nic tu nie widzę. Chodźmy się rozejrzeć na zewnątrz, co?

–Ty tu rządzisz.

Powietrze na zewnątrz wydawało się rześkie po zapachu butwienia panującym w środku. Nos ją zaswędziało. Podała Terrible'owi drugą miniaturową kamerę i poinstruowała, jak ma ją przymocować na ścianie budynku, pod samym dachem. Nie potrzebował drabiny, żeby to zrobić.

W odległości jakichś dwóch metrów od miejsca, gdzie przebił się przez ścianę, żeby ją wyciągnąć, znajdowała się stara studnia i pompa. Cholera.

–Nie masz przypadkiem kawałka liny?

–Ile?

–Tyle, żeby mnie opuścić do studni. Chcę sprawdzić, czy czegoś tam nie ma.

–Jakiejś elektryki? Skinęła głową.

–Niech cię, Chess, naprawdę chcesz tam zejść?

–Boisz się, że mnie nie utrzymasz? Pokazał zęby w uśmiechu.

–Chyba żartujesz.

–Jasne, że żartuję. Masz tę linę czy nie?

–Może i mam. Czekał tu.

Odszedł w kierunku samochodu, a Chess grzebała w trawie, przygotowana na to, że w każdej chwili znów może poczuć ten straszny chłód pełnący jej po nogach. W nocy Chester było jak czarna dziura, całkowicie pozbawiona życia. Kto wie, czy nie odprawiano tu jakichś rytuałów? Niemal w każdym odludnym miejscu, można było się natknąć na nielegalne praktyki magiczne. Dozwolone ludzie odprawiali w domach – czarowanie pieniędzy, zaklinanie szczęścia, proste rytuały niedomagające mocy ani talentu. Kościół wręcz do tego zachęcał, bo kiedy ludzie widzieli efekty swoich mało istotnych zaklęć i nieznacznych manipulacji energią, tym chętniej uznawali Prawdę: bogowie nie istnieją. Istnieje magia. A Kościół jest bramą do magii.

Terrible wrócił po kilku minutach z przewieszonym przez ramię grubym zwojem liny z żółtobrazowych włókien. Położył ją na ziemi i rozwinął.

–Wystarczy?

–Zaraz się tego dowiemy.

Zadowolona, że ma długie rękawy, okręciła się liną pod pachami i zawiązała węzeł ratowniczy. Lina upstrzona była brązowymi plamkami. Chess wołała nie zgadywać, do czego Terrible jej używał. Jego robota to jego sprawa.

Kiedy się obwiązała, wyjęła z torby latarkę i włączyła ją, a Terrible okręcił sobie wolny koniec liny wokół ręki. Z kieszeni Chess zwisały przewody jej elektrycznego miernika.

–Jak ci się zrobi za ciężko, wyciągnij mnie – poinstruowała Terrible'a.

–Przecież ty nic nie ważysz – obruszył się.

–Tak, ale nawet nic może się zrobić o wiele cięższe, kiedy wisi na końcu cienkiej liny. A ja naprawdę nie chcę spaść, więc jak poczujesz, że ci ciężko, po prostu mnie wyciągnij, dobrze?

Skinął głową.

–i proszę, uważaj na linę, w razie gdyby zaczęła się przecierać albo co.

Uniósł brwi.

–Proszę?

Otwór studni czerniał obok jak wejście do piekła. Piekło wprawdzie nie istniało, ale Miasto tak, a Chess wcale nie chciała znów znaleźć się pod ziemią. Nie po tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia, ani w ogóle nie. Zaczęła w niej wzbierać panika, więc utkwiała wzrok w Terrible'u, czerpiąc pociechę z widoku jego niewzruszonej twarzy, potężnych mięśni oraz grubej liny owiniętej wokół jego twardych dłoni.

–Bez obaw – mruknął. Westchnęła.

–No dobra. Zobaczmy, co tam znajdę.

Przysiadła na krawędzi studni i spuściła nogi do środka. Gdyby modlitwa była dozwolona, nie omieszkałaby się pomodlić.

Rozdział 12

Ze wszystkich praktyk magicznych

możliwych

do uczynienia wykorzystanie ludzkiej

duszy jest

najpoważniejsze, a zatem zabronione,

zastrzeżone dla ludzi Kościoła.

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 79

Zsunęła się z krawędzi i zawisła w zabarwionym miedziano mroku. Po chwili zdołała przechylić latarkę i oświetlić kamienną cembrowinę. Nie dostrzegła żadnych otworów; żadnych schowków. To dobrze. Przynajmniej nie musiała udawać, że nie widzi sprzętu, który znalazła, bo go tu nie było, w każdym razie na to wyglądało. Wiedziała, że ktoś od Bumpa sprawdzi jej pracę. Nie była to przyjemna myśl.

–Niżej – poleciała i Terrible posłusznie poluzował linę.

W studni pachniało wodą, ale kiedy poświeciła latarką w dół, nie zobaczyła odbicia. Studnia była sucha, za to bardzo, bardzo głęboka. Zbadanie samego dna nie wchodziło w grę.

Prawą ręką macała kamienie, szukając luźnych, w lewej trzymała latarkę. Lina wrzynała się jej w ciało utrudniając oddychanie.

Przebywała w studni jakieś dwadzieścia minut, opuściwszy się tak nisko, jak na to pozwalała długość liny. Wreszcie poprosiła Terrible'a, żeby ją wyciągnął.

–Nic – powiedziała, uwalniając się od liny i powstrzymując chęć rozmasowania bolącego miejsca nad biustem. – To jedyna studnia tutaj?

–Nie, jeszcze jedna jest, tam. – Wskazał odległy róg ogrodu.

Cholera. Trzeba było nie zdejmować liny.

Brnęli przez brązową połąć porośniętą chwastami – dwie postacie w czerni przypominające smugi na obrazie. Chess czuła się lepka od nietypowego jak na tę

porę roku upału i bezbronna pośrodku pustego pola.

–Często to robisz?

–Co? Potknęła się o kamień i omal nie upadła.

–Takie rzeczy. Schodzenie do studni, wchodzenie na strych...

–Czasami. Nie zawsze schodzę pod ziemię.

–i słusznie. Kościelne czarownice nie lubią być na dole.

–Fakt.

–Więc to najlepsze miejsce, żeby się schować, prawda? Bo nikt nie chce tam schodzić.

–Większość ludzi nerwowo reaguje na podziemiu. Nikt nie lubi być blisko Miasta.

Przekrzywił głowę.

–Oni się boją. Ty nie.

Jeszcze nikt nie powiedział jej, że jest odważna. Oblała się rumieńcem.

–Nie lubię tego robić. To brak należytego szacunku.

–To po co robisz?

–Muszę sprawdzić wszędzie.

–Pytam, po co robisz tę robotę? To całe wywalanie duchów.

Wzruszyła ramionami.

–Żeby mieć na opłacenie rachunków.

–Jest dużo prac, z których można mieć na zapłacenie rachunków.

–To dlaczego ty pracujesz dla Bumpa?

Spodziewała się odpowiedzi, na odczepnego, jakiej sama udzieliła. Zamiast tego powiedział:

–To jedyne, w czym jestem dobry.

–Bicie ludzi? Przytaknął.

–Nie mam szkoły. Ani żadnej rodziny. Bump mnie wziął, jak byłem dzieciakiem. Biłem się na ulicach o żarcie, spałem, gdzie popadnie. Teraz nie muszę się bić. Nikt nie chce mieć ze mną do czynienia.

W ostatnich słowach dała się słyszeć nutka dumy.

Większość z tego wiedziała, albo mogła się domyślać. W Dolnej Dzielnicy nie była to niezwykła historia. Porzuconych dzieci wałęsało się po ulicach nie mniej niż bezpańskich psów i kotów. Gdyby nie łaska Boga, który nigdy nie istniał, i talent, o który się nie prosiła...

–Co się stało z twoją rodziną?

–Nie wiem. Nie znałem ich.

Pokiwała głową. Ona też nie znała swojej rodziny.

–Ale dlaczego pracujesz dla Kościoła? – drażył Terrible. – To beznadziejne oszołomy z pomalowanymi oczami i w butach z klamrami.

–z tego samego powodu co ty. Jestem w tym dobra.

–Mam nadzieję.

–Jakieś wątpliwości? – zachnęła się.

–Nie, bez obrazy. – Dotarli już prawie na miejsce. Terrible przystanął i obracał głowę w lewo i w prawo, przeszukując wzrokiem teren. – Niedługo to się rozwiąże i te samoloty będą latać. Będę patrzeć jak startują i jak lądują. Będzie w porządku.

–Lubisz samoloty? – spytała.

On jednak najwyraźniej uznał, że czas na towarzyską pogawędkę się skończył, bo odwrócił się bez słowa i przeszedł ostatnie kilka kroków dzielące go od studni.

Chess nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego w ogóle z nią rozmawiał. Przez ostatnich parę minut Terrible był wręcz gadatliwy. Otarta czoło rękawem i dołączyła do niego.

–Przewiąż się – powiedział, przyglądając się studni.

Leżała na niej ciężka pokrywa z zardzewiałego metalu. Terrible wyjął ze swojej torby łom i wetknął spłaszczony koniec w ledwo widoczną szczelinę między pokrywą a cembrowiną.

–Lepiej się odsuń.

Gdy Chess zrobiła kilka kroków w tył, podważył pokrywę łomem, a następnie chwycił ręką, jedno szarpnięcie i leżała na spalonej słońcem trawie.

–o żeż!

Cofnął się gwałtownie, zakrywając twarz dłonią. Wystarczyła sekunda, żeby smród dotarł do Chess. Z żołądkiem podchodzącym do gardła uskoczyła w bok, starając się stanąć z wiatrem.

Zgniła, trupia woń rozkładu. Wiedziała, co to za zapach, chociaż nigdy wcześniej go nie czuła. Coś tam umarło, może jakieś zwierzę...

Ale przecież studnia była zakryta, jak zwierzę mogłoby się tam dostać? Jak cokolwiek mogłoby się tam znaleźć, gdyby ktoś nie umieścił tego tam celowo?

–Daj mi latarkę. – Terrible wyciągnął otwartą dłoń. Drugą ręką przyciskał do nosa i ust skraj koszuli. Na tle jednolitej czerni jego ubrania odsłonięty pasek białej podkoszulki wyglądał jak flaga kapitulacji.

Chess sięgnęła po latarkę i podała mu ją, ciągle odwracając głowę. Bez względu na to, co było w studni, nie mogła do niej wejść. Kto wie, jakie zarazki namnożyły się w chłodnym wilgotnym powietrzu? Wyobraziła sobie różne bakterie niesione wiatrem i odsunęła się jeszcze dalej.

Terrible pochylony nad studnią kierował światło latarki w głąb. Przez chwilę poruszała się tylko jego ręka. Nagle odskoczył, zaniósł się kaszlem. Opierając dłonie na zgiętych kolanach, zwiesił głowę, jakby miał zwymiotować.

–Terrible, dobrze się czujesz?

Machnął ręką, ale co sygnalizował w ten sposób, nie wiedziała. Uznała więc, że najbezpieczniej nadal trzymać się z daleka.

Po mniej więcej minucie wreszcie doszedł do siebie. Spojrzał na nią i powiedział.

–Niedobrze, Chess. Bardzo niedobrze.

–Czy to... zwierzę? – wykrztusiła.

Wiedziała, co odpowie zanim jeszcze otworzył usta.

–Nie, nie zwierzę. To człowiek. Trup, cały pocięty.

Słowa unosiły się w powietrzu między nimi, pokryte rodzajem brudu, który niewiele miał wspólnego z bakteriami, jakie mogły wydobywać się ze studni. Chess pomyślała o kręgu na polu, o amulecie i robakach.

–Podaj mi latarkę.

–Nie chcesz tego widzieć, Chess.

–Nie, nie chcę, ale powinnam.

Zrozumiał i podał jej latarkę.

Wnętrze studni kryło się w cieniu, bo słońce stało już nisko. Minęła czwarta i za płotem pojawiły się sylwetki robotników wracających po zmianie do domu. Nie zwracali uwagi na Chess i Terrible'a. Wszyscy znali Terrible'a i wiedzieli, kim jest, ale co by było, gdyby zobaczyli, że wyciąga ze studni trupa? No cóż, nie zobaczą, bo nawet dla Terrible'a było to niewykonalne. Chess nie miała ochoty obwiązywać liną martwego ciała w ciemnych głębinach studni, a nie była wystarczająco silna, żeby utrzymać i wyciągnąć Terrible'a, gdyby zechciał to zrobić. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był solidnej budowy, tak jak czarny chevelle rocznik sześćdziesiąt dziewięć, którym jeździł.

Stanąwszy na tyle blisko krawędzi studni, na ile starczyło jej odwagi, Chess skierowała światło latarki w dół. Przez chwilę wydawało się jej, że Terrible się pomylił, że to jednak jest zwierzę. Potem przesunęła promień światła po martwych oczach, zobaczyła otwarte usta i nienaturalną bladość twarzy. Obraz wyłonił się tak szybko, jakby ktoś wyświetlił slajd.

Ciało było pocięte, owszem, ale nie w sposób, jaki sobie wyobraziła. Nie zostało poćwiartowane, tylko wypatroszone. Spod skóry zdartej z brzucha połyskiwały poplamione krwią kości. Szczur przeskoczył nad ciemnoczerwoną jamą, w której powinny się znajdować narządy wewnętrzne.

Chess nie była tak odporna jak Terrible. Ledwo zdołała chwiejnie odsunąć się od otworu, jej organizm się zbuntował, prawie pusty żołądek skręcił i zwymiotowała resztkami makaronu i coli, posiłku z targu. Oczy piekły ją od łez, z nosa jej ciekło, ale nie była w stanie się poruszyć, bo świat wirował jej pod nogami.

Demaskatorzy nie prowadzą śledztw w sprawach morderstw. Często jednak zdarza im się prowadzić dochodzenia w sprawie zbrodni związanych z uprawianiem magii, niejednokrotnie bowiem mają one wiele wspólnego z duchami. Na widok wypatroszonego ciała w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Będzie musiała przyjrzeć się temu bliżej, choć sama myśl o tym napawała wstrętem.

Terrible trącił ją w ramię, podsuwając prawie czystą szmatkę. Otarła twarz i odetchnęła głęboko.

–Dzięki.

Wzruszył ramionami, i podał jej coś jeszcze – małą czarną butelkę. Zabawne, nigdy nie sądziła, że Terrible ulega modom dotyczącym dbania o zdrowie.

–Gorzkie zioła? Przytaknął.

–Nie, dziękuję.

–Weź, Chess. To naprawdę dobra rzecz.

Zmobilizowała się i wzięła łyk. Smak nie był wcale taki zły, chociaż, oczy znów zaczęły jej łzawić. Terrible miał rację. Żołądek uspokoił się prawie natychmiast i rozjaśniło się jej w głowie. Wielu ludzi zaopatrywała się w gorzkie zioła, idąc pić albo ćpać. Podobno zapobiegały kacowi. A fakt, że kosztowały ponad sto dolarów za małą buteleczkę, też nie był bez znaczenia, kiedy chciało się przyszpować.

–Dzięki – powiedziała, oddając mu buteleczkę.

Schował ją do swojej torby i wyjął telefon. Chess nie pytała, do kogo chce zadzwonić. Ona też będzie musiała powiedzieć Bumpowi, że lotnisko Chester jest albo naprawdę nawiedzone, albo dzieją się na nim jakieś ciemne sprawy.

Mogła tylko mieć nadzieję, że to pierwsze. Walki z czarną magią nie było w umowie.

Horyzont zdążył zabarwić się na pomarańczowo zanim ponure szczątki zostały wydobyte ze studni. Chess stała, paląc papierosa za papierosem, i przyglądała się ludziom Bumpa. Udając, że są za twardzi, aby stan, w jakim znajduje się ciało, w ogóle ich obchodził, rozważali rozmaite sposoby wydobycia go. Wszystkie idiotyczne. W końcu dwóch nieszczęśników spuszczone na dół. Takie rozwiązanie rozbawiłoby Chess. gdyby ciarki nie chodziły jej po plecach.

Ciało – ściśle mówiąc, mężczyzna ze zmierzwioną brodą wciąż trzymającą się wynędzniałej twarzy – wyglądało jeszcze gorzej, leżąc na ziemi. Nieboszczyk był całkowicie nagi, pozbawiony genitaliów, a w rozcięciu na brzuchu widać było tylko żebra i kręgosłup. Nagie ramiona i nogi rozłożone na trawie niemal świeciły w gęstniejącym mroku.

Chess przełknęła ślinę i podeszła starając się skupiać wzrok na jego skórze, a nie na miejscach, gdzie skóra powinna być, ale ją ściągnięto.

–i co widzisz, biedroneczko? – Bump potrafił przybierać taką pozę, jakby o coś się opierał, nawet kiedy nie było o co. – Sądzisz, że to czary?

Sądzę, że zaraz się porzygam, pomyślała. Zakrywając ręką nos i usta, kucnęła, żeby

przyjrzeć się bliżej.

Ustalanie przyczyny śmierci nie należało do obowiązków Demaskatorów, ale jeden rzut oka wystarczył żeby odgadła, co zabiło tego człowieka.

–Rytuał ofiarny – powiedziała. Słowa ciążyły jej w ustach jak ołów, trudne do sformułowania, a ich dźwięk rozchodził się po skórze jak insekty. – Wycięli mu... – Machnęła chusteczką nad pustym koczem i zobaczyła, że twarze mężczyzn zbladły. – Prawdopodobnie spalili. To siedlisko mocy, rozumiecie? i te nacięcia na przegubach, o tutaj. To są runy.

–Co oznaczają? Pokręciła głową.

–Są czarne, co oznacza czarną magię. Dla nas zakazane. Ale nie mógł ich sobie wyciąć sam i... och!

Odskoczyli jednocześnie, jak tancerki w starym musicalu, kiedy serce nieboszczyka wykonało powolne młazzące uderzenie.

–On nie jest martwy! – wrzasnął Bump, ale Chess uciszyła go gestem, niemal zdrętwiała ze strachu.

Nie przeraziło jej to, co miała powiedzieć, ale to, co zobaczyła – run wycięty w sercu martwego mężczyzny był dokładnie taki sam, jak ten na amulecie znalezionym w trawie.

–On jest martwy – rzekła. – Ale... oni... czerpią z jego duszy. Jego dusza jest wciąż uwięziona.

Rozdział 13

*Nie ma żadnej gwarancji, że czysty,
dobrze prowadzony dom będzie
bezpieczny,*

wolny od duchów, ale po co ryzykować?

Rady pani Increase dla kobiet

–Nie kumam, jak dusza i serce mogą mieć coś wspólnego.

Terrible zmienił pas, żeby zjechać z autostrady i odwieźć Chess do domu. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się tam znajdzie. Myślała o martwym mężczyźnie – Bump rozpoznał w nim niejakiego Slipknota, kieszonkowca pracującego w dzielnicy finansowej – o horrorze, jakim były jego ostatnie godziny; o poniżeniu, jakie jego duch musiał cierpieć, i o tym, że nie jest w stanie zrobić nic, by mu pomóc. Potarła czoło, jakby próbowała zetrzeć niechcianą wizję.

–z technicznego punktu widzenia ni mają – wyjaśniła – ale dopóki w ciele tli się życie, dusza nie może go opuścić.

–Więc on nie jest martwy.

–Jest, tylko jego dusza została uwięzioną Ciało umarło, ale zaklęcie podtrzymuje życie fizyczne, żeby czerpać z jego duszy.

Terrible zastanawiał się chwilę.

–Więc rzucili zaklęcie i uwięzili jego duszę. Ona karmi magię, a magia trzyma ciało przy życiu. O to chodzi?

–Dokładnie. – Była zaskoczona że tak szybko załapał.

–a ty nie możesz mu pomóc?

–Normalnie odprawiłabym rytuał, żeby uwolnić duszę. To coś jak procedura banicyjna.

–Żeby odesłać duszę do Miasta?

–Tak – potwierdziła. – Ale w tym przypadku nie mogę tego zrobić, bo nie wiem, co to za zaklęcie.

–i dopóki zaklęcie się nie skończy, nie odeślesz jego duszy?

–Otóż to – Wypaliła tyle papierosów, że aż piekł ją język, ale nie powstrzymało jej to od sięgnięcia po następnego. – Gdybym rozkodowała ten amulet i dowiedziała się, na co jest zaklęcie, pewnie potrafiłabym je zdjąć. Ale uwalnianie duszy czasami daje odwrotny skutek. Ktoś inny może zostać wciągnięty.

–Ktoś taki jak ty?

–Właśnie.

Już ją prawie wciągnęło. Jeszcze nigdy nie wyczuwała aż takiego mroku, takiej zachłanności. To, co się działo się w Chester, było o wiele gorsze od zwykłego nawiedzenia. A ona przez głupią ciekawość coraz bardziej wplątywała się w to świństwo. Amulet schowany w torbie posmakował jej krwi. To tak, jakby go nakarmiła. Nie miała pojęcia, co z tego wyniknie. wiedziała jednak, że jeżeli zaklęcie będzie oznaczało wchłonięcie następnej duszy, to jej dusza będzie pierwszą, po którą się zgłosi. Ktokolwiek rzucił to zaklęcie, na pewno nie był głupcem ani amatorem.

Niech to szlag.

–Jak rozpoznamy zaklęcie, uwolnimy Slipknota?

–Zrobię, co będę mogła. Terrible pokiwał głową.

–Slip był w porzo. Nie zasłużył, żeby go więzić.

–Myślę, że nikt na to nie zasłużył.

–Naprawdę? – Zerknął na nią. światła deski rozdzielczej zabarwiły jego twarz na zielonkawo. – w takim razie nieźle się ustawiłaś, Chess.

Pięć godzin później, po niespokojnej drzemce przypominającej raczej dryfowanie niż prawdziwy sen, zjawiała się u Mortonów. Na ulicy nie było żywej duszy, a stojące rzędem ciemne domy wyglądały jak puste grobowce. Na podjazdach spały samochody, tylko drzewa rozmawiały szeptem z łagodnym wiatrem.

Chess postawiła torbę na kamiennej ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi i rozsunęła zamek błyskawiczny. Kościste palce próbowały chwycić jej dłoń, kiedy

wyjmowała Rączkę.

Wyjęła też wytrychy w skórzanym etui i krótką grubą świecę. Rączka zaczęła drżeć, ale uspokoiła się, kiedy jej palce zacisnęły się wokół podstawy świecy. Chess sięgnęła na dno torby po aparat fotograficzny. Zawiesiła go na pasku na szyi. Na koniec wyjęła strzykawkę pełną oleistego smaru.

Wstrzyknęła smar do zamka, wsunąwszy igłę najgłębiej, jak się dało. Niektórzy Demaskatorzy woleli spray, ale Chess – od czasu, gdy jedna z książek w torbie zaklinowała się o przycisk i wszystko przesiąkło smarem – uważała, że strzykawka jest pewniejsza i bardziej precyzyjna.

Odczekała chwilę i użyła wytrycha, starając się manipulować nim jak najciszej. Gdy usłyszała szcęknięcie oznaczające, że zamek puścił, zebrała swoje rzeczy, pchnęła drzwi i weszła do domu.

Mortonowie nie wierzyli w zostawianie zapalonych świateł, zostawiali natomiast włączone ogrzewanie, nawet w nocie takie jak ta, kiedy jesienny chłód ledwo musnął powietrze. Gorąco nie zaniepokoiło Chess, lecz brak światła owszem. Ludzie, którzy naprawdę boją się duchów, śpią przy zapalonym świetle.

–*Algha canador metruan* - wyszeptwała, pocierając zapałkę.

Płomyk rozbłysł na czubku, rzucając cienie na kremowe ściany salonu. Rączka znów drgnęła, kiedy Chess zapaliła świecę. Zdmuchnęła zapałkę i schowała ją do kieszeni.

Odprężyła się. Teraz, pod działaniem magii Rączki. Mortonowie będą spać mocniej, nie musiała więc się obawiać, że narobi hałasu.

Pełzła wzdłuż ścian salonu, obmacując czubkami palców listwy podłogowe. Przyświecając sobie latarką, zaglądała pod i za meble. Raczej na wszelki wypadek niż z konieczności.

W salonie nie było półek z książkami Najwyraźniej Mortonowie, w odróżnieniu od syna, nie lubią czytać.

Pokój był za to pełen rachitycznych mebelków – stolików z pojedynczym bibelotem na blacie i kanap na cienkich nóżkach. Pod nimi Chess znalazła tylko pokłady kurzu. Widać pani Morton nie zawracała sobie głowy sprzątaniami pod meblami.

I dobrze. Kurz był dowodem, że niczego tam nie ukrywano. Żadnych śladów kabli ani sprzętu do odtwarzania dźwięków czy filmów.

Chess przeszła do kuchni. Położyła Rączkę na blacie i zajrzała do lodówki, gdzie

znalazła mnóstwo porządnie opisanych, opatrzonych datami plastikowych pojemników. W zamrażarce leżały równie starannie opisane, owinięte folią pakiety, jeżeli nie znajdzie nic innego, przed wyjściem będzie musiała wszystkie otworzyć, żeby sprawdzić, czy zawierają tylko mięso.

Prawdopodobnie tak – na parapecie okiennym stał rząd książek kucharskich o grzbietach ponadrywanych i nieczytelnych od ciągłego używania. Chess brała je do ręki jedną za drugą i kartkowała, obojętnym wzrokiem spoglądając na fotografie wyrafinowanych potraw. *Dla miłośników mięsa... Gotować ze smakiem... Rodzinne przepisy pani Increase... Kuchnia Bankhead Spa... Zaraz, zaraz. Co?*

Bankhead Spa było kurortem, w którym spędzały wakacje gwiazdy filmowe i najwyżsi dostojnicy Kościoła – niewiarygodnie drogim, niewiarygodnie nudnym, z prywatnym promem i tabunami płaszcącego się personelu. Nie było to miejsce, w jakim spodziewałaby się optometry... A może on jest optykiem? Nigdy nie mogła zapamiętać, na czym polega różnica. Co więcej, nie było to miejsce, na jakie można sobie pozwolić. Ale właśnie zabrania w takie miejsce mogła się domagać pani Morton. Chess wiedziała, że dla ludzi, dla których takie rzeczy się liczą, byłby to nie lada powód do dumy.

Tytuł na grzbiecie nie był zatarty. Książka skrzypnęła, kiedy ją otworzyła. Całkiem nowa.

Zdecydowanie nowa – w środku był jeszcze paragon. Z września. Dwa miesiące temu.

Nic dziwnego, że wciąż mieszkali w tej okolicy. Nic dziwnego, że potrzebowali pieniędzy. Uśmiechając się lekko, Chess zrobiła zdjęcie paragonu i książki, po czym odłożyła je na miejsce. Mogło to nie być nic ważnego, ale jeśli jest ważne, każdy najmniejszy dowód może okazać się pomocny.

Chess wyjęła z torby czujnik i wsunęła go za lodówkę. Nie wykazał działania żadnego innego urządzenia elektrycznego. Posłużyła się lusterkiem na długim drucie. Czysto – w każdym razie na tyle, na ile może być czysto za lodówką.

To strata czasu, pomyślała, jednak szukała dalej. Zgodnie z procedurą ustaloną przez Kościół, gdyby bowiem miała złożyć świadectwo, z czystym sumieniem będzie mogła powiedzieć, że wszystkiego dopełniła. Szalki kuchenne były wypełnione słodyczami – nic dziwnego że Albert wygląda jak mała torpeda, a nie chłopiec – i dziesiątkami plastikowych pojemników. Czyżby pani Morton handlowała jedzeniem? Chess nie była a stanie wyobrazić sobie, dlaczego trzyosobowa rodzina miałaby magazynować żywność wystarczającą do wykarmienia całej Dolnej Dzielnicy przez rok.

Garnki i patelnie szczękały kiedy je przesuwiała, żeby pod nie zajrzeć. Piekarnik był pusty i czysty, szuflady wypełnione po brzegi przykrywkami do pojemników i sztućcami.

Kolejnym przystankiem była pralnia – właściwie mała wnęka przy garażu – gdzie znajdowała się pani Morton w chwili, gdy Albert rzekomo ujrzał zjawę po raz pierwszy. Czysta, jak i sam garaż.

Weszła po schodach na górę. słuchając głębokich, regularnych oddechów Mortonów. Ktoś chrapał tak głośno, że gdyby nie Rączka, pobudziłby innych. Dźwięk wwierał się jej w mózg jak tępy świder.

Ach, co za odkrycie! Albert ustawił swoje książki. Wszystko, od okablowania makiet po trudne teksty o animacji i montażu. Zrobiła kilka zdjęć całej półki, po czym zaczęła zdejmować książki i trzymając za grzbiety, potrząsać nimi w nadziei, że może coś wypadnie ze środka. Każdą też sfotografowała.

Następnie zajęła się szufladami. Wyglądało na to, że Albert studiował plany domu. Internujące. Zrobiła więcej zdjęć i z czystej złośliwości postanowiła sfotografować także jego dość pokaźną kolekcję pornografii. Ha! wiedziała, że taką ma.

Albert westchnął i przekręcił się na drugi bok, kiedy schyliła się, żeby zajrzeć pod łóżko. Torba z przewodami, którą zauważyła w sobotę, była tam nadal, razem przedpotopowym odtwarzaczem DVD i kolejnymi książkami o filmie i oprogramowaniu, co sugerowało, że Albert faktycznie krył się ze swoją działalnością przed rodzicami.

Między zagłówek łóżka a ścianę wetknięty był mały woreczek z czarnego aksamitu. Chess sięgnęła po niego, ale cofnęła rękę, pewna, że nie ma w nim nic elektrycznego. To tylko magiczny woreczek, talizman, którego nie chciała otwierać.

W większości domów znajdowała tego rodzaju przedmioty, ale żaden z nich nie zaniepokoił jej tak jak ten. Może to kwestia zmęczenia, a może wciąż szarpała jej nerwy myśl o martwym mężczyźnie znalezionym na lotnisku? Tak czy inaczej, coś podpowiadało jej, że nie jest to magia dozwolona, żaden podstawowy urok ochronny na bezpieczny sen. Nie sprawiało to nawet wrażenia magii, jaką pracownicy Kościoła upoważnieni są czynić.

Trąciła woreczek czubkiem buta, próbując rozluźnić sznurek, którym był ściągnięty. Na próżno. Sznureczek zawiązano na supeł i zapieczętowano woskiem.

Włożyła rękawiczki chirurgiczne – po zdarzeniu i amuletem unikała wszelkiego ryzyka – i zapaliwszy zapałkę, przysunęła białą porcelanową miseczkę, żeby ściekał do niej roztopiony wosk. Albert wybełkotał coś m przez sen.

–Co to jest, Albercie? – spytała bardzo cicho.

–Ja nie chciałem – odpowiedział. Chess spojrzała na niego uważnie. Spal nadal.

–Jestem pewna, że nie chciałeś – szepnęła – łagodnie, gasząc zapalkę. Większość czarnego wosku spłynęła już do miseczki. – Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Westchnął.

–Byłem głodny i nie miałem pieniędzy, a lubię czekoladę i...

No cóż. Po prostu ukradł batonik Ze sklepiu przy szkole. Wielka rzecz...

Mamrotał coś jeszcze, podczas gdy ona otworzyła woreczek i wysypała jego zawartość do innego naczynia. Zrobiła pospiesznie kilka zdjęć. Czarna sól, szpon kruka, kawałek różowej nitki z supełkami... nic niezwykłego. Mógł to być niekonwencjonalny zestaw na bezpieczny sen, oczywiście w dozwolonych granicach – osobisty i nie oddziałujący na nikogo innego. Tylko dlaczego skóra jej cierpła, dlaczego miała poczucie, jakby coś wielkiego, czarnego i ostrego miało na nią spaść zniecka?

Drżącymi rękami czym prędzej wsypała wszystko do woreczka, zapieczętowała go z powrotem i wepchnęła za zagłówek. Chciała stąd wyjść. Chciała opuścić ten dom, w którym nagle zrobiło się duszno i pełno było oczu.

Takich jak oczy zakaputrzonej postaci stojącej w drzwiach i przyglądającej się jej.

Poderwała się tak gwałtownie, że wpadła na stół przy łóżku, uderzając kolaniem o jego kant. Lampa spaliła na podłogę i rozbiła się, kiedy Chess usiłowała wcisnąć się w ką, żeby lepiej widzieć tajemniczy kształt.

Wydawał się zbudowany z ciemności – całkowity brak światła zaznaczał kontur jego szaty, czy cokolwiek to było, który wił się i falował. Nie dostrzegała niczego, co pozwalałoby zdefiniować formę poza wąską, bladą twarzą i potwornie czarnymi głębiami oczu.

Uśmiechał się, ukazując ostre zęby, za dużo zębów. Haczykowaty nos, cienki i krzywy, zwieszał się jak stalaktyt pośrodku, twarzy.

Powinien być płaskim obrazem, projekcją filmową pochodzącą z jakiegoś otworu w ścianie, jak wydało jej się za pierwszym razem, kiedy go zobaczyła. Rzecz tym, że nie był. Czowała go, czowała nieobecność człowieczeństwa i świadomość usiłującą wtargnąć w jej ciało.

Jego dłoń zmaterializowała się, wyciągnięta w kierunku Chess. Nie był to gest

blągania, lecz groźby. Szedł po nią i nie było dla niej ucieczki.

Chess wydawało się, że stoi tak wieje godzin, podczas gdy jego oczy wwiercają się w jej ciało, a sama jego obecność plami jej duszę, ale minęło zaledwie kilka chwil, zanim się poruszył, tak szybko, że nie była w stanie śledzić tego ruchu. Na ułamek sekundy znikł, tylko po to, aby się pojawić znowu, o kawałeczek bliżej, jakby w świetle lampy stroboskopowej.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Próbowwała poruszyć, ale były jak wrośnięte w pokrytą cienką, wykładziną podłogę.

Znalazł się jeszcze bliżej, przy łóżku Alberta, który mamrotał przez sen i kręcił się pod przykrywającym go kocem. Teraz dostrzegła także drugą rękę tej Istoty, również wyciągniętą w jej stronę, z zakrzywionymi palcami gotowymi zacisnąć się na jej gardle. Skóra w tym miejscu już ją paliła. Płuca walczyły o dopływ powietrza. Zabije ją i tyle, nie ma możliwości przed nim uciec. Zwłaszcza że cholerne stopy nie chcą jej słuchać.

Następny ruch. Stał na łóżku Alberta, zagłębiany w nim po uda, jakby tonąc w ruchomych piaskach.

I kolejny. Już był w rogu pokoju. I znów. Teraz wisiał pod sufitem, drażniąc się z nią, zmuszając ją do szaleńczego rozglądania się po pokoju w poszukiwaniu go.

Nóż w tylnej kieszeni uwierał ją. Sięgnęła za siebie i zacisnęła na nim palce. Dłoń przeszył ból. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że od kilku minut czuła pulsowanie.

Jako broń nóż byłby bezużyteczny, ale trzymając go przed sobą, czuła się pewniej, kiedy wykradała się z kąta.

Zjawa ukazała się tuż obok niej, tak blisko, że mogła dostrzec czerwoną kropelkę spadającą z ostrej krawędzi wilczych zębów. Chess krzyknęła i zamachnęła się nożem, ale on znowu zniknął w podmuchu lodowatego chłodu.

Z bólem w piersi wyskoczyła z pokoju i zaczęła biec w dół po schodach. Mógł być na tych schodach. Mógł być wszędzie. W nieprzeniknionej ciemności nie widziała nic, mogła tylko czuć jego dłonie na swojej szyi, kiedy po upadku z kilku ostatnich stopni wylądowała na wyfroterowanej drewnianej podłodze.

Był na drugim końcu pokoju. Był wszędzie w tym domu, w jej głowie. Wnętrze dłoni bolało ją tak straszliwie, jakby miało eksplodować. Bolały ją ramię i kolana, na które upadła. Nieważne. Musi się stąd wydostać, wyjść na chłodne świeże powietrze, wrócić do świata, który istnieje na zewnątrz tego domu grozy.

Dopiero gdy się tam znalazła, kiedy kuląc się na ulicy, ocierała łzy z twarzy,

zorientowała się, że zostawiła w środku Rączkę i swoją torbę, i wszystko inne.

Rozdział 14

Nieistnienie bogów jest faktem i nie

trzeba

ani w to wierzyć, ani wątpić.

Kościół oferuje ochronę,

zatem Kościół ustanawia prawa.

Księga Prawdy, Artykuły Początkowe

1641

Lex z rękami wetkniętymi w kieszenie patrzył na dom Mortonów.

–Co mam przynieść?

–Rękę. Martwą rękę. Jest na podłodze w sypialni po prawej, na górze. Weź ją i moją torbę i przynieś tutaj, dobrze?

–Nie wiem, czy chcę dotykać ręki jakiejś martwej czarownicy, tulipanku. Bez obrazy.

–To nie jest ręka czarownicy, tylko skazanego mordercy, i jest nieszkod... nieważne. Zrobisz to dla mnie czy mam zadzwonić po kogoś innego? Zostało już mało czasu do wschodu słońca.

Chess spodziewała się, że Lex przejrzy jej blef. Nie było nikogo innego, po kogo mogłaby zadzwonić, Doyle'a wykluczyła od razu, a numeru Terrible'a wciąż nie miała. Zdecydowała się na Lexa. On przynajmniej nie będzie rozповідаł od rana w całym Kościele o jej śmiesznej ucieczce. Może była niesprawiedliwa wobec Doyle'a, ale nic jej to nie obchodziło w sytuacji, kiedy na samą myśl o powrocie do tego domu cała drżała.

–No dobra, zrobię to. – Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. – Ale dostanę coś w zamian.

–Zgoda. Tylko idź wreszcie po moje rzeczy.

Patrzyła, jak niespiesznie idzie chodnikiem i znika w domu. Jeżeli stamtąd wyjdzie,

będzie chciał czegoś w zamian. Gdyby była szczerą wobec siebie, musiałaby przyznać, że wiedziała to już w chwili, kiedy do niego dzwoniła.

I może właśnie dlatego zadzwoniła. Nie była to uspokajająca myśl, ale większość jej myśli w ostatnich dniach nie była uspokajająca. Jej umysł zdawał się bez końca obracać kawałki potłuczonej wazy, których nie potrafiła poskładać. Lotniska i samoloty widma, i runy. I trup, i oczy – te czarne oczy, których wzrok palił jej ciało do głębi... Dlaczego jej nie zabił?

Oparła się o swój samochód i rozejrzała. W oknie domu stojącego w głębi ulicy zabłysło światło – jakiś ranny ptaszek zaczynał nowy dzień. Przyjechała tu koło trzeciej. Teraz było nie później niż piąta, ale niebo nad horyzontem zaczynało błękitnieć, kominy na jego tle wyglądały jak czarne zęby.

Co, do cholery, zajmuje mu tyle czasu? Przecież to nie jest żaden pałac, tylko jednopiętrowy dom w stylu kolonialnym.

Może duch... Nie, to mało prawdopodobne. Lex nie bał się w tunelu, więc chociaż ta istota w domu była gorsza, znacznie gorsza, Chess wątpiła, czy mogłaby zrobić na nim wrażenie.

Prawdę mówiąc, na żadnym Mortonów zjawa nie robiła większego wrażenia. Ale widmo, które zobaczyła w sypialni Alberta, w najmniejszym stopniu nie przypominało tego, które opisała pani Morton. Żadnych szarych szmat udrapowanych na bezkształtnej formie i zdecydowanie był to mężczyzna. Czy ten dom nawiedza więcej niż jeden duch? Jeżeli tak, czemu tylko ona widziała postać w czerni?

I dlaczego jej nie zabił? Bo nie był prawdziwy – to jedyna możliwa odpowiedź, jedyne, co miało sens. Duch nie był prawdziwy, a ona wzięła tyle prochów, że sama już nie wiedziała, co czuje. Potarła czoło i nasadę nosa Cholera, zaczyna się gubić. Potrzebuje snu, musi odstawić speedy i wrócić do normalności.

Pojawił się Lex, trzymając w jednej ręce jej torbę, a w drugiej Rączkę. Wyraz obrzydzenia na jego twarzy w innych okolicznościach byłby zabawny.

–Nic przyjemnego nosić taką rzecz do pracy – zauważył. – Nie wiem, jak ty to robisz.

–Przyzwyczałam się.

Wrzuciła torbę do samochodu, a Rączkę umieściła na siedzeniu pasażera. W normalnych okolicznościach zdmuchnęłaby świecę bezpośrednio po wyjściu z domu Mortonów, ale zrobiło się późno, więc uznała, że lepiej będzie najpierw się oddalić. Z zaczarowanego snu ludzie budzą się gwałtownie, a ona nie chciała ryzykować, że ją zobaczą.

Lex stał przez chwilę, przyglądając się jej.

–Jedziesz do domu?

–Taki mam zamiar.

–Nie spytasz, co mi jesteś winna?

–Zakładam, że sam mi powiesz.

Nie miała ochoty rozpinać džinsów i pokazywać mu tatuażu na ulicy, ale zrobi to. Obiecała spełnić jego życzenie, a biorąc pod uwagę całą sytuację, to było całkiem nieszkodliwe.

–No tak. – Skinął głową, nie odrywając wzroku od jej twarzy. – Myślę, że mam pomysł.

Przełknęła ślinę.

–Jaki?

–Dotykanie tej ręki, wiesz, nie było przyjemne. Zasłużyłem na nagrodę, prawda?

Przysunął się bliżej, tak blisko, że widziała każdą jego rzęsę i czuła zapach papierosów w jego oddechu. Jej serce przyspieszyło.

Jedną ręką objął ją za szyję, delikatnie, z kciukiem pod brodą. Drugą przesunął po jej plecach w dół. Została uwięziona między samochodem a jego ciałem, ale to nie było groźne, czy raczej nie było w tym złych zamiarów.

–Myślę, że cię pocałuję, tulipanku – wymruczał. – Jak ci się to widzi względem długu?

Chess otworzyła usta, ale nie zdążyła odpowiedzieć. Zawładnął jej ustami z pewnością siebie mężczyzny, który wie, że jego pocałunek jest miłe widziany. Poczowała lęk, kiedy uświadomiła sobie, że Lex ma rację.

Gorąco rozeszło się po jej ciele, kiedy jego język wślizgnął się do jej ust, znalazł jej język, powitał go i znów zostawił.

–No to jesteśmy kwitą – powiedział Lex, odsuwając się. Drzwi jego samochodu otworzyły się z cichym kliknięciem. Wsiadł. – Dzwon i informuj mnie bieżąco, dobrze?

Znów nie zdążyła odpowiedzieć, bo natychmiast odjechał ulicą, na której było coraz widniej.

Skręcając z autostrady w swój zjazd, Chess zobaczyła wysoką smugę dymu. Nie było w tym nic zaskakującego. Średnio raz w miesiącu przewracała się komuś metalowa beczka z paleniskiem albo jakiś ćpun odlatywał z zapalonym papierosem w pustostanie, w którym koczował, i opuszczony budynek stawał się budynkiem zniszczonym. Odrapane, osmalone mury, między którymi tkwiły gdzieś całe budynki, milcząco zaświadczały o nędzy Dolnej Dzielnicy. Nie miał kto płacić za wywóz gruzu. Nie miał kto inwestować w budowę nowych domów. I nikt tak naprawdę nie opłakiwał umarłych.

Rzecz jasna, od nikogo się tego nie spodziewano, nie w takim znaczeniu, jak Przed Prawdą Ciała spopieliano, a dusze odprowadzano do Miasta, gdzie były trzymane. Ci, którzy chcieli, mogli, za odpowiednią sumę, komunikować z nimi przy pomocy kościelnych łączników. Wszystko ściśle według procedur, kontrolowane przez Kościół równie precyzyjnie jak każdy aspekt życia od czasu Nawiedzonego Tygodnia trzy lata temu. Ściśle mówiąc, nieco ponad dwadzieścia trzy lata. Rocznica minęła przed kilkoma tygodniami.

Chess nie miała siły rozpamiętywać, jak bardzo była zajęta podczas Festiwalu, ani w ogóle myśleć o czymkolwiek. Była cała obolała ze zmęczenia. Głowa sprawiała wrażenie wypełnionej watą, a dłoń cały czas nieznacznie pulsowała. Pragnęła snu niemal tak silnie jak następnego cepta.

Jej rozklekotany samochód wyeksploatowany do cna, ale nie mogła sobie pozwolić na nowy – dotelepał się opustoszałymi ulicami do miejsca parkingowego o pół kwartału od budynku, w którym mieszkała. Wzięła torbę i Rączkę i ruszyła do domu.

Minęła główny hol, który kiedyś był nawą.

I zaczęła wchodzić po schodach, ale zatrzymała się w połowie pierwszej kondygnacji. Spotykała tu czasami ludzi chroniących się przed deszczem czy zimnem albo przed uzbrojonymi napastnikami, lecz chłopiec siedzący ze zwieszoną głową na półpiętrze do nich nie należał.

–Chess – odezwał się wysokim głosem, nie pokazując twarzy. – To ty?

–Co tu robisz, Mózgu?

–To ty? – powtórzył, rozglądając się bacznie, jakby się bał, że coś może wyskoczyć ze ściany i go zaatakować.

Jego nerwowość zaniepokoiła Chess. Jeżeli ktoś go ścigał, nie chciała być w to zamieszana. Z drugiej strony nie potrafiła wyrzucić go na ulicę. To przecież jeszcze dziecko. Cholera.

–No dobra – powiedziała, wymijając go. – Chodź.

Miała wrażenie, jakby nie była w domu od tygodni. Niemal spodziewała się zobaczyć grubą warstwę kurzu pokrywającą meble. Czy raczej grubszą niż zazwyczaj.

Mózg zamknął za sobą drzwi i stał w korytarzu, przestępując z nogi na nogę. W jego szczupłej twarzy wielkie oczy wyglądały jak błyszczące szklane kulki.

–Co jest Mózgu? Co się stało?

–Garbus. On... on słyszał o tamtej nocy. Chyba Terrible mu powiedział. Jest na mnie wściekły, Chess. Mówi, że nie chce mnie znać... – Zamrugnął gwałtownie, tłumiąc łzy.

Cholera.

–Co Terrible mu powiedział?

–Chyba był zły. Bo Garbus rozpowiada, że Chester jest nawiedzone i w ogóle. Teraz Garbus wszystko zwała na mnie. Mówi, że nie mam pomysłu. – Za duży na niego czarny płaszcz wybrzuszył się na ramionach, kiedy chłopak skrzyżował ręce na piersi. – Nie mam dokąd iść. Mogę się u ciebie przespać? Tylko parę godzin, co? Potem znajdę nowe miejsce. Znam tu innych ludzi, ktoś mi pomoże. Ale teraz wszyscy śpią.

Chess podejrzewała, że nie powiedział całej prawdy. Przecież nie miał powodu się spodziewać, że ona nie będzie spała tak jak inni, a jednak tu przyszedł. Poza tym jego squat znajdował się dobre dwadzieścia przecznic stąd. Długa droga do przejścia przez niebezpieczną Dolną Dzielnicę.

–Możesz tu zostać – powiedział, stawiając torbę na kuchennym blacie. – Ale tylko chwilowo. Nie wprowadzasz się, rozumiesz?

–Dzięki. Chess. Nawet nie zauważysz, że ja...

–Nie zauważę, bo nie będziesz tu wystarczająco długo, żebym zdążyła. Możesz spać na kanapie. Niczego nie rusza, kumasz? Niczego.

Skinął głową.

–i nie mów nikomu. Jak wszedłeś do budynku?

–Zamek w tylnych drzwiach puścił.

–Co to znaczy puścił?

–Majstrowałem w nim tylko chwilę i puścił.

–Włamałeś się?

–a to źle?

Westchnęła. Gdyby jej sytuacja finansowa nie była taka fatalna, zapłaciłaby za wymianę zamka i nowe klucze dla wszystkich mieszkańców. Musi coś wymyślić, bo zostawienie tylnych drzwi bez zabezpieczenia nie wchodziło w grę.

Zaraz przecież zawsze nosi ze sobą gwoździe. Mocne żelazne gwoździe, stanowiące dodatkową ochronę przed duchami. Całkiem niezłe tymczasowe zabezpieczenie. Gorzej w razie pożaru, ale prawdopodobieństwo włamania było dużo większe. Prawdopodobieństwa, że żadne z tych zdarzeń nie zajdzie, nie próbowała oszacować.

–Tak, miałeś się nie włamywać, ale trudno, stało się. Możesz to naprawić, zanim pójdziesz spać. Dam ci gwoździe i młotek, a ty zamkniesz drzwi i zablokujesz zamek.

–Nie masz czegoś do jedzenia? Żołądek mi się skurczył. Nie pamiętam, kiedy coś tam wrzucałem.

Chess zignorowała jego pytanie i położyła na blacie kilka gwoździ. Patrząc na ich ostre czubki, przypomniała sobie, że powinna napełnić strzykawkę, więc wyjęła spod zlewu butelkę oleju.

–Chess, mam kilka dolarów, mogę się dołożyć...

–Zajrzyj do lodówki, ale wiele tam nie ma.

Rzeczywiście nie było. Mózg wgapiął się w pustą lodówkę, jakby miał nadzieję, że w magiczny sposób pojawi się w niej czterodaniowy posiłek. Kiedy się nie pojawił, spytał:

–Mogę piwo? Wzruszyła ramionami.

–Jeśli chcesz. Mnie też podaj.

No cóż, to nie był jej dzieciak, a pewnie robił już znacznie gorsze rzeczy niż wypicie piwa. Wiele dzieciaków młodych od niego przedawkowywało każdego dnia.

Podał jej piwo.

–Mogę cię o coś spytać?

–Jasne.

Napełniła strzykawkę i położyła na blacie. W jej torbie panował straszliwy bałagan, przedmioty magiczne były przemieszane ze zwykłymi. Naprawdę powinna zrobić z tym porządek, a trudno o lepszy moment niż teraz. Z jakiegoś powodu nie miała ochoty i usiąść. Może chodziło o nieoczekiwaną obecność dzieciaka w mieszkaniu, a może bała się, że jeśli to zrobi, uśnie.

–Spróbujesz wygnać te duchy z Chester?

–Dlaczego pytasz?

–Mózg oparł się o ścianę naprzeciwko i wbił wzrok w podłogę.

–Bo ciekawi mnie to, co robisz. To jest dobre, prawda? Dobra magia wypędza duchy.

–Ogólnie rzecz biorąc. Kościół nie praktykuje czarnej magii.

–Ale ty tak?

–Co to za pytanie, Mózgu? Czy ty coś wiesz o tym lotnisku?

Jego oczy zrobiły się okrągłe.

–Nie. Jestem tylko ciekawy.

Kłamał Przecież mówił, że bywał tam wcześniej. Wtedy w piątek, przy Terrible'u.

–Czy coś tam widziałeś? – drążyła. – Widziałeś, jak coś się tam stało?

–Nie! Nigdy wcześniej tam nie byłem i niczego tam nie widziałam.

Jego palce zaciśnięte na butelce zrobiły się białe.

–Mnie możesz powiedzieć – przekonywała. – Jeżeli coś widziałeś, to może być ważne, Naprawdę ważne. – Zamilkła na moment. – Założę się, że Bump byłby wdzięczny, gdyby to pomogło mu otworzyć lotnisko. Może nawet dałby ci pracę.

–Terrible mnie nienawidzi.

–Terrible wcale cię nie nienawidzi, a gdyby nawet... to polubi cię, jeśli pomożesz Bumpowi Nie chciałbyś pracować dla Bumpa? Mieć Terrible'a za przyjaciela? Mógłbyś powiedzieć Garbusowi prosto w oczy, żeby się bujał, a on nie mógłby cię tknąć.

Wyraz lęku zaczął ustępować z twarzy Mózga.

–Tak myślisz?

–Jasne. Jeżeli coś wiesz, powinieneś mi powiedzieć. To może być ważne. A ja... U mnie będziesz bezpieczny. Możesz tu zostać tak długo, jak będzie trzeba.

–z tobą?

Nadzieja malująca się na jego twarzy była jak strzała prosto w serce. Ileż razy w dzieciństwie marzyła, żeby znaleźć się gdzieś, gdzie nikt jej nie skrzywdzi, albo mieć taką moc, że nikt nie mógłby tego zrobić.

Teraz była praktycznie nietykalna dzięki swojej pozycji w Kościele. Nic dziwnego, że dzieciak przyszedł do niej.

–Tak, ze mną.

–Naprawdę?

–Naprawdę, Mózgu.

Z jego ust wydobyło się długie westchnienie Skinął głową.

Chess wzięła swoje piwo.

–Chodźmy do pokoju, usiądziemy i wszystko mi opowiesz, dobrze? Wszystko, co widziałeś.

Pukanie do drzwi przestraszyło ich oboje. Miesiącami nikt jej nie odwiedzał a teraz miała dwóch gości naraz, i to pieprzonym bladym świtem. Super.

Doyle trzymał w ręka białą papierową torebkę.

–Pomyślałem, że może masz ochotę na śniadanie.

Rozdział 15

*Zabrania się komukolwiek spoza Kościoła,
wpisywać moc w swoją skórę.*

*Dopuszczalne są jedynie tatuaże
dekoracyjne.*

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 420

Uznawszy jej milczenie za zgodę, przepchnął się do środka.

–Nie spałem i pomyślałem, że ty też nie... W nocy poszłaś do Mortonów, tak?... więc pomyślałem, czemu nie. Poza tym chciałem się dowiedzieć, jak tam twoja ręka. Oczyszczałaś ją?

Zaczął wykladać zawartość torebki na kuchenny blat. Powietrze wypełniła woń sody do pieczenia zmieszana z zapachem wystygłej kiełbaski. Chess nie poczuła się ani trochę głodna.

W pierwszym odruchu chciała go wyprosić, ale przypomniała sobie, że Mózg musi coś zjeść. Skoro Doyle tak bardzo pragnie kogoś nakarmić, może nakarmić jego. Gdy chłopak się naje, Doyle sobie pójdzie, a ona będzie mogła wreszcie wysłuchać, co Mózg ma do powiedzenia. A gdyby Doyle miał coś przeciwko, tym gorzej dla niego. Przyjście tutaj bladym świtem było wyjątkowo bezczelne.

–Jak się dostałeś do budynku?

–Ktoś akurat wychodził. – Rzucił jej pytające spojrzenie.

–Coś nie tak? – No... nie... ale właśnie chciałam...

–Chess? – Mózg stał pośrodku pokoju, bledszy niż zwykle. – Muszę już iść. Nie gniewaj się, zapomniałem, że mam coś zrobić...

–Ale jest dużo jedzenia, a potem możemy porozmawiać.

–Nie! Naprawdę muszę iść, wpadnę kiedy indziej.

–Mózgu, nie...

Był na dole, zanim zdążyła wyjść na korytarz, żeby go zatrzymać.

–Jasna cholera!

–Kto to?

Wzruszyła ramionami. Teraz została sam na sam z Doyle'em. I z górą jedzenia.

–Taki tam dzieciak. Powiedział... Zresztą nieważne.

–Wyglądał na zdenerwowanego.

–Szef go wylał.

–i chciał o tym porozmawiać? Ale dlaczego przyszedł do ciebie?

Otworzył szafkę, znalazł talerze, każdy inny, i wyjął dwa z trzech, jakie miała.

–Chyba wiedział, że będę na nogach.

–To tak jak ja.

Posłał Chess jeden ze swoich zabójczych uśmiechów i wyminął ją, niosąc do pokoju talerze z jedzeniem.

–No właśnie, co do tego...

–Chcesz mi powiedzieć, że nie życzysz sobie, żebym przychodził niezapowiedziany, tak?

Rozsiadł się na środku kanapy, tak że gdyby ona też chciała usiąść, musiałaby go dotykać.

–Coś w tym rodzaju.

–Przepraszam, ja po prostu... chciałem z tobą porozmawiać, ale nie przez telefon ani na terenie Kościoła.

–Dlaczego?

Przysiadła na poręczu kanapy zaciekawiona wbrew sobie. Nigdy nie słuchała plotek.

–Znasz Bruce'a Wickmana?

–Wiem, kto to jest.

Szlag by to trafił. Prawdopodobnie chodzi o rozmowę Bruce'a z Prastarszym, którą podsłuchiwała sobotniego ranka.

–Wickman twierdzi, że Miasto szaleje. Bardziej niż zwykle po Festiwalu. Podejrzewa, że może coś się szykuje.

–Rozmawiał o tym z Prastarszym? Doyle skinął głową.

–Tak, ale on mu nie uwierzył. A Bruce naprawdę się boi. Przez dziesięć lat, odkąd jest Łącznikiem, nigdy czegoś takiego nie widział. Powiedział, że źle śpi i widzi różne rzeczy. Znaczący sny.

Chess uniosła brwi. Była coraz bardziej zaintrygowana, ale nie chciała tego okazywać.

–I?

–Myślę, że Bruce ma rację, ja też mam ostatnio kłopoty ze snem. Tak samo Dana Wright i parę innych osób.

Dana była Demaskatorem, jak Chess i Doyle. Łącznicy miewali problemy z duchami – bywali śledzeni lub nawet opętani, kiedy duch nie chciał ich zostawić po dokonaniu łączności – ale Demaskatorzy...

–Randy trochę panikuje – ciągnął Doyle. – Chciał spać u mnie zeszłej nocy, twierdził, że ma jakieś koszmary. Typowe, co?

Chess roześmiała się.

–Myślę, że Randy ma po prostu trudny okres. Może robota daje mu w kość. Przez jakiś czas go nie było.

–a ty? Czy też masz kłopoty ze snem? – Doyle nachylił się do niej. – Wyglądasz, jakbyś była zmęczona.

–Ja nigdy dobrze nie śpiam.

–Ale zwykle nie wyglądasz aż tak źle.

Wyprostowała się na poręczu kanapy, żeby znaleźć się trochę dalej od Doyle'a.

–Dzięki.

–Nie zrozum mnie źle. Ja tytko... Bruce uważa, że coś się dzieje. Pomyśleliśmy, że gdybyśmy się zebrali w parę osób i spróbowali ustalić, o co chodzi, moglibyśmy zgromadzić dość dowodów, by zmusić Prastarszego do wysłuchania nas.

–i chcecie mojej pomocy.

Przytaknął.

Mówiąc, że nigdy nie sypia dobrze, nie kłamała. Zawsze miała problemy ze snem, co uniemożliwiało stwierdzenie, czy obecne kłopoty to tylko reakcja na stres ostatnich dni, czy coś więcej.

–Jest jeszcze coś – Doyle zniżył głos i rozejrzał się, jakby szpiedzy Kościoła mogli się chować za telewizorem. – Miałem koszmary. Bardzo realistyczne. Widziałem... nie. Pomyślisz, że oszalałem.

–Już myślę, że oszalałeś.

–Ale Bruce też go widział. W swojej kuchni.

–Widział kogo?

–Jeszcze jedno niespokojne spojrzenie.

–Człowieka w todzie. Człowieka widmo.

Cholera, cholera, cholera!

Po grubej kresce pokruszonego nipa czuła, że jakoś sobie poradzi bez snu przez następne parę dni, to jednak nie zmieniało faktu, że nie mogła zasnąć. Czy powodem były informacje od Doyle'a, czy coś innego... nie wiedziała, ale sen kpił sobie z niej, kiedy leżała w łóżku przykryta po szyję i trzęsa się, chociaż w pokoju wcale nie było zimno. Patrzyła jak godziny mijają na zegarze, aż słońce wczesnego popołudnia zajrzało przez wąskie okno jej sypialni.

Gdzie jest Terrible? Znalazła kartkę, którą Bump dał jej razem z następną torebeczką, i spojrzała na wyblakłe cyfry. Numer siedemnasty. Cel znajdował się przecznice od domu.

To było głupie potknięcie w głupiej robocie, której nie mogła wykonać przez głupiego Lexa.

Albo nie tylko przez głupiego Lexa. Cokolwiek widziała w domu Mortonów, czymkolwiek było to, co zdaniem Doyle'a nękało pracowników Kościoła – zaczynała myśleć, że i tak nie zdołałaby sobie z tym poradzić. Gdyby poprzednia noc miała o czymś świadczyć, to rzeczywiście nie. Kościelna czarownica wzywa kogoś, żeby wyniósł jej rzeczy z nawiedzonego domu.

Grupka nastoletnich bandytów w czarnych bandanach i obcisłych lateksowych

spodniach zbliżała się w jej stronę, formując tyralierę, jakby szykowali się do ataku. Pewnie się szykowali. Nie nawiązując z nimi kontaktu wzrokowego, Chess zsunęła z ramion poprzecierany szary kardigan, żeby odsłonić tatuaże. Zwarli formację. Mogli nie bać się Kościoła, ale nie byli głupi i wiedzieli, że jedyna kościelna czarownica w dzielnicy pracuje dla Bumpa, a jego bał się każdy.

Strach nie przeszkodził im na nią gwizdać i wygłaszać obleśnych komentarzy, co całkowicie zignorowała. Niestety nie mogła zignorować wszystkiego innego, zostać w domu i na haju posłuchać płyt. Albo chociaż zająć się bieżącym zleceniem. Powinna przeprowadzać wywiad z Mortonami, zamiast pętać się po ulicach w poszukiwaniu salonu tatuażu, a potem dorastającego chłopca.

Przynajmniej salon było łatwo znaleźć, wystarczyło iść przed siebie, a gdy poczuje zapach pomady do włosów Murraya, skręcić w lewo.

–Szukam Terrible'a – powiedziała do jednego? wypomadowanych ochroniarzy przy drzwiach.

Z wnętrza budynku dobiegały odgłosy pospiesznej krzątania, nie całkiem zagłuszone, przez płytę Sonics nastawioną na cały regulator. Ochroniarz ledwo uniósł wzrok znad paznokcia, który przycinał nożem sprężynowym.

–Masz do niego interes?

–Tak.

–No, lala, nie próbuj mi ściemniać, bo... Z zaplecza dobiegł grzmiący głos Terrible'a:

–Skończ tę zabawę, Rego, i wpuść ją.

Rego rzucił okiem w tamtą stronę i wreszcie spojrzął na Chess, Nie naciągnęła z powrotem swetra, więc zobaczył jej tatuaże.

–o cholera – mruknął. – Więc ty z tych.

Chess nie raczyła się odezwać. Minęła go i weszła do środka, gdzie było stosunkowo ciemno, więc musiała zatrzymać się na moment, żeby przyzwycząić oczy. Znow zgubiła okulary przeciwsłoneczne.

Woń dymu mieszała się z odorem męskiego potu i charakterystycznym ostrym zapachem tuszu. Między zdjęciami z wzorami tatuaży dostrzegła na ścianie puste miejsce. To wyjaśniało gorączkową krzątanie. W salonie tatuowano także nielegalne maciczne symbole zastrzeżone dla Kościoła – takie jak te, które pokrywały jej ramiona i pierś i dzięki którym była rozpoznawalna. Robienie sobie takich tatuaży było jak proszenie się o spotkanie z rozpaloną do białości sztabą żelaza służącą do

ich usunięcia. Chess wzdrygnęła się, ale uznała, że to nie jej sprawa. Stanie na straży prawa o charakterze innym niż moralne należało do innego departamentu – polityki, nie religii.

Gabinet bardzo się różnił od tego, w którym otrzymała swoje tatuaże podczas ceremonii oficjalnego pasowania jej na Demaskatora. Tamten był utrzymany w kolorze jasnego błękitu i pusty, jeśli nie liczyć stołu i przyborów artysty. Ci, którzy razem z nią przechodzili inicjację, oraz kilkoro starszych Demaskatorów, wzmacniali inkantacjami energię w pomieszczeniu do momentu, aż jej świadomość była gotowa przejść na inny poziom, a ona sama nie czuła już bólu zadawanego igłą ani wypełniającej ją palącej mocy.

–Co powiesz, Chess? – Terrible wyrwał ją z zamyślenia. Uniosła głowę. Siedział z nagim torsem na odchylonym do tyłu fotelu.

Nie zdawała sobie sprawy, ile ma tatuaży poza pokrytą nimi w całości lewą ręką i małym napisem na nasadzie szyi. Miał wytatuowane również barki, lewy bok od pachy do pasa i nawet podbrzusze.

–Chciałabym... – przerwała, zdumiona tym, co widzi.

–Co?

–Ja... co ty sobie robisz?

Patrzyła z fascynacją i odrobiną niesmaku, jak artysta wykonujący tatuaże zdziera cienki pasek skóry z pleców Terrible'a.

–Jeszcze jeden – powiedział, a Terrible zerkał na niego przez ramię i skinął głową.

–Co to jest, do cholery? – spytała.

–Blizna, Chess. Poczekaj, najlepsze jeszcze przed tobą.

–To może być coś lepszego?

Artysta uniósł lśniący srebrny skalpel i pochylił się. Terrible zmarszczył brwi, ale milczał, gdy nacinał mu i oddzierał następny pasek skóry, a potem zatamował krew gazą.

–Więc jak? – Terrible zwrócił się do Chess. – u ciebie wszystko w porządku?

–No... – Artysta sięgnął po miskę czegoś, co wyglądało jak popiół. Patrzyła, jak wciera to pełnymi garściami w ranę, którą właśnie zrobił. – Widziałeś tego dzieciaka, Mózga?

–Nie. A bo co?

–Chcę go znaleźć. Przyszedł do mnie dziś rano i powiedział, że Garbus go wykopał, ale...

–Kurwa. – Wściekłość rozlała się po twarzy Terrible'a jak melasa. – Niezły z niego kutas. Mówiłem mu, żeby nie winił dzieciaka. Muszę z nim pogadać. Idziesz ze mną?

–Gotowy? – Artysta stał za plecami Terrible'a, kołysząc się na piętach, jakby nie był pewien, czy powinien uciekać, czy udawać, że wszystko w porządku.

Chess nie miała mu tego za złe. Sama chętnie by uciekła. Nogi jej ścierpły, serce waliło jak oszalałe. Była wytrącona z równowagi i nie potrzebowała mieć przed sobą stu pięćdziesięciu kilogramów wściekłego faceta.

–Działaj. – Terrible zacisnął pięści na oparciach fotela.

Artysta zbliżył się, trzymając w dłoni coś, co wyglądało jak jednorazowa zapalniczka, i opuścił kciuk.

Palce Terrible'a stężały, kiedy proch strzelniczy wpakowany w jego otwartą ranę rozbłysnął ostrym, ścinającym tkanki płomieniem, Chess wydała wysoki pisk, który zawstydził ją, jeszcze zanim wyszedł z jej ust. Obaj mężczyźni taktownie to zignorowali. Albo wzięli go za oznakę aplauzu, albo przestraszyli się tego, co mogłaby zrobić, gdyby ją wyśmiali – co było bardziej prawdopodobne. Większość ludzi miała przesadne wyobrażenie o posiadanych przez nią mocach – dopóki nie byli martwi, niewiele mogła im zrobić. Rzecz jasna, nigdy nie wyprowadzała ich z błędu. Po co pozbywać się takiego zabezpieczenia?

Patrzyła, jak artysta ustawia dwa lustra, żeby Terrible mógł się obejrzeć z tyłu. Jej też udało się coś uchwycić – linie, coś jakby skrzydła? Lustro przesunęło się za szybko, żeby mogła być pewna, ale Terrible był wyraźnie zadowolony. Przynajmniej nie wyglądał na wściekłego bardziej niż zwykle, kiedy artysta wsmarowywał maść antybiotykową w ranę i zakładał opatrunek.

Po raz pierwszy zobaczyła Terrible'a bez koszuli. Już zaczynała traktować jego koszule z krótkimi rękawami jak pancerz, a pozbawiony ich... no cóż nadal wyglądał jak czołg.

Wyjątkowo atrakcyjny czołg. Tatuaze i blizny zdobiły jego nagą skórę, plama gęstych czarnych włosów na piersi cienką linią do pasa, a niżej były twarde mięśnie, wyrzeźbione ciężką pracą, a nie zabawą na siłowni.

Terrible spojrział na nią spod uniesionych brwi i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że się na niego po prostu gapi. Zażenowana, zaczęła się wpatrywać we własne

paznokcie. Podniosła wzrok, dopiero gdy usłyszała, że Terrible się żegna.

Razem przeszli obok tego Rega i znaleźli się na jasnej ulicy. Terrible założył okulary przeciwsłoneczne, kiedy tylko przestąpił próg.

–Czy Mózg wciąż jest u ciebie? – spytał.

–Nie, zmył się – odparła i zrelacjonowała całe spotkanie z chłopcem. – Myślę, że widział ludzi, którzy zabili Slipknota. Może nie samo morderstwo, ale zabójców tak.

Terrible oparł się o swój samochód i potarł brodę. Kolce jego bransolety na ramieniu i gruby srebrny łańcuch na nadgarstku błyszcząły w słońcu.

–Na to wygląda – orzekł wreszcie. – Ale nie wiem, gdzie chłopak się zamelinował. Masz jakiś pomysł?

Chess pokręciła głową.

–Chyba trzeba pogadać z Garbusem – powiedział Terrible z uśmiechem, od którego przeszły ją ciarki.

Rozdział 16

I stłoczyli się w miastach, próbując

liczbą przytłoczyć umarłych,

lecz spostrzegli, że to daremne.

Księga Prawdy, Artykuły początkowe 120

Opony chevelle'a zapiszczały na znak protestu, gdy Terrible szarpnął kierownicę w prawo i skręcił z poślizgiem przed magazynami przy dokach, w chmurze kurzu i przy Devil Dogs ryczących swoje 354. Samochód zatrząsał się od trzaśnięcia drzwiami.

–Chyba naprawdę się martwisz – zauważyła Chess. – o Mózga – dodała czym prędzej, widząc jego groźne spojrzenie.

–Wcale nie.

–To dlaczego jesteś taki wściekły?

Musiała prawie biec, żeby za nim nadążyć, kiedy szedł wielkimi krokami do budynku.

–Garbus miał pilnować szczeniaka – rzucił. – Kumas, Chess? Ten dzieciak nas zobaczył. A nie potrzebujemy, żeby ktoś jeszcze o tym się dowiedział, prawda?

–Powiedział, że on nie... – zaczęła, ale Terrible nie słuchał.

Drzwi pokryte łuszczącą się farbą koloru niedojrzałych jagód były uchylone. Otworzył je na oścież jednym szarpnięciem i wpadł do środka. Chess za nim.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła, że Terrible już przystąpił do akcji. Zacisnął potężną dłoń na gardle mężczyzny, który nie mógł być nikim innym, tylko Garbusem, przypierając go do odrapanego stadowego filaru pośrodku przestronnego pomieszczenia. Chess zmarszczyła nos – w magazynie śmierdziało jak z kratki ściekowej w siłowni.

–Gdzie Mózg?

–Ja... ja nie... – Garbus zamrugał wybałuszonymi ze strachu oczami, z których każde miało inny kolor. – Nic nie wiem.

Terrible podniósł go wyżej.

–Co ja ci, kurwa, mówiłem. Garbus? Nie mówiłem trzymaj chłopaka przy sobie? Nie mówiłem, pilnuj go?

–No... ale nie mówiłeś, że nie mam go ukarać za to że poszedł... – Zdanie zakończyło się zduszonym bełkotem, bo Terrible zacieśnił uchwyt wokół jego szyi.

–Ukarać to nie znaczy wykopać go na ulicę. Nie pilnujesz, nie robisz, co ci się, kurwa, mówi. Trzeba ci przypomnieć?

Pięść Terrible'a wylądowała na twarzy Garbusa, zanim zdążył otworzyć usta, żeby odpowiedzieć. Chess zmusiła się, żeby się nie ruszać, nie oddychać, nie robić nic, kiedy Terrible zaczął metodycznie tłuc Garbusa.

Już widziała skutki jego gniewu – jego sumiennego wypełniania obowiązku – raz czy dwa, kiedy ktoś wkurzył Bumpa albo był mu winien pieniądze. Ale nigdy nie widniała go bezpośrednio w akcji, nie widziała jego pozbawionych emocji ruchów, jakby robił rachunki przy biurku albo oglądał niezbyt interesujący film w telewizji. To ją przeraziło.

Nie była jedynym widzem. Kilkoro żałośnie chudych nastolatków nieokreślonej płci stało obok niej, przyglądając się z rozdziawionymi ustami, jak ogolona głowa Garbusa odskakuje przy każdym ciosie. Krew trysnęła łukiem z jego ust i rozprysła się na podłodze, stając się czarna w zetknięciu z warstwą kurzu. Wczepił palce w koszulę Terrible'a, jakby się bał, że upadnie na ziemię.

Trwało to niespełna minutę, ale Chess wydawało się znacznie dłużej, a ściślej mówiąc, wyobrażała sobie, jak długo to musiało trwać dla Garbusa.

–i co, Garbus? Następnym razem będziesz słuchał, co ci się mówi?

Garbus coś wybełkotał i gorliwie pokiwał głową.

–No to gdzie śpi Mózg, kiedy nie jest tutaj? Gdzie się melinuje?

Tym razem Garbus pokręcił głową.

–Nie wiem – słowa zabrzmiały jak zduszone przez moką szmatę – Nie mówi mi.

Jeden z dzieciaków wysunął się do przodu, zwijając w dłoni skraj swojego T – shirta na tyle, że Chess mogła nabrać niemal całkowitej pewności, że to dziewczynka.

–Hm... Terrible? Psze pana?

–No?

–Czasem Mózg chodzi do Ducka. Wie pan, gdzie? Psze pana?

–Za Pięćdziesiątą Trzecią?

Dziewczynka przytaknęła. Z okrągłymi oczami i sterczącymi włosami w kolorze strażackiej czerwieni wygadała jak szmaciana lalka wyciągnięta ze śmietnika.

Terrible pchnął Garbusa, który upadł z głuchym odgłosem, i wyprostował się.

–Myślisz, że teraz tam jest?

Dziewczynka cofnęła się w pośpiechu, jakby myślała, że ją też uderzy, jeżeli źle odpowie.

–Nie wiem, ale często tam chodzi. Mówi, że tam jest dla niego bezpiecznie.

Terrible skinął głową.

–Dzięki, mała. Masz jakieś imię?

Dziewczynka cofnęła się jeszcze kawały, kręcąc głową. jedno z dzieci szturchnęło ją.

–Powiedz mu, Loose!

Dziewczynka spojrzała spode łba, po czyni odezwała się piskliwym głosem:

–Lucy, psze pana.

–A, Lucy, no to masz. – Terrible wygrzebał z kieszeni zmięty banknot dziesięciodolarowy. – Kup sobie coś do jedzenia, mała... Lucy zawahała się.

–No bierz. Nic ci nie zrobię. Wszyscy wyglądacie na zagłodzonych. Garbus, zacznij karmić te szczeniaki, słyszysz?

Banknot zniknął z jego ręki jakby w magiczny sposób To Lucy chwyciła go i odskoczyła, po czym wepchnęła do kieszeni.

–Dzięki, psze pana. Terrible kiwnął głową.

–Jak ci nie da jeść, znajdź mnie. Naprawdę, Lucy. Tak, mała?

Lucy przytaknęła.

**–No to w porządku. – Terrible trącił Garbusa czubkiem buta i zwrócił się do Chess.
– Spadamy stąd.**

Zły humor przesłaniał twarz Terrible'a jak chmura dymu, kiedy bez słowa prowadził samochód jasnymi ulicami. Chess zerknęła na niego parę razy, ale on patrzył prosto przed siebie.

–Miło, że to zrobiłeś – odezwała się w końcu. – Że powiedziałeś tej dziewczynce, żeby do ciebie przyszła.

Wzruszył ramionami.

–Garbus prosi Bumpa o robotę, mówi, że musi się opiekować tymi dziećmi. No to Bump pozwala Garbusowi działać, a Garbus pozwala, żeby dzieciaki były głodne. To nie jest dobrze. Muszą jeść, jak mają pracować.

–Nie wiedziałam, że z Bumpa taki filantrop.

Łypnął na nią złym okiem. Ups.

To taka osoba, która zajmuje się dobroczynnością i...

–Wiem, co to znaczy.

–Och, przepraszam.

Znów skręcił, wjeżdżając coraz głębiej w nieznaną Chess część miasta. Jak większość mieszkańców Dolnej Dzielnicy, wolała trzymać się własnego podwórka. Nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać na obcej ulicy.

Tutaj też było targowisko, takie jak w Dolnej Dzielnicy, tylko gorzej zorganizowane. Chevelle przemknął koło stoisk z szalami i srebrem, ubraniami i telefonami komórkowymi, minął paleniska ze sterczącymi nad nimi rożnami. Przez otwarte okno napłynął zapach pieczonego mięsa i Chess uświadomiła sobie, że jest głodna.

Jeszcze bardziej głodna zrobiła się, gdy Terrible zatrzymał wóz na końcu ulicy przed stoiskiem grillowym. Był to tylko zwykły, czarny grill beczkowy, ale nie pamiętała, kiedy coś pachniało jej równie kusząco. Pomarszczony mężczyzna za prowizoryczną ladą skinął głową, widząc Terrible'a wysiadającego z samochodu.

–Siema, stary – powiedział, przewracając długi rząd steków zardzewiałą łopatką. – Jesz dziś u mnie? Co chcesz?

–Może później – odparł Terrible, otwierając drzwi Chess. Była to kolejna uprzejmość, której się nie spodziewała. Po prostu była tak zafascynowana widokiem poruszających się jak tłoki, lśniących od potu ramion. faceta od grilla, że nie pomyślała, żeby wysiąść. – Znasz Mózga? Jednego z dzieciaków Garbusa?

–Ano znam. Nawet widziałem go niedawno, jak chcesz wiedzieć. Był nieźle wystraszony. Nie ma kłopotów z tobą, mam nadzieję?

–Nie, nie ze mną. Próbuję go znaleźć. Facet od grilla wzruszył ramionami.

–Poszedł dalej tym rzędem. Chyba do Ducka.

Obrzucił Chess taksującym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

–Dzięki.

Po raz drugi tego dnia Chess szła za Terrible'em, ale tamta ulica była szeroka i zalana słońcem, a tu było ciemno i miało się wrażenie, jakby zapadła noc. Narzuciła sweter na ramiona i spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Nic dziwnego, że jest głodna i niespokojna. Sięgnęła do torby po pudełko z pigułkami.

Terrible poczekał, aż połknie cepta i popije go wodą, i ruszył dalej, kiedy tylko zakręciła butelkę.

–Zaraz robi się ciemno – powiedział. – Lepiej wrócić przedtem do samochodu.

–Gdzie my jesteśmy?

–Koło Chester, tylko z drugiej strony, Przy dokach. Te doki w nocy to nic dobrego.

Przeszedł ją dreszcz. W miarę jak posuwali się w głąb uliczki, robiło się coraz ciemniej, jakby słońce nigdy tu nie dochodziło. Na końcu Terrible skręcił w lewo, w jeszcze węższy zaułek. Ściany z wilgotnych zmurszałych kamieni utrzymywała drucziana siatka i śmierdziało jak spalony nocnik.

W dodatku nie widziała końca uliczki. Skręcała w prawo i Chess miała dziwne wrażenie, że zwęża się i kończy ślepo. Cept połknięty na pusty żołądek szybko przeniknął do krwi, nie był jednak w stanie całkowicie uspokoić jej nerwów. Nawet w towarzystwie potężnego Terrible'a czuła się nieswojo. Mózg tędy szedł? Ten chudy, blady dzieciak przechodził przez tę obrzydliwie cuchnąca ciemność zupełnie sam?

Kiedy była mała, często myślała, że dzieci w rodzaju Mózga mają lepiej od niej. Już tak nie uważała – dwa różne rodzaje nędzy wciąż są tylko nędzą. Wątpiła, aby Mózgowi udało się dożyć wieku, w jakim jest bez zbrukanego ciała, połamanych kości, zmiażdżonego ducha. To samo dotyczyło jej, ale ona przynajmniej na ogół wiedziała, z której strony spodziewać się zagrożenia.

Żałowała, że wyszedł z jej mieszkania.

Znów skręcili, tym razem w prawo, Chess zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze

tu będą, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się stąd wydostaną. Mała swój nóż i wiedziała, że Terrible jest uzbrojony po zęby, ale jakoś nie dodawało jej to otuchy.

Wreszcie dotarli do prowizorycznych drzwi z obłamanego kawałka sklejki w otworze jakby w murze. Terrible otworzył je i weszli do środka.

Jedynym oświetleniem dawał pojedynczy płomień, jeśli nie liczyć coraz bledszych promieni słońca usiłujących przedrzeć się przez zarosłe brudem okna. Gdzieś tam szyba była stłuczona i światło dostawało się do środka, ale natychmiast przegrywało nierówną walkę z mrokiem.

Pomieszczenie wypełniały ciała, skulone jedno przy drugim pod ścianami i bezładnie leżące na podłodze.

Niektóre młode, inne stare, wszystkie okryte łachmanami i sztywnymi kocami.

–Czego tu szukacie? – rozległ się gniewny głos i Chess odwróciła się, stając twarzą w twarz z niskim mężczyzną trzymającym świecę. W jej świetle wydawał się wyższy, jego skóra lśniła, jakby był wyrzeźbiony z mahoni. – Bump nie ma potrzeby przysyłać do mnie ludzi.

–Znasz Mózga?. Mężczyzna – Duck? – nawet nie mrugnął.

–Nie mogę powiedzieć, że znam. Terrible uniósł otwarte dłonie.

–Nie chcę nikomu zrobić krzywdy. Chłopak może mieć kłopoty, ja i ta pani chcemy tylko mu pomóc. Ona może go wziąć do siebie, będzie miał dom.

–Odkąd to Bump interesuje się dziećmiakami?

–To nie Bump się interesuje, tylko ta pani. Chcesz, żeby Mózg był bezpieczny to powiedz mi gdzie on jest.

Chess czuła, że powinna się odezwać, ale te zawody w długości sikania rozgrywane między dwoma mężczyznami były zbyt fascynujące, aby je przerywać.

–Chcę mieć na to twoje słowo, Terrible: a ona to co za jedna?

Terrible już otworzył usta, ale Chess była szybsza. Podobał jej się ten człowiek i musiała zrewidować swoje wcześniejsze przemyślenia. Mózg miał zdecydowanie więcej szczęścia niż ona. Droga do tego miejsca może była przerażająca, ale kiedy już się tu dotarto, było bezpiecznie.

–Cesaria Putnam. Jestem Demaskatorem z ramienia Kościoła.

Błysk zrozumienia rozjarzył oczy Ducka.

–Jesteś tą kościelną czarownicą Bumpa.

–Nie, jestem Cesaria i to nic ma nic wspólnego z Bumpem.

Nie była to do końca prawda, ale znów nie na tyle od niej odbiegła, żeby nie mogła patrzeć mu prosto w oczy. Niezależnie od tego, czy zaangażowała się w to przez Bumpa, Mózg widział, co się zdarzyło na lotnisku, więc i tak był w niebezpieczeństwie.

–Mózg jest tam – powiedział Duck po dłuższej chwili, przez którą uważnie się jej przyglądał. – w kącie, z tyłu.

Po tych słowach rozległo się ciche westchnienie, Chess kątem oka dostrzegła jakiś ruch, a kiedy spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła tył głowy Mózga znikający za ciemną klapą w ścianie.

Rozdział 17

Przychodzili z cmentarzy, z pól

bitewnych

dawno zarosłych, z lasów i jezior

(...)

zapomniani umarli znów szli i szukali

zemsty.

Księga Prawdy, Artykuły początkowe

18

Serce niemal wyskoczyło jej z piersi, miała wrażenie, jakby do nóg ktoś jej przywiązał ołowiane ciężary. Dopiero wtedy przestali biec. Mózg zniknął w plątaninie zaułków i budynków, zapadła ciemność, ale Chess było już prawie wszystko jedno. Zrobiło się późno, była niewyspana, nip już dawno przestał działać, chciało się jej jeść i zmarzła.

Terrible pokręcił głową.

–Będziemy szukać dalej, jeśli chcesz – wysapał.

–Nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

–Ja też nie, ale możemy spróbować.

–Cholera, jeśli ty nie wiesz, gdzie go szukać, skąd ja miałabym wiedzieć?

Uśmiechnął się.

–Nie masz tych tam, magicznych zdolności?

–Och, jasne. Czekał, wyślę tylko w powietrze trochę magicznego proszku, żeby go znalazł.

Jego śmiech nie zabrzmiał tak skrzekliwie, jak wcześniej.

–Zrób to. Chcę to zobaczyć.

Postali jeszcze krótką chwilę, czekając aż krew im ostygnie. Chess nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Żaden z budynków nie wyglądał znajomo, a nigdzie nie było nazw ulic.

–Może by tak coś zjeść, Chess? Nie jesteśmy wcale daleko ód mojej bryczki.

Obiad z Terrible'em? Właściwie czemu nie. Pewnie zostaną obsłużeni szybciej, niż gdyby była sama, a poza tym nie miała specjalnie ochoty zostać bez towarzystwa.

–Dobra.

Skręcił w lewo i zrobił parę kroków, ale Chess zamarła. Ciarki przeszły jej po skórze.

Takie odczucia mogły mieć tylko jedną przyczynę.

–Czekaj – mruknęła, sięgając do torby.

Po tym, co spotkało ją i Lexa ostatniej nocy, wrzuciła do torby trochę asafetydy i ogólnocmentarnego pyłu. Nie były tak skuteczne, jak środki spersonalizowane, ale mogły zadziałać. Skąd się biorą te wszystkie duchy? Poza panem Dunlopem to był już drugi w ciągu trzech dni, a to nie było normalne.

Co tak Wzburza duchy w Dolnej Dzielnicy?

Początkowo tylko wyczuwała jego obecność, ale kiedy wyteżyła wzrok, wpatrując się w cienie na końcu uliczki, zaczął się z nich wyłaniać kształt. Najpierw czapka, zatknięta zawadiacko na czubku głowy. Potem rysy twarzy, niewyróżniające się niczym, ale kompletne, wreszcie ramiona, tors i nogi.

Duch miał na sobie coś, co przypominało dwurzędową marynarkę, jednak bardziej dopasowaną niż te, które widywała wcześniej, a na biodrach lekko rozszerzaną. Nieco powyżej piersi, z lewej strony był widoczny niewielki jaśniejszy obszar, a po chwili uformował się także pas.

Z ustami rozchylonymi w gniewnym grymasie duch zaczął powoli zbliżać się w jej stronę. Za nim podążał następny, podobnie ubrany i z takim samym wyrazem twarzy. Nie był to właściwie gniew, ale raczej potrzeba.

Oni czegoś chcieli i Chess nie miała wątpliwości, że tym czymś będzie jej głowa na tacy, jeżeli nie zadziała szybko.

Obok niej poruszył się Terrible. Wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać.

–Nie!

Mimo ostrzeżenia poruszył się znowu, ale nie miała czasu na niego spojrzeć, bo usiłowała właśnie otworzyć woreczek z cementarnym pyłem i zaczerpnąć garść. Poczwała na skórze dotyk ziemi, chłodnej i pełnej mocy, ale nawet kiedy wyjęła rękę z woreczka, duchy tkwiły nieruchomo i przestały na nią patrzeć.

Patrzyły na Terrible'a. Jednocześnie uniosły prawe ręce, po czym znikły.

–Co jest? Jak to zrobiłeś?

Terrible odchrząknął i opuścił rękę, którą przedtem salutował.

Wzruszając ramionami otworzył menu.

–Po prostu się domyśliłem – powtórzył. – Pomyślałem, że może jak zobaczą, że okazujemy im szacunek, to się wycofają.

–Nie wiem, jak mogłeś się tego domyślić.

–Mieli na sobie mundury.

–Więc to byli... – przerwała. Duch; którego spotkali z Lexem w tunelu, był ubrany podobnie. – Nie wiedziałam.

–To wy nie musicie się uczyć takich rzeczy?

–Nie. Siły Zbrojne to osobny wydział. Mają własnych Demaskatorów.

–To znaczy, że nie umiesz odprawić duchów żołnierzy?

Chess zapaliła papierosa.

–Och, myślę, że bym umiała. To się robi tak samo, tyle że nie wolno by mi było próbować. Kiedy duch zostaje rozpoznany jako wojskowy, oni przejmują sprawę. Ponieważ były duże problemy z jeńcami wojennymi podczas Nawiedzonego Tygodnia, uznano... chcieli mieć ludzi specjalnie wyszkolonych.

Kelnerka przerwała im, żeby przyjąć zamówienie – burgery z frytkami dwa razy – i odeszła. Na zewnątrz ulica budziła się do życia. Dzielniczki kursowały w tę i z powrotem w obcisłych kciakach i butach na chwiejnych wysokich obcasach; służusy Bumpa czatowały na rogach z kieszeniami wypchanymi towarami; bandy nastolatków pętały się bez celu, szukając guza. Dolna Dzielnica ożywiała się co wieczór koło dziewiątej i ruch panował aż do brzasku, mimo że większość sklepów zamykano o jedenastej.

–Jak długo zajmujesz się tą robotą?

–Trzy lata, prawie cztery. Zaczęłam szkolenie dziewięć lat temu. Zaczyna się w wieku piętnastu lat, a potem, kiedy skończy się dwadzieścia jeden, zostaje się zatrudnionym. Albo nie. Jeden dzieciak z mojej klasy nie przeszedł.

–Co to za szkolenie?

–Hm... – Czy naprawdę go to ciekawi? Wyglądał na zainteresowanego, a rozmawiało się z nim łatwiej, niż mogłaby przypuszczać, coś jednak kazało jej zachowywać rezerwę. – To coś jak normalna szkoła, tylko jest więcej magii i wiedzy zawodowej. No wiesz, jakie zioła służą do czego, jak kierować energią i ją kontrolować, rytuały banicyjne, przyzywanie, z tym że tego mamy nie robić. Są też zajęcia z ożywiania, zwykłego gromadzenia energii i oczyszczania terenu.

–Nie mieszkasz tam. Dlaczego? Myślałem, że wy musicie mieszkać w tych chatkach.

–Ja nie chciałam.

–Tak po prostu?

–No, tak. – Wypuściła smugę dymu i dodała: – Ja... miałam pewne problemy z mieszkaniem na terenie, więc pożyłam podanie o zezwolenie na przeprowadzkę. Nie jestem dobra w sytuacjach grupowych, to wszystko.

–Straciłaś rodzinę w Nawiedzonym Tygodniu?

–a ty nie?

–Nie wiem, Chyba bym pamiętał, ale... nie pamiętam żadnej rodziny.

–Ile ty właściwie masz lat? Wzruszył ramionami.

–Jestem starszy od ciebie, ale o ile, nie jestem pewien. Pamiętam Nawiedzony Tydzień, no, może rok albo dwa przedtem. Czyli jakieś dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem. Coś koło tego.

Chess ucieszyła się, że kelnerka przyniosła im jedzenie. Miała teraz na czym skupić wzrok. Nigdy by nie przypuszczała, że Terrible jest tak młody, chociaż nie wiedziała czemu. Wcale nie wglądał staro; nie był siwy, był po prostu... taki duży. Myśl, że jest jej bliski wiekiem, była niepokojąca, tak jakby stawał się przez to bardziej prawdziwy. Odchrząknęła i sięgnęła po hamburgera.

–a jak tam Amy? Gdzie jest dziś wieczorem?

–w porządku. Pewnie gdzieś wyszła.

–To znaczy, że nie wiesz?

–Nie jestem do niej przyczepiony.

Musiała przełknąć spory kęs, zanim mogła odpowiedzieć, co trochę załagodziło sytuację.

–Ja tylko pytam.

–Ona nie jest moja, jarzysz? Znam laskę i tyle.

–Już dobrze, przepraszam, coś mi się, zdawało. W porządku?

Przez chwilę sprawiał wrażenie jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego zabrał się do jedzenia. To tyle, jeśli chodzi o rozmowę. Chess też jadła, rozglądając się przy tym po sali. Nigdy tu nie była, chociaż znajdowali się niedaleko jej mieszkania. Nie sprzedawali tu na wynos, a ona rzadko miała chęć jeść w miejscu publicznym. Na pewno warto tu wrócić, pod warunkiem, że tak przyrządzony hamburger jest, tutejszym standardem, a nie częścią specjalnego menu przygotowanego dla Terrible'a.

Było nawet czysto, co też o czymś świadczyło. Nic dziwnego, że sala szybko zapełniła się klientami. Niektóre twarze rozpoznawała – handlarze z Targowiska, facet mieszkający po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko jej domu, zacieniona twarz z węglami zamiast oczu, na wpół zakryta czarnym kapturem...

Hamburger wypadł jej z ręki.

–Chess? Co się dzieje? Chess?

Ledwo go słyszała przez ryk wypełniający jej uszy. Nogi jej drżały, kiedy próbowała wstać, sztywne palce macały w poszukiwaniu torby, chociaż wiedziała, że na nic się to nie zda. Czymkolwiek czy kimkolwiek to było, wymagało czegoś więcej niż odrobiny ziół i ziemi, żeby dać się odprawić. Musiałyby wejść w układ z Doyle'em i innymi, przedstawić sprawę Prastarszemu...

–Chess! Co ty widzisz?

Zerwała się od stolika, wpadając na kelnerkę niosącą ciężką tacę. Krawędź tacy uderzyła ją w żebra, kelnerka zatoczyła się z piskiem.

Zakapturzonego mężczyzny nie było.

Chess rozglądała się po sali, nie wierząc własnym oczom. Ukazał się, a potem tak po prostu zniknął? Czy ją śledzi? Unosi się nad nią niewidzialny, kiedy przez cały dzień przemieszcza się po mieście?

Nie, nie mógłby. Musiałaby go wyczuć.

Ale teraz go nie wyczuła, prawda?

Nogi się pod nią ugięły, chwyciła się brzegu stołu, żeby nie upaść. Dopiero wtedy zauważyła, że Terrible i kelnerka rozmawiają, że potrąciła kobietę, że koktajl waniliowy z tacy oblał jego koszulę.

***** Na widok rysunku na karteczce jej
serce podskoczyło w piersi. Ani słowa,
nic, lecz rysunek tulipana wykonany
czarnym tuszem mogła zostawić tylko jedna
osoba.**

Terrible był najwyraźniej zbyt dyskretny, żeby zadać pytanie – pracując dla Bumpa, musiał się nieźle wyćwiczyć w niedostrzeganiu różnych rzeczy – ale jego gęste brwi podjechały do góry. Złożyła karteczkę i wsunęła do tylnej kieszeni dżinsów.

–Zdejmij tę koszulę i daj mi – zwróciła się do Terrible'a.

–Upiorę sobie w domu, Chess, nie martw się.

–Nie chcę, żeby została plama. Dawaj, tyle przynajmniej mogę zrobić.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem Biała plama na jego czarnej koszuli drwiła z niej, przypominała, że straciła panowanie nad sobą, że traciła je odkąd zobaczyła zjawę w sypialni Alberta Mortona. Nie potrafiła wymazać wspomnień ani związanego z nimi wstydu – chociaż była w stanie je przesłonić, otwierając pudełeczko z pigułkami, ale mogła sprać plamę z koszuli Terrible'a.

Wreszcie wzruszył ramionami i zaczął rozpinać guziki.

–Skoro tak ci na tym zależy, to się tym zajmij.

Ruszyła do łazienki. Terrible w białym podkoszulku poszedł za nią. Pomieszczenie wydawało się kurczyć wokół niego. Kiedy usiadł na brzegu wanny stopami niemal dotykał przeciwległej ściany Na jego dżinsach również widniały białe rozpryski, jakby bawił się wybielaczem.

–Może powinieneś mi dać też... hm. Spojrzał po sobie.

–Lepiej w nich zostanę, dobra?

–Pewnie. Oczywiście.

Zaatakowała płamę mydłem w płynie, w którym prała własne ciuchy. Zapieklą ją prawa dłoń – już niemal zapomniała o ranie, tak ładnie się goiła.

–Nieźle ci idzie z tym praniem – zauważył Terrible. – Może zacznę ci przynosić wszystkie moje ciuchy, co?

Z zaskoczenia aż odjęło jej mowę. Terrible umie żartować?!

–a może jeszcze cerujesz? Rozdarłem sobie coś o płot, pamiętasz.

–Cha, cha. – Biała plama zeszła. Wypłukała koszulę i namydliła ponownie, dla pewności. – Nie sądzę żebym była w tym dobra. To nie moja działka, kapujesz?

–Za mało niebezpieczne?

–Ja nie szukam niebezpieczeństw.

–Akurat. Gdyby cię to nie kręciło, to byś nie weszła do tej studni. Dlaczego w takim razie robisz tę swoją robotę, mieszkasz tutaj i kupujesz prochy od Bumpa?

–Po prostu... to znaczy,, po prostu.

–Policzki ją paliły. Nie powinna była pozwolić mu tu przyjść. Powinna była wysłać go do domu, żeby sam sobie uprał swoją głupią koszulę.

–To nic złego. Niektórzy potrzebują, żeby było ostro, żeby dobrze się pocuć. Inaczej to tak, jakbyśmy nic nie czuli, co nie?

–Koszula gotowa. – Podała mu ociekający wodą tłumoczek, niczego nie pragnąc bardziej, niż żeby sobie poszedł. – Wyźmij, dobra? Wciąż mam trochę sztywną rękę.

Nie protestując przeciwko zmianie tematu, odwrócił się. Woda ściekała do wanny raz za razem, aż koszula była prawie sucha. Wyglądała, jakby została przeciągnięta przez ucho igły.

–Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc – powiedział mając nadzieję, że zrozumie aluzję i pójdzie. Gotowy do zapalenia skręt i pigułka wołały ją niecierpliwie. – z tymi duchami z armii.

–Nie z armii. – Co?

Terrible był już w kuchni z ręką na klamce, gotowy do wyjścia.

–Te duchy nie były z armii – wyjaśnił – tylko z lotnictwa Widzieliśmy pilotów.

Rozdział 18

Ci, którzy próbują podważyć autorytet

Kościola

poprzez własną wiarę, zostaną

ukarani,

a wyrokiem dla nich będzie śmierć.

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 40

Obraz mężczyzny w kapturze – nazwanego przez Doyle'a „człowiekiem, który jest koszmarem” – tkwił jej przed oczami, kiedy próbowała zasnąć. Nie był obecny fizycznie w jej mieszkaniu, a zarazem tam był. Nawiedzał ją. Kpił z niej. Ilekroć zaczynała odpływać, pojawiał się i ścigał ją w głąb snu, aż się budziła. Nie chciał dać jej spokoju mimo łagodnego światła i cichych dźwięków płynących z telewizora.

Już dawno wstała z łóżka, bo leżąc w nim, miała poczucie, że jasne ściany małej sypialni zamykają się nad nią. Pokój dzienny wydawał się bezpieczniejszy, tak jakby kolorowe światło wpadające przez witrażowe okno uświęcało tę przestrzeń, chociaż wiedziała, że czegoś takiego nie ma.

Przeniesienie się na kanapę wprawdzie nie pomogło jej zasnąć, kiedy jednak wytrych zaskrobał cicho w zamku drzwi wejściowych, usłyszała to natychmiast.

Nóż jest... Cholera! Gdzie jest jej nóż? Czy go gdzieś w łazience, kiedy prała koszulę Terrible'a?

Zamek szczęknął. Niech to, szlag.

Zsunęła się z kanapy i ruszyła na czworakach do łazienki. Nawet jeśli nie było tam noża, przynajmniej żyłki. Były...

Pchnęli drzwi z takim impetem, że usłyszała, jak pęka tynk, kiedy klamka uderzyła w ścianę, i wpadli do pokoju. Niewyraźny zarys wielkich czarnych sylwetek w kapturach dotarł do jej świadomości, zanim ją dopadli. Jeden złapał ją w pasie i chwycił za głowę, a drugi przykląkł i unieruchomił nogi, żeby nie mogła kopać. I tak próbowała.

–Gdzie to jest? – Głos, który zabrzmiał w jej uchu, był pozbawionym akcentu

sykiem.

Głowę miała przyciśniętą do ramienia napastnika, ręce i nogi unieruchomione. Mięśnie ją bolały od żelaznego uścisku ich dłoni.

Nie miała pojęcia, czego od niej chcą.

–Gdzie to jest? – powtórzył, rozluźniając chwyt na tyle, żeby mogła otworzyć usta.

Nie namyślając się, rzuciła głową w przód i w tył. Ból przeszył jej potylicę, kiedy rąbnęła napastnika w zęby.

Jęknął i zatoczył się, puszczając ją. Upadła na klęczącego mężczyznę, który wciąż trzymał ją za nogi. Rąbnęli o podłogę, aż się zatrzęsła.

Chess zgięła prawą nogę i kopnęła, trafiając mężczyznę z ukosa w szyję. Cios nie był wystarczająco silny, żeby go unieszkodliwić, nie miała jednak czasu na poprawkę. Nie musiała uciekać, potrzebowała tylko bronii, żeby zdobyć przewagę. Napastnicy nie byli uzbrojeni. Gdyby byli już by o tym wiedziała.

Jeden chciał ją złapać, ale walnęła go łokciem w brzuch i uskoczyła w bok. Do kuchni. Zostawiła nóż w kuchni.

Zadrapała się boleśnie; o krawędź blatu. Odbiła się od niego jak kulka we flipperze, ale zdołała utrzymać; równowagę. Byli tuż za nią, ich ręce już dosięgały końców jej włosów. Dopadli ją przy zlewie. Koniuszkami palców dotknęła trzonka noża, ale nie zdołała go uchwycić. Sięgnęła przez blat i myślała, że jej się uda, lecz pierwszy napastnik złapał ją za gardło i pchnął tak mocno, że uderzyła głową w kran.

Biła go pięściami, próbowała kopać, ale przycisnął ją biodrami do zlewu, unieruchamiając dolną część jej ciała. Machnęła ręką w bok, przesuważąc nóż w cień koło mikrofalówki, żeby nie był widoczny.

–Powiedz tylko, gdzie to jest – wyszeptał. Kątem oka widziała, jak drugi podnosi poduszki na kanapie i wyciąga książki z półek. – Tylko powiedz i pójdziemy.

–Nie wiem, o czym mówisz.

Nie widziała jego oczu, bo pod kapturem miał naciągniętą na twarz czarną pończochę. Zacisnął palce na jej gardle.

–Nie kłam!

Prawą ręką przesunęła wzdłuż krawędzi zlewu i dalej, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Jej palce trafiły na coś zimnego i twardego, gładkiego i okrągłego.

Strzykawka. Wypełniona gęstym, oleistym smarem.

Miała dwie możliwości. Albo spytać napastnika, czego chce, ryzykując, że to go tylko bardziej rozzłości i wcale nie odwróci jego uwagi. Albo też się przyczyaić i czekać, aż rozluźni uchwyt na tyle, żeby mogła zadać mu cios. Wybrała to drugie.

Gdy mężczyzna w pokoju wydał okrzyk triumfu, jej przeciwnik odwrócił głowę w tamtą stronę. Chess w ułamku sekundy napięta mięśnie, szykując się do ataku... Zacisnęła palce wokół stalowego cylindra.

Zwrócił się z powrotem w jej stronę akurat w chwili, kiedy uniosła rękę. Wbita mu igłę w szyję, trzymając strzykawkę pod kątem i mając nadzieję, że nawet jeśli nie trafi w żyłę, i tak zrani go wystarczająco, żeby unieruchomić. Palec jej nie zadrżał, kiedy naciskała tłok, aplikując mu całą zawartość. Jednocześnie wierzchem prawego nadgarstka uderzyła go w nos. Głowa odskoczyła mu do tyłu, zatoczył się i znów odwrócił się do niej.

Otworzył usta, ale zanim zdążył krzyknąć; zwałił się na posadzkę jak worek kamieni.

Ten, który przetrząsał pokój, słysząc odgłos upadku rzucił się w stronę kuchni, Chess obróciła się błyskawicznie. Jakieś dziwne uniesienie zastąpiło strach. Z nożem w dłoni od razu poczuła się pewniej. Stała na lekko ugiętych nogach, trzymając przed sobą ostrze i czekając na niego.

Lex był pierwszy.

Jak i dlaczego zjawił się u niej, nie miała pojęcia, ale poruszał się tak, jakby dokładnie wiedział, co się dzieje. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął długi, cienki nóż, a drugą ręką chwycił napastnika za włosy.

Tamten zamachnął się pięścią, ale zamarł w pół ruchu, kiedy ostrze zagłębiło się w jego szyi. Otworzył usta i zaczął szaleńczo przebierać palcami po szyi, jakby chciał podrapać swędzące miejsce.

Potem upadł. Krew trysnęła z rany i rozlała się po podłodze, kiedy Lex wyjął nóż.

–a niech cię, tulipanku – mruknął, wycierając ostrze o ubranie trupa. – Wiesz, co zrobić, żeby mężczyzna poczuł się miłe widziany.

Powietrze uszło jej z piersi długim, chrapliwym wydechem.

–Co ty tu robisz? – wykrztusiła.

–Nie dostałaś mojej wiadomości? Wpadłem dowiedzieć się, co nowego, ale to jest jeszcze lepsze. Nie co dzień mam powód, żeby zabijać ludzi.

–Cieszę się, że mogłam pomóc.

Dwa trupy leżały na jej podłodze. W jej mieszkaniu. Dwaj mężczyźni włamali się do niej i próbowali ją zabić – a jeśli nie zabić, to okraść.

Dwaj martwi ludzie. A ona zabito jednego z nich Kolana się pod nią ugięły.

–Ej, co z tobą? Myślałem, że jesteś twardzielką, Naprawdę wyglądałaś na twardzielkę, kiedy tu wszedłem. Przypomnij mi, żebym nigdy cię nie wkurzał.

Chess uniosła drżącą dłoń i odgarnęła wpadającą do oczu grzywkę.

–Dobra. Na szczęście dla ciebie jestem w dobrym humorze.

Uśmiechnął się z uznaniem i wskazał głową trupy na podłodze.

–Czego chcieli? Tylko cię okraść czy zrobić ci krzywdę?

–Okraść. Oni... oni czegoś szukali. Pytali, gdzie to jest...

–Co?

–Nie wiem. – Pokręciła głową, próbując odzyskać jasność myśli.

Ten zabity przez Lexa coś krzyczał. Rozejrzała się po pokoju. Skrzynka z czarnodrzewu była otwarta, jej zawartość wysypała się na podłogę.

To w tej skrzynce schowała amulet.

Złapała ścierkę kuchenną, żeby osłonić gołe ręce. przeszła przez pokój i uklękła koło ciała. Lex też uklękł i zsunął pończochy z głów mężczyzn, odsłaniając twarze. Obie były nieznajome. Niedobrze, ale żadne zaskoczenie. Czemu coś miałoby pójść dobrze?

Obszerny płaszcz przesiąkł łowią, ale symbol na przodzie wciąż był widoczny: linia w kształcie błyskawicy umieszczona nad kilkoma splecionymi runami, których nie potrafiła odczytać. Wyglądały znajomo, ale przecież większość magicznych symboli tak wygląda.

Przeszukała kieszenie. W jednej z nich znalazła amulet, błyszczący i jasny jak zawsze.

–Tego szukali – powiedziała.

Telefon Chess brzęczał jak szerszeń złapany do słoika, wyraźnie słyszalny mimo płyty Pagansów grającej w tle. Dzwonił raz po raz już od jakiejś godziny, podczas gdy ona siedziała na kanapie u Lexa, próbując zebrać siły.

–Powinnaś odebrać – powiedział, formując grube kreski na lustrzanej tacce. – Może ktoś się o ciebie martwi?

–Nie ma nikogo takiego.

–Chyba się mylisz.

Skończył, podsunął tackę w jej stronę i podał jej srebrną słomkę.

Chess pochyliła się i wciągnęła kreskę. Błogie odrętwienie ogarnęło jej nozdrza i posuwało się w głąb gardła wraz z gorzkim smakiem kwasu akumulatorowego, od którego zawsze cierpły jej zęby. Zanurzyła palec wskazujący w szklance z wodą i wciągnęła kilką kropli. Cholera Za każdym razem jest równie dobrze jak za pierwszym.

A przynajmniej prawie tak dobrze.

Wzięła głęboki wdech, żeby jak najwięcej proszku dostało się do płuc, po czym sięgnęła po telefon. Nie, miała ochoty rozmawiać z nikim poza Lexem i nie chciała być nigdzie indziej, tylko tutaj. Ogarnęła ją narkotykowa inercja, która będzie trwała do czasu, aż poczuje przemożną chęć, żeby znaleźć się gdzie indziej. Ale w tej chwili nie było dla niej miejsca bardziej przytulnego od sypialni Lexa, w której spędziła skromnie bezsenną noc sama w łóżku, podczas gdy on zajął kanapę. Trochę ją to zaskoczyło, była jednak tak nawalona pozerami, które jej dał, że pewnie i tak niczego by nie poczuła, gdyby spróbował.

Telefon znów zabręczał. Równie dobrze można z tym skończyć.

–Halo?

–Chess? Kurde, mała, gdzie ty jesteś? Terrible przekopuje całe miasto. Mówi, że drzwi są u ciebie otwarte i wszystko rozpirzone. Jasna cholera. Żyjesz?

–Hm... odebrałam, więc... chyba tak? Edsel zaśmiał się krótko.

–Pewnie, że tak. Co tam było u ciebie?

–Miałam włamanie, ale nic mi się nie stało. Powiedz Terrible'owi, że nic mi nie jest i że do niego zadzwonię za chwilę, dobra?

–Dobra. Wiesz, widziałem kogoś, kto był ci potrzebny parę godzin temu. Pamiętasz,

mówiłem ci o Tysonie? Był tu i zostawił namiary. Mówi, że chyba może ci pomóc. Wpadnij do niego później.

–Och, to fantastycznie. Dzięki, Ed.

Starła się pokazać Lexowi na migi, że potrzebuje czegoś do pisania. Przez chwilę gapił się na nią, jakby zwariowała, wreszcie załapał i podał jej długopis i kawałek papieru: jedną stronę pokrywały chińskie znaki, więc użyła drugiej.

–Tylko uważaj na siebie, Chess. Tyson wydaje się w porządku, póki co, ale ja tam nie wiem, kumasz?

–Tak. Jeszcze raz dzięki.

To była najlepsza wiadomość, jaką słyszała w ostatnich dniach. Wprawdzie Edsel najwyraźniej nie ufał Tysonowi, ale bardziej potrzebowała informacji, niż martwiła się ich źródłem. Gdyby potrafiła rozszyfrować runy na tym pieprzonym amulecie, mogłaby ustalić, jak działa to napędzane przez duszę zaklęcie, a wiedząc, jak ono działa, mogłaby znaleźć sposób na jego zatrzymanie i uwolnienie duszy Slipknota. Nie mówiąc już o zapobieżeniu możliwości pojawienia się w jej mieszkaniu kolejnych zakapturzonych bandziorów.

Sprawdziła pocztę głosową. Terrible, Edsel, Doyle, znowu Terrible, Starszy Griffin, który chciał wiedzieć, czy poczyniła jakieś postępy w sprawie Mortonów, i jeszcze raz Terrible. Będzie musiała wpaść do Kościoła i podrzucić Dobrotliwej Tremmell zdjęcia książek Alberta Mortona. Musi też przeprowadzić wywiad z Mortonami. Może zrobi to później, jeżeli starczy jej emu po wizycie u Tysona.

Wybrała numer Terrible'a.

–Cześć, tu Chess.

–Chess? – Pauza. – Cholera, gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

–Tak. Nic mi nie jest. Miałam włamanie, przestraszyłam się i...

–Nie zadzwoniłaś do mnie, nie zawiadomiłaś. Idę do ciebie rano, jarzysz, patrzę, krew na podłodze, a ciebie nie ma. Czyja to krew? Zwiali?

Westchnęła. Lex zadzwonił po ludzi, którzy zajęli się ciałami. Najwyraźniej jednak nie zawracali sobie głowy sprzątaniem, czego zresztą można się było spodziewać.

–Zwiali. Można tak powiedzieć. To nie była moja krew. Udało mi się dziabnąć jednego nożem.

–Dobra robota. Myślisz, że miało to coś wspólnego z Chester?

–Byli w płaszczach z kapturami i przyszli po amulet. Więc myślę, że to się wiąże. Która godzina?

Nie chciała rozmawiać o skutkach włamania i szczegółach pozbycia się intruzów. Nie ufała sobie, jeszcze nie teraz.

–Właśnie minęło południe.

Niech to szlag, już południe? Okna w mieszkaniu Lexa były zasłonięte tak grubymi roletami, że nie dało się stwierdzić, czy na dworze jest jasno. Na samą myśl o wyjściu na słońce rozboleły ją oczy.

–Nic mi nie grozi, Terrible. Zatrzymałam się u... U przyjaciela na terenie Kościoła.

–Fakt, tam jest bezpiecznie. Dobry pomysł. – Słyszała, jak odetchnął z ulgą. – Ale Edsel mówił, że mam cię zawieść w jakieś miejsce.

–Tak. Posłuchaj, spotkajmy się przy stoisku Edsela za mniej więcej godzinę, dobra?

Zadzwoiła do Starszego Griffina, żeby mu powiedzieć, że wpadnie, a w tym czasie Lex przygotował jej następną kreskę i zapakował trochę proszku do torebki. Potem odprowadził Chess do drzwi.

–Wrócisz na noc? – spytał, ujmując ją palcem wskazującym pod brodę.

Ten dotyk sprawił, że przeszedł dreszcz.

–Nie wiem. Zadzwonię do ciebie, jeśli będę potrzebować miejsca.

–Zrób to.

Oczekiwała pocałunku, ale była pewna, że nie wyrze na niej takiego wrażenia jak poprzednio.

A jednak! Kolana zrobiły się jej miękkie, kiedy wplótł palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie drugą ręką.

–Zrób to, tulipanku. Będę czekał.

Rozdział 19

Nie próbuj utworzyć połączenia z

umarłym,

bez względu na to, jak korzystne może

się to wydawać.

Nie jest takie.

Księga Prawdy Zasady, Artykuł 35

Chess nigdy nie wypuszczała się tak daleko za miasto. Gdyby nie fatalna pogoda, byłaby to miła przejażdżka. Niestety ulewny deszcz sprawiał, że prawie nic nie widziała. Wycieraczki chevelle'a mlaskały w pospieszanym tempie, odgarniając wodę z przedniej szyby, a mgła przesłaniała widoki. Czuła się jakby mknęli w przestrzeni, ona i Terrible, zamieniając od czasu do czasu parę słów. Chuck Berry brzmiał łagodnie w głośnikach, a Chess robiła notatki przygotowując się do wywiadów z Mortonami. Starszy Griffin nie martwił się jej brakiem postępów, ale ona tak. Widok Randy'ego Duncana kręcącego się w pobliżu nie poprawiał jej samopoczucia. Stracił nawet te nieliczne plusy, które posiadał. Nie chciała, żeby ją spotkało to samo.

–Wiesz, gdzie jesteśmy?

–Ile razy jeszcze zapytasz?

–Nie wiem. Jedziemy już całą wieczność.

–Nawet nie godzinę. Zawsze jesteś taka niecierpliwa?

–Nudzi mi się, Czuję się jak w klatce. Nic nie mogę zobaczyć przez tę mgłę.

–Nie ma dużo do zobaczenia.

–Skąd wiesz?

–Ze wszystkich w tym samochodzie tylko ty nigdy nie byłaś za miastem.

–Byłam. Ale... niedługo.

–i słusznie. Nie ma po co. Prawie nic tu nie ma. Już nie.

Zwolnił na zakręcie, jakby chciał potwierdzić swoje słowa. We mgle zamajaczył czarny kształt – ruiny dawnego kościoła, jednego z wielu zburzonych przez rozwścieczonych obywateli, gdy Nawiedzony Tydzień dobiegł końca. Takie trupy z cegły i granitu, rozrzucone po całym kraju, stanowiły milczące świadectwo systemu wierzeń, który ostatecznie okazał się równie bezwartościowy i przestarzały jak czarno – biała telewizja.

–Opuść trochę szybę – poprosił Terrible.

–Przecież pada. Zerknął na nią spod uniesionych brwi.

–Nie powiedziałem „otwórz całkiem”, tylko „opuść”.

Jechali przez jakieś osiedle. Z trudem dostrzegała zarysy budynków, a Terrible zwolnił do czterdziestu. Może chciał coś wyrzucić z samochodu? Wszystko jedno. Przekręciła korbkę o pół obrotu.

–Co to za zapach?

–Ocean.

–Nie pachnie jak ocean.

–Nie pachnie jak zatoka, a to ją zawsze czujesz. To i jest zapach prawdziwego oceanu, Chess. Podoba ci się?

Owszem Nigdy nie czuła podobnego zapachu. Lekko cierpki i słony, z kwaśną nutą ryby, od której powinno mdlić, a zamiast tego w jakiś dziwny sposób Chess czuła się czysta.

–Zobaczymy go?

–Chyba tak. Twój przyjaciel mieszka na samym brzegu.

–To nie jest mój przyjaciel.

–Miejmy nadzieję, że nie wróg. Nie podoba mi się to.

–Co?

–To, że nie znamy gościa. Ty go nie znasz i ja go nie znam, a on może wie za dużo o jakimś gównie, w które nikt zdrowy na głowę nie chciałby wdepnąć.

Za następnym zakrętem skręcił w lewo na drogę, która musiała być prawie niewidoczna nawet w pogodny dzień. Właściwie trudno było ją nazwać drogą – ot, dwie płytkie koleiny prowadzące przez wysoką. Chevelle grzechotał i obijał się jak

ociężały owad; zatrzymał się na krawędzi klifu.

–Jesteśmy – oznajmił Terrible ponurym głosem.

Chess była w świetnym nastroju – chyba po speedzie, który dostała od Lexa – ale pamiętała ostrzeżenie Edsela i nie zamierzała go lekceważyć. Edsel jest jej przyjacielem, więc skoro twierdzi, że powinna być ostrożna, to będzie.

Mimo wszystko było jej wesoło. Czy raczej nie była przygnębiona, co wychodziło na jedno. Dzięki narkotynom czy nie, tak dobrze nie czuła się od dawna. A to oznaczało, że musi zadbać, aby niespodziewanie nie nastąpiła faza zejścia.

–Poczekaj chwilę. – Zamknęła okno i sięgnęła po torebkę od Lexa i po swoją spinkę.
– Chcesz trochę?

–Nie, dzięki. Jestem wystarczająco podjarany. To nie miasto, pusto tu jakoś.

Wzruszyła ramionami, zażyła całą dawkę i schowała wszystko z powrotem do torby. Terrible podszedł z drugiej strony, żeby otworzyć jej drzwi. Świeża bryza uderzyła ją w twarz. Wciągnęła powietrze razem z narkotykiem jednym głębokim wdechem i poczuła musujące bąbelki rozchodzące się aż do palców stóp.

Miała przed sobą ocean rozciągający się we mgle jak płachta szarego aksamitu. Włosy trzepoczące wokół twarzy przesłaniały jej widok. Odgarnęła je niecierpliwie, zamknęła oczy, uniosła głowę i pozwoliła, aby wiatr obmył ją do czysta.

–Możemy dotknąć wody, jak skończymy?

Odwróciła się do Terrible'a, on jednak spuścił wzrok i zaczął grzebać w kieszeniach, szukając papierosa.

–Jak chcesz – mruknął. – Ale najpierw zrobmy, co mamy Zrobić.

Dom Tysona, przycupnięty pod klifem, wyglądał jak głowa kucającego trolla. Nastrój Chess w mgnieniu oka zmienił się z nadzwyczajnie dobrego w pełen napięcia i niepokoju. Ostrzeżenie Edsela wciąż dźwięczało jej w głowie. Ciekawe, co właściwie Tyson od niego kupował Cieszyła się, że ma przy sobie Terrible'a.

Jej zadowolenie z tego powodu jeszcze wzrosło, kiedy weszli na chodnik z płaskich kamieni prowadzący do frontowych drzwi. Na każdym kamieniu wyrte były runy. Większość znała, ale kilku nie. Kiedy stanęła na jednym z nich. ciarki przeszły jej po nodze.

Na framudze drzwi było jeszcze więcej runów i symboli wrytych w drewnie. Wyobrażenia totemiczne, wirujące linie, litery starożytnych alfabetów, pentagramy, za dużo, żeby zdołała ogarnąć wszystko, zanim drzwi się otworzyły i stanął w nich Tyson.

Coś przemknęło w głębi jego oczu, zasnuwając je szarością. Trwało to ledwie sekundę, ale Chess tyle wystarczyło, Tyson nie był człowiekiem, przynajmniej me całkiem. Czy taki się urodził, czy stał się taki przez kontakty ze światem podziemi, nie wiedziała i wcale nie chciała się dowiedzieć.

Przeczesał zaskakująco dużą dłoń krótkie białe włosy Miała tylko chwilę, by zauważyć, że nie jest stary, jak początkowo myślała. Był od niej starszy o najwyżej dwadzieścia lat. Jego zgarbione plecy przygięło coś innego niż wiek.

–Musisz być Cesarią – powiedział głosem, który lał się na nią jak whisky. – i przyszłaś z eskortą. To twój ochroniarz.

–Po prostu przyjaciel – odparła.

–Bardzo duży przyjaciel – Tyson zmierzył Terrible'a wzrokiem z półuśmieszkiem na wargach i wzruszył ramionami. – Wejdźcie. Edsel mówił, że potrzebujesz informacji o jakichś runach.

–Tak.

Cofnął się o krok, zapraszając ich szerokim gestem.

–Ja mam te informacje.

Wielkość wnętrza oszołomiła Chess. Czyżby Tyson w jakiś sposób odwrócił prawa fizyki, sprawiając, że jego chata stała się większa w środku? Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że w domu unosi się zapach skalnego pyłu. Z wyjątkiem zniszczonej przez deszcz i wiatr drewnianej ściany frontowej reszta chaty była z kamienia. Tyson wydrążył tunel w klifie. Chess zanotowała w pamięci, żeby nie wchodzić głębiej. Myśl o tej masie kamienia bez jakiegokolwiek podparcia zabezpieczającego przed zawaleniem była przerażająca.

To, co zobaczyła w domu, bynajmniej jej nie uspokoiło. Półki wzdłuż wszystkich ścian wypełnione były słojami i butelkami zawierającymi kości, pióra i futro. Dlaczego Tyson kupuje u Edsela, skoro ma na miejscu dosłownie wszystko, czego potrzeba do uprawiania magii? Czaszki co najmniej piętnastu różnych zwierząt na jednej ścianie, rzędy rozmaitych innych części na drugiej. Słoje z ziołami ustawione były jeden na drugim w trzech rzędach w głębi pomieszczenia, z obu stron małych czarnych drzwi, które zapewne prowadziły do sypialni Tysona.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Terrible przeciska się ostrożnie koło przedmiotów zwisających z sufitu. Amulety i uroki, wszystkie na kolorowych wstążkach i sznurkach. Odgarnął je na bok, ale Chess wyczuwała jego niechęć do dotykania ich i nie miała mu tego za złe.

–Przygotowałem poczęstunek – oznajmił Tyson. – Chcecie coś do picia? Ciasteczko?

To nawet zabawne, kiedy ciasteczka proponuje ktoś kto mieszka w muzeum magii, a jego uśmiech jest odrobinę za szeroki i odrobinę zbyt pełen zębów. Ciekawe, co to za ciasteczka.

Zgodnie z kościelnym prawem dusze związane ze światem nie mogą istnieć. Człowiek będący gospodarzem takiej duszy może trafić do jednego ze specjalnych więzień, skąd ucieczka jest niemożliwa. Chess zastanawiała się, dlaczego Tyson nie sprawia wrażenia przestraszonego, że mogłaby na niego donieść. Większość stara się ukrywać swoje powiązanie. On nie.

–Nie, dziękuję – powiedziała, zdając sobie sprawę, że Tyson i Terrible przyglądają się jej. – Możemy przejść do rzeczy? Obawiam się, że mam niewiele czasu.

–Oczywiście. Skoro wstępne uprzejmości już mamy za sobą, możemy dopełnić naszej transakcji w tempie, jakie ci odpowiada.

–Świetnie. – Wyjęła amulet owinięty w ściereczkę. – Miałam nadzieję, że będziesz mógł rozszyfrować niektóre runy na... O co chodzi?

Tyson panował nad sobą z wyraźnym trudem. Jego oczy znów przeszły w szarość, kiedy zmuszał się do zachowania powagi, ale Chess wyczuwała jego rozbawienie, słyszała wiszący w powietrzu jego cichy śmiech.

–Nie gniewaj się, Cesario, ale chciałbym wiedzieć, gdzie to znalazłaś?

–Nie mogę ci powiedzieć.

Skinął głową i wyciągnął dużą dłoń ze zbyt szczupłymi palcami, które zginały się jak wodorosty poruszane prądem.

–Daj mi go, proszę.

Położyła amulet na dłoni Tysona. mając nadzieję, że nie zauważył jej oporu przed dotknięciem jego skóry. Odrzucił ściereczkę i zacisnął palce wokół amuletu.

–o tak – powiedział. – Robi swoją robótkę, co? Hm. – Podniósł amulet do nosa, sprawdził językiem smak, – Dałaś mu krew, Cesario.

–To był wypadek.

Jego chichot przypominał kaszel felernego silnika, który ktoś usiłuje uruchomić.

–Wypadki się zdarzają. – Zamknął dłoń. – Dużo mogę o nim powiedzieć. Co dostanę w zamian? Księża potrzebuje ofiary, jeśli ma zostać otwarta.

–Jaka księga? Nie możesz mi po prostu powiedzieć?

–Słowa nie mogą zostać wymówione, jeśli nie rzuca się zaklęcia. Musisz je przeczytać, ale nie wypowiedzieć na głos.

Nie wróżyło to niczego dobrego. Zobaczyła siebie samą przy drzwiach. Zobaczyła Terrible'a, jak wychodzi za nią, zobaczyła, jak oboje wspinają się na szczyt klifu do jego samochodu i wracają do miasta.

Potem zobaczyła Slipknota, jego rozkładające się ciało i duszę uwięzioną w tej zarobaczonej, wyschniętej ruinie, i zrozumiała, że nie może odejść.

–Jaka jest cena?

Podniosła torbę, gotowa sięgnąć do portfela, a w razie potrzeby skłonić Terrible'a, żeby sięgnął do swojego. Bump potem wszystko im zwróci To jego projekt, więc niech użyje swoich cholernych pieniędzy.

–Och, proponujesz pieniądze. – Zbyt liczne zęby Tysona błysnęły w przyćmionym świetle. – Księża nie wymaga takiej zimnej ofiary, moja droga. Prosi o coś bardziej... zresztą sama zobacz. Poczekaj tu.

Chess i Terrible wymienili spojrzenia, kiedy Tyson wstawał i zniknął za czarnymi drzwiami. Lśniący złoto – czerwony płaszcz powiewał za nim.

–Nie możesz zdobyć tych informacji gdzie indziej? – mruknął Terrible.

Pokręciła głową.

–Nie podoba mi się to ani trochę – westchnął.

Już miała odpowiedzieć, kiedy wrócił Tyson, trzymając przed sobą księgę. W pierwszej chwili Chess pomyślała, że skaleczył się o coś w drugim pokoju i albo tego nie zauważył, albo było mu wszystko jedno. Potem spostrzegła, że krew kapiąca na jego płaszcz i wsiąkająca w podłogę nie jest jego.

Pochodziła z książki.

Ciekła z okładki, sączyła się ze stronic. Chess przeszły ciarki Nie chciała czytać tej

księgi, nie chciała jej dotykać, nie chciała być blisko niej. Dłonie zaczęły ją palić i swędzieć, tatuaże na ramionach rozgrzewały się.

Tyson trącił stopą mały stolik i spojrzął na Terrible'a.

–Możesz go przynieść?

Wyraz twarzy Terrible'a nie zmienił się, gdy podnosił stolik i stawiał przed Chess, ale kiedy spotkali się wzrokiem, wyczytała w jego oczach, że to wszystko nie podoba mu się ani trochę bardziej niż jej.

Cóż, nic nie można było poradzić. Próbowwała się nie wzdrygnąć, gdy Tyson położył krwawiącą księgę na stoliku, i zmusiła się, żeby po nią sięgnąć. Powstrzymała ją ręka Tysona.

–Jesteś pewna, że możesz dotknąć tej księgi? Oczy mu błyszczały.

–Nie mam wyboru, prawda? Terrible zrobił krok do przodu.

–Masz. Zostaw to mnie.

–Nie. To nie jest twoja...

–Nie musisz tego robić, Chess. Po to z tobą przyjechałem, co nie?

Odgłos kropli krwi skapujących na ziemię wydawał się głośny w ciszy, w której Chess i Terrible patrzyli na siebie.

–Zdecydujcie się, jeśli łaska – odezwał się Tyson. – To urocza chwila, ja jednak nie mam całego dnia, żeby patrzeć.

Chess wyciągnęła rękę, ale Terrible był szybszy. Koniuszkami palców lewej dłoni musnął okładkę i księga otworzyła się, rozchlapując krople krwi dosłownie wszędzie – na niego, na nią, na ściany i meble.

Ledwo to zauważyła. Nie mogła oderwać wzroku od przewracających się z furkotem kartek. Wreszcie ruch ustał, księga pozostała otwarta na czystej stronie. Krew znikła.

Ale tylko na moment. Po chwili pojawiła się znowu, rozlewając się po stronach szkarłatną powodzią, tworząc wyrazy i symbole, które zdawały się płynąć po pergaminie.

Terrible wydał z siebie cichy jęk, który wcale się jej nie podobał, jego dłoń oparta na księdze zaczęła się kurczyć, splaszczając i Chess zdała sobie sprawę, że zatapia się w niej. Krew na stronie była jego.

Zagłębił się po kolana, twarz miał rozpaloną, oczy zamknięte.

–Terrible? Terrible? Pokręcił głową.

–Ja... nie...

–Terrible! – Wyciągnęła rękę, chcąc go wydobyć, ale powstrzymał ją głos Tysona.

–Lepiej zaczerpnij wiedzy – poradził. – Szybko, żeby księża nie zabiła twojego ochroniarza, zanim ty to zrobisz.

Rozdział 20

*Często jako rodzice nie mamy pewności,
jak pokierować naszymi dziećmi.*

*W takich przypadkach powinniśmy po
prostu
zdać się naprawdę a postąpimy
słusznie.*

*Ochrona naszych dzieci jest
najszlachetniejszym
sposobem służenia ludzkości i*

Prawdzie.

Rodziny i Prawda, ulotka kościelna

autorstwa Starszego Barretta

Terrible jęczał. Dźwięk był tak przerażający, że Chess miała wrażenie, jakby ktoś ocierał jej o mózg folię aluminiową.

–Przerwij to! Tyson wzruszył ramionami.

–Jego czas się skraca, kiedy mówisz.

–Cholera! Niech to jasna cholera! Gdzie jest jej notes? a długopis? Słowa w księdze już się prawie uformowały; rozciągając się przez stronę jak ślady zostawione przez krwawiące kruki. Pośrodku zaczął się wylaniać obraz amuletu. Kuny na jego obrzeżu rosły i kurczyły się.

–Nie... nie ja... nie ja...

Ciało Terrible'a zwinęło się konwulsyjnie. Pochylił głowę i drżąc, zagłębiał się coraz bardziej w podłogę, czyli do pozycji płodowej. Czerwone symbole pełzły w górę po

jego ręce, wokół łokcia, przez pas gołej skóry na karku i z powrotem w dół, żeby rozejść się po stronicy.

Chess wreszcie znalazła notes i długopis. Zaczęła gorączkowo pisać, starając się jak najszybciej skopiować stronę i skończyć z tym. Niech to się wreszcie skończy, bo przecież nie chce poświęcać życia tego mężczyzny, aby rozszyfrować ten głupi amulet. Slipknot może sobie gnić wiecznie, nic jej to nie obchodzi... kogo to obchodzi... tylko niech to się skończy...

Tretso, tak. Aby zasilić. I ten drugi, *etosz*, aby skierować. Dalej. *Vedak*, aby uwięzić duszę. *Arged*, aby z niej czerpać. Kto, do kurwy nędzy, to zrobił, kto uknuł coś tak obrzydliwego? Litery płynęły teraz przez pergamin szybciej, prawie za szybko, aby mogła nadążyć.

–Dobrze – usłyszała miękki głos Tysona. – Tyle bólu... I siły... księga jest zadowolona.

–Pieprz się – burknęła, ale jej słowa zagłuszył ryk *Terrible'a*, ryk bólu rannego tygrysa. Na ten dźwięk zjeżył się każdy włoszek na jej ciele.

Uformował się ostatni symbol, pulsujący, większy od pozostałych. Czerwone znaki utworzyły run, potem twarz i znowu run. Serce Chess waliło jak oszalałe. Ta twarz należała do człowieka z koszmaru, a jego imię brzmiało *Eresdiran*, złodziej snów.

–Gotowe! – krzyknęła. – Skończyłam! Przerwij to, zatrzymaj to, proszę...

Twarz *Terrible'a* pokrywał czerwony tusz, ogniście czerwony pod jego skórą, pod łzami wypływającymi spod zaciśniętych powiek.

–Już nie, nie, nie ja, proszę, proszę, nie – powtarzał bez końca niczym litanie.

Nagle przerwał i otworzył oczy Chess krzyknęła. Tęczówki jarzyły się jaskrawą czerwienią, na ich tle źrenice były zaledwie czarnymi punkcikami To – czymkolwiek było – było w nim i zżerało go.

Tyson zaśmiał się cicho, kiedy chwyciła księgę, próbując mu ją wyszarpnąć.

Jego dom zniknął. Teraz Chess znajdowała się w sypialni, znajomej, choć nie widziała jej od lat. Ciężkie kroki zadudniły na drewnianej podłodze, więc naciągnęła kołdrę na głowę. Miała dziesięć lat i nie chciała go tutaj, nie chciała, żeby znów robił jej te wszystkie rzeczy...

Inny pokój, inny ojciec, zamach jego potężnej pięści, która ma wylądować na jej twarzy...

Następne uderzenie. Tęga, spocona kobieta łąduje się do jej łóżka. Ubranie ma podarte. Każdy obraz, który Chess chciała zapomnieć, migał jej przed oczami, przynosząc całą rozpacz, ból, nędzę i samotność kogoś, kto nigdy nie był dotykany inaczej niż w gniewie czy z lubieżności, kto był wykluczony, nie należał do nikogo, nikogo nie miał i nienawidził siebie tak bardzo, że aż go to dławilo. Chess nie czuła już swojego ciała, nic nie widziała i nic nie słyszała poza głosem w głowie przypominającym jej każdego dnia, jak jest bezwartościowa. Próbowwała zagłuszyć ten głos narkotykami i pracą, ale on nigdy nie zamilkł i nie zamilknie, dopóki ona wreszcie nie umrze i nie znajdzie się w cichym, zimnym Mieście pod ziemią, miejscu, które zawsze uważała za wystarczająco złe, aby choć odrobinę bardziej woleć życie. Nie było dla niej pociechy, nie było spokoju, tylko niekończące się dni i noce dryfowania...

–Nieeee – załkała i w tym momencie wszystko się skończyło.

Kolana bolały ją od uderzenia o podłogę. Bolał ją każdy mięsień, ale było już po wszystkim. Księga była zamknięta, a Terrible był w połowie drogi przez pokój, kiedy przestała czuć ucisk dłoni na ramionach.

Złapał Tysona za gardło, podniósł i rzucił nim o kamienną ścianę jak piłeczką na sznurku. Tyson wydal zduszony dźwięk, który mógł być zarówno krzykiem, jak i śmiechem – jego oczy znów stały się jednolicie szare.

–Pozwól mi go załatwić, Chess – jęknął Terrible łamiącym się głosem. Jego prawa dłoń zaciskała i prostowała, zaciskała i prostowała, mięśnie ramienia napinały się, całe ciało drżało. – Tylko mi pozwól... ty skurwysynu...

–Zobaczyłeś rzeczy, których nie chciałeś oglądać. – Uśmiech Tyson a był jak rozsunięcie zamka błyskawicznego. – Złe wspomnienia, ochroniarzu? Warto było?

–Chess...

–Nie! Terrible, nie rób tego. Czekał! – Uderzyła nogą o stolik, raniąc się boleśnie, ale biegła przez pokój, chociaż krew wsiąkała w jej dżinsy. – Kto jeszcze to widział, Tyson? Kto tu był i zrobił ten amulet?

–Ja nie wiem...

–Owszem, wiesz. To dlatego się śmiałeś, kiedy go zobaczyłeś, prawda? Kto to był? Powiedz mi albo pozwolę mu cię pobić. Pozwolę mu cię zabić, jeśli będzie miał ochotę, a myślę, że będzie miał. – Zerknęła na Terrible'a, który wpatrywał się w Tysona tak intensywnie jak głodny wilk w owcę. – Masz ochotę, Terrible?

–No.

–Nie możecie ranie zabić. Jestem potężniejszy, niż wam się wydaje.

Terrible warknął.

–Wiesz, co mam w torbie, Tyson? – spytała Chess, – Ziele melidii. Melidię i mojego psychopompa, Mogę wysłać ciebie i to coś, czego jesteś gospodarzem, do któregoś z więzień duchowych tak szybko, że nawet nie zdążysz błagać o litość, a przedtem pozwolę Terrible'owi połamać ci wszystkie pieprzone kości. Powiesz mi, to sobie Pójdziemy. Uczciwa wymiana.

Terrible zacieśnił uchwyt na szyi Tysona, aż oczy niemal wyszły mu z orbit.

–Jak ty – wysapał. – Ciemny mężczyzna wytatuowany jak ty... ahhh...

Rozrzucił ręce na boki, rozczapierzył palce, jego oczy przybrały barwę czystego srebra. Cholera.

–Puść go! – Chess chwyciła Terrible'a za ramię i próbowała odciągnąć od Tysona. – Puść go natychmiast!

Posłuchał w chwili, gdy to, co było wewnątrz Tysona, uwolniło się i wyleciało z jego otwartych ust jak blade, mgliste wymioty. Chess zanurkowała w dół, ciągnąc za sobą Terrible'a. Upadli na ziemię w plątaninie rąk i nóg. A tamto ułożyło się w kształt twarzy, ledwo przypominającej ludzką, z wielkimi pustymi oczami i ustami otwierającymi się jak na zawiasach.

Rozprzestrzeniało się na suficie, rosło coraz większe. Długi palec postrzępionej ektoplazmy otarł się o policzek Chess, zostawiając na skórze ślad lodowatego śluzu.

Dłoń Terrible'a była ciepła i twarda, kiedy stawiał ją na nogi, a potem ciągnął przez pokój. Całym ciężarem rzucił się na drzwi, wyłamując je. Biegając, słyszeli za sobą wrzaski, ale nic nie wyłoniło się z chaty i po chwili zapadła cisza.

–Moja torba – wydyszała Chess. – Zostawiłam tam torbę.

–Cholera. Żartujesz?

Pokręciła głową. Wiatr był tak silny, że nie mogła złapać tchu, a może po prostu jej płuca zmroziło przerażenie. „Wytatuowany jak ty. „ Tak powiedział Tyson. Pracownik Kościoła?

–Muszę ją mieć. Muszę po nią wrócić.

–o nie. Ty zostajesz.

Nie było sensu się kłócić. Mogła tylko patrzeć, jak Terrible biegnie do chały i wraca

kilka chwil później, machając jej torbą trzymaną w ręce o zakrwawionych kłykciach.

–Co sobie zrobiłeś? Spuścił wzrok.

–To nie moja krew. Nie mogłem pozwolić, żeby mu to uszło na sucho, co nie?

Oddychał z trudem, kłykcie drugiej dłoni miał zbielełe.

–Usiądź, dobrze? Po prostu posiedź tu ze mną chwilę.

–Musimy spadać, on może teraz jest nie tego, ale...

–Proszę, usiądź tu ze mną.

Opadł na ziemię koło niej i siedział z podkurczonymi nogami i rękami opartymi na kolanach. Przed nimi szumiał ocean. Ten dźwięk uspokajał Chess, ale wątpiła, żeby ogień palący jej żołądek dało się łatwo uśmierzyć. Te obrazy, te wspomnienia... znów miała wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj.

–Dzięki. To znaczy za to, co dla mnie robisz. Ja nie przypuszczałam, nie wiedziałam, że to będzie...

–Nie ma sprawy, Chess. – Nonszalancko wzruszył ramionami, ale nie odrywał wzroku od wody. – Po to tu jestem.

–Nie, nieprawda. To było... nie chcę nawet myśleć, co to było, i przecież nie musiałeś...

–Zapomnij. To już skończone. – Spojrzał na nią. Zdążyła zauważyć czerwone obwódki wokół oczu, zanim znów odwrócił głowę. – Skończone.

Co on zobaczył? Nigdy go nie spyta. To było osobiste przeżycie, tak samo osobiste jak jej. Jednocześnie miała świadomość swojej ciekawości, irytującej i niechcianej jak drzazga w palcu. Miała poczucie, że jest mu coś winna. Inne, niż wtedy, kiedy pomógł jej na lotnisku i... Uświadomiła sobie, że pomagał jej kilka razy w ciągu ostatnich dni. I że gdy tu jechali, zakładała, że w razie potrzeby zrobi to znowu.

Cholera, kiedy to się stało? Kiedy zaczęła mu ufać? Powinna mieć więcej rozumu.

Niemniej ufała mu i była mu coś winna.

–Wiesz – zaczęła, przesypując piasek między drżącymi palcami – starożytni uważali, że ocean ma właściwości uzdrawiające. Wierzyli, że jeśli złoży mu się ofiarę jeśli będzie się nad nim siedziało wystarczająco długo wszystkie problemy zabierze odpływ.

–Myślisz, że to prawda?

–Nie! – Głos się jej załamał. Była mu coś winna, ale nie mogła kłamać. – Nie myślę tak.

Skinął głową.

–Ja też nie.

Wstali i zaczęli niespiesznie wspinać się pod górę. Włosy przykleiły się jej do głowy i nie wiedziała, czy twarz ma mokrą od bryzy, czy od łez.

Po milczącej jeździe powrotnej, dwóch ceptach i jednej kresce Chess siedziała w schludnym saloniku Mortonów, marszcząc brwi. Nic. Albo ci ludzie są wyjątkowo dobrzy, albo pusty żołądek w połączeniu ze speedem i pigułkami sprawił, że jest bardziej pokręcona, niż powinna. Ich twarze były tak zniekształcone przez strach, że wyglądały jak w krzywym zwierciadle. Czy zobaczyłaby takie samo dziwaczne zniekształcenie własnych rysów?

Cholera, coś jest nie tak. Nigdy nie miała problemów z tym, co brała, w każdym razie nie takie jak teraz. Oczywiście zdarzały się drobne zaburzenia pamięci – dlatego sporządzała dokładne notatki – niekiedy też musiała prosić ludzi o powtórzenie, żeby ich słowa do niej dotarły i mogła je przeanalizować, ale siedząc teraz z Mortonami, czuła się jak w tunelu aerodynamicznym.

Coś jeszcze było inaczej. Paliły się wszystkie światła, chociaż słońce dopiero zachodziło.

–Nie rozumiem, po co te wszystkie pytania – powiedziała pani Morton po raz trzeci czy czwarty. – Nie spałam od wielu dni. Kiedy wreszcie będzie pani mogła się tego pozbyć?

–Pracujemy nad tym. Myśleli państwo o tymczasowej przeprowadzce? Może do przyjaciół albo do hotelu?

–Nie stać nas na hotel – ucięła pani Morton, ale natychmiast się zreflektowała. – Chodzi mi o to, że mieszkanie tygodniami w hotelu byłoby bardzo kosztowne.

Chess nie zanotowała odpowiedzi. Nie musiała – tę rolę pani Morton miała zakodowaną w mózgu.

–Zgodnie z danymi, jakie od państwa otrzymaliśmy, macie państwo około dziesięciu tysięcy dolarów na rachunku bieżącym. Z pewnością moglibyście zatrzymać się w

hotelu jakiś czas. Kościół oczywiście zrefunduje poniesione koszty po zakończeniu procedury banicyjnej.

Powiedziała to z wielką pewnością siebie. Zupełnie jakby nie wiedziała, że jeden z jej kolegów pracowników Kościoła, uprawia zakazaną magię, aby przywołać coś, czego nazwy nigdy wcześniej nie słyszała. Coś cuchnącego złem, jak zdechły pies na ulicy cuchnie rozkładem.

A skoro mowa o rozkładzie... Obraz gnijącego ciała Slipknota, rozplatanego jak lalka chorego na umyśle dziecka, nie chciał jej opuścić. Cóż za niewyobrażalne męki musi cierpieć jego dusza uwięziona w śmierdzącym truchle, które kiedyś było żywym, oddychającym ciałem. A odpowiedzialna za to jest ona, bo to ona powinna ją uwolnić.

Myśleć o sobie jako o kimś, kto ledwo zasługuje na życie, było wystarczająco trudno bez tego rodzaju gówna rozsmarowanego po sumieniu.

Jak jeden z jej współpracowników mógł zrobić coś takiego? Chyba po raz tysięczny od opuszczenia plaży rozważyła możliwość, że sprawca tylko wyglądał jak pracownik Kościoła.

Jednak nie. Tyson wiedział, z kim ma do czynienia, umiałby odróżnić legalne tatuaże od nielegalnych. „Wytatuowany jak ty” nie mogło znaczyć nic innego jak tylko tatuaże kościelne.

Miała nadzieję, że kłamał, nie mogła jednak wykluczyć, że nie.

–No cóż, wolimy zostać w domu i załatwić wszystko szybko, niż skazywać się na niewygody mieszkania w hotelu – powiedział pan Morton.

Chess potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć, o czym rozmawiają.

–Czy nawiedzanie się nasiliło? Mówiła pani ostatnio, że był to szary, bezpłciowy kształt. Czy przybrał bardziej wyraźną formę? Albo zaczął poruszać przedmioty?

–Nie jest już szary. – Pani Morton pociągnęła za sznur pereł na szyi, jakby ją dusił. – Jest czarny. To mężczyzna w czarnym kapturze. On... on nas obserwuje, kiedy próbujemy spać, wkrada się w nasze sny... Ja się go boję.

Rozpłynęła się we łzach. Chess ledwo słyszała jej łkanie przez bicie własnego serca.

Rozdział 21

Znaleźli zatem rozległe przestrzenie pod

powierzchnią ziemi

i znaleźli tam moc większą nawet od

mocy duchów,

i wysłali swoich strażników i posłańców

na

powierzchnię, i sprowadzili duchy do

ich nowej siedziby,

i uwięzili je tam.

Księga Prawdy, Artykuły Początkowe

400

Nie miała ochoty wracać do domu. Po włamaniu – czy rzeczywiście zdarzyło się ono zaledwie poprzedniej nocy? – myśl o samotnym spędzeniu, tam nocy była nie do zniesienia. No i wiedziała, że przeciwnik wie o niej wszystko, bo pracował z nią od lat.

Tyson mógł kłamać, ale Chess była pewna, że nie kłamał. Była tego pewna jak Prawdy i... tego, że obecnie – mimo wszystkich wątpliwości – jedynym bezpiecznym miejscem jest Kościół.

O tak późnej porze budynek był opustoszały, ale przecież miała klucz. Może trochę poszperać w bibliotece albo po prostu usiąść i odetchnąć. Zamki w jej domu da się bez trudu otworzyć wytrychem, ale zamki w budynkach kościelnych są nie do sforsowania.

Wprawdzie morderca Slipknota również dysponuje kluczem, nie wie jednak, gdzie ona jest. Kościół wciąż pozostawał najbezpieczniejszym miejscem, jakie przychodziło jej na myśl.

Rozłożyła na stole swoje notatki i uważnie je przejrzała, by się upewnić, że niczego nie przeoczyła.

Potem sięgnęła po książki. Ani Eresdiran, ani symbol na płaszczach napastników nie występowały w żadnym ze standardowych tekstów. Co prawda nie spodziewała się ich tam, ale sumiennie sprawdziła.

Po co ktoś miałby przyzywać złodzieja snów? – zastanawiała się. Nie był to pierwszy przypadek niezgodnego z prawem przywoływania pewnych bytów, Kilka lat temu ktoś przywołał ducha pierwotnej nienawiści na pewne przyjęcie. Ci, którzy ocaleli z tej rzezi, byli pod wrażeniem.

Ale złodziej snów?... Pomyślała, że jeśli przypomni sobie, gdzie widziała ten przeklęty symbol, zrozumie, o co chodzi, wspomnienie było jednak bardzo niewyraźne. Nie była nawet pewna, czy rzeczywiście, tak wyglądał, czy też tylko sobie go wyobraża.

Z westchnieniem zamknęła ostatnią książkę i spojrzała na zegar. Dochodziła dziesiąta. Powinna się zbierać, jeżeli chce uzupełnić swoje zapasy. Tylko pragnienie rozwikłania zagadki powstrzymało ją od natychmiastowego pognania do palarni po powrocie do miasta. Koszmarne wspomnienia wrzynały się w jej mózg, zostawiając za sobą krwawe ślady... postanowiła więc, że to piekielne doświadczenie będzie warte swojej ceny.

Dała sobie jeszcze pół godziny. Wystarczy, żeby zajrzeć do kilku książek zastrzeżonych. Potem musi iść. Po Bumpa.

Drzwi czytelnicy publikacji zastrzeżonych były zamknięte, ale Chess wiedziała, że zapasowy klucz leży na listwie środkowej szuflady biurka. Jeszcze nigdy nie musiała go wykraść, ale też nigdy wcześniej nie przychodziła tu po godzinach. Dobrotliwe zawsze były na miejscu, żeby ją wpuścić. Czując się jak przestępca, sunęła czubkami palców po listwie, aż klucz wpadł do szuflady. Wyjęła go, podeszła do drzwi, włożyła klucz do zamka i przekręciła.

Szczęk zwalnianej zapadki rozległ się echem w pustej sali. Chess zamarła. Czy to tylko ten zamek, czy usłyszała drugi szczęk, który nastąpił tak szybko po pierwszym, że wzięła go za echo?

Obróciła się gwałtownie. Powiodła wzrokiem po półkach, po pustej połaci lśniącej drewnianej podłogi, po ścianach i wentylatorach zwieszających się dziwnie z sufitu jak dziwaczne pająki. Zawsze patrz do góry. Nikt nie patrzy do góry.

Nic tam nie było, więc jej przyspieszony oddech stopniowo zaczął się uspokajać. Zaśmiała się z samej siebie jak dziecko, które zapewnia, że nie boi się ciemności, i nacisnęła klamkę.

Uwielbiała czytelnię publikacji zastrzeżonych. Zgromadzono tu rozmaite święte księgi i inne relikty minionych religii. Ozdobne złote krzyże i inkrustowane brylantami gwiazdy Dawida w szklanych gablotach pod ścianami połyskiwały w przyćmionym świetle, jakby ją witały. Biblie i Korany leżały na pulpitych ze swoją niepotrzebną już nikomu mądrością. W rogu siedział ogromny złoty Budda, z łagodnym uśmiechem błogosławiący im wszystkim, jeżeli coś takiej jak błogosławieństwo jest dopuszczalne.

Posiadanie takich przedmiotów bez pozwolenia Kościoła uznawano za herezję. Tu Chess mogła patrzeć na nie do woli i wyobrażać sobie, jak wyglądało życie trzydzieści lat temu i wcześniej, przed wiekami.

Przeszła po grubym dywanie do półki z książkami ezoterycznymi, zapalając po drodze światło. Kiedy rozbłysło w długich, wysokich oknach oddzielających pomieszczenia, główna sala zrobiła się niewidoczna – zupełnie jakby znikła. Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Ale przecież nigdy wcześniej nie przebywała w czytelni publikacji zastrzeżonych o tak późnej porze.

Poczuła narowienie skóry, sięgając na półkę po największą książkę, jedną ze swoich ulubionych, Jeżeli czegoś nie ma w *Przewodniku po Świecie duchów* Tobina, prawdopodobnie nie ma tego nigdzie. Ciężar opasłej książki podział na nią kojąco, jak zawsze, ale znów odniosła wrażenie, jakby usłyszała: drugi dźwięk.

Szelest, jakby wiatr niósł kawałek papieru, albo – od tej myśli aż ją zemdlilo – jakby przewracały się karty potwornej książki Tysona.

Spojrzała w okno, lecz to nie zdało się na nic – cholerne szyby równie dobrze mogłyby być lustrami – zobaczyła tylko własną bladą twarz odwzajemniającą spojrzenie.

Jej napięte mięśnie niemal skrzypiały kiedy tak stała z ciężką księgą w dłoniach, pozwalając, aby sekundy rozciągały się w minuty, i wytężając słuch, aby usłyszeć następny dźwięk. Nic, tylko cisza. Pewnie jej się zdawało. Nie spała od wielu dni w każdym razie nie tak, żeby się wyspać – i była tak nakręcona, że źrenice miała jak dziurki zrobione szpilką, a dłonie lepkie, niezależnie od tego, jak często je myła. Nic dziwnego, że słyszała różne dźwięki. Prawdopodobnie były to ruchy Browna albo jej własny mózg skwierczał, kiedy speed spalał się w komórkach.

Jest śmieszna. Nie, nie dlatego, że zachowuje ostrożność. Ostrożność to jedyny sposób, by utrzymać się przy życiu. Jest śmieszna, obawiając się, że przyszedł tu nią pracownik Kościoła, który uwięził duszę Slipknota. Tyson nawet nie ma telefonu. Musiałby jakoś się pozbierać i zawiadomić tego kogoś, kto następnie wytropiłby ją, choć nikomu nie mówiła, dokąd się wybiera. Nie istny absurd.

Przekonawszy samą siebie, usiadła przy stole z notesem pod ręką i zaczęła przeglądać indeks *Przewodnika*. Eraduak, Eramuel, Erberus, Eredmiam... Ereszdiran. Strona sto pięćdziesiąta trzecia.

Zdjęła skuwkę z długopisu, przerzucając strony. Rysunek był dość toporny, ale ukazywał okrutną pociągłą twarz z haczykowatym nosem i krwią na zębach.

Chess robiła notatki, a z każdym słowem jej skóra stawała się coraz zimniejsza. Musi zadzwonić do Doyle'a i powiedzieć, że zgadza się pójść z nim do Prastarszego. To było coś, z czym, nie poradzi sobie sama, czy raczej coś, z czym nie chciałyby mieć do czynienia w pojedynkę.

Kto, do cholery, go przywołał i po co? Jaki mógł być powód inwestowania wielkiej mocy w coś tak banalnego jak cykl snu? Aby uśpić wystarczyło użyć Ręki Chwały, jaką ona sama się posługiwała, albo rzucić jakieś inne zaklęcie. Poza tym to cholerne coś jest po prostu niebezpieczne, właściwie nie ma sposobu, żeby...

Tym razem wyraźnie usłyszała hałas. Pojedyncze stuknięcie, jakby postawienie ciężkiego buta na drewnianej podłodze. Ktoś wszedł do biblioteki, a ktokolwiek to był, na pewno nie przyszedł po książkę. Musi przecież widzieć światło w czytelni publikacji zakazanych, ale nie zawołał, nie spytał, kto tam jest. Panowała głucha cisza, tak głucha, że aż dźwięczała w uszach.

Pot wystąpił na czoło Chess. kiedy z wymuszoną swobodą przerzucała strony. Starła się wykonywać powolne, równe ruchy, jakby niczego nie słyszała. Biblioteka miała dwa wyjścia – główne, którym się tu dostała, i boczne, z którego skorzystała tamtego dnia, gdy podsłuchiwała Prastarszego i Bruce'a rozmawiających przy windzie.

Bruce mówił o niepokoju, jaka ogarnął duchy, o ich niezwykłym zachowaniu. Przynajmniej dla tej zagadki znalazła wyjaśnienie, Ereszdiran. Obecność tego rodzaju bytu doprowadza zwykle duchy do szaleństwa.

Powinna pokazać amulet Prastarszemu i powiedzieć mu, co się dzieje... nie! Musiałaby się przyznać, że była na lotnisku Chester, znalazła ciało i nie zgłosiła tego.

Amulet wyjaśni każdemu, kto potrafi go odczytać, co napędza zaklęcie.

Czy zatem uwolnienie duszy Slipknota zakończy je i odeśle Ereszdirana tam, gdzie jest jego miejsce? a jeśli zacznie czerpać z niej, czego się od początku obawiała? Amulet posmakował jej krwi i w zamian zostawił pod jej skórą swoje wizytówki...

Zdrętwiały jej palce. Kłykcie miała białe od ściskania długopisu. Uznała, że to nie najlepszy moment na dalsze rozważanie tajemnic rytuału, za to całkiem dobry na wyniesienie się z biblioteki, zanim ten ktoś, kimkolwiek jest, postanowi się ujawnić.

Zdecydowała się na boczne wyjście, bo miała wrażenie, że dźwięki dobiegały od strony głównego.

Płynnym ruchem chwyciła swoją torbę, postawiła na stole i udając, że czegoś szuka, wsunęła do niej długopis i notatnik. Nie zgasiła światła w czytelni publikacji zastrzeżonych, bo obwieściłaby w ten sposób, że zamierza wyjść, i tym samym straciłaby element zaskoczenia. Element Zaskoczenia zawsze wydawał jej się doskonałą nazwą dla kapeli. Nie był to odpowiedni moment na takie myśli, ale jej umysł pracował na potrójnych obrotach i ledwo mogła za nim nadążyć.

No, dalej. Odstawiła torbę na podłogę pod stołem i owinęła pasek wokół prawego nadgarstka. Lewą kartkowała *Przewodnik*, chcąc w ten sposób ukryć, na co naprawdę patrzy.

Rozległ się dźwięk następnego kroku, tym razem bliżej. Bolały ją wszystkie, mięśnie, napięte do granic, aż dziwne, że krew wciąż przez nie przepływała. To – on, ona, czy cokolwiek to było – zbliżało się, a ona nie mogła tego zobaczyć, sama zaś równie dobrze mogłaby mieć neonową strzałkę nad głową, bo przecież musiała się ruszyć. Była taka głupia. Taka nierozważna.

Uciekaj! Na co czekasz, do cholery, wstawaj i uciekaj! Uciekaj!

Odsunęła się z krzesłem do tyłu, ze wzrokiem cały czas utkwionym w leżącej przed nią książce, jakby chciała tylko usiąść trochę wygodniej. Intruz na nią patrzył, była tego pewna, i chociaż sama nie mogła na niego spojrzeć, widziała go w jakiś sposób – duży kształt w czerni, bez twarzy, ciężkie buty stąpające po podłodze i zbliżające się do niej, ręce wyciągające się, żeby ją złapać, udusić, poderznąć jej gardło...

Uciekaj!

Odsunęła krzesło i zanurkowała pod stół. Jeżeli szczęście będzie jej sprzyjać – co wątpliwe, nigdy jej nie sprzyjało – tamten może pomyśleć, że czegoś szuka albo chce się podrapać.

Oczywiście może też uznać, że warto ją zaatakować, kiedy nie patrzy. Przebiegła na czworakach po podłodze, trzymając głowę jak najniżej. Trzy metry dzielące ją od drzwi jeszcze nigdy nie wydawały się tak ogromnym dystansem. Czowała się jak owad biegnący przez boisko na oczach tłumu.

Dopadła drzwi i wyprostowała się, nie zwalniając kroku, a wręcz przyspieszając. Od razu wiedziała, że ten manewr się nie udał tajemniczy intruz puścił się biegiem, dudniąc ciężko stopami o podłogę, ścigając ją.

Chess wyszarpnęła z kieszeni nóż, miała jednak nadzieję, że nie będzie musiała go użyć. Po prostu trzymając go, czowała się pewniej, jakby sama mogła zamienić się w

stal. Biegła najszybciej, jak mogła, nie widząc nic poza mglistym zarysem bocznych drzwi.

Rzuciła się przez nie i o mało nie upadła. Rozchwiane schody trzęsły się i grzechotały, kiedy pędziła po nich w dół. Torba objęła się jej o nogi, co z każdym krokiem groziło upadkiem.

Będąc w połowie drogi, usłyszała, że drzwi na górze otwierają się z impetem, od którego zatrzęsła się cała klatka schodowa. Nie odważyła się spojrzeć w górę. Musiała biec dalej, a za następnym skrętem będzie mogła już zeskoczyć...

Tak zrobiła. Ból od uderzenia o ziemię przeszył jej nogi. Wiedziała, że prześladowca pójdzie jej śladem, ale nie miała wielkiego wyboru. Jedyne wybory jakie miała w tej chwili, to albo spróbować przedostać się przez kaplicę, albo windą zjechać w głąb ziemi, na peron upiornego pociągu, i udać się do Miasta. Żadna z tych możliwości jej nie nęciła. Gdyby pobiegła przez kaplicę, mogłaby zostać złapana, a poza tym musiałaby jeszcze pokonać korytarz i odcinek od drzwi frontowych do parkingu.

Z drugiej strony, pomijając jej niechęć do Miasta, stamtąd w ogóle nie było ucieczki. Jedyna droga prowadziła z powrotem na górę, a ona niespecjalnie miała ochotę spędzić tam całą noc, podczas gdy milczące duchy będą się na nią gapić. Podziemie... podziemie nigdy nie było bezpieczne.

Chyba, że... Czy Lex nie mówił, że tunele ciągną się pod całym Triumph City? Musza sięgać i do terenu Kościoła, skoro przed Nawiedzonym Tygodniem była tu dzielnica finansowa.

Na dolnym końcu szybu windy znajdował się peron, z którego odjeżdżał pociąg do Miasta.

Kiedy tam była, widziała dwoje drzwi. Jedne mogły prowadzić do tuneli. A gdyby się do nich dostała, jakoś znalazłaby wyjście w labiryncie korytarzy. Miała przecież kompas schowany w małej kieszonce torby.

Nie był to plan doskonały, ale mógł się sprawdzić. Mocno uderzyła dłonią guzik windy. Sekunda czy dwie potrzebne na otwarcie drzwi ciągnęły się jak godziny, a kroki na schodach stawały się coraz głośniejsze. Wpadła do kabiny w chwili, gdy załomotała poręcz schodów, przez którą przeskoczył prześladowca.

Zanim drzwi windy zasunęły się, zobaczyła go – zakapturzoną postać w czerni, z symbolem na piersi, opalizującym w blasku światła wskazujących drogę ewakuacyjną – i wspomnienie wskoczyło na miejsce jak nabój do komory.

O niech to szlag.

Rozdział 22

... nieświadomi mocy ziemi, rzucali w nią

swoje odpady,

i ryli w niej, szukając wszystkiego,

co popadnie.

Historia starego porządku, tom III,

1800 – 1900

Sześć minut w dół, sześć minut w górę i znów sześć minut w dół, gdyby zdecydował się ją ścigać, a pewna była, że to zrobi – przecież wszyscy wiedzą, że stąd nie ma wyjścia. Sama z jednym z Lamaru – Lamaru z ich cholernie cennymi symbolem i żądną krwi czarną magią. Zdołali przeniknąć do samego Kościoła, dostać się do budynku i zwerbować pracownika, takiego jak ona.

A skoro mają jednego, mogą mieć więcej.

Skoro są już wewnątrz Kościoła, nikt nie jest bezpieczny. Ani Starsi, ani Dobrotliwi, ani szeregowi pracownicy. I z pewnością nie ludzie, którzy liczą, że Kościół zapewni im bezpieczeństwo. Lamaru nie chcą nikomu zapewniać bezpieczeństwa. Oni pragną władzy. I zrobią wszystko, żeby ją zdobyć.

W takim razie co robią teraz?

Niestety nie było sposobu, żeby zatrzymać windę, żadnego hamulca bezpieczeństwa, żadnej dźwigni. Chess miała więc dwanaście minut, żeby odejść stąd jak najdalej, jeśli się nie myliła i za tymi drzwiami rzeczywiście jest wejście do tuneli, a nie jakieś schowki czy pomieszczenia gospodarze pełne splątanych kabli.

Przeszedł ją dreszcz. Tu na dole zawsze było zimno i cicho. Pociąg z mrocznym błękitnym wnętrzem i płaskimi mlecznymi reflektorami przyglądał się jej obojętnym wzrokiem drapieźnika, kiedy winda ruszyła z powrotem na powierzchnię. Sześć minut w górę, sześć minut z powrotem.

Dwoje drzwi w wilgotnym betonowym murze, po jednych z każdej strony pociągu. Straciła strzykawkę pełną smaru, ale hałas nie miał większego znaczenia, kiedy nie było nikogo, kto by go usłyszał. Na szczęście zamek był prosty – zwykły bęben z

obrotowym zatraskiem – więc uporowała się z nim w trzydzieści sekund. Ile czasu minęło? Minuta, dwie? Prawie czuła obecność tego Lamaru, jego dłonie w czarnych rękawiczkach sięgające po nią, jego oczy płonące ponuro od ofiary krwi czy cholera wie, jakiego tam czaru... Odwróciła się, ale nie dostrzegła nic poza wpatrującymi się w nią oczami pociągu.

Do roboty.

Był to tylko schowek, tak jak się obawiała. Mop i wiadro – nie pojmowała, skąd się tu wzięty, chyba że w tego rodzaju schowkach przybory do sprzątanía wyrastają same, jak grzyb. Jakieś przewody. Skrzynka z bezpiecznikami... och, no przecież.

Otworzyła ją najcieńszym wytrychem. Ile czasu minęło? Trzy minuty? Wszystkie bezpieczniki były włączone. Nic nie wskazywało, czy urządzenie, za które odpowiada dany bezpiecznik, jest. akurat w użyciu, a szyb był na tyle wysoki, że winda musiałaby znajdować się całkiem blisko, aby można ją było usłyszeć. Na lśniącym czarnym metalu skrzynki też nie widziała żadnych oznaczeń. Nie pozostało jej nic innego, jak wyłączać wszystkie kolejno. I zostawić wyłączony każdy, o którym wiedziałyby, za co odpowiada.

A jeżeli ten właściwy odpowiada nie tylko za windę? Cholera! No dobrze, wyłączy wszystkie i jak najszybciej stąd zwieje. Zakładając, że będzie mogła. Jeśli za tymi drugimi drzwiami nie ma tunelu, tylko następny mop i wiadro, będzie tu tkwiła całą noc. Sama w ciemności.

To jednak lepsze od dostania się w ręce prześladowcy. Przy odrobinie szczęścia on spędzi noc uwięziony w windzie, zawieszony kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi.

Unieruchomienie windy zatrzyma go. Do skrzynki z bezpiecznikami w siedzibie Kościoła nie można się dostać bez kilku kluczy i drabiny. A jeżeli uda się jej go uwięzić, złapią go rano, co byłoby niezłe, Członek Kościoła powiązany z tajną organizacją magiczną. Z tajną organizacją, która praktycznie od początku usiłuje pozbawić Kościół władzy. Czy to źle, że przez chwilę była zadowolona, że karą za to jest śmierć?

Czy w ogóle ją obchodzi, czy to źle, czy nie?

Wyłączniki bezpieczników były twarde i zimne. Dłoń piekła ją, gdy z całej siły je naciskała. Kiedy pierwszy rząd wreszcie się poddał, ogień ogarnął całą rękę. Widocznie rana musiała się otworzyć.

Lampy na peronie wciąż paliły się mętnym światłem. Chess przez chwilę wpatrywała się w beton, próbując ocenić odległość dzielącą drzwi schowka od torów, po czym wcisnęła następne wyłączniki.

Peron znikł. Schowek znikł. Żadne światło nie wydobywała się z pociągu, z jarzeniówek, znikąd. Znajdowała się ponad dwieście metrów pod ziemią w całkowitej ciemności.

Przeklinając się, że nie poszukała zapalek przed zgaszeniem światła, sięgnęła do torby. Znalazłszy je, przeklinała się, że nie kupiła cholernej zapalniczki. Takiej, jaką ma Terrible, z dwudziestocentymetrowym płomieniem buchającym z knota.

Szurając nogami, wyszła ze schowka i zapaliła pierwszą zapalkę. Od krawędzi peronu dzieliło ją prawie pięć metrów. Pokonała tę odległość na tyle szybko, na ile się odważyła, i usiadła na zimnej krawędzi akurat w chwili, gdy płomień doszedł do jej palców.

Zostało jej pięć zapalek. Pięć zapalek i kto wie ile kilometrów długiego, ciemnego tunelu. Przerąbane.

Pociąg tkwił obok, ciemny i cichy. Nie widziała go, ale czuła, że tam jest, czuła jego obecność w taki sam sposób, w jaki byłaby w stanie wyczuć ducha, gdyby się pojawił. Póki co, żaden się nie pojawił. Na szczęście.

Przy wyłączonym zasilaniu mogła przejść przez tory, nie martwiąc się szynami pod napięciem, ale wolała się dodatkowo upewnić. Sięgnęła do torby po miernik elektryczności i wycelowała go przez tory na drugą stronę, a przynajmniej miała nadzieję, że w tym właśnie kierunku. Nic nie wskazał. Mimo to...

Trzymając przed sobą długopis jak różdżkę, przesunęła torbę na plecy i pochyliła się. Długopis nie był najlepszą laską, ale lepsza taka niż żadna.

Odepchnęła się od krawędzi peronu i zeskoczyła na obie nogi. Zgrzytliwy odgłos lądowania rozległ się echem.

Machnięcie przed sobą długopisem, krok. Macnięcie długopisem, krok. Strużka potu pociekła jej po policzku, mimo zimna. Coś mogło być za nią, lodowate ręce wyciągające się, żeby zacisnąć się na jej szyi, zepchnąć w dół...

Szarpnęła się i wyprostowała, chociaż nie była w stanie nic zobaczyć.

–No dobra, Chess, musisz to załatwić – powiedziała głośno i zaraz tego pożałowała, bo jej głos rozbrzmiewający w głuchej ciszy sprawił, że zrobiło się jeszcze ciemniej, jeszcze bardziej samotnie. Wrogo.

Przestań być takim mięczakiem! Zmusiła się, żeby znowu się schylić, machnąć długopisem i zrobić następny krok, nie zwracając uwagi na skórę, cierpnącą na karku. To znów było za nią, wiedziała, że jest...

Długopis stuknął o pierwszą szynę. Dobrze. Ostrożnie przez nią przeszła i posuwała się dalej. Może to coś czeka po drugiej stronie, czeka, żeby wpadła jak macha w pajęczną sieć. Zimne ramiona zamkną się wokół niej miażdżąc jej ciało, pozbawiając je życia...

Niech to szlag! Spędzi tu całą noc, jeżeli natychmiast nie wyhoduje sobie pary jaj i nie dobrnie do drzwi po drugiej stronie. Dlaczego jest takim mięczakiem, dlaczego nie potrafi...

Przypomniała sobie słowa Terrible'a: „Oni się boją. Ty nie”. Terrible myśli, że jest odważna, a jeżeli facet, któremu wszyscy schodzą z drogi, tak myśli, musi to być prawda. Potrafi to zrobić i robi to.

Centymetr za centymetrem posuwała się przez torowisko, machając przed sobą długopisem. Druga szyna, trzecia, a potem podciągnęła się w górę i na czworakach ruszyła w kierunku ściany. Wreszcie dotarła do metalowych drzwi. Macała palcami gładką powierzchnię, aż natrafiła na zamek. Wyjęła z kieszeni wytrychy.

Jeszcze nigdy nie otwierała wytrychem zamka w całkowitej ciemności, nigdy też nie robiła tego w zupełnej ciszy. Każdy szczepek stali o stal ulegał wzmocnieniu, co pomagało jej wyobrazić sobie budowę zamka. Już, już... Cholera! Wytrych ześlizgnął się i zapadka wróciła na miejsce.

I coś szeptało w tunelu.

Duchy w zasadzie nie miały możliwości opuszczenia Miasta i dostania się tutaj. Najwyraźniej ten wymknął się, zanim drzwi zostały zamknięte, albo wręcz nigdy nie dotarł do Miasta.

Możliwość, że jej prześladowca jest na dole, jej do głowy, ale czym prędzej ją odrzuciła. Wystarczająco trudno jest z duchami. Gdyby zaczęła myśleć, że oprócz duchów w ciemności kryje się Lamaru, nigdy by się nie ruszyła. Włoski na karku Chess zjeżyły się, jej ramiona pokrywają się gęsią skórą.

Wzięła głęboki wdech. Spróbuj jeszcze raz. Włóż wytrych i nie zważaj, że szepty stają się głośniejsze. Nie myśl o tym, że człowiek będący mordercą może wejść za tobą do tunelu. Po prostu otwórz zamek, a potem wykombinujesz, co robić dalej. Zrób to, zrób to – szepty coraz bliżej, zimny powiew na plecach biorący się znikąd – gotowe!

Otworzyła drzwi, wpadła przez nie i zatrzasnęła za sobą. To nie był schowek. Słyszała odległy odgłos ciekącej wody i czuła wokół siebie przestrzeń, tak samo jak przed chwilą czuła obecność ducha. Nic to po niej, musi biec. Tak też zrobiła.

Biegła, rozchlapując błoto i wodząc czubkami palców wzdłuż chropowatych ścian po obu stronach, dzięki czemu wiedziała, gdzie jest możliwość skrętu. Skręcała czysto instynktownie – w lewo, potem w prawo i znów dwa razy w lewo – starając się przemieszczać w kierunku Dolnej Dzielnicy i Lexa. Tunele, z których on korzystał, były oświetlone. Gdyby trafiła w oświetlony rejon, nie musiałaby zużywać kolejnej cennej zapalniczki.

Mimo wszystko zaczynało to wyglądać na nie najlepszy plan. Jej serce sprawiało wrażenie, zaraz eksploduje, brakowało jej pigułek, była spragniona; zziębnięta i po prostu chciała do domu. Marzyła, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie, bo miała wrażenie, jakby w tym, które miała na sobie, chodziła od zawsze.

Woń dotarła do niej nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Smród nie narastał stopniowo. Było tak, jakby przekroczyła jakąś membranę i znalazła się w pomieszczeniu wypełnionym śmiercią i rozkładem. Poślizgnęła się i stopy niemal wyjechały spod niej, więc zaparła się o ścianę. Sięgnęła po zapalniczkę, starając się powstrzymać mdłości.

Daremny trud. W słabym świetle zapalniczki – mimo to rażącym jej oczy po tak długim czasie spędzonym w całkowitej ciemności – zobaczyła trupy. Rozkładając się, gnijące ciała nadzarte przez szczury i inne stworzenia. Niewidzące oczy wpatrywały się w sufit. Otwarte usta próbowały opowiedzieć historię życia długo po jego zakończeniu. Historię, którą i tak opowiadały dziury od kul i poderżnięte gardła. Ochłapy ciała zwisające ze skrwawionych kości. Chess wymiotowała gwałtownie samą żółcią, bo miała pusty żołądek.

Kiedy świat przestał wirować, wyprostowała się i oddychając głęboko, zapaliła następną zapalniczkę. Zostały jej trzy. Tunel z ciałami ciągnął się przez jakieś trzy do czterech metrów i kończył drzwiami. Ślepy korytarz.

Chyba że zdoła otworzyć zamek i w tych drzwiach. Spojrzała na kompas. Jeżeli szła w dobrym kierunku, powinna być niedaleko Dolnej Dzielnicy. Gdyby tytko udało jej się wydostać, mogłaby wrócić do domu piechotą albo wziąć taksówkę.

Jej stopy ślizgały się w rozmiękłym obrzydlistwie, ale nie zwracała na to uwagi. Zamek był trochę bardziej skomplikowany od poprzednich, ale do otwarcia za pomocą wytrycha. Podczas pracy zużyła zapalniczkę, lecz nie miało to już znaczenia. Nie będzie więcej odwracania się za siebie, nie będzie więcej ataków paniki.

Światło oślepiło ją, kiedy wreszcie znalazła się po drugiej stronie drzwi, mimo to, zanim zamknęła je za sobą, coś dostrzegła. Portfel. Leżący na piersi trupa.

Nie powinna go dotykać, nie powinna nawet myśleć o czymś takim. Tyle że te trupy były kiedyś ludźmi, miały imiona i nazwiska. Pomagając sobie wytrychem, rozchyliła

portfel.

Żadnego dowodu tożsamości, żadnych kart kredytowych, żadnych pieniędzy. Najwidoczniej ktoś to wszystko zabrał, zostawiając tylko... wsunęła wytrych do środka... tylko kitka skrawków papieru – paragonów – i... o!

Kawałek plastiku zaczepił się o końcówkę wytrycha i teraz wystawał z portfela.

Torebeczka była zakurzona, wyglądała, jakby leżała tu od lat. Chess upewniła się, że tak jest, kiedy zobaczyła blady fiolet pigulek znajdujących się w środku. Valtruin. Prawie niemożliwy do dostania, bo od kilku lat zakazany. Nawet Bump nie miał go na składzie. Wątpliwe, żeby miał go Lex.

A tutaj były dwa. Odrzuciła portfel.

–Nie gniewajcie się – mruknęła, wsuwając torebkę do kieszeni i wymykając się za drzwi. – Przecież wam to już niepotrzebne, prawda?

Udało się. Przez długą chwilę tylko stała, oddychając powietrzem o posmaku pleśni, amoniaku i wilgoci, ale niewiarygodnie słodkim po atmosferze panującej, w gabinecie grozy, z którego się właśnie wydostała.

Czyli to są tunele Lexa. Nie wiedziałyby, jak trafić w określone miejsce, ale wyjścia prowadzące na ulicę były rozmieszczone gęsto, więc znalezienie jednego z nich nie stanowiło większego problemu.

Trzymając przed sobą kompas, zaczęła iść. Następny skręt w lewo. Potem w prawo. Ktoś oddycha.

Tak, to ten sam ćpun, którego spotkana poprzednio. Jak go nazywają? Aha, Szok. Przykucnął pod ścianą, tak skupiony na dawaniu sobie w żyłę, że nie zauważył jej, dopóki nie stanęła nad nim.

–Jak stąd wyjść? – spytała. – Gdzie są drzwi?

–Nie wiem... – Pociągnął za koniec gumowego zacisku na ramieniu i upuścił strzykawkę. – Nie wiem, kumasz? Nic nie wiem.

–Powiedz mi tylko, jak się stąd...

Odleciał. W otwartych ustach widać było rząd żółtych, połamanych zębów. Jakoś tu musiał wejść. Kiedy go widziała poprzednim razem, drzwi były niedaleko.

Teraz też na pewno tak jest.

–Nie powinieneś tu być. – Sama nie wiedziała, dlaczego to mówi.

Zostawiła go i ruszyła na poszukiwanie wyjścia.

–Ej! – dobiegł ją słaby głos. – w drugą stronę... W drugą...

Szok znów tracił przytomność, ale zanim ręka mu opadła, Chess zdołała dostrzec, w którą stronę wskazuje. Wyłowiła z torby banknot pięciodolarowy i wetknęła mu do kieszeni.

–Dzięki.

Drzwi były zaledwie o kilka minut drogi, u szczytu krótkich schodów. Przeszła przez nie z uczuciem kogoś, kto zaczyna nowe życie. Ocalała. Nad głową miała księżyc w pełni. Udało się jej wydostać z biblioteki, z kościoła, z tuneli, a teraz była tutaj, na ciemnej ulicy w nieznannej części miasta pachnącej dymem i brudem. Czasami coś się jednak układa, mimo wszystko.

Rozdział 23

Od pracowników Kościoła oczekuje się,

że zawsze będą

zachowywać się w sposób odpowiadający

ich pozycji.

Reprezentujecie wszystko, co na świecie

słuszne i święte.

Nie wolno wam o tym zapominać.

Świeć przykładem, poradnik dla

pracowników Kościoła

Po dwóch ceptach, gorącym prysznicu i jednym valtruinie czuła się rewelacyjnie. Weszła do baru tuż po północy z szerokim uśmiechem i w świetnym nastroju, zupełnie jakby żyła na innej planecie, gdzie nie zdarza się nic złego. Nic takiego jak to, o czym musi opowiedzieć Terrible'owi, zanim będzie mogła pójść na noc do Lexa. Lex... Lex i ten pasek gołej skóry, który widziała. Lex i ten pocałunek... Nie ufała mu ani trochę. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie – zaufanie i seks nie mają ze nic wspólnego, w każdym razie dla niej.

Najpierw musi jednak opowiedzieć Terrible'owi co się zdarzyło. Dlatego, że muszą ustalić czas i miejsce, w którym będzie mogła odprawić rytuał, żeby uwolnić duszę Slipknota. Dlatego, że miała składać na bieżąco raporty, a Bumpa nigdzie nie można znaleźć. Ale przede wszystkim dlatego, że jest mu winna tę wiedzę i powinna mu ją przekazać jak najszybciej. Zaangażował się, chociaż nie musiał, dotknął księgi za nią, zasługuje więc, żeby wiedzieć, z czym ma do czynienia. I kto może być jego przeciwnikiem.

Chwilę trwało, zanim jej rozszerzone źrenice przystosowały się do światła, potem jeszcze chwilę, zanim go dostrzegła, Bar u Naciągaczy, śmierdzący dymem i zwietrzałym piwem, oświetlały niebieskie jarzeniówki i czerwone lampy żelowe, tak że wszystko, co białe, świeciło fluorescencyjną czerwienią.

Terrible stał w głębi, rozmawiając z jakimiś mężczyznami, których nie rozpoznawała,

choć twarze wydawały się jej znajome. Może z salonu tatuażu, a może to po prostu faceci widywani tu i ówdzie. Dolna Dzielnica to bardzo mały świat. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że osoba, którą napadniesz we wtorek, w czwartek będzie mieć randkę z twoim sąsiadem.

Popłynęła przez salę w jego stronę, mniej więcej od połowy drogi świadoma, że się jej przygląda.

–Cześć, Chess. Wszystko w porządku?

–Tak. Możemy gdzieś pogadać?

Skinął głową. Poszła za nim na zaplecze, gdzie znajdowały się toalety. Muzyka była tu cichsza, więc nie musieli krzyczeć, ale sam korytarz tak wąski, że musiała stanąć tak blisko Terrible'a, że czuła zapach mydła i piwa.

–Dowiedziałam się czegoś o nim – oznajmiła. – o tym imieniu na amulecie. To znaczy już wiem, co on robi, ale nie wiem, co robi tutaj, po co chcieli właśnie jego.

Poczuła, że to bełkot, więc przerwała. Czy Terrible patrzy na nią dziwnie?

–Aha.

–To jest złodziej snów. Dopada ludzi, wkrada się im do głów, kiedy śpią, i karmi się energią ich snów. Jest jak demon, ale nie jest demonem, tylko bardzo złym duchem z nadmiarem energii. Taki wielki byt złożony z odpadów z innych duchów.

–Myślałem, że demonów nie ma.

–Bo nie ma, ale tylko takie porównanie przychodzi mi do głowy. Ma taką samą moc jak ta, którą miały niby mieć demony, o to mi chodziło.

–Ma ją od początku czy dlatego, że czerpie z tyłu śpiących?

Musiała się nad tym zastanowić.

–Prawdopodobnie jedno i drugie. Księga nie mówi dokładnie, jak on powstał ani kiedy, ale... Czasami duchy ulegają dezintegracji albo stapiają się, jedna część czerpie z reszty, wchłania ją, a potem łączy się z kawałkami innych dusz. No więc on już był nieźle napakowany, a to, co wziął od ludzi, jeszcze się do tego dodało.

To wciąż nie wyjaśniało, dlaczego złodziej snów jej nie zabił, kiedy miał okazję. Niektóre duchy muszą się ciężko napracować, żeby móc zabijać ludzi albo wyrządzać szkody, ten jednak powinien być wystarczająco silny od samego początku, zwłaszcza kiedy moc duszy Slipknota wiąże go z ziemią.

–Po co ktoś przywołał coś takiego?

No właśnie. Przecież Terrible jeszcze nie wie, co się jej przydarzyło w kościele.

–Nie ktoś. Lamaru.

Brwi Terrible'a uniosły się. Racja. Skąd miałyby wiedzieć?

–To są... to taki nielegalny sabat. Nikt z nas nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Pamiętasz, jak parę lat temu znaleźli tego dzieciaka na Belden Hill.

Terrible skinął głową. Jego oczy pociemniały. Nic dziwnego. Nikt nie chciał sobie nawet wyobrażać, jak musiały wyglądać ostatnie godziny życia tego dziecka.

–To byli Lamaru. Wciąż nie jesteśmy pewni, co właściwie robili. Prawdopodobnie próbowali zmusić jego duszę do niewolnictwa czy coś w tym rodzaju. Tak czy inaczej, mają związek z tą sprawą, to nie są ludzie, z którymi ktokolwiek chciałby zadzierać. Przywołali złodzieja i mają wtyczkę w Kościele, kogoś, z kim pracuję. Dzisiaj próbowali na mnie napaść w kościelnej bibliotece.

Streściła mu przebieg zdarzeń, pomijając swój strach w ciemności i sugerując, że o tunelach słyszała od któregoś ze Starszych. Była zadowolona, że pamiętała, by tak zrobić, zwłaszcza że wydarzenia sprzed zaledwie kilku godzin już zacierały się w jej pamięci i przypominały historie zasłyszaną w dzieciństwie.

–Tylko pracownicy mogą tam wchodzić – podkreśliła.

–Skąd wiedzieli, że tam jesteś? Śledzili cię? Niech to szlag, Chess, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Nie powinnaś wychodzić sama.

W głowie miała watę, a skórę naelektryzowaną i tak wrażliwą, że włoski na rękach podniosły się, kiedy otartą się o ścianę. Zachichotała, próbowała udąć kaszel i rzeczywiście się zakrztusiła. To wydało się jej jeszcze bardziej zabawne. Dopiero po kilku minutach była w stanie znowu mówić.

–Nie widziałam, żeby ktoś mnie śledził.

–Czekali na ciebie w bibliotece, tak? Wiedzieli, że będziesz to rozgryzać, no to czekali.

–Ktoś musiałby ich zauważyć. Na pewno. Nikt nie może tam przebywać po zmroku, to...

–Ale ty tam byłaś, i ktoś jeszcze – zauważył – Gdzie ty miałaś głowę, Chess?

Jej głowa odpływała gdzieś daleko, kiwając się do ciężkiego rytmu *Wanna Be Your*

Dog Stoogesów. Muzyka pulsowała w całym jej ciele i nie pozwalała się skoncentrować. Wiedziała, że Terrible ma racę, ale przecież Kościół jest bezpieczny. To jedyne miejsce na całym świecie; które zawsze było bezpieczne. Czy on tego nie wie?

–Znaczy się, że w tym siedzi wielu ludzi – podjął. – Masz pojęcie, o co im chodzi?

–Nie – przyznała. – To znaczy częściowo tak. Ci Lamaru są organizacją antykościelną. Jak te grupy, które czasami protestują, kumasz?

Skinął głową.

–Słyszałem o nich.

–No właśnie. Tylko że tym Lamaru nie chodzi o pieniądze, rozgłos ani nic takiego. Oni chcą obalić Kościół i przejąć władzę, ale nie mam pojęcia, po co przywołują złodzieja snów. Wiesz, on jest śmiertelnie niebezpieczny. W końcu ze strachu po prostu przestajesz spać, a kiedy śpisz, nie możesz śnić i robisz się taki zmęczony, że on wciąga cię w permanentny sen i czerpie z ciebie, dopóki nie umrzesz. Bez snów...

Przyjrzał jej się uważnie.

–Kiedy ostatnio dobrze spałaś?

–Nigdy.

–Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała, nie tak jak zwykle.

–Nic mi nie jest. – Ile właściwie czasu minęło? Zaledwie kilka dni. I była na potężnych dawkach speedów, dużo większych niż normalnie. – Nic mi nie jest – powtórzyła.

Uniósł brwi, ale powstrzymał się od komentarza.

–To o nim jest w tej książce? Jego napędza dusza Slipknota?

Chess przytaknęła.

–Bump czeka na raport. Robi się niecierpliwy. Chce wiedzieć, kiedy masz zamiar posprzątać.

–Niecierpliwy? – Była na takim haju, że nawet uśmiechnęła się autentycznie. – Kazał ci mnie popędzić?

Terrible wzruszył ramionami i spuścił wzrok. To jej wystarczyło za odpowiedź.

–No dobra. Mogę się z nim zobaczyć jutro, zero problemu.

–Słuchaj mam zamiar na gościa, który może nam coś powiedzieć o duchach na Chester. Znasz Starego Earla? – Kiedy pokręciła przecząco głową, wyjaśnił: – Mieszkał tam jeszcze przed otwarciem Gunter. Może wie, co się dzieje. Wpadniemy do niego, jak już się zobaczysz z Bumpem, dobra? Może wie, jak to się wiąże z tym twoim złodziejem snów. Może to ten złodziej zwała samoloty?

–Może tak. Ale możliwe, że tylko uznali, że to dobre miejsce na odprawienie rytuału.

–A ten złodziej sprowadził ze sobą duchy i je wzmocnił?

–W *Przewodniku* nie napisali, czy jest w stanie kontrolować inne duchy. Ale na pewno je denerwuje i niepokoi. Jeśli poruszysz jednego ducha, spowodujesz problem z innymi, które mogą być w pobliżu, zwłaszcza jeżeli odprawiasz tego rodzaju rytuał. Siła życiowa jest umiejscowiona na dnie studni i powiązana z nim, więc tamte nie mogą się podłączyć...

–i to je wkurza?

–Tak. Ale jeśli chodzi o ich wzmocnienie, nie wiem. To możliwe, ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że on chciałby... mógłby czerpać z nich. Albo... Nie, to bez sensu. – Zaczęła kręcić głową. – Nie wiem. Nic nie wiem. Czuję, że gdybym miała jeden kawałek układanki, doprowadziłby mnie do innych, ale nie wiem, co to miałyby być za kawałek ani gdzie go szukać.

Wyobraziła sobie kawałki układanki w powietrzu. Musiała się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie próbować ich łapać. Głupio by to wyglądało, a nie chciała, aby Terrible pomykał, że zachowuje się głupio.

Ktoś przecisnął się między nimi w drodze do toalety, wyrrywając ją z zamyślenia.

–Co wiesz o ludziach, którzy z tobą pracują? Podejrzewasz kogoś? Możemy go sprawdzić.

–Dlaczego tak się w to angażujesz? Bump kazał ci mnie pilnować?

Wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę.

–Nie. Chcę rozwiązać zagadkę. To ciekawe.

–Ale przerażające – powiedziała cicho. – Bardziej przerażające od wszystkiego, co do tej pory robiłam.

–Mamy głowy na miejscu, więc jesteśmy bezpieczni. Nie ma strachu.

Nie wiedziała, jak to się stało. Nic nie zapowiadało, że tak się stanie. Uniosła dłoń do jego piersi, twardej i gorącej pod czarnym materiałem koszuli. Otworzyła usta i spojrzała na niego, gotowa podziękować mu, spytać, o której po nią jutro przyjedzie, albo tylko zażartować.

Nic takiego nie powiedziała. Nie powiedziała, bo ich oczy się spotkały i jego wzrok przeniknął ją całą. Nie powiedziała, bo została przyciśnięta do ściany, jej ramiona oplotły jego szyję, a na wargach poczuła jego wargi – bezwzględne, czułe, spragnione – wszystko naraz, i teraz naprawdę wlatywała pod sufit i jeszcze wyżej.

Pożądanie eksplodowało w niej, jak za naciśnięciem włącznika, kiedy jego dłonie zsunęły się po jej plecach w dół. W jej głowie nie istniało nic poza Terrible'em, jego językiem wsuwającym się do jej ust ze zręcznością, jakiej się nie spodziewała, jego dłońmi przyciskającymi ją coraz mocniej, jakby mieli stopić się w jedno ciało.

Przesunęła palcami po jego włosach, w dół po karku i pod koszulę, gdzie wyczuła blizny. Podniósł ją, wsunawszy ręce pod jej uda. Oplotła nogami jego wąską talię i napała biodrami na jego biodra. Niech to. Metr dziewięćdziesiąt i wszystko doskonale proporcjonalne. Prawie zapomniała, że musi oddychać. Ale niepotrzebne jej było powietrze, bo gdy on ją trzymał, czuła się bezpieczniej niż kiedykolwiek.

–Chess – wymruczał. Jego wargi wędrowały po jej szyi, wywołując dreszcz, od którego wibrowało całe ciało. – Chessie. Nigdy nie myślałem... taka śliczna...

Niski pomruk jego głosu wprowadził ją w jeszcze silniejsze wibracje, więc przywarła do niego ciaśniej, pewną, że jeżeli go puści, spadnie i będzie spadać coraz głębiej, przez podłogę.

To musiały być te narkotyki, bo gdzieś w zakamarkach jej umysłu pojawiła się myśl, że jeśli Terrible natychmiast jej nie weźmie, ona umrze. Jego biodra ocierały się o nią w powolnym, jednostajnym rytmie, rozpalającym ogień w jej ciele jeszcze bardziej.

Wciąż coś mruzczał, smakując jej szyję z zaskakującą delikatnością, gdy wreszcie zebrała się na odwagę, żeby zdjąć jedną rękę z jego ramienia. Czuła jego napięte mięśnie, sunąc dłonią w dół, a na koniec wetknęła ją w tę minimalną przestrzeń między nimi, gdzie mogła wyczuć przez dżinsy jego erekcję.

–Terrible – wydyszała. – Wiesz, jak tego używać?

Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć jej w twarz. Wciąż miał zdeformowany nos, wystające łuki brwiowe i twarde, ciemne oczy, ale nie dostrzegła już w nim brzydoty, tylko charakter i siłę. Jego szeroki uśmiech był bardzo seksowny, a w ciemnych oczach kryło się dużo więcej, niż mogłaby przypuszczać.

–o tak – powiedział. – Chcesz, żebym ci pokazał? Zachichotała.

–Wydaje mi się, że tak. Nie mogłam bardziej zwariować, co?

Jego uśmiech zbladł, ale po chwili wrócił.

–Chyba nie. Spadajmy stąd.

Odsunął się, stawiając ją na niepewnych nogach. Prawie upadła.

–Ups! – Tym razem jej chichot trwał dłużej. – Nogi mam trochę słabe. Możesz dać mi minutkę?

Spojrzała w górę, pewna, że on też się śmieje, ale Terrible patrzył na nią spod przymrużonych powiek, pomyślała, że w ten sposób chce odwrócić jej uwagę od niewiarygodnej wypukłości w dzinsach, co rozśmieszyło ją jeszcze bardziej, aż musiała złapać go za rękę, żeby nie upaść na podłogę.

–Chess.

–Tylko minutkę. Chess wróci za minutkę, dobrze?

Co, do cholery, jest takie zabawne? Dlaczego nie może przestać się śmiać? Zaczynało jej brakować tchu.

–Przezięłaś?

–Ja? Skądże...

Pokręciła głową, ale nie była w stanie zetrzeć z twarzy głupawego uśmiešku.

–Co brałaś?

Spojrzała na niego i odechciało jej się chichotów. Czy tylko wyobrazila sobie tego innego Terrible'a? Teraz wyglądał tak groźnie, jakby był Starszym, który przyłapał ją w barze zalaną i rozpaczliwie próbującą nie posikać się ze śmiechu.

–Nic takiego. Tylko parę ceptów i valtruin, który znalazłam. Słyszałeś kiedyś o tym? Jest naprawdę... To znaczy... Co?

Przesłonił twarz dłonią i westchnął.

–Nie wierzę, że to robię – powiedział cofając się o krok. – Zadzwońię do jedynej znajomej laski. Możesz się u niej zamelinować.

–Co? Nie, czekaj. To nie dlatego. – Śmiech znów zabulgotał jej w gardle, niepewny i lekko histeryczny. Zdusiła go. – To nie tak. Ty po prostu... nie, nie patrz na mnie w ten sposób. Patrz tak jak przedtem. Kiedy nie wyglądałeś jak ty.

Szarpnęła głową, jakby uderzyła go w twarz. Niedobrze.

–Nie, Terrible, nie o to mi chodziło. Ja tylko chciałam powiedzieć, że teraz wyglądasz jakoś inaczej, to znaczy...

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego piersi, ale zanim poczuła pod palcami materiał koszuli, wiedziała, że jest za późno.

Terrible wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę obojętnie jak kamienny posągi po czym wyjął komórkę.

–Zapomnij o tym – mruknął – Po prostu zapomnij, dobra?

Ucieczka była jedynym przyzwoitym wyjściem z tej sytuacji. Gdyby podłoga się rozstała, rzuciłaby się w tę dziurę głową do przodu, byle tylko uniknąć jego wzroku. On jej nie chciał, budziła w nim litość i niesmak, a teraz jeszcze doprowadziła go do wściekłości. Próbowала go wyminąć, ale złapał ją za ramię.

–Czekaj, aż zadzwonię. Nie możesz tak sobie iść.

–Nie idę. I też mam do kogo zadzwonić.

–Nie wrócisz dziś do tego kościoła. Nie po...

–Wiem, co się stało – przerwała mu. Twarz ją paliła ze wstydu. – i nie mam zamiaru tam wracać. Puść mnie.

–Nie, słuchaj ja...

Wyszarpnęła się z taką siłą, że aż wpadła na przeciwległą ścianę.

–Zabierz ode mnie swoje pieprzone łapska!

Podziałało, jeśli miał dla niej choć odrobinę sympatii – dziwne, że w ogóle ją miał – to teraz się ulotniło. Wzruszył ramionami i warknął:

–Zabiorę, jeśli chcesz.

–Tak chcę!

Odwrócił się i odszedł, zostawiając Chess w ciemnym korytarzu z bandą obcych ludzi i jej własnym, palącym żalem.

Rozdział 24

Nie istnieje grzech, w który kazały

ludziom wierzyć

zwodnicze i błędne stare religie. Są

za to zbrodnia

i kara. Jest to, co słuszne, i to, co

niewłaściwe.

To jednak opiera się na faktach, a

nie na wierze.

Księga Prawdy, Veraxis, Artykuł 56

–Skręć tutaj. Doyle posłusznie zwolnił przed zakrętem.

–Dokąd się wybierasz? – spytał.

–Do przyjaciółki – odparła Chess.

–Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcesz mi powiedzieć całej prawdy? Chyba jesteś mi to winna po tym, jak wyciągnęłaś mnie z łóżka i kazałaś się tutaj tłuc?

Jego głos był jak brzęczenie komara. Po co mów do niego dzwoniła? Powinna była po prostu pójść na piechotę.

–Jeżeli nie chciałeś mnie podwieźć, trzeba było odmówić.

–i zostawić cię samą w złej części miasta. Nie mógłbym tego zrobić.

–Więc teraz nie zrządź.

Chess objęła się ciaśniej ramionami i zapatrzyła w okno. Deszcz rozmywał czerwone punkty ulicznych świateł, dziwnie odświeżone na ciemnym tle pustej ulicy. Próbowwała sobie wyobrazić, że znajduje się w statku kosmicznym albo w łodzi sunącej gładko po szklanej tafli spokojnego morza. Zupełnie sama. Właśnie tak, jak chciała.

Prawie mogła to sobie wyobrazić, ale nie całkiem bo Doyle nie przestawał gadać.

–Wiesz, ja nie jestem jakimś chłopcem na posyłki. Nie życzę sobie, żeby mnie tak traktować.

–z czym ty masz, do cholery, problem?

–Powiedz raczej, z czym ty masz problem, Chessie. Najpierw niemal rzucasz się na mnie i zaciągasz do łóżka, a potem traktujesz mnie jak trędowatego. Nie odpowiadasz na moje telefony, a potem budzisz mnie w środku nocy i błagasz, żebym przyjechał.

–Nie musiałeś...

–Musiałem. Mówiłaś takim głosem, jakbyś się miała zaraz rozplakać. Co miałem robić? i wyglądasz jak nieszczęście, poważnie. Jakbyś nie spała od... czekaj. – samochód, który pełził z prędkością, przy której trzeźwa Chess denerwowałaby się, że może zostać skradziony, zwolnił jeszcze bardziej. – Ty go widziałaś? Tego człowieka z koszmaru?

–Nie wiem, o czym mówisz. Już ci powiedziałam.

–Musisz pójść ze mną porozmawiać z Prastarszym. Musimy mu powiedzieć, co się dzieje.

–Nie mam najmniejszego zamiaru.

Cholera. Z iloma ludźmi już o tym rozmawiał? Jeżeli Lamaru ścigają ją z powodu, tego co wie, w o ile większym niebezpieczeństwie jest Doyle, który nie umie trzymać języka za zębami? Chyba, że...

Nie. To niemożliwe. On nie mógłby tego zrobić.

–No tak, cała Chess. Tygodniami próbowałem się do ciebie dobrać, a ty nic. Nie chcesz rozmawiać ze mną, nie rozmawiasz z nikim innym, tylko tkwisz w tym swoim getcie, z tymi wszystkimi popaprańcami, którzy chyba nigdy w życiu nie słyszeli poprawnego języka, jak ten wielki facet, który wygląda jakby ktoś zdzielił go cegłą pełną głupoty i...

–Cholerny z ciebie snob, Doyle, wiesz o tym? – Słowa toczyły się z jej ust zbyt szybko niemal przepychając się jedne przez drugie. Doyle jest snobem, nieznośnym snobem, a ona nie mogła pojąć, jak to się stało, że nie dostrzegła tego wcześniej. Czy to ten przekłety valtruin ukazywał jej każdego od nowej strony? – Nic o nim nie wiesz, on nie jest głupi, a ty tylko dlatego, że potrafisz wymienić swoich przodków i znasz swoje imię...

–Przynajmniej nie mam zwyczaju spraszać do siebie zarażonych, bezdomnych dzieciaków ani spędzać całych dni na tym okropnym targowisku.

Mózg. Niech to szlag, zapomniała o Mózgu. Nawet nie pomyślała, żeby go dziś poszukać, nawet nie spytała Terrible'a, czy go widział.

Mózg uciekł, kiedy pokazał się Doyle. Właśnie miał jej coś powiedzieć – powiedzieć, co widział na lotnisku – kiedy przyszedł Doyle, jak na zawołanie akurat w tym momencie. I Mózg się przestraszył. Starając się przypomnieć sobie szczegóły, odtworzyła w pamięci szeroko otwarte oczy chłopca, pot nad górną wargą.

On widział na lotnisku Doyle'a. Nie mogło być inaczej. Doyle ma tatuaże takie same jak jej. Doyle wie, gdzie ona mieszka, i wie, że miała kontakt z amuletem, przecież sam wyjmował jej te cholerne robaki z rany.

Doyle mógł się domyślić, że ona będzie szukać informacji na temat Ereszdirana, że w tym celu przyjdzie do biblioteki po godzinach. Nie, to nie jego uwięziła w windzie, ale wcale nie ma pewności, że faktycznie uwięziła ścigającego ją mężczyznę.

W samochodzie zrobiło się nagle duszno. Doyle? Doyle w Lamaru? Doyle dokonał rytualnego mordu?

Doyle dotykał jej, całował ją, wziął ją do łóżka. Przez moment cienie w samochodzie wyglądały jak krwawe ślady na jej skórze. Nawet nie podejrzewała, nie miała pojęcia. Zadzwoiła, żeby ją podwiózł, myśląc, że jest przyjacielem, przyzwoitą osobą, bez względu na to, co między nimi zaszło. Jak bardzo się myliła. Na myśl o tym, gardło się jej zacisnęło i rozboleła ją żołądek.

–Dobra, to tutaj – powiedziała, starając się, żeby jej głos zabrzmiał naturalnie. – Możesz mnie tu wyrzucić.

Nadepnął na hamulec tak mocno, że Chess poleciała do przodu i niemal uderzyła o deskę rozdzielczą. Jej napięte nerwy odpowiedziały strachem.

–Co to ma być? Mogę cię tu wyrzucić i nieważne, że próbuję z tobą porozmawiać, nieważne, że jesteś mi coś winna po tym wszystkim? Jestem tylko twoim cholernym szoferem? Tak? Masz pojęcie, ile dziewczyn byłoby gotowych zabić, żebym tylko przyszedł do nich ze śniadaniem? Ile dziewczyn, z którymi pracujemy, wciąż do mnie wydzwania?

–Nie, nie. Ja tylko... po prostu potrzebowałam podwiezienia i teraz muszę tutaj wysiąść, w porządku?

Na splukiwanej deszczem ulicy nie było nic poza cieniami. Niezbyt zachęcające miejsce, żeby się tam znaleźć samej, ale jeżeli ma rację co do Doyle'a, chętnie

zaryzykuje. Chciała wysiąść, odejść, musiała to zrobić.

–Nie, nie w porządku. Wykorzystujesz ludzi, wiesz o tym? Tak robisz i taka jesteś. Nie mam pojęcia, dlaczego ci się wydaje, że możesz mnie traktować w ten sposób, ale to ci się nie uda.

Serce waliło jej jak oszalałe i była pewna, że on to słyszy.

–Doyle... przepraszam – powiedziała – Ja tylko... Tyle się teraz dzieje. Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? Ale teraz naprawdę muszę iść. Przyjaciółka na mnie czeka.

–Przyjaciółka? a może jakiś następny szybki numerek?

Gdyby miała czas pomyśleć, powstrzymałaby się, zanim to się stało. Gdyby nie odchodziła od zmysłów ze strachu i z żalu po tym, co się stało z Terrible'em, gdyby była mniej naćpana, a bardziej racjonalna, usiadłaby na rękach, żeby nie zrobić tego, co zrobiła. Ale była w takim stanie, w jakim była, a do tego wściekła i zdecydowana wysiąść, więc jej ręka sama się uniosła i uderzyła w jego rumiany policzek z głośnym plaśnięciem. Ból przeszył jej ramię, gdy rana na dłoni trafiła w szczękę.

Po sekundzie przerażającej ciszy Doyle zaczerpnął tchu i oddał jej.

Widziała jego wargi wykrzywione wściekłością, jego dłoń zbliżającą się jak w zwolnionym tempie – uchyliła się, ale i tak trafił ją w nos. Poczowała eksplozję bólu ogarniającego całą głowę. Wzrok jej zmętniał, oddech uwiązał w piersi. Coś pociekło po tylnej ścianie gardła i nabrała straszego podejrzenia, że to jej własna krew.

–Chess. – Usłyszała jego jęk. – Cholera, Chess, wybaczone, ja nie chciałem...

Wyciągnął do niej rękę, ale ona otworzyła drzwi samochodu, zanim zdążył ją znów dotknąć. Wypadła na ziemię, raniąc dłonie o dziurawy asfalt, jej dzinsy natychmiast nasiąkły wodą, ale nie, miało to znaczenia. Nie oglądając się za siebie, pobiegła ścigana przez jego głos wołający jej imię, rozbrzmiewający echem na pustej ulicy. On sam jednak nie pobiegł za nią.

Bolał ją nos. Bolała ją cała twarz, jakby ktoś zdzielił ją łopata. Oczy sprawiały wrażenie ciężkich i za pełnych, jakby miały eksplodować, gdyby ich dotknęła. O, niech to szlag.

–Dzieńdoberek, tulipanku – odezwał się Lex z drugiego końca pokoju, przeciągając słowa. – Jak się masz?

Z jękiem przetoczyła się na bok. Odwracając się tyłem. Obrazy z poprzedniego

wieczoru przypuściły szturm na jej obolałą głowę. Doyle, przede wszystkim Doyle. Pewność, że jest w to zamieszany. Terrible...

o nie... Terrible. Co ona zrobiła? Jak, do cholery, spojrzy, mu w oczy po tym wszystkim?

Przynajmniej się wyspałam, pomyślała. Może była to bardziej narkotyczna śpiączka niż zdrowy sen, ale myślała jaśniej niż przez ostatnie dni i fizycznie nie czuła się najgorzej, jeśli nie liczyć pulsującego bólu w nosie.

–No tak, ten gość nieźle ci przywalił, obraziłaś jego mamę?

Chwilę trwało, zanim udało się przepchnąć słowa przez, suche jak pieprz gardło.

–Dałam mu w pysk. Nie mówiłam ci wczoraj wieczorem?

–Wczoraj wieczorem nie powiedziałaś prawie nic, co by miało sens. Coś o facecie imieniem Boil, o jakimś barze i o szybkim numerku. Myślałem, że może coś sugerujesz, ale nie nadawałaś się z całą tą krwią i w ogóle. Wyglądałaś jak wyrzygane ścierwo.

Zmusiła się, żeby otworzyć jedno oko. Stał przy łóżku, opierając ciężar ciała na jednej nodze. W rękę trzymał wysoką szklankę z wodą.

–Nie byłaś w najlepszej formie i tyle. – Wzruszył ramionami. – Nie powiem, że mam ci to za złe.

Miękkie prześcieradła przesunęły się po jej nagiej skórze – gdzie są jej dżinsy? – kiedy z pewnym trudem zdołała przyjąć pozycję półsiedzącą i wyciągnęła rękę. Położył jej na dłoni dwie pigułki i wskazał głową, żeby wzięła do drugiej ręki szklankę.

Woda była chłodna i musująca. Zaczęła wracać do życia. Wrzuciła do ust cepty i popiła, po każdym łyku chwytając powietrze jak dziecko. Przez zatkany nos nie dało się oddychać.

–Nie Boil – powiedziała. – Doyle. Facet, z którym pracuję. On jest... Myślę, że on jest jednym z nich. Jednym z tych, którzy odprawiali rytuał na Chester i zrobili amulet. Dowiedziałam się też, po co to wszystko. To znaczy... oni przywołali złodzieja snów. Naprawdę potężnego ducha... jest jakby złożony z części innych duchów, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie podstawowy byt, tylko złożony. Bardzo silny. Bardzo groźny.

–z jego powodu byłaś w tunelach wczoraj wieczorem?

Szczęka jej opadła.

–Ja...

–Bez obaw. Tylko pytam. Szok powiedział mi, że cię widział, jak próbowałaś wyjść. Jak tam weszłaś skoro, nie wiedziałaś, jak wyjść?

Niedobrze. Nie wyglądał na wściekłego, ale skąd niby miałyby wiedzieć, jak wygląda, kiedy jest wściekły? Nie mogła ufać wyrazowi uprzejmego zaciekawienia na jego twarzy, tak samo jak nie mogła ufać niczemu innemu, co go dotyczyło, a to – chociaż jego zachowanie póki co przynajmniej uspokoiło jej lęki – niezbyt wiele.

–Co się stało z moim ubraniem?

–Moja siostra je zabrała, jak cię kładła do łóżka. Co robiłaś w tunelach, skoro tak nie lubisz podziemi?

Wciąż wyglądał na zaciekawionego, nic więcej, ale musiałyby być głupi, żeby się tym nie zaniepokoić.

Pracowała dla Bumpa. Z tego, co wiedział Lex, miała zamiar wykiwać go w sprawie lotniska. Musiałyby być idiotką, aby tego próbować – mógłby dopaść ją wszędzie, chociaż akurat nie wtedy, kiedy będzie tam pełno ludzi – a on musiałyby być idiotą, gdyby nie brał pod uwagę takiej możliwości.

To, że nie okazał zainteresowania złodziejem snów wcale jej nie zaskoczyło. To był jej problem, nie jego. Tunele... to był jego problem i powinna być ostrożna.

–Ktoś mnie ścigał – przyznała w końcu – Byłam w kościele, szperałam w książkach i ktoś chciał mnie napaść. Wiesz, kto to są Lamaru?

–Słyszałem o nich. Maczają w tym palce?

–Tak. Sądzę, że stoją za tym wszystkim. A właściwie, nie sądzą, ja to wiem. Zagonili mnie na peron tego pociągu do Miasta i uciekłam przez tunele.

Skinął głową, jego wzrok wyrażał uznanie. Czy wie o tych ciałach na dole? Czy wie, że musiała przejść koło nich, żeby się dostać do „jego” tuneli?

–Pomysłowe, co? – Materac prawie się nie ugiął pod jego ciężarem. – Wiesz, niektóre z tych tuneli nie były badane od lat. Mogłaś się zgubić. Tak, żeby nigdy się nie znaleźć.

Chess przełknęła ślinę. W gardle wciąż czuła suchość.

–Mówią, że niektórym to się zdarzyło. Zeszli tam, żeby badać tunel, zgubili się i w końcu woleli się zabić, niż umrzeć z głodu. Może ich ciała wciąż tam są, jak myślisz?

–Ja nie widziałam – wydobyła z siebie skrzekliwy szept. Oblizwała wargi i spróbowała znowu – Same szczury i grzyb.

–Tak? To masz fart. Wyobrażam sobie, że to musi być niesamowite zobaczyć na dole trupy. – Uniósł rękę i odgarnął jej włosy z twarzy ciepłymi palcami. – Może byś wzięła prysznic, tulipanku, od razu lepiej się poczujesz.

Od gorącej wody zapiekła ją twarz i dłoń, ale było świetnie. Szkoda, że kąpiel nie mogła pomóc na zamęt, jaki miała w głowie.

Terrible. Niech to szlag. Będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz, iść z nim do Bumpa i do Starego Eda... a może to jest Stary Earl? Przez moment hołubiła pokrzepiającą myśl, że może on nie będzie chciał mieć z nią do czynienia, ale w końcu uznała, że to mało prawdopodobne. Bump chce, żeby robota została wykonana, a niezależnie od tego, jaką kretynkę zrobiła z siebie poprzedniego wieczoru, Terrible pracuje dla Bumpa.

Czy powinna go przeprosić? Ale jak? i czy w ogóle chce?

Przeprosiny oznaczałyby konieczność tłumaczenia, że to narkotyki mówiły przez nią, kiedy powiedziała, że chce iść z nim do łóżka. Po prostu efekt uboczny, nic więcej. W chłodnym świetle poranka burza, jaka rozszalała się w jej krwi poprzedniego wieczoru, wydawała się nieco... pochopna.

Przecież to Terrible, do cholery. Przeróżający, brzydki i zimny. Nie mogła go pragnąć. Nie mogła nawet pomyśleć, że go pragnie – to szaleństwo.

Może lepiej zostawić to tak, jak jest. Stało się, co się stało, ale nie zaszło za daleko. Czemu miałoby zająć? Przecież tak naprawdę on też jej nie chciał. Świadczyła o tym jego reakcja, kamienny wyraz twarzy.

Nie bez powodu wolała związek na jedną noc, a to doświadczenie było doskonałą ilustracją.

Tak, najlepiej udawać, że nic nie pamięta. Oszczędzi to obojgu żenującej sceny.

A co do Lexa... Czy jego pytanie o to, co widziała w tunelach, było groźbą? a może wyrazem autentycznej troski albo nawet sposobem na odsunięcie, od siebie odpowiedzialności za trupy, które widziała. Subtelna sugestia, że nie powinna uważać go za mordercę. Zabawne, bo przecież był mordercą, o czym wiedziała, jeszcze zanim zobaczyła, jak podrzyna człowiekowi gardło w jej własnej kuchni. Tak samo Terrible, Bump i Slobag, szef Lexa – chociaż jeśli się nad tym zastanowić, wciąż nie wiedziała, co właściwie Lex dla niego robi. Ale biorąc pod uwagę, że Slobag

jest podobno równie żądny krwi jak Bump, jeśli nie bardziej...

W całej Dolnej Dzielnicy trudno byłoby znaleźć więcej niż garstkę ludzi, którzy nigdy nie wyprawili jakiejś duszy do Miasta przed czasem. Ona sama nie należała już do tej garstki od chwili użycia strzykawki pełnej smaru.

Zakręciła wodę i wytarła się. Jedyne ubranie, jakie miała, to własne majtki i koszulka z Dead Kennedys, w której się obudziła i która prawdopodobnie należała do Lexa. Wsunęła ją przez głowę z uczuciem, jakby robiąc to, wyrażała przyzwolenie na coś.

Na widok swojej twarzy w lustrze niemal krzyknęła. Nos i lewe oko były podbiegłe krwią i opuchnięte. Wyglądało to, jakby na jej twarz nałożono cudze rysy. Ból trochę złagodniał po pigułkach i prysznicu, ale wciąż był obecny i przypominał o konfrontacji z Doyle'em. Jakby takie przypomnienie było jej potrzebne.

Umyła zęby, użyła dezodorantu i kremu nawilżającego, po czym otworzyła drzwi łazienki.

–Hej. Lex, a tak w ogóle, to gdzie są moje ubrania?

Siedział na skraju łóżka, oparty na wyciągniętych w tył rękach.

–Kazałem uprać. Niedługo powinny być gotowe.

–Czyli co... muszę tu tkwić dopóki nie będą?

–Coś mi się zdaje, że moje dzinsy byłyby trochę za duże.

–Długo to potrwa?

–Pół godziny, może godzinę. Wiesz jak wypełnić ten czas?

Uniósł brwi i utkwiał wzrok w jej nagich udach. Chess odwzajemniła mu się równie szczerym i otwartym spojrzeniem.

Nie był przyjemną osobą, ale też nikt, kogo znała nie był przyjemny. Porwał ją i drażnił się z nią. Z drugiej strony, pomógł jej tamtej nocy, kiedy zabił Lamaru w jej mieszkaniu i, co ważniejsze, przyjechał do domu Mortonów, żeby odzyskać jej Rączkę.

Niewiele ją obchodził, ale lubiła go wystarczająco, a poza tym był seksowny i atrakcyjny. Nie mogłaby myśleć o nim poważnie, ale to dobrze. Gdyby poczuła coś do niego, prawdziwe zaufanie albo zadurzenie, gdyby wierzyła, że mogą mieć wspólną przyszłość, nawet nie byłaby w stanie się zastanawiać, czy pozwoli na to, czego w tak jawny sposób chciał. Na szczęście to, co ich łączyło, opierało się

wyłącznie na wzajemnym pociągu i połowicznym zaufaniu, więc nie będzie żałowała, jeśli nigdy więcej go nie zobaczy, kiedy już wszystko się skończy.

Poza tym w ciągu ostatnich paru dni tyle razy omal nie zginęła i istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że naprawdę zginie w ciągu kilku najbliższych. Zatem czemu nie?

–Nie wiem – powiedziała. – Masz jakiś pomysł?

–Owszem. – Usiadł prosto, po czym pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Może pokażesz mi ten tatuaż?

Rozdział 25

*Kto już zaczął łamać prawa, będzie to
robić, dopóki nie*

otrzyma kary dla oczyszczenia duszy.

*Z tej przyczyny należy przyglądać się
sąsiadom i*

przyjaciołom, jak również członkom

rodziny, aby

uchronić ich przed potępieniem.

Rodziny i Prawda, ulotka kościelna

autorstwa Starszego Barretta

Oddech uwiązał jej w piersi, kiedy zrobiła krok do przodu, czując pod stopami przyjemną gładkość podłogi. Niecałe pół metra od niego zatrzymała się i uniosła skraj T – shirtu.

–Nie widzę za dobrze. – powiedział Lex. Podejdź bliżej.

Zrobiła kolejny krok.

–Jeszcze bliżej.

Była teraz tak blisko, że nie widziała jego twarzy, tylko gęste czarne włosy.

Wsunął palce pod krawędź jej majtek i pociągnął w dół, odsłaniając cały tatuaż – czarno – czerwonego tulipana – który zrobiła sobie, kiedy skończyła osiemnaście lat i przystąpiła do programu szkolenia Demaskatorów.

–Śliczny tulipanek – rzekł, pieszcząc oddechem jej skórę. – Po co on jest?

Wzruszyła ramionami.

–Po nic. Dla przyjemności.

Jedna z jej matek zastępczych – jedna z niewielu, które były dla niej dobre – hodowała tulipany, setki tulipanów, zanim niespodziewanie zmarła i Chess wysłano gdzie indziej. Była wtedy małą dziewczynką, ale nigdy nie zapomniała tych pięknych kolorowych kwiatów w miejscu, które było prawie jej domem.

Dostała gęsiej skórki, kiedy przywarł ustami do tatuażu, jednocześnie ściągając niżej majtki. Przesunął wargi w ślad za nimi, dotykając zębami kości biodrowej. Otoczył jej talię, pieszczotliwie musnął pośladki i chwycił za biodro po przeciwnej stronie. Jednym szybkim ruchem obrócił ją, a następnym pociągnął w tył, tak, że musiała położyć się na łóżku obok niego. Niemal straciła orientację.

Chyba leżała na plecach, a on całował linię od biodra, przez żebra, do piersi, odsuwając z drogi koszulkę, którą w końcu niecierpliwie z niej ściągnął. Jego wargi dotknęły jej warg tak delikatnie, że wciąż mogła oddychać, lecz jednocześnie przez całe jej ciało przeszedł dreszcz. Drżącymi dłońmi rozpięta jego dżinsy chwyciła w pasie jego bokserki i pociągnęła w dół, uwalniając erekcję.

Zapach papierosów i przypraw dotarł do niej, kiedy całował jej szyję i ramiona, obejmował dłońmi małe piersi, a gdy zaczął je pieścić ustami, zatraciła się w tym zupełnie. Nie myślała o swoim wstydzie z poprzedniego wieczora, o strachu przed ponownym spotkaniem z Terrible'em, o obawach, co się stanie, kiedy spróbuje uwolnić duszę Slipknota. Czuła tylko jego nagi tors, ciepły, twardy i męski z chłodnym metalem łańcucha, który nosił na szyi. Wygięła się w łuk, z gotowością przyjmując jego palce bawiące się wilgotnym, nabrzmiętym punkcikiem między nogami. Stłumiła krzyk, kiedy jej ciało przeszła rozkosz tak mocna, że zapomniała nawet własne imię, co było najlepsze ze wszystkiego.

Gdzieś przez mgłę zasnuwającą jej oczy dostrzegła, że odsunął się od niej, i usłyszała dźwięk rozdieranej folii. Potem wrócił, całował ją, zsunął jej majtki do końca. Czekala na niezręczny moment, do którego była przyzwyczajona, kiedy większość mężczyzn zapomina o podstawowym fakcie anatomicznym i podejmuje próbę wbicia się w jej udo. Ale on nie zapomniał. Wszedł w nią prosto i gładko, ona zaś wbiła palce w jego plecy i objęła go nogami.

Był większy, niż się spodziewała, ale nie boleśnie. W sam raz. Wypełniał ją nie sprawiając jej przykrości i poruszał się wolno, eksplorując każdy centymetr, aż poczuła, że za chwilę eksploduje. Uniosła biodra, wychodząc na spotkanie jego kolejnych pchnięć i błagając go, żeby robił to szybciej.

–Tak, tulipanku – wyszeptał – Słodko... cholernie słodko...

Chess wymamrotała jakieś potwierdzenie i przycisnęła jego wargi z powrotem do

swoich. Oddychanie nie było ważne. Nic nie było ważne, bo wreszcie przyspieszył, wdzierając się w nią z determinacją, którą rozumiała i podzielała. Przesunął rękę w dół, aby pieścić jej najbardziej wrażliwe miejsce, a ona dopasowała się do jego rytmu i pozwalała sobą kierować do następnego rozsadzającego zmysły szczytu.

Tym razem towarzyszył jej, ich głosy wmieszały się w nieruchome powietrze pokoju, aż w końcu opadł na nią.

–Tulipanku – szepnął, całując ją w szyję. – Niebezpieczna z ciebie dziewczyna.

–Tylko jeśli mnie wkurzysz. Wiesz jestem czarownicą.

–Więc nie wolno ci robić nikomu krzywdy.

Zsunął się z niej, okrył ich chłodnym prześcieradłem, wyjął dwa papierosy z paczki leżącej przy łóżku i zapalił.

Ruch uwydatnił mocne mięśnie jego piersi i pleców. Nieźle, pomyślała, sięgając po papierosa.

–Chciałam tylko przypomnieć.

–Tak? Wiesz, ja też chciałbym o czymś przypomnieć jednemu z waszych czarowników. Powiedz, jak go znaleźć.

–Kogo?

–Pana Przyjazną Pięść. Boila, Doyle'a czy jak mu tam. Mam mu parę rzeczy do powiedzenia.

–Odpuść. I bez tego będzie miał wystarczająco dużo problemów. Muszę powiedzieć Starszemu, co zrobił. To znaczy o rytuale, nie... o tym drugim.

–Nie ma wystarczająco dużo problemów dla takiego gościa.

–Ja pierwsza go uderzyłam.

–Pieprzyć to, tulipanku. Nie ma przebaczenia. Wieczorem zabierzesz mnie tam i przedstawiś mu mnie, dobrze?

–Lex, naprawdę doceniam twoją troskę, ale to nie jest konieczne.

–Dla mnie jest. A teraz wpuszczę siostrę, dobrze? – Spojrzał na drzwi, do których ktoś się dobijał i nachylił się, żeby pocałować ją w szyję. – Wygląda na to, że twoje ubrania już gotowe. Chcesz je, czy wolisz, żebym kazał jej wrócić za godzinę?

Prawie dwie godziny później Chess z trudem wspinała się po schodach w swoim domu. Była wykąpana i miała na sobie czyste ubrania, ale przyjemne uczucie rozluźnienia słabło z każdym stopniem.

Prawdopodobnie zastanie wiadomość od Terrible'a. Co gorsza, on może na nią czekać. A ona ma podbite oko i spuchnięty – chociaż na szczęście nie złamany – nos. Jak, do cholery, ma udawać, że nie pamięta nic z tego, co się zdarzyło U Naciągaczy, a pamięta, że została pobita, to już by była przesada.

Uwierzyłby, że się przewróciła? Być może. Więc to właśnie powie, kiedy go zobaczy. Tymczasem musi zadzwonić do Starszego Griffina, powiedzieć, że musi się spotkać z nim i z Prastarszym, no i dowiedzieć się, czy ktoś został uwięziony w windzie. Musi też ustalić, jaki to wszystko ma związek z Mortonami. Przemknęło jej przez myśl, że Eresdiran przyszedł tam za nią, ale to przecież nie miało sensu. Po raz pierwszy zobaczyła go u nich i tam wydawał się najsilniejszy. Musi więc istnieć jakiś związek między nim a domem Mortonów. Może powinna najpierw wstąpić do Griffina, żeby tam się z nią spotkał. Teraz, kiedy wiadomo, że w sprawę zamieszani są Lamaru, powinien o tym wiedzieć ktoś stojący wyżej niż ona.

Jeśli chodzi o Chester, kompletnie nie wiedziała, co robić. Miała nadzieję, że Stary Earl da jej coś, co będzie mogła wykorzystać – zakładając, że lotnisko jest faktycznie nawiedzone, a na takie wygląda. Później mogłaby pozbierać kamery, które tam zainstalowała i to potwierdzić.

Ale co dalej? Nie może po prostu udawać przed Bumpem, że nie jest w stanie poradzić sobie z duchami. Od razu by zapytał, jak w takim razie udało jej się utrzymać posadę. Ale uporać się z duchami też nie mogła, biorąc pod uwagę układ zawarty z Lexem. Czasami jej uzależnienie sprawiało więcej kłopotów, niż było warte.

Podzwaniając kluczami w ciszy korytarza, wsunęła właściwy do zamka i przekręciła. Skobel przesunął się bezgłośnie. Czy to dobrze? Może zamek został dobrze nasmarowany podczas włamania. Na wszelki wypadek wyjęła z kieszeni nóż. Amulet miała w torbie, ale jeśli ktoś przyszedł go szukać – czy Doyle, czy jeden z ludzi, z którymi pracował – nie wiedział o tym.

Pchnęła drzwi, trzymając nóż przed sobą. W kuchni nikogo nie było. Stała nieruchomo dłużej, aż w końcu musiała odetchnąć. Nikogo tam nie ma, powtarzała sobie. Zaczyna wpadać w paranoję – nic dziwnego, zważywszy na całokształt.

Ta myśl jej nie uspokoiła. Czuła, że coś jest nie w porządku. Nie pamiętała, żeby zamek chodził tak gładko poprzedniej nocy, a wtedy była nie mniej czujna niż teraz. I

ten zapach. Czy w powietrzu nie unosi się dziwny zapach? Wyraźna słodkawa woń?

Przed wyjściem trochę posprzątała. Dobrze, że poświęciła na to czas, bo teraz od razu zauważyła stos książek, który umieściła na poręczy kanapy, leżał odwrócony grzbietami w kierunku ściany, a nie siedzenia. Jej papiery były poprzekładane Mały kawałek malachitu, który trzymała na półce z książkami spadł na podłogę. Sięgnęła po skrzynkę z czarno drzewu i otworzyła wieko.

Wyglądało, że niczego nie brakuje, chociaż z całą pewnością ktoś w niej grzebał. Nie była to dobra wiadomość, bo teraz wiedzieli, że ma amulet przy sobie, poczuła jednak pewną satysfakcję, że znów ich wykiwała.

Wszędzie, gdzie spojrzała, dostrzegala drobne dowody, że obce ręce dotykały jej rzeczy. Przeszedł ją dreszcz. Równie dobrze mogli dotykać jej samej, macać brudnymi łapami jej ciało. Satysfakcja z powodu małego zwycięstwa blakła w obliczu rzeczywistości. To mieszkanie było wszystkim, co miała. Jedynym miejscem, gdzie mogła zachować prywatność, gdzie mogła być sama. A teraz ktoś pogwałcił jej prywatność, odebrał ją jej tak jak wszystko inne, co straciła w ciągu całego życia.

Nie chciała już na nic patrzeć. Nie chciała nic robić. Chciała tylko położyć się do łóżka.

Ktoś na nią czekał.

Leżał na kółdrze z nieruchomymi oczami wpatrzonymi w sufit i rękami złożonymi na brzuchu.

Chess wstrzymała oddech na widok głębokiej rany ziejącej na szyi i runów wyciętych na odsłoniętej klatce piersiowej. Symbol Lamaru na czole był wyraźny, niemal wyzywający.

Mózg nie żył.

Rozdział 26

Istnieje pokusa, aby w sfigowaniu

nawiedzenia

upatrywać łatwego zarobku. Wszak

Kościół obiecał nas

chronić i naprawić szkodę, jeśli

zawiedzie.

Strzeż się jednak! Możesz zostać

przyłapany.

Demaskatorzy należą do najlepiej

wyszkolonych,

najinteligentniejszych i najbardziej

utalentowanych

pracowników Kościoła i niełatwo ich

oszukać.

Rodziny i Prawda, ulotka kościelna

autorstwa Starszego Barretta

Rzuciła się do drzwi i otworzyła je gwałtownie w chwili, gdy Terrible właśnie miał zapukać. Jego widok poraził ją prawie tak samo, jak widok chudego ciała Mózga na jej łóżku.

–Gdzie? Co? – Wpadł do mieszkania, ale spojrzawszy na nią, stanął jak wryty, blednąc gwałtownie. – Dopadli cię, Chess? Czekali na ciebie?

–Nie, nie, nikogo tu nie ma, ja...

–Więc kto? Kto cię pobił?

–Ja... – Co miała mu powiedzieć? Kompletnie zapomniała wobec furii płonącej w jego oczach. – Przewróciłam się i tyle.

–To ten palant, tak? Ten cały Doyle, co z nim wyszłaś.

–Nie, ja... skąd wiesz?

–Pilnowałem cię. Pilnowałem jak cholera, myślałem, że będziesz bezpieczna. – Pokręcił głową. – Nie trzeba cię było puszczać... Kurwa, dlaczego ja nie...

Walnął dłoń w futrynę z taką siłą, że wszystko się zatrzęsło, raz, potem drugi. Potem oparł się obiema rękami o ścianę i zwiesiwszy głowę, wbił wzrok w podłogę.

–Skrzywdził cię?

–Co?

–Czy on... no, czy cię skrzywdził, kumasz?

Na twarz wystąpiły mu czerwone plamy, oczy były czarnymi dziurami.

–Och, nie.

Skinął głową, potem jeszcze raz, jakby chciał sam siebie o czymś przekonać.

–Nic mi nie jest – zapewniła.

Przynajmniej przestała się martwić, jak mu spojrzy w twarz. Napięcie zelżało. Może powinna być wdzięczna Doyle'owi.

**–Dobrze. – Przeczesał dłoń włosy i chwilę stał nieruchomo, trzymając się za kark.
– No to gdzie jest Mózg?**

Ruszyła przodem, targana wyrzutami sumienia. Nie mogła nie myśleć, że jest winna śmierci Mózga, nawet jeśli nie była świadoma tego wcześniej. To ona wpuściła Doyle'a i nawet powiedziała mu, jak chłopiec się nazywa. Nie szukała go dość starannie, prawie o nim zapomniała. Owszem, wokół niej działo się dużo innych rzeczy, ale Mózg był tylko chłopcem, teraz jest martwy, a ona mogła go uratować.

Terrible stanął koło łóżka.

–Te runy uwięziły też jego duszę?

–Nie. Te są przypadkowe. Nawet nie z tego samego zestawu. Myślę, że to taka wizytówka. Jakby była mi potrzebna.

–Cholera. Biedny dzieciak. – Terrible pokręcił głową. – Masz pojęcie, kto to zrobił? Znaczą się, kto z Kościoła?

–Chyba tak. Podejrzewam, że to Doyle. Nozdrza Terrible'a zadrgały.

–Posłuchaj – ciągnęła – myślałam o tym wczoro... dziś rano. Mózg był u mnie przed wczoraj, ale zwiął, jak tylko przyszedł Doyle. Wtedy nie zastanawiałam się nad tym, myślałam, że po prostu się denerwuje, nie chce tu nikogo obcego, ale teraz... Doyle węszył w moim mieszkaniu któregoś wieczoru, jak wyszłam do kuchni. I to on powiedział mi o złodzieju snów. Mówił, że kilkoro naszych go widziało, i pytał, czy ja też. Chciał, żebym poszła z nim i jeszcze paroma ludźmi do Prastarszego, żeby mu powiedzieć, co się dzieje.

–Myślisz, że cię wkręcał? Próbował wyniuchać, co wiesz?

–Przede wszystkim.

Terrible wyciągnął rękę i zamknął Mózgowi oczy.

–Biedny dzieciak – powtórzył. Spojrzał na Chess. – No to dzisiaj robimy tak. Bump czeka na nas w chłodni, gdzie trzyma ciało. Stary Earl przychodzi na Dwudziestą Piątą prawie codziennie koło trzeciej. Wpadniemy tam potem. A później do tego kościoła zobaczyć, z kim da się pogadać. Ten Skurwiel podał ci nazwiska innych ludzi, co widzieli złodzieja?

Chess skinęła głową.

–To git. Pogadamy z nimi. I spikniesz się z tymi Starszymi, zawiadomisz ich. Może być?

Zegar koło łóżka wskazywał, że jest już po drugiej.

–Co z Mózgiem?

–Bump każe ludziom się tym zająć. Trzeba ci kupić nową pościel.

–Tak Już o tym myślałam.

Łzy napłynęły jej do oczu, więc odwróciła się, żeby ich nie zobaczył. Dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrali właśnie jej dom? Wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się tu bezpiecznie, Nawet zakłęcia, które założyła na drzwi, nie powstrzymały ich. Jasne, że nie. Lamaru i pracownicy Kościoła wiedzieli, jak je

odczynić.

Jej spartańska sypialnia z gładkimi szarymi ścianami i zaciekami na suficie jeszcze nigdy nie wyglądała tak zimno. Nowa pościel, dobre sobie. Będzie musiała kupić nowe łóżko. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kładzie się tam, gdzie leżał Mózg.

Odchrząknęła, świadoma, że Terrible przygląda się jej ukradkiem. Napięcie, o którym myślała, że odpuściło, teraz owijało się wokół niej, wokół nich obojga. O czym on myśli?

–Powinniśmy już iść – powiedziała w końcu. – Tylko... hm... pozwól mi się przebrać, dobra?

–Idź do drugiego pokoju. Ja tu z nim zostanę.

–Dzięki.

Wyjęła z szafy w ścianie ciemnoczerwony top i džinsy i podeszła do komody. Odwróciła się plecami, bo nie chciała, aby zobaczył, że wyjmuje czyste majtki i stanik, które następnie przykryła džinsami.

–A właściwie to gdzie ty dziś spałaś? Nie tu i chyba nie u Doyle'a.

–Nie. Wynajęłam pokój w hotelu.

Zerknęła przez ramię, ale on akurat nie patrzył na nią. Wzrok miał utkwiony w wąskim oknie.

–Dobry pomysł. Ej, znasz tych ludzi, co tam mieszkają?

–Jakich ludzi? Gdzie?

–Po drugiej stronie ulicy. Mogę stąd zajrzeć do nich. To okno jest okropnie małe, więc oni nie mogą zajrzeć tu, ale jak z innymi oknami? Znaczą w pokoju? Ktoś może zajrzeć?

–Och, nie wiem.

Kiedy podeszła, odsunął się, umożliwiając jej dostęp do okna. A może po prostu nie chciał być blisko niej.

Miał rację. Mogłaby zajrzeć do mieszkania po drugiej, stronie ulicy, gdyby zasłony były rozsunięte. Nigdy nie zastanawiała, czy ktoś mógłby zajrzeć do jej sypialni, z powodu, o którym wspomniał Terrible. Okno było wąskie, mur gruby, a ona niewiele tu przebywała – tylko sypiała i ubierała się. Nie przyprowadzała tu żadnych mężczyzn. Do mieszkania czasami tak, ale nigdy do sypialni.

–Wydaje mi się, że zostawiłam zasłony w pokoju rozsunięte. A teraz są zasunięte.

–A co z tym wielkim witrażem? Ktoś może przez niego zajrzeć?

–Nie sędzę.

–Spytamy i tak, dobra? Chodzi o tę krew na podłodze, z poprzedniego włamania. Nie było krwi w korytarzu ani nigdzie. Tylko u ciebie. Trochę dziwne, co nie? Może mają blisko melinę i wysłali kogoś, żeby posprzątał w korytarzu, a u ciebie już nie, bo po co? Może ta krew to jakaś magia. Jakieś ostrzeżenie.

Dlaczego choć raz nie mógłby być głupi? Ludzie Lexa musieli zawinąć ciała w plastik.

–Nie wyczułam zakłęcia – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. – Może ktoś im przerwał, kiedy sprząтали.

–Jeszcze jeden powód, żeby popytać, co nie?

Przytaknęła i zerknęła na niego. Stał pod ścianą, prawie w nią wciśnięty.

–Posłuchaj, Chess. Niedobrze.

–Chyba powinnam cię przeprosić – weszła mu w słowo. – Zdaje się, że trochę przegięłam wczoraj wieczorem, nie bardzo pamiętam. Czy ja... dziwnie się zachowywałam, kiedy się widzieliśmy? Bo widzieliśmy prawda?

Przez dłuższą chwilę jego twarz pozostawała nieruchoma. Wreszcie spuścił wzrok, kręcąc głową.

–Nie, coś ty, byłaś w porządku. Nie przejmuj się, dobra?

–Dzięki.

Zapadła krępująca cisza. Chess czuła się lepka, jakby jej kłamstwo zamieniło się w warstwę brudu pokrywającą całe ciało.

–Pójdę się ubrać – powiedziała.

Włożyła koszulkę i sięgnęła po telefon. Pora zadzwonić do Starszego Griffina. Miała nadzieję, że odbierze osobiście.

Nie odebrał. Zamiast niego odezwał się Randy Duncan.

–Chessie, jak się masz?

Zmarszczyła brwi. Dlaczego Duncan odbiera telefony w gabinecie Griffina?

–Świetnie, Randy. Co tam słyhać?

–Rozmawiałem ze Starszym Griffinem o... o pewnych dziwnych rzeczach, które się ostatni dzieją.

–Dziwnych? Chwila ciszy.

–Nie słyzałaś?

–Nie.

–Ktoś się włamał do budynku wczoraj w nocy. Właściwie się nie włamał, tylko dostał się na pewno i wyłączył bezpieczniki. Winda, pociąg, nic nie działało. Wygląda na to, że włamywacz, czy może włamywaczka, obrabiali nawet drzwi do Miasta, próbowali tam wejść. Pomyślałem, że ja... zresztą nieważne.

–Co pomyślałeś, Randy?

–Widziałaś ostatnio coś dziwnego? Chodzi mi... o ducha, ale bardzo silnego?

Przygryzła wargę.

–Nie, a dlaczego pytasz?

–Ja tylko... najpierw o tym słyzałem, a potem... Słuchaj, widziałaś ostatnio Doyle'a?

–A czemu pytasz? – Nie było to oryginalne, ale mogło być skuteczne.

–Myślę, że coś się dzieje. Z Doyle'em. Wydaje mi się, że widziałem go wczoraj wieczorem koło dziesiątej jak biegł przez trawnik. Ktoś mógł go gonić, Chassie. Ktoś, kto chciał mu zrobić coś złego. Martwię się o niego, wiesz? Ostatnio jest jakiś podenerwowany. Pomyślałem, że ty możesz wiedzieć dlaczego.

–Przykro mi, Randy, przecież wiesz, że właściwie nie rozmawiam z Doyle'em.

Przez chwilę słyzała w słuchawce tylko oddech.

–Racja – odezwał się wreszcie – Jeżeli go zobaczysz możesz mu powiedzieć, że go szukam? Ale nie mów mu dlaczego. Ja tylko chce mu pomóc. Chodzi mi o to, że gdybyśmy byli bliżej siebie, naprawdę byli zespołem, moglibyśmy osiągnąć dużo więcej. Powiedziałem Starszemu Griffnowi wszystko, co wiem, i on się zgadza.

Cały Randy. Zaraz jej powie, że miłość wprawia świat w ruch. Cholerny naiwniak.

Rozłączyła się i usiadła na kanapie. Więc Randy też widział złodzieja. Nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia. I widział Doyle'a akurat wtedy, kiedy ona została zaatakowana. Bardzo obciążająca okoliczność.

Na samą myśl, że Doyle mógł dopuścić do czegoś takiego, powinna być zszokowana. Nie była. Doyle wywyższa się nad innych, uważa, że jest najbystrzejszy, najprzystojniejszy i najzdolniejszy. Czy to nie ta arogancja tak ją w nim pociągała? Czy to nie świadomość, że wszystkich poza sobą samym ma gdzieś, nie pchała jej w jego stronę? Czy to takie dziwne, że ktoś skoncentrowany wyłącznie na sobie mógł związać się z Lamaru?

Jeżeli życie czegoś ją nauczyło, to tego, że nigdy nie wiadomo, co w ludziach siedzi pod powierzchnią. Ludzie są nic niewarci. Jedyne, co różni ich od zwierząt, to to, że czują potrzebę ukrywania tego.

Właśnie dlatego nie kupiła słodkich słówek Doyle'a, którymi próbował ją omamić. Położyć się z kimś do łóżka, bo ma się na to ochotę, to jedno. Ale dać się w to wrobić gładką gadką to coś zupełnie innego.

Och, Doyle... Pokręciła głową. O wiele lepiej było wiedzieć, że to z nią zupełnie się nie liczy. Może i zrobiła różne rzeczy, których się wstydziła, ale czegoś takiego nigdy.

Rozdział 27

To, że bóg nie istnieje, jest Faktem,
który jest Prawdą.

To, że dusza istnieje, również jest
Faktem i Prawdą.

To, że dusza musi by chroniona, bo
mogą ją wykorzystać

pozbawieni sumienia, jest najbardziej
prerażającym Faktem,

i Kościół potępia tych, którzy próbują
to robić.

Księga Prawdy, Zasady, Artykuł 154

Niecałą godzinę później Chess szła za Terrible'em po zbrązowiałej trawie wzdłuż długiego szeregu u popadających w ruinę magazynów. Z końca rzędu dobiegał monotony rytm bębnow. Wiele kapel wynajmował o takie miejsca, żeby ćwiczyć, zwłaszcza w Dolnej Dzielnicy, gdzie narzekający na hałas sąsiedzi dla zapewnienia sobie spokoju używali raczej pięści i noży niż telefonów.

Wnętrze magazynu przesłaniały jej szerokie barki Terrible'a, ale chłód dobywający się ze środka uderzył w nią, jeszcze zanim dotarła do drzwi.

Bump najwyraźniej dokonał tu jakichś przeróbek. Matową stal ścian przerywały tylko kratki nadmuchów. Terrible wspominał wprawdzie o „chłodni”, ale nie przypuszczała, że mówi dosłownie. Szkoda, że jej nie uprzedził, bo teraz w cienkim swetrze drżała z zimna. Chociaż jemu samemu chód chyba wcale nie przeszkadzał. Jego nagie przedramiona nawet nie pokryły się gęsią skórą.

Bum stał pośrodku pomieszczenia w obszernym futrze, jedwabnym czarnym cylindrze na kędzierzawej głowie i okularach przeciwsłonecznych przesłaniających

bladą twarz. Wyglądał jak yeti.

–Proszę, proszę. Panna Chess łaskawie zgodziła się przyjść. Dlaczego moje pieprzone lotnisko nie działa, biedroneczko? Przecież zawarliśmy pieprzony układ, zgadza się?

Czy to z zimna, czy dlatego, że głos Bumpa brzmiał jakby dobiegał z blaszanej puszki, rozbolała ją głowa.

–To wymaga czasu – odparła.

–Bump nie ma czasu. Ma dostawy, których nie może przekazać odbiorcom, więc ma straty. Ja nie mam moich pieprzonych pigulek, ty nie masz swoich. Kumasz?

Nie czekając na odpowiedź spojrział w bok i zatoczył szeroko ramieniem jak ktoś, kto chwali się samochodem.

Slipknot leżał na metalowym stole, przykryty po pierś samodziałowym brązowym kocem, który wyglądał, jakby wymoczono go w bagnie, wyżęto i dopiero wtedy umieszczono na zmaltretowanym ciełe.

–Bump myśli, że jeszcze raz rzucisz okiem i zobaczysz, co tam masz zobaczyć. Może nie zauważyłaś czegoś ważnego, bo było ciemno. I powiesz Bumpowi, co to, kurwa, jest.

–To jest... to taki hybrydowy duch – zdołała wykrztusić.

Stopy miała jak wrośnięte w podłogę i ogarniały ją mdłości na myśl o tym, że będzie musiała obejrzeć ciało.

–Hybrydowy? Z kawałków innych pieprzonych strachów? Jak to się, kurwa, dzieje?

Chess zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Terrible otwiera usta. To dobrze. Niech on wszystko wyjaśni.

Kiedy podeszła bliżej, serce Slipknota uderzyło z przerażającym młaśnięciem. Jego ciało uległo dalszemu rozkładowi, od czasu, gdy widziała je ostatnio.

Upiornie białą woskową skórę, pokrywała warstewka czegoś, co wyglądało jak olej, ale prawdopodobnie było jakąś wydzieliną, o której nawet nie chciała myśleć. Zimno spowolniło proces rozkładu, ale nie zatrzymało go. Magia trzymająca duszę w pułapce ogrzewała trupa, nie pozwalając mu zamarznąć.

Oczy zapiekły ją od łez. Chciała coś powiedzieć, coś zrobić, żeby mu ulżyć, ale nic takiego nie istniało. Jego dusza była wciąż obecna, a ona nie potrafiła jej uwolnić.

Chess ogarnęło poczucie winy, dziwnie odległe. Dlaczego? Przecież wzięła nie więcej pigułek niż zwykle, czemu więc czuje się nieobecna?

Przed oczami miała chwiejny obraz. Uniosła drżącą dłoń, żeby przetrzeć oczy, lecz zanim ich dotknęła, serce Slipknota uderzyło znowu, rozchlapując krople krwi. Widziała każdą z nich wiszącą w powietrzu, zanim spadły, rozpryskując się na rozplatanym ciele.

–Chess? – Głos Terrible'a brzmiał, jakby dochodził z daleka. – W porządku?

–To, kurwa, dziwne – zauważył Bump. – Jego serce poruszało się mniej więcej raz na pół godziny. Dlaczego teraz bije częściej?

Dłoń Chess, która nie dotarła do oczu, zakryła usta, aby powstrzymać krzyk. Właśnie tego obawiała się od chwili, gdy znalazła ten cholerny amulet i była na tyle głupia, żeby go dotknąć.

Czerpał z niej. Była z nim połączona, a poprzez niego połączona ze złodziejem snów i ze Slipknotem.

Teraz wiedziała, dlaczego Eresdiran nie zabił jej tamtej nocy w domu Mortonów. Po co miałyby to robić, skoro mógł z niej czerpać, traktować ją jako drugie źródło zasilania, gdyby ciało Slipknota uległo rozkładowi uniemożliwiającemu utrzymanie jego duszy?

Cofnęła się chwiejnie, starając się zachować spokój.

–Co się dzieje? – zaniepokoił się Terrible. – Chcesz usiąść?

–Coś tak zbieła, biedroneczko? Chyba nie obrzygasz Bumpa? O kurwa, to nie...

–Nic mi nie jest.

Zmusiła się, żeby opuścić dłoń do boku i zacisnąć w pięść. Obaj przyglądali się jej – Terrible z zatroskanym. Bump z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

To coś jest związane z nią. Podłączone do jej krwi, do jej duszy. Czy dlatego jej reakcje w domu Mortonów były tak spowolnione?

–Dziś w nocy – powiedziała. Wciągnęła głęboko powietrze i powoli wypuściła. Pieprzyć lotnisko. Albo odkryje, czy jest tam więcej duchów, albo nie, ale na pewno nie pozwoli, żeby jakiś podejrzany byt żerował na niej jak pieprzony metafizyczny tasiemiec. – Odprawimy rytuał dziś w nocy.

Terrible wpasował chevelle'a w ciasne miejsce na Dwudziestej Piątej jak kawałek układanki. Chess wysiadła, zanim zdążył obejść samochód, żeby otworzyć jej drzwi. Czowała, że nie powinna mu na to pozwalać – już nie. Może mu się to nie spodobało, nic jednak nie powiedział.

Nigdy nie była w tej palarni, ale ochroniarz przy wejściu wyglądał znajomo. Ledwo na nią spojrział, skinął głową Terrible'owi i usunął się z drogi. – Cześć, Bone – powiedział Terrible. – Stary Earl jest?

–Od jakichś pięciu minut. Wpuściłem go, ale nie mówiłem, że przyjdiesz.

–Dobrze. Chodź, Chess.

Weszła za nim przez ciężkie drewniane drzwi do korytarza z wyblakłą zieloną tapetą na ścianach i brązową wykładziną na podłodze. Poczwała słabą woń dreamu, spoconych ciał i whiskey. Nawet gdyby nie wiedziała, że znajduje się w jednych z lokali Bumpa, poznałaby to po płynącej z głośników muzyce. Bump uważał, że pomaga zapobiegać bójkom wśród czekających na wejście. Nie była to prawda – wszystkich znajomych Chess ta muzyka doprowadzała do szału – ale Bump się upierał.

W pracowite noce i ranki, kiedy zapalenie fajki było głośną potrzebą, kolejka ciągnęła się przez cały korytarz, w weekendy nawet na ulicę, ale popołudniami ruch był mniejszy. Skierowali się do sali, której drzwi pilnował drugi ochroniarz. Otworzył je przed nimi.

–Masz ochotę na drinka? – spytał Terrible, ale Chess pokręciła głową.

Kto myślałby o picciu, będąc tak blisko? Potrzebowała pigulek dream był jak tuzin pigulek. Był jak zaśnięcie na chmurze. Był zapomnieniem o istnieniu całego świata, a co dopiero siebie samej.

Niestety nie mogła sobie na to pozwolić. Nie teraz. Mogła jednak wdychać zapach, mogła się przyglądać tym kilku szczęśliwcom leżącym ze swoimi fajkami. Kiedy to wszystko się skończy...

Lokal, do którego zazwyczaj chadzała, ten koło targowiska, był niebieski. Tutaj było czerwono. Głęboka purpura żarzyła się w świetle świec i lampek olejowych pod fajkami. Świeczniki z czerwonego szkła unosiły pomiędzy wysokim łukowym sklepieniem – kiedyś białym, teraz pożółkłym od dymu – a rozległym pomieszczeniem poniżej. Czerwone siedliska wymodelowane na kształt muszli były rozstawione wokół lśniących gabinetów w głębi i stolików z pojedynczymi fajkami na froncie.

Większość miejsc była pusta, ale gdzieniegdzie ludzie rozłożeni na szerokich siedziskach palili, gapili się w sufit albo drzemali.

Obsługa bezustannie krążyła między stolikami jak tancerze w balecie o bezbłędnej choreografii. Nadziewali bryłki lepkiego drewna na długie srebrne igły i umiejętnie umieszczali je w srebrnych miseczkach wkładanych do fajek, gdzie zamieniane były w dym. Podawali świeże fajki, a użyte zabierali do czyszczenia, polegającego na przecieraniu miseczek przyrządami przypominającymi małe kije hokejowe i wybieraniu popiołu. Przycinali knoty w lampach i napełniali zbiorniki olejem. Wszystkie te czynności wykonywali w ciszy, w której tylko drapanie metalu o metal i szcęk nożyczek do przycinania knotów świadczyły o ich obecności.

Nie było tu okien, ale Chess wciąż czuła światło dnia trzymające się skóry i ubrania. Przestronne pomieszczenie mniej przypominało azyl, bardziej kawiarnię przed szczytem pory lunchu, scenerię przyjęcia, na które nikt nie przyszedł. Nawet zapach dymu, który, ściany i meble przesiąkły tak głęboko, że wątpliwe, by kiedykolwiek je opuścił, nie zmieniał tego wrażenia.

–To on, tam. – Terrible wskazał ruchem głowy jedno z zajętych siedzisk i zaczął schodzić po schodkach.

Na dole skręcił i lawirując pomiędzy siedziskami i obsługą, podeszli do niskiego, wyściełanego podestu pod ścianą. Leżał na nim mężczyzna, który nie mógł być nikim innym, jak tylko Starym Earlem.

Stary nie było najwłaściwszym określeniem. Starożytny bardziej pasowałby do pomarszczonej istoty opartej o poduszki, z kościstymi nogami podciągniętymi do piersi i guzami na nadgarstkach, które wydawały się wielkie przy wychudzonych przedramionach i artretycznych dłoniach. Kobieta szykująca właśnie dla niego miseczkę z kulką drewna, którą nakładała za pomocą igły – odsunęła się na bok, tak jak jej nakazał Terrible ruchem głowy.

–Pani ma do ciebie słówko, Earl – rzekł. – Bump chce, żebyś jej powiedział parę rzeczy.

Earl oderwał usta od fajki i spojrzał na Terrible'a otępiałym wzrokiem.

–Niemprumpem – wybełkotał chrapliwie. Chess potrzebowała chwili, żeby przełożyć to sobie w głowie na „Nie mam problemu z Bumpem”. Świetnie.

–Nie mówię, że masz problem. Możesz mieć, jak nie odpowiesz pani. To jak?

Earl zmarszczył brwi. Terrible skinął na obsługującą, która wycofała igłę, zostawiając pustą fajkę.

–Ej! Terrible wzruszył ramionami.

–Odpowiedz na pytania, to dostaniesz z powrotem.

–Ju. Z powrotem, ta?

Kiedy Chester już przywykła do jego bełkotu, nie było tak źle. Na szczęście, bo gdy spytała go o Chester, zalała ją powódź słów.

–Zawsze tam źle. Niefart. Nie wiem, po co tam zbudowali tę cholerną rzecz. Wtedy, w czterdziestym pierwszym, wiesz, kręciło się. Potem zaczęła się wojna i już się nie kręciło. I tylu ludzi! To miasto to było kiedyś coś. Nawet tutaj. Nigdy nie bogata dzielnica, ale wtedy mieliśmy styl. Nie to, co dzisiaj.

Chess i Terrible wymienili spojrzenia. Opowiadał o czasach sprzed ponad osiemdziesięciu lat. Skąd wiedział, jakie wtedy było miasto? Wyglądał staro, owszem, ale...

–Wiem co myślicie – zarechotał nagle, aż Chess podskoczyła. – Nie wiecie, ile mam lat. Ja też nie wiem, ale wtedy byłem, o tak, może trochę starszy niż pan Terrible teraz i pamiętam wszystko. Dużo nas narzekało, kiedy zbudowali to lotnisko. Niedobrze, że znów użyli tej ziemi, nie, pani niedobrze.

„Nieprzeznówhryli ejziemi, nieninieeprze”. Rytm jego mowy wciągał ją.

–Co to znaczy, że znów użyli? – spytała, pochylając się.

Zaciągnął się głęboko fajką i wypuścił grubą smugę żółtawego dymu.

–Dojdę do tego, panna, nie popędzaj mnie.

–Nie mamy całego dnia, Earl.

–Ty też ze mną me zaczynaj, chłopak. Mówię w swoim tempie. Chciałeś, żebym opowiadał, to opowiadam. Wyluzuj.

Terrible uniósł brew, ale nie odpowiedział. Earl pokiwał głową.

–Niektórzy z nas próbowali powiedzieć im nie, kiedy była o tym mowa. Znaczą się o budowie tam. Wtedy było więcej ziemi, tyle, że się w pale nie mieści. Chyba było coś jak teraz, tylko połowa ludzi zginęła. Jeszcze nie zginęła. Za kilka lat ci przekłęci naziści razem ze swoimi kumplami japońcami i makaroniarzami natłukli sporo ludzi, o tak. Mnie też prawie zabili, jeden z tej bandy zdrajców z Vichy chciał mnie zabić. Chcesz zobaczyć moją bliznę?

Jego obleśny uśmiech powinien wzbudzić w Chess odrazę, ale że dym uderzał jej do głowy, ta zaczepna gadanina wydała się jej tylko zabawna.

Przynajmniej do czasu, aż pomyślała o Lexie. Earl nie byłby taki skory do

pokazywania jej blizny w miejscu normalnie schowanym pod warstwami ubrań, gdyby wiedział, kto oglądał ją nago i poznawał dogłębnie zaledwie kilka godzin temu. Dwa razy. Lex nie był Japończykiem, ale wątpliwe, aby Earl zawracał sobie głowę rozróżnieniem.

–Nie, dzięki.

–Sama masz blizny, jak widzę. I siniaki. To ten Terrible tak cię załatwił?

–Co? – Już prawie zapomniała. – Och nie! Nie. Przewróciłam się.

Earl uśmiechnął się krzywo.

–A pewnie. Moja mamusia też tak zawsze mówiła. – Mocno pociągnął z fajki, jego powieki zatrzepotały. – Jak mówiłem, mieli mnóstwo miejsca, żeby zbudować to swoje lotnisko, zamiast na tych gruntach. Nie byłoby tak źle, jakby zbudowali domy, sklepy, ale sprowadzać tu z powrotem samoloty, to nie wyglądało dobrze.

–Co to znaczy z powrotem? Na tej ziemi wcześniej nie było... co tam było wcześniej?

W dokumentach w kościelnym archiwum nie było wzmianki, jak użytkowano tę ziemię przed zbudowaniem Chester.

Earl pokręcił głową.

–Co za okropna tragedia, Byłem wtedy mały, ale pamiętam. Takiej jasnej nocy nie widziałem nigdy przedtem i nigdy później, dopóki mnie nie wysłali za morza. Płomienie były takie wysokie, jakby miały spalić niebo – wiesz, wtedy myśleliśmy, że niebo istnieje.

–Oczywiście. Mów dalej, proszę. Co się paliło?

–Baza. Lotnicza. Myśleliśmy, że Hun przeleciał ocean i nas dopadł.

–Hun? Niemcy nie były wtedy nazistowskie? Rzucił gniewne spojrzenie.

–Co ty myślisz, panna, że nie umiem odróżnić Hitlera od Wilhelma? Jak mówię Hunowie, znaczy Hunowie. Ten pożar był wtedy, kiedy tu była baza, a nie to przekłute lotnisko. Nie druga wojna światowa. Wielka Wojna. Ta baza, nazywali ją Greenwood, spaliła się w 1917.

Rozdział 28

*Musimy wybaczyć dawnym rządóm ich
niepowodzenia.*

Nie rozumieli konsekwencji swoich

działań, zaprzeczali

Prawdzie duchowego świata.

Historia starego porządku, 1620 –

1800, ze wstępu autorstwa

Prastarszego

–Powinienem wiedzieć – stwierdził Terrible, włączając się do ruchu. – Słyszałem o Greenwood, ale nikt nigdy nie umiał powiedzieć nic konkretnie. Same historie. Nie dało się nawet znaleźć w różnych książkach.

–Co masz na myśli?

–Książki o wojnie. Nawet w tych starych nie ma o Greenwood. To jedna z pierwszych baz dla lotników. Wiedziałem, że ją zamknęli, ale nikt nie mówił dlaczego. Nie myślałem, że to tak blisko.

Chess zerknęła przez ramię na znikającą we mgle latarnię. Stary Earl na nic więcej się nie przydał, po tym jak już powiedział, kiedy spaliła się Baza Sił Powietrznych Greenwood. Po dwóch następnych pociągnięciach fajki zapadł w drzemkę przerywaną tylko kiepskimi zaczepkami pod jej adresem, w których, jak podejrzewała, bardziej chodziło o jego ego niż cokolwiek innego.

–Nie, chciałam spytać, jak ty... Masz dużo książek o pierwszej wojnie światowej?

Zawahał się.

–No, tak. To ciekawe, nie? Inny świat, pierwsze bitwy powietrzne, co? Wiesz, nazywali ich asami. Asami lotnictwa. Nie wiem, czemu nie skojarzyłem. Te duchy, co je widzieliśmy wtedy... założę się, że tamten teren był częścią bazy.

Wnioski, które jego tak ekscytowały, prowadziły do jeszcze większego poczucia zagubienia u Chess. Co za różnica, poza tym, że teraz miała do czynienia z duchami wojskowych, z całym ich batalionem czy czym tam.

–Ale po co robili z tego tajemnicę? Był pożar, to się przecież zdarza?

–No, nie taki zwyczajny pożar. Krążyły różne plotki. Słyszałaś o badaniach w Tuskegee za starych rządów? Nad syfem? Albo jak rozpryskiwali zarazki w powietrzu, albo jak w czasie drugiej wojny światowej badali gazy łzawiące i inne gówna. Używali do tych eksperymentów ludzi, większość nawet nie wiedziała.

–Aha... I to samo robili w Chester, to znaczy w Greenwood?

–Różnie mówią, co tam robili. Jedni, że gaz musztardowy, ale ja tego nie kupuję. Inni, że coś bardziej z mózgiem, łapiesz, w czym rzecz. Nie dawali im spać, jeść, trzymali bez powietrza, takie rzeczy, Oni...

–Deprywacja snu? Zerknął na nią.

–No.

–Złodziej snów.

–Nie wiem, ale mówią, że ten pożar to nie przypadek. Mam książkę, co ją kiedyś znalazłem. Mała książka, taka broszura. Piszą tam, że jeden pilot uciekł z pożaru. Powiedział, że wszyscy tam wariują bez spania i że ktoś mógł podłożyć ogień. Sam się dziwię, że nie skojarzyłem, ale wszyscy myśleli, że to Greenwood gdzieś na południu, daleko, co nie?

–Nie do wiary... to znaczy... dużo o tym wiesz.

Pewnie, że wie. Wspomnienie złożyły się w całość. Wiedział, że duchy, które spotkali, to piloci. Przypomniała sobie zachwyty na jego twarzy, kiedy byli na lotnisku, a on mówił o samolotach, które znów mogą się tam pojawić. Pomyślała o zarysie skrzydeł, jaki dostrzegła w szramach na jego plecach. To wszystko miało sens, bo przecież chciał widzieć siebie jako żołnierza – którym zresztą był – i tego rodzaju rzeczy go interesowały. Nie zdziwiłaby się, gdyby odkryła, że cała sprawa z Chester była jego pomysłem.

–Taka rozrywka, – Skręcił w lewo, kierując się do wjazdu na autostradę, żeby wyjechać z Dolnej Dzielnicy. – Nie wiedziałem, że Earl tyle o tym wie. Jest stary, ale nie wiedziałem, że aż tak. Nie myślałem, że to możliwe. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

Wzruszyła ramionami.

–Są takie zaklęcia, ale nie sądzę, żeby to zrobił. To jest naprawdę czarna magia. Taka, która zostawia ślad, wiesz?

–Może zwyczajnie zapomniał umrzeć, co? Albo jest za bardzo na haju. Całymi dniami pali te fajki, odkąd pamiętam.

Zapadła cisza. Chess wyczuwała, że Terrible się zaniepokoił, czy przypadkiem nie powiedział czegoś, czego nie powinien, biorąc pod uwagę jej nałogi, i ma nadzieję, że jej nie obraził.

–Terrible?

–No?

–Kto cię nauczył czytać?

Wzruszył ramionami, jakby nie zamierzał odpowiadać, potem jednak spojrzał na nią.

–Miała na imię Lisa. Kobieta Bumpa. To było, jak tylko mnie przyjął. Lubiła mnie. Mówiła, że muszę umieć. Siadała koło mnie, miała na sobie takie coś krótkie i śliskie i kazała mi czytać i pisać.

–To musiała być niezła zachęta. Uśmiechnął się.

–Jak coś zrobiłem dobrze, pochylała się i klaskała, a wtedy to się rozchylało na górze. Szybko się uczyłem.

–Ja myślę.

Wjechali na autostradę i kilka minut spędzili w przyjaznym milczeniu, przy cichym stereo i powolnym rytmie wycieraczek zataczających półkola na przedniej szybie. Terrible przerwał ciszę.

–Znaczy się w Kościele nie ma informacji o Greenwood? Nie ma jak się dowiedzieć?

–Nie, jeżeli usunęli je z akt. To możliwe, ale byłoby bardzo trudne, bo Dobrotliwe pilnują.

–To takie zwyczajne kobiety te Dobrotliwe?

–Tak. Jedna zawsze siedzi w bibliotece i pilnuje. Trzeba poczekać, aż po coś wyjdzie albo się odwróci. Są też kamery.

–Kamery? Chess pokręciła głową.

–Nie nagrywają. Wysyłają tylko sygnał na ekrany na stanowisku.

–Do Dobrotliwej, co jest w bibliotece?

–Nie tam... – Znów pokręciła głową.

–Co?

–Nic. Przez chwilę mi się zdawało, że coś sobie przypomniałam, ale nie.

Zabrzączała komórka Chess. Wsunęła ją z kieszeni dzinsów, żeby zobaczyć kto dzwoni. TNL. Kod, jaki zaprogramowała dla Lexa – czytaj „tunel” – wystarczająco subtelny, żeby zachować tajemnicę, ale dla niej oczywisty. Skojarzyłaby go nawet na największym haju. Cholera, dlaczego nie zadzwonił wcześniej? Cokolwiek chciał, to musi poczekać. Nie mogła z nim rozmawiać, siedząc obok Terrible'a.

Akurat dojechali. Terrible stanął na parkingu, zgasił silnik i rozejrzał się naokoło.

–Od czego chcesz zacząć? Będziesz pytać tych ludzi, czy pójdziesz pogadać ze Starszym?

–Chyba najpierw powinnam wejść do środka i zobaczyć się ze Starszym Griffinem. On mnie wysłucha. Zaczekasz tutaj?

–Długo cię nie będzie? – spytał po chwili milczenia.

–Nie wiem. Może pół godziny? Godzinę? Jeżeli chcesz gdzieś pojechać, zadzwonię do ciebie, jak tylko skończę.

–Nie. Lepiej tu zostanę. Poczekam, porozglądam się.

Dopiero kiedy znalazła się za ciężkimi dwuskrzydłowymi drzwiami, oddzwoniła do Lexa.

–Hej, tulipanku, gdzie się chowasz?

–Jestem w kościele. O co chodzi?

–Myślałem, że pojedziemy razem. Czeka tam na mnie, dobrze? – powiedział coś jeszcze, ale zagłuszyły to trzaski w telefonie.

–Nie. Lex, nie przyjeżdżaj. Terrible tu jest, nie może cię zobaczyć...

–Ja się nie boję – nastąpił ciąg urywanych sylab, po czym głos zanikł na chwilę.

–Wiem, ale proszę, nie rób tego. Nie teraz... Niech to szlag!

Połączenie się przerwało. Ponownie wybrała numer, ale sygnału nie było. Głupi deszcz. Głupie grube żelazne płyty w ścianach i suficie. Konieczne, fakt, ale z ich powodu gubił się sygnał satelitarny, a ona nie chciała wychodzić na zewnątrz. Terrible mógł nie zapytać, do kogo dzwoni – na pewno by nie spytał – ale ta myśl wcale jej nie uspokoiła. Musiała się pospieszyć i wynieść stąd przed przyjazdem Lexa.

Poczucie bezpieczeństwa, jakie zawsze towarzyszyło jej po wejściu do tego budynku, rozplynęło się w strachu poprzedniej nocy. Ogarnął ją smutek. Ten budynek i jej mieszkanie zawsze były bezpieczne. Były azylem. Teraz nie miała tego poczucia i być może nigdy go nie odzyska.

Zastukała do drzwi Starszego Griffina, lecz albo nie było go w gabinecie, albo się nie odzywał. Spróbowała przekręcić gałkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Mógł być na górze, u Prastarszego, lub w którymś z dalszymi pokoi. Warto spróbować. Warto też sprawdzić u Dobrotliwej Tremmell, czy pojawiło się coś nowego w sprawie Mortonów. Czasami komputerowe sprawdzanie wszystkich danych trwało kilka dni.

Z labiryntu pokoi dobiegał szmer głosów, ale krzesło Dobrotliwej Tremmell było puste. Niedobrze. Chess nie miała ochoty na kolejne nielegalne szperanie, ale musiała zobaczyć akta, musiała zobaczyć je natychmiast. Od tego zależało jej życie. Dosłownie.

Większość akt otwierał formularz zgłoszenia, na którym Dobrotliwa Tremmell wpisywała wstępną skargę, po czym przepuszczała nazwisko przez komputer. Dane finansowe, policyjne, o zatrudnieniu – wszystko to znajdowało się w ciągu kilku minut, a następnie było drukowane i dołączane do akt. Potem robiono kopię i przekazywano temu Demaskatorowi, który akurat był pierwszy w kolejce do otrzymania sprawy. Informacje zgromadzone w toku śledztwa były dołączane do oryginalnych akt, Demaskatorzy zachowywali tylko wstępne raporty. System ten działał bardzo sprawnie, przynajmniej w teorii. W praktyce... nie zawsze. Dobrotliwa Tremmell była znana z faworyzowania niektórych Demaskatorów – dlatego Doyle otrzymał sprawę Szarych Wież, mimo że przypadła kolej Briana Bryara.

Chess w ten sam sposób dostały się akta Mortonów. Starszy Griffin przydzielił jej sprawę, nie sprawdzając, czy to jej kolej.

Oblizła wargi i wyjąwszy z torby najcieńszy wytrych, rozejrzała się uważnie. To, co zamierzała, było poważniejsze niż kradzież klucza do czytelni publikacji zastrzeżonych czy nawet wciągnięcie speeda na schodach. To było przestępstwo.

Ostrożnie wsunęła wytrych do zamka. Te kilka sekund było najgorsze – bała się, że poczuje ciężką rękę na ramieniu, rozlegnie się alarm albo przygasną światła. Bała się, że wpadnie.

Nic takiego się nie stało. Zamek szczęknął, szuflada się otworzyła i Chess mogła wyjąć oryginalne akta Mortonów. Zaczęła od zdjęć, które sama zrobiła tamtej nocy, bo nie miała okazji dokładnie ich obejrzeć.

Zrobiła miejsce na biurku Dobrotliwej, położyła je tam i lekko drżącymi rękami zaczęła przekładać. Salon, kuchnia, te wszystkie plastikowe pojemniki.

Schody, fotografie rodzinne i genealogia. Chess uniosła zdjęcie i zbliżyła je do światła Czyżby brakowało fotografii na ścianie? Jasny obszar widoczny był między zdjęciem kilkuletniego Alberta a fotografią przedstawiającą państwa Morton na jakimś przyjęciu.

Niewielki, jakby zdjęto jedną fotografię i przewieszono dwie inne, żeby zasłonić puste miejsce.

Odłożyła zdjęcie na bok i przeglądała kolejne. Pokój Alberta. Jego kolekcja pornografii. Napalony mały sukinsyn. Książki o filmie, kamera i projektor, dziwny magiczny woreczek zatknięty za łóżkiem.

Bo był dziwny, prawda? W każdym razie dziwny jak na zwykły czar na sen, bo jeżeli miał strzec przed czymś szczególnym, na przykład przed złodziejem snów, bytem silniejszym niż zwykły duch...

Wyjęła notes i odszukała odpowiednią stronę. Czarna sól, szpon kruka i różowa nitka z supełkami. Ale w woreczku na zdjęciu było coś jeszcze, Pojedynczy czarny włos i malutki, prawie niewidoczny płatek miedzi.

Błysnął w świetle flesza, dlatego teraz go zauważyła. Nie musiała się zastanawiać, dlaczego nie dostrzegła go wtedy. Gdy fotografowała zawartość woreczka, była zdenerwowana, już miała wychodzić. Po tym zdjęciu zrobiła jeszcze tylko jedno, nieostre, przedstawiające stolik przy łóżku Alberta Mortona i przestrzeń za nim.

Ten kawałeczek miedzi, miedzi, z której, zdobiono amulet, i czarny włos, który nie pasował do nikogo z rodziny Mortonów – były ważne. Równie ważne jak spostrzeżenie, że czarny włos w magicznym woreczku mógł należeć do Doyle'a.

Chess włożyła zdjęcie woreczka i to z pustym miejscem między fotografiami na schodach do swojej torby, zamknęła teczkę i odwróciła się, żeby schować akta do szuflady. Omal się nie przewróciła, bo zawadziła stopą o coś ciężkiego, co wydało dziwny brzęczący dźwięk. Torebka Dobrotliwej Tremmell leżała teraz na boku, a zawartość wysypała się na podłogę.

–Niech to szlag.

Chess rozejrzała się. Nadal nikogo, ale miała wrażenie, że głosy się zbliżają.

Wystarczająco niedobrze byłoby, gdyby przyłapano ją na grzebaniu w aktach, a jeśli zobaczą ją z rzeczami z torebki Dobrotliwej w rękach, nie pomogą żadne tłumaczenia, że chciała włożyć je z powrotem do środka.

Prawie nie patrząc na przedmioty, czym prędzej zgarnęła je do otwartej torebki z imitacji skóry. Szminki, długopisy, chusteczki higieniczne, ogólnie rzecz biorąc, śmietnik jak w każdej damskiej torebce. Wrzuciła wszystko, jak popadnie, bo głosy zbliżały się coraz bardziej i w każdej chwili Dobrotliwa Tremmell ze Starszym Griffinem mogli ją nakryć.

Klucze na breloczku z przezroczystego tworzywa z wizerunkiem kota w środku. Mały złoty krążek z jasnoniebieskim napisem, „Bankhead Spa”.

Zaraz. Czy Mortonowie nie byli w Bankhead Spa? Jeszcze raz przerzuciła szybko zdjęcia.

Tak. Książka kucharska Bankhead Spa. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, jak przy pierwszym kopie speedu.

Pokręciła głową. Dobrotliwa Tremmell i Mortonowie? Nie, to niemożliwe... Ależ możliwe. Dobrotliwa była nieobecna we wrześniu, rzekomo z powodu „drobnego zabiegu chirurgicznego”, Chess dobrze to pamiętała, bo Starszy Waxman przejął przydzielanie spraw i ciągle narzekał z tego powodu.

Jak, do cholery, Dobrotliwa Tremmell mogła sobie pozwolić na pobyt w takim miejscu? Dobrotliwe mały pensje prawie tak samo kiepskie jak Demaskatorzy, w dodatku bez premii. Owszem, w Spa bywało wielu wysokich urzędników kościelnych, ale takich jak Prastarzy czy dowódca Czarnego Szwadronu. Nie Dobrotliwe. Nawet nie szeregowi Starsi.

Kropelka potu spłynęła jej po policzku, drażniąc i powodując swędzenie. Wzięła głęboki wdech i wrzuciła klucze do torebki. Breloczek to żaden dowód. Chociaż... Doyle zarobił mnóstwo pieniędzy na sprawie Szarych Wież i mógł się nimi podzielić z Dobrotliwą, która przesunęła go na wyższe miejsce.

Tak czy inaczej, trzeba poszukać czegoś więcej. Z tym, co ma, zostanie wyśmiana przez Prastarszego, jeśli spróbuje zasugerować znowę. To nie były dowody, tylko domysły.

Ale dowód mógł się tu znajdować. Dowód, który mogłaby wykorzystać. Przesunęła czubkami palców po wykładzinie pod drukarką. Znalazła tylko pięćdziesięciocentówkę i kolczyk. Dla pewności spróbowała ponownie i trafiła na coś jeszcze. Papier, a dokładnie kulka z papieru.

Wyjrawszy zza drukarki, żeby sprawdzić czy nikt nie zbliża się do pokoju,

przesunęła kosz na papiery i odchyliła drukarkę od ściany, Prawdopodobnie kulka nie wypadła z torebki Dobrotliwej, ale że była ściśle zwinięta i nie zakurzona, Chess rozprostowała ją.

Rachunek za wynajęcie pomieszczenia magazynowego. Na nazwisko... Alberta Mortona.

Dokument miał związek z jej sprawą, jednak nie znalazł się w aktach. To oznaczało, że Mortonowie wynajmowali magazyn, o czym nie powiedzieli, a Dobrotliwa Tremmell z jakiegoś powodu również zataiła przed nią tę informację.

To musiała być Dobrotliwa Tremmell. Do niej trafiały wszystkie dokumenty, a ona umieszczała je w odpowiednich teczkach. Co prawda dostęp do akt mieli zarówno Starsi, ale wszystkie zebrane informacje przechodziły przez ręce Dobrotliwej. Ona otwierała i pieczętowała koperty, ona dysponowała ich zawartością.

Nikogo nie wpuszczała za swoje biurko. Zawiadowała Demaskatorami i patrzyła krzywo, kiedy prosili o powtórne sprawdzenie czegoś, co dotyczyło ich spraw.

Archiwum było zamykane na klucz, kiedy wychodziła, a oprócz tego magicznie pieczętowane przez Starszych – nawet sama Dobrotliwa nie mogła wejść bez pomocy Starszego.

Nie było innego wytłumaczenia: rachunek wyrzuciła Dobrotliwa Tremmell.

Niech to szlag.

Rozdział 29

Z tych właśnie powodów oddajesz

Kościółowi w

nieograniczone władanie swoje ciało,

swój majątek i swoją duszę.

Księga Prawdy, Artykuły początkowe

230

Wsunęła rachunek do swojej torby i podeszła do szafy z aktami. Zdążyła odłożyć teczkę Mortonów akurat w chwili, gdy zza rogu wyszli Tremmell i Doyle.

–Cesaria! Nic ci nie jest? Co ci się stało w twarz.

Doyle zaczerwienił się i spuścił wzrok, ale Chess ledwo na niego spojrzała. Właściwie nie spojrzała na żadne z nich. Czy Starszy Griffin jest w to zamieszany? – zastanawiała się gorączkowo. Jej ulubiony Starszy Griffin? To on przydzielił jej sprawę Mortonów. I to z nim rozmawiał Randy. Czyli wie, że coś się dzieje.

Nie chciała w to uwierzyć, nie mogła jednak spytać go wprost. Nie przy Doyle'u i Dobrotliwej Tremmell; nie, kiedy dłoń Starszego spoczywała na ramieniu Dobrotliwej, jakby byli przyjaciółmi, nie kiedy Dobrotliwa Tremmell przypatrywała się Chess spod zmarszczonych brwi, jakby wiedziała, co znalazła. Skrzyżowała ręce na piersiach, aż napięły się szwy jej prostej czarnej sukni. Tasiemki przy czepku miała rozwiązane. Wyglądała, jakby się pruć kawałek po kawałku, jakby jej wewnętrzne napięcie rozsadzało wszystkie wewnętrzne wiązania, Chess cofnęła się o krok.

–Cesaria?

–Przewróciłam się – powiedziała. – Wczoraj wieczorem, w deszczu. Schody w moim domu były mokre, a miałam zajęte ręce i... – z trudem przerwała swoją paplaninę.

Starszy Griffinie, czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

No już, powiedz to! Musisz mu powiedzieć, musisz komuś powiedzieć!

Starszy Griffinie, czy mogę z tobą porozmawiać?

–Co robisz za moim biurkiem?

–Przepraszam, Dobrotliwa. Chciałam tylko... szłam do Mortonów i przypomniałam sobie, że muszę coś sprawdzić w aktach, więc czekałam na ciebie. Potem przypomniałam sobie, co to było, i... i upuściłam długopis. – Pot ściekał jej po plecach. Starszy Griffinie, czy... Pieprzyć to. – No to ja już pójdę... Dobrego jutra i Fakty są Prawdą.

–Fakty są Prawdą – odpowiedział Starszy Griffin, ale Dobrotliwa Tremmell milczała.

Chess ruszyła w stronę holu. Starła się iść spokojnym, swobodnym krokiem, chociaż spodziewała się, że lada moment czyjeś palce zacisną się na ramieniu.

–Chessie, poczekaj, – Doyle dogonił ją w drzwiach biura. Sam dźwięk jego głosu sprawił, że podskoczyła Czy om ma nóż, czy zabije ją gołymi rękami? – Możemy porozmawiać? Proszę. Ja... tak mi przykro, wybacz i dziękuję, że mnie kryłaś, nie zasługuję na to...

–Owszem, nie zasługujesz. Odejdź.

Pewnie mówił o tym, że ją uderzył, lepiej więc udawać, że nie odkryła tego, co odkryła, przynajmniej dopóki nie wyjdzie z budynku. Na zewnątrz jest Terrible. Przyspieszyła kroku.

Doyle zrównał się z nią.

–Posłuchaj. Ja naprawdę nie chciałem. Próbowałem ci to powiedzieć wczoraj w nocy, ale za szybko uciekłaś. To tylko dlatego, że byłem niewyspany, a ty mnie zaskoczyłaś. To był odruch. Wiesz, że nigdy bym...

–Wiem, że to zrobiłeś.

–Nie dasz mi chociaż szansy, żebym mógł cię przeprosić?

–Nie.

Pchnęła frontowe drzwi, wyszła na zewnątrz i jeszcze przyspieszyła kroku. Samochód Terrible'a stał w odległości jakichś piętnasta metrów na uboczu żeby nie rzucać się w oczy.

–Możesz się na chwilę zatrzymać? – Palce Doyle'a zacisnęły się wokół jej nadgarstka.

Wyszarpnęła rękę. Serce tłukło się jej w piersi, skóra w miejscu, gdzie jej dotknął, wydawała się oślizgła, jakby zostawił na niej ślad krwi. Krwi, którą miał na rękach,

krwi Mózga. Z trudem przyszło jej wydobyć z siebie słowa.

–Odpieprz się, dobrze? Nie chcę z tobą gadać, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, nie rozumiesz?

Cholera, Doyle, ty mnie uderzyłeś i jesteś zaplątany w coś... Co jest?

Doyle patrzył nad jej ramieniem coraz bardziej okrągłymi oczami. Z jego gardła wydobył się zduszony jęk.

Terrible zbliżał się swobodnym, miarowym krokiem, ale jego wzrok utkwiony w Doyle'u i łyżka do opon kołyszącą się w ręce były bardziej wymowne niż cokolwiek innego.

Doyle odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Terrible nie zmienił tempa. Łyżka do opon wyfrunęła z jego ręki i poleciała lotem koszącym, jak frisbee. Chess nie zdążyła zaczerpnąć tchu, kiedy podcięty Doyle zwałił się na ziemię.

Jego krzyk zagłuszył szczęk łyżki do opon upadającej na beton, ale Chess odczuła rezonans całym ciałem. Włosy na jej karku stanęły dęba. Terrible nie przyspieszył, mijając ją, nawet na nią nie spojrział, parł do przodu stanowczo i nieubłagane jak rzeka żłobiąca koryto.

Doyle zdołał się częściowo podnieść, kiedy Terrible znów powalił go na chodnik szybkim kopnięciem w szczękę.

Byli na skraju parkingu. Półtora metra dalej zaczynał się miękki trawnik. Doyle, który upadł na plecy jak żółw, przekręcił się na brzuch i próbował do niego dopelznąć. Pokonał zaledwie centymetry, gdy Terrible podniósł go w górę i rzucił – dosłownie rzucił – na trawę.

–Poczekaj no – mruknął Doyle, dźwigając się z ziemi na ubłoconych rękach. – Złożę zażalenie, wystąpię o nakaz, ja...

Zgiął się w pół, trafiony w żołądek pięścią Terrible'a, który poprawił hakiem, posyłając go z powrotem na mokrą trawę.

Terrible szarpnął Doyle'a za włosy i wymierzył następny cios. Potem kolejny i jeszcze jeden.

Krew lała się z nosa i ust Doyle'a na koszulę i trawę. Osunął się na kolana, skulił ramiona. Byłby nie do poznania, gdyby nie gęste, lśniące włosy. Nawet to go nie wyróżnia, pomyślała Chess. On i Randy Duncan widziani od tyłu myliby uchodzić za bliźniaków.

A jeśli chodzi o Randy'ego... Spojrzała w kierunku jego chaty. Jeszcze tego by brakowało, żeby wszystko widział. Jutro wszyscy w kościele wiedzieliby, że Chess przyprowadziła jakiegoś faceta, który pobił Doyle'a. Randy był po prostu niezdolny do zachowania tajemnicy.

Podobnie zresztą jak większość ludzi, którzy tak jak on bardzo chcą być lubiani.

Terrible puścił Doyle'a, który upadł jak martwy. Tylko cichy jęk wydobywający się z jego ust świadczył, że wciąż żyje.

Błysk noża sprężynowego zelektryzował ją i zmusił do reakcji.

–Terrible, nie!

Nawet na nią nie spojrzał; Klęknął koło Doyle'a, obrócił go i przyłożył mu nóż do gardła.

–Masz zamiar jeszcze kiedyś ją tknąć? – spytał rzeczowym tonem, jakby pytał o pogodę albo o najbliższą stację benzynową.

Doyle pokręcił głową. Chess, nie mogąc znieść widoku jego przerażonej twarzy, spuściła wzrok i zauważyła że się zmoczył.

–To git. Jak ją dotkniesz, to cię zabiję, jarzysz? Doyle zdołał skinąć głową.

–Chess? Masz do niego jakieś pytania?

–Czy... czy Starszy Griffin w tym jest? Trzyma z wami? – Doyle patrzył na nią tępo, więc skrzyżowała ramiona na piersi, zniecierpliwiona. – Lamaru. Złodziej snów. Dobrotliwa Tremmell. Czy Starszy Griffin jest jednym z was? Odprawiał z wami rytuał?

–Jacy Lamaru? Jaki rytuał?

Terrible mocniej przycisnął nóż do szyi Doyle'a. Na jego czubku pojawiła się kropelka krwi.

–Nie mam czasu na zabawy. Odpowiedz jej.

–Nie potrafię! Nie wiem, o co chodzi!

Terrible uniósł pięść, gotowy opuścić ją na twarz Doyle'a, ale Chess złapała go za rękę.

–Doyle... kiedy widziałeś złodzieja snów?

–Mówiłem ci. Nie widziałem, co to, dopóki Bruce mi nie powiedział. Raz widziałem go w mojej sypialni i parę razy w snach. Dlaczego mnie o to pytasz? Dlaczego mówisz o Lamaru?

Chess i Terrible wymienili spojrzenia. Doyle mógł kłamać. Był w tym niezły. Ale czy był gotów zginąć, żeby chronić Dobrotliwą Tremmell i panią Morton?

–Chess, przysięgam, że nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem nic o Lamaru ani o rytuałach, ani w ogóle nic. – Łzy popłynęły po twarzy Doyle'a. – Proszę, Chess, wybac mi, już nigdy się do ciebie nie zbliżę, ale ja naprawdę nic nie wiem! Nie pozwól mu mnie bić.

–Jak dobrze znasz Dobrotliwą Tremmell?

–Co?

–Dużo z nią rozmawiasz. Dobrze ją znasz?

Doyle zakaszłał. Strużka krwi pociekła mu z kącika ust.

–Prawie wcale, to znaczy nie za dobrze. Rozmawiamy tylko tak... niezobowiązująco, jestem dla niej miły, to wszystko.

–Widziałeś ją kiedyś z innymi Demaskatorami?

–Przecież wszyscy z nią rozmawiamy, jak przydziela sprawy i w ogóle. – Doyle skrzywił się i dotknął czoła czubkami palców. – Do czego zmierzasz?

–Może wydaje się szczególnie z kimś zaprzyjaźniona? – Obaj z Terrible'em spojrzeli na nią pytająco. Wzruszyła ramionami, czując, że się czerwieni. – Ja nie mieszkam na terenie, pamiętasz?

–Nikt mi nie przychodzi do głowy. Nie sądzę, żeby ona... Czekaj. Czy to ma coś wspólnego z tym koszmarem?

–Nieważne, Doyle.

–Chyba nie podejrzewasz, że za tym stoi Dobrotliwa Tremmell? Dobrotliwa Tremmell do spółki z Lamaru? Cholera, Chessie, jesteś jeszcze bardziej szalona, niż myślałem, jeżeli naprawdę uważasz...

Już otworzyła usta, żeby się odszczeknąć, ale Terrible ją uprzedził. Złapał lewą dłoń Doyle'a i jednym szybkim ruchem złamał mu mały palec, Doyle zawył, Terrible nawet nie mrugnął.

–Potrzebujesz jeszcze coś, Chess? – spytał. – Czy tu już skończyliśmy?

Musieli zniknąć. Lex był w drodze, a jej bynajmniej nie zależało, żeby się spotkał twarzą w twarz z Terrible'em. Potrzebowała kilku rzeczy od Edsela, żeby tej nocy odprawić rytuał i uwolnić duszę Slipknota – Slipknota i własną, przypomniawszy sobie z paskudnym skrętem wnętrza – musiała też wykombinować, co zrobić z duchami z Chester. No i jeśli Mortonowie są w domu, chciała jeszcze raz z nimi pogadać. Pragnęła zamknąć tę sprawę równie mocno, jak pragnęła swoich ceptów.

No właśnie. Jej dłonie już zaczynały się pocić.

–Tak, tu skończyliśmy – powiedziała.

Edsel uśmiechnął się na widok nadchodzącej Chess.

–Witaj, maleńka. Czego ci potrzeba? Cześć, Terrible.

–Ed, znasz jakieś inne zastosowania miedzi poza zwykłymi? Muszę ci coś pokazać.

–Mam nadzieję, że nic takiego, jak ten amulet. Aż ciarki mnie od niego przeszły.

–Twój kumpel Tyson zafundował mi nie tylko ciarki, więc jesteśmy kwita.

–To żaden kumpel. Po prostu klient. – Edsel w zamyśleniu pyknął fajkę i odchylił się do tyłu. – Chyba cię za bardzo nie nastraszył, co?

–Nie, nic mi nie jest. Rzuć na to okiem. – Wyjęła z torby zdjęcie magicznego woreczka i podała mu. – Widziałeś kiedyś coś takiego?

Nawet jeżeli się zdziwił, dlaczego po prostu nie poszukała w kościelnej bibliotece, nie okazał tego. Przyjrzał się zdjęciu, unosząc w górę ciemne okulary, żeby lepiej widzieć.

–Wygląda to jak czar na sen, ale jakiś dziwny. Z tą miedzią i włosiem. Może ma strzec przed jakimś konkretnym bytem?

–Też tak pomyślałam. Nie po prostu czar na sen, ale ochrona...

–Tylko, że to bardzo mały kawałek. Nie wiem nawet, czy wystarczy, żeby zadziałał.

Chess zastanawiała się chwilę, przygryzając wargę.

–Może jest współczulny? To znaczy, jeżeli ma związek z amuletem, który ci pokazałam. Czy słyszałeś, że tej samej rzeczy można używać do przywoływania ducha i ochrony przed nim?

-Bo przypomina mu, co go trzyma? Skinęła głową.

-Ano slyszalem - przyznał. - Znałem kiedyś taki gang, dawno to było. Robili różne eksperymenty z metalami. Jak alchemia, tylko że nie próbowali przemieniać ich w złoto. Chcieli zobaczyć, jakie co ma wibracje. Niektóre metale nie są magnetyczne, ale mogą działać magnetycznie - wysyłać energię uderzeniowo.

-A, miedź jest przewodnikiem elektryczności, więc jest też przewodnikiem magii.

Edsel pokiwał głową.

-Ktokolwiek skonstruował coś takiego, wiedział co robi.

-Tak właśnie sądziłam. - Sięgnęła do torby po notes. - Potrzebuję kilku rzeczy.

Rozdział 30

Pierwszym i podstawowym zadaniem

Demaskatora jest

chronić. Demaskator chroni Kościół

przed oszustwem i fałszerstwem, ale

przede wszystkim

chroni ludzi. Przed duchami i przed

innymi bytami,

które chcą wyrządzić im krzywdę.

Praxis Turpin *Kariera w Kościele*

Przewodnik dla nastolatków

Chess założyła rękawiczki i uklękła przed drzwiami. Zamek był naprawdę prosty. Otwarcie go nie powinno jej zająć więcej niż minutę.

Trudniejsze mogą się okazać zabezpieczenia i zakłęcia. Mrowienie niemające nic wspólnego z narkotykami rozeszło się po jej skórze. Szczęki jej stężały, jakby połknęła kilka ceptów.

Wybrała jeden z najmniejszych wytrychów i wsunęła do dziurki o nierównych brzegach. Fakt, że był to zamek na klucz, a nie kombinowany, zmartwił ją. Ktoś z Kościoła na pewno wiedział, jak łatwo otworzyć taki zamek. Musiał pokładać wielkie zaufanie w swoich zakłęciach.

–Już – powiedziała, zerkając przez ramię i manipulując wytrychem.

Terrible, który patrzył na pusty parking na dźwięk jej głosu odwrócił głowę.

Zamek szczeknął. Chess zwolniła blokadę.

–Nie wiem, jaką ochronę założyli na to miejsce, więc daj mi chwilę.

–W porządku.

Jeżeli kilka ostatnich dni czegoś ją nauczyło, to tego, żeby być przygotowaną na wszystko, a odwiedziny u Edsela z pewnością w tym pomogły. Wyjęła z torby drewno sandałowe, styrakowiec i dwa szklane słoje owinięte w folię bąbelkową. Większy słoć zawierał napar z ziół, drugi mieszankę nieaktywnej soli i jej własnej krwi menstruacyjnej, którą wszystkie kobiety w Kościele miały obowiązek zachowywać i dzielić się nią z mężczyznami.

Chess zachowywała ją i tak. Krew ma za dużą moc – zbyt duży potencjał zarówno do zaklęć pozytywnych, jak i negatywnych – żeby się jej pozbywać. Zbierała też swoje włosy, i te ze szczotki, i końcówki po stryżeniu, po czym paliła je, żeby nikt nie mógł ich użyć do czynienia magii przeciwko niej. Włosy, w odróżnieniu od krwi, nie podlegają depersonalizacji, więc nie mogą być jedną z ingrediencji magicznych ogólnego zastosowania. Gdyby ktoś użył jej włosów, zrobiłby to, mając na względzie konkretnie ją. Możliwe, że chciałby uzyskać pozytywny dla niej skutek, lecz o wiele bardziej prawdopodobne, że próbowałby wyrządzić jej krzywdę. Już dawno nauczyła się, że ostrożność musi być jej „ustawieniem domyślnym”.

Miała nadzieję, że Terrible nie zapyta, co to jest. Chodziło tu nie tyle o osobisty charakter sproszkowanej krwi, ale o samą istotę magii – o złożony system energii i znaczenia, o to, co subtelnie odróżniało jej magię od magii innych pracowników Kościoła. Jednym z podstawowych elementów szkolenia było rozwijanie własnego stylu, odkrywanie, które energie w przypadku danej osoby działają najlepiej. Z czasem magia stawała się indywidualna jak odciski palców, możliwa do zidentyfikowania, jeśli ktoś potrafił ją odczytać: Właśnie grupowy charakter magii Lamaru sprawiał, że typowanie poszczególnych osób było niemożliwe.

Chess wyjęła z torby butelkę, w której leżały pokryte warstwą wody trzy żelazne pierścienie i trzy grube czarne świece.

Popołudniowe słońce dawało przyjemne ciepło, ale chodnik był rozgrzany trochę za bardzo. Skrzywiła się, kiedy na nim usiadła. Czuła się jak na patelni.

–Terrible, musisz zamienić buty.

–Co?

–Załóż prawy na lewą nogę i odwrotnie.

Na jego poznaczonej bliznami twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

–Ślady stop mają moc – wyjaśniła. – Magiczną moc. Zwłaszcza lewy. Jeżeli ktoś zechce rzucić na ciebie zły urok, zacznij od szukania śladów, więc jeśli zamienisz buty...

–Zmylę go? – dokończył. – Dobra.

Chwila wspólnego śmiechu – kiedy popatrzyli po sobie w butach założonych na odwrót, jakby byli małymi dziećmi, które uparły się, że ubiorą się same – nieco złagodziła napięcie, jakie czuła. Poczucie, że zrobiła słusznie, przyjeżdżając tu, że miała rację, łącząc to miejsce z Lamaru – jak inaczej wyjaśnić, dlaczego Dobrotliwa Tremmell usiłowała pozbyć się rachunku – narastało z każdą sekundą. Niestety, narastały również wątpliwości.

–Może masz w samochodzie jakąś szczotkę czy coś takiego? Pamiętałam o wszystkim innym. Masz?

–Zaraz sprawdzę.

Chess podkuliła palce stóp w nagle niewygodnych butach i patrzyła, jak głowa Terrible'a znika w czeluści bagażnika chevelle'a.

Wyłonił się po dłuższej chwili z pędzlem szerokości jakichś czterech centymetrów, który okazał się wystarczający.

Chess kucnęła i dokładnie zamiotła surowy beton pod drzwiami. Musiała wstrzymać oddech, żeby razem z powietrzem nie wciągnąć proszku, gdyby jakiś tam był. Nogi jej zdrętwiały, zanim skończyła.

–Podstawowe zabezpieczenie – wyjaśniła Terrible'owi. – Rozsypany magiczny proszek dowolnego rodzaju, który przyczepia się do butów.

–A niech to.

–No właśnie. Pomóż mi wstać.

Dzięki rękawiczkom nie musiała dotykać jego dłoni. Ale wspomnienie tych dłoni na jej skórze, wplątanych w jej włosy... Przełknęła ślinę i zaznaczyła czarną kredą ich wnętrza i grzbiet. Udało jej się uniknąć jego wzroku, kiedy spojrzała w górę, żeby narysować mu pieczęć na czole. Nie poruszył się, nawet nie mrugnął, tylko wpatrywał się w dal ponad jej ramieniem.

Takie same symbole narysowała na swoich dłoniach i czole, po czym pochyliła się, żeby zapalić świece.

–*Saratah, saratah... beszikot beszikot...* - Wrzuciła zioła i sproszkowaną krew do miseczki i podpaliła. – Moc do mocy, moce się wiążą. Niech ta moc, moja moc, będzie czysta.

Niewidzialna, ale wyczuwalna energia, zawirowała wokół niej. Energia ziemi i

powietrza, energia wszystkiego, co żyje, energia, którą Kościół nauczył ją kierować. Napędzała dłonią dym, aby spowił całe drzwi i Terrible'a. Skórę miała rozgrzaną, ale nie od czarów nałożonych na drzwi. To działało jej własne zaklęcie.

I na koniec kościelny przeciwczar. Dobrotliwa Tremmell z pewnością użyła kościelnego zabezpieczenia dla ochrony swojej przestrzeni.

Chess obróciła się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zamknęła oczy i poczuła, jak wir energii sięga od jej stóp w niebo. Tak łatwo byłoby teraz nie wypowiedzieć żadnych słów, tylko dać się porwać mocy i unieść się z nią. Wirować i wirować, aż przestanie istnieć, aż eksploduje.

Ale słowa wyszły z jej ust:

–Hrentata vasdaru belarium!

Słowa poniosły jej zaklęcie dalej. Czowała, jak wdziera się w przestrzeń za drzwiami, jak odczynia czar zabezpieczający. Oszołomiona zatoczyła się, jej stopy w butach założonych na odwrót nie umiały znaleźć oparcia. Terrible podtrzymał ją, ale gwałtownie cofnął ręce. Nie miała mu tego za złe, nie miałyby, nawet gdyby nie wydarzyło się to, co się wydarzyło poprzedniej nocy.

Mogła sobie tylko wyobrażać, jak to jest dotknąć jej w chwili, gdy jej włosy stoją dęba. Szok dla normalnej osoby, a dla kogoś, kto, jak podejrzewała, sam dysponuje pewną mocą – niewystarczającą, żeby pracować dla Kościoła, ale wystarczającą, by uwrażliwić – musiało to być jak próba chwycenia za wylot lufy w chwili wystrzału.

Nie czekając, aż oszołomienie minie, skinęła na niego i złapała za uchwyt wystający u dołu z prawej strony żaluzjowych drzwi. Terrible złapał za ten po lewej i razem podnieśli drzwi do góry.

Podmuch wrogości uderzył Chess w twarz jak śmierzący oddech złego olbrzyma. Oczy ją piekły, gardło miała zaciśnięte, nogi jej drżały. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale kiedy minęło, musiała się oprzeć o ceglana ścianę dzielącą to pomieszczenie magazynowe od sąsiedniego, z trudem chwytając powietrze.

Ledwo odetchnęła, znów zabrakło jej powietrza. Nie za sprawą magicznej mocy, ale na widok tego, co zobaczyła w magazynie.

Stery śmieci, pudła pełne magicznych przyborów i poszarpanych pergaminów. Pod ścianą w głębi stał regał pełen słoików i butelek krwi, wyglądających jak karbunkuły na zardzewiałych półkach. Były tam zioła i kości, i szkice wszelkiego rodzaju magicznych symboli.

Podarła Terrible'owi parę rękawiczek i zaczęli przeglądać zawartość pudeł. Serce

Chess nie chciało zwolnić. Co prawda unieszkodliwiła zaklęcia, ale nie znikły one całkiem. Czują, że tylko czekają w powietrzu. Jeden fałszywy ruch, jedno niewłaściwe słowo może uaktywnić je znowu i uderzą, zanim się zorientuje, co się stało. Mimo to nie mogła powstrzymać dźwięku, jaki wyrwał się z jej gardła, kiedy rozwinęła wyjątkowo duży zwój. Wetknięty w kął jak coś nieistotnego, nie zdradzał oznak energii. Zwój kościelny specjalnie zdezaktywowany.

Mapa Miasta Wieczności. Po co mieliby... Kawałki układanki w jednej chwili wskoczyły na swoje miejsca.

–O cholera. – Ręce jej się trzęsły. Podniosła wzrok i spojrzała na Terrible'a z przerażeniem. – Festiwal. Tu chodzi o festiwal. Oni chcą znów uwolnić duchy.

Patrzyli na siebie przez jedno uderzenie serca, może odrobinę dłużej. Terrible otworzył usta, poruszył się, ale w tym samym momencie w uszach Chess eksplodowało głębokie, głośnie dzwonienie, jakby rzuciła się na głowę do niemożliwie głębokiej wody.

Wypowiedziała słowo „Festiwal”. Uaktywniła zaklęcie. Macki ciemności wpełzły w jej pole widzenia, przesłaniając twarz Terrible'a, na której wyraz zatroskania przechodził w dezorientację. Niedobrze. Tatuaze zapewniały jej ochronę, potrafiła się przebić nawet przez tak potężne zaklęcie, ale on nie. Wszystko, co miał, to ta odrobina kredy i dymu, którym go okadziła.

Jakby brodząc w oleju, ruszyła w jego stronę z wyciągniętymi przed siebie rękami. Chciała coś powiedzieć, ale wydała z siebie tylko wysoki pisk. Jej wargi nie chciały formować słów. Zobaczyła, że on też wyciąga ręce, że oczy mu mętnieją.

Jedna dłoń w rękawiczce spotkała się z drugą. Dotknęła go, poczuła jego ciepło przez warstwy lateksu i mocno chwyciła.

Nie mogła mówić, ale mogła myśleć – słowa mocy rozbrzmiewały echem w jej głowie, kiedy holowała go do szeroko otwartych drzwi. Przejrzyste powietrze, jakie przez nie widziała, zdawało się odległe o kilometry, ale walczyła, ciągnąc jego oporny ciężar, tylko raz odważyła się spojrzeć za siebie. Zobaczyła, że się potknął i niemal upadł przygnieciony cuchnącym złem.

Czują w ustach gruby, suchy język, sztywny jak podeszwy jej butów. Znow spróbowała się odezwać, ale i tym razem nie zdołała wypowiedzieć żadnych słów.

Zmobilizowała każdą posiadaną cząstkę mocy, zamieniając przerażenie rozmiarami planu Lamaru w energię, która wyszła z jej gardła jak śpiew.

To zadziało. Zaczęła poruszać się szybciej i wreszcie dotarli do drzwi, Chess wytoczyła się na jasną, pustą ulicę. Terrible zwałił się na nią, a drzwi magazynu

zatrzasnęły się za nimi.

Wrzuciła do ust kilka frytek i podsunęła mu pudełko pod nos, mając nadzieję, że zapach przebije się przez ziołową woń wypełniającą wnętrze samochodu. Przemyli skórę w odsłoniętych miejscach naparem i pociągnęli po łyku wody z żelaznymi pierścieniami, wsypała też po szczypcie czerwonej soli sobie i jemu to butów, To było najlepsze, co mogła zrobić, żeby oczyścić ich i chwilowo ubezpieczyć.

–Musisz coś zjeść. Ja też nie jestem głodna, ale naprawdę trzeba.

W końcu wziął frytkę, patrząc z niesmakiem na swojego burgera.

–Nic dziwnego, że jesteś taka chuda, jeżeli ta twoja magia jest taka cały czas. Najpierw Tyson, teraz to... Cholera, Chess.

–Wcale tak nie jest. To było wyjątkowo paskudne. Trzymałoby nas tam i czerpało z nas, gdybyśmy się nie wydostali. Przejdzie ci, uwierz mi. Musisz tylko coś zjeść, żeby nie mieć pustego żołądka.

Kątem oka patrzyła, jak Terrible je z rosnącym entuzjazmem. To dobrze. Czasami tego rodzaju zaklęcie wywołuje u ludzi przewlekłe problemy. Wszystko jednak wskazywało, że on jest silny i poradzi sobie. Czuła ulgę, ale nie była zaskoczona. Po tym, co się zdarzyło u Tysona, bardzo szybko doszedł do siebie.

–Więc chodzi im o Miasto? Tym Lamaru, znaczy się.

Jedzenie w jej gardle zamieniło się w twardą bryłę, gorącą jak wściekłość. Przełknęła z trudem i skinęła głową.

–Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłam. Chyba byłam za bardzo skupiona na Mortonach. A Bruce – on jest łącznikiem, podróżuje do Miasta i rozmawia z umarłymi – no więc słyszałam, jak mówił, że duchy są niespokojne, jakby się czegoś bały albo czymś denerwowały. Prastarszy nawet wspomniał, że potrzebują czasu, żeby się uspokoić po Festiwalu, ale mi nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby tam zejść, próbować się włamać...

Owszem, była blisko tego odkrycia. W barze, kiedy zapytał ją, czy złodziej snów może kontrolować inne duchy. Gdyby nie była taka naćpana, mogłaby skojarzyć.

–To dlatego posługują się złodziejem. Niektórym Demaskatorom już się przyśnił. On może wejść do snu prawie każdemu. W końcu stanie się tak silny, że będzie mógł się dostać nawet do snów Starszych, żeby czerpać z nich i zmuszać ich do spania. Kiedy Lamaru wykombinują, jak otworzyć drzwi do Miasta... Myślę, że byli na dole

zeszłej nocy. Na zwiadach. To dlatego na peronie czułam duchy.

–Strachy łążą na wolności, a Kościół nic nie robi, bo wszyscy śpią?

Chess przytaknęła. Genialne, naprawę. To z pewnością najbardziej ambitny plan Lamaru o jakim kiedykolwiek słyszała. I najbardziej niebezpieczny. Tysiące ludzi mogą zginąć, jeżeli duchy zostaną uwolnione w ten sposób. Wyroją się spod ziemi milczącymi, żądnymi krwi falami, podczas gdy Kościół będzie spać.

Nawet gdyby nikt z kierownictwa Kościoła nie zapadł w sen, przeprowadzenie procedury banicyjnej wobec całego Miasta byłoby trudne. Nie bez powodu Festiwal podlegał ścisłej kontroli i co noc uwalniano tylko określoną liczbę duchów. Uwolnienie wszystkich naraz byłoby zbyt niebezpieczne. Ludzie straciliby całą wiarę w Kościół, tak jak stracili całą wiarę w stare religie podczas Nawiedzonego Tygodnia. Ludzie są niestali.

–Lamaru mogą przejąć władzę.

–Jasna cholera. Nie widzi mi się, żeby to było dobre. Myślisz, że naprawdę mogą? Ludzie nic nie zauważą, nic nie powiedzą?

–Na tym polega problem. Nikt by nie zauważył. Wyszłoby na to, że Kościół nie potrafi zapanować nad masową ucieczką z Miasta. Wtedy wkraczają Lamaru, opanowują sytuację i gotowe. Koniec Kościoła.

Zadrżała. Co za dranie. Kościół był jej domem, jedynym, jaki miała. Co za skończone, popaprane dranie.

–Mam cię zawieźć do kościoła? Powiesz im?

–Nie mogę. Wciąż nie wiem, kto jest w to zamieszany. Jeżeli spisek sięga aż do Dobrotliwej Tremmell, to może być każdy.

–Więc sami zadziałamy tak? Wyślesz złodzieja tam, skąd przyszedł, i będzie po sprawie?

–No tak. Przynajmniej taką mam nadzieję.

–Mamy jeszcze czas wszystko sprawdzić tam u ciebie? Znaczący, popytać sąsiadów. Nie trzeba ryzykować, że coś przegapimy, kumaszu, a potem to się na nas odbije. Jak to Ci Lamaru się włamali, mogą być blisko, pilnować.

–I tak nie możemy odprawić rytuału, dopóki nie będzie całkiem ciemno, więc mamy trochę czasu.

Wieczór rozciągał się przed nią jak tor przeszkód. Wciąż było tyle rzeczy do zrobienia, tyle do przygotowania... A później jeszcze ten rytuał. Rytuał, który albo ją zabije, albo uratuje – albo pokona złodzieja, albo ją.

Przez moment rozważała sugestię Terrible'a. Może jednak wrócić do kościoła? Może udałoby jej się pominąć Dobrotliwą Tremmell i zwrócić bezpośrednio do Prastarszego.

Ale nawet gdyby to zrobiła i gdyby on jej wysłuchał, co dalej? Obaw Bruce'a nie potraktował poważnie, słyszała też, co sądzi o Lamaru. Był przekonany, że są zaledwie amatorami.

Może w końcu zechciałby pomóc. Podałaby jakiś zmyślony powód, dla którego była na Chester i przypadkowo znalazła ciało Slipknota.

Zanim jednak Prastarszy coś postanowi, jej dusza wciąż będzie pożywką. Miała dość wspomnień, które pozbawiały jej życie całej radości i przygniatały ją swoim ciężarem.

Już dźwigała swoje uzależnienie. Nie chciała dźwigać jeszcze złodzieja snów.

Rozdział 31

Pamiętaj, nie jesteś pracownikiem

Kościola –

*niektóre zaklęcia będą po prostu poza
twoim zasięgiem.*

Ale nie martw się!

*Jest mnóstwo zabawnych rytuałów do
odprawiania*

*w domowym zaciszu, a ich rezultaty cię
zadziwią.*

Molly Brooks – Cahill *Zrób to sam.*

Poradnik dla początkujących

Chess szła za Terrible'm po chwiejących się schodach, w domu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko jej okien. Mogło się to okazać tylko stratą czasu, ale równie dobrze i mogło się okazać, że ktoś coś widział.

Lex dzwonił znowu, dwa razy, ale nie odebrała. Czyżby nie zrozumiał, kiedy mu powiedziała, że jest z Terrible'em? Czy nie zrozumiał, jakie to ważne?

Dotarli na mroczny podest oświetlony pojedynczą, gołą żarówką wiszącą na drucie. Szczur czmychnął w kąt, chłoszcząc powietrze bezwłosym ogonem. Chess wzdrygnęła się, kiedy Terrible zapukał do drzwi z numerem pięć.

Odczekał chwilę, zapukał znowu, potem jeszcze raz, aż wreszcie szczęknęły zamki i drzwi zostały uchylone.

–Nie mam interesów z Bumpem – burknął chrapliwy głos.

Chess nie widziała twarzy mówiącego.

–Nie chodzi o Bumpa – odparł Terrible. – O mieszkanie po drugiej stronie. Stary kościół. Z twoich okien widać, co jest w środku?

–To kościelna czarownica. Widzę ją czasem. Snuje się jak duch, całkiem sama. Niedobrze dla kobiety, jak jest sama. Ma kłopoty?

–Widziałeś tam coś dziś rano? A może w nocy?

–Widziałem jakiegoś palanta parę nocy temu z nią. Wykonywał jakieś dziwne ruchy.

Chess poczuła gorąco na twarzy. To musiał być Doyle, kiedy zajął się jej ręką.

–Tej nocy, mówię. Widziałeś coś tej nocy albo dziś rano?

Tamten milczał chwilę.

–Może i widziałem. A co? Terrible wyciągnął z kieszeni zwinięty banknot.

–Widziałeś czy nie?

–Ano widziałem. Dwaj faceci, kumasz? Nie widziałem twarzy, nie za dobrze. Białasy. Ciemne włosy, jeden poszedł do jej sypialni. Coś niósł, ale co, nie wiem. Drugi węszył w dużym pokoju. Wyglądało, jakby coś zabrał i coś innego zostawił. Wyjął to z kieszeni.

–Długo tam byli?

Przez szparę w drzwiach wysunęła się nadstawiona dłoń. Terrible włożył w nią banknot.

–Z pół godziny. Może trochę dłużej. Nie patrzyłem cały czas, mam swoje sprawy, co nie? Ale ich widziałem.

–Gdzie zostawił to coś? Widziałeś, gdzie to położył?

–Ona jest słodka, Terrible. Czasem chodzi tylko w takich małych majteczkach.

Chess zanotowała w pamięci, żeby już nigdy nie rozsuwać zasłon. Wydawało się jej, że przy brudzie rozmazanym na wszystkich szybach w Dolnej Dzielnicy nie musi się martwić o podglądaczy. Sama nigdy nie próbowała zaglądać w okna sąsiadów. Najwyraźniej oni nie podzielali jej braku zainteresowania.

–No mów. Gdzie to położył?

–Na półce. Którejś z wyższych.

–Dobra.

–To git. – Drzwi zaczęły się zamykać, ale Terrible je przytrzymał. – Czego jeszcze chcesz? Nic więcej nie wiem, tylko tyle widziałem.

–Za dużo widzisz, jarzysz? Trzymaj gały z daleka jej okien. Jak się dowiem, że ją podglądasz, wrócę.

–Niech cię. Odbierasz facetowi całą przyjemność. – Drzwi się zamknęły.

Przygryzając wargę, Chess zeszła za Terrible'em po schodach i przeszła na drugą stronę ulicy. Coś zostało w jej mieszkaniu. Może jakiś urok? Jakaś klątwa? A może coś gorszego – kamera albo urządzenie nagrywające.

Okazało się, że jedno i drugie.

Cenne minuty uciekały, podczas gdy oni zajmowali się przeszukiwaniem półek, zrzucając książki na podłogę. Chess zaczynała się zastanawiać, czy nie powinna ich tak zostawić. Na najwyższej półce nie znaleźli nic, chociaż obmacała ją nawet od spodu i przy ścianie. Już chciała zrezygnować, kiedy Terrible sięgnął po małego srebrnego wilka, którego kupiła kilka lat temu.

–To moje – powiedziała.

–Tak? A po co jest ta dziurka w pysku? Wzięła od niego figurkę.

–Cholera. Ten nie jest mój.

Otworek był tak malutki, że trudno było sobie wyobrazić, jak go wywiercono. Bliższe oględziny ujawniły, że nie było to konieczne. Wilk został uformowany wokół kamery. Arcydzielo. Arcydzielo prawie na pewno stworzone przez kościelnego dostawcę. Z kilkoma firmami zawarto specjalne kontrakty na wytwarzanie tego typu urządzeń, przydatnych przy szczególnie trudnych sprawach.

–Na zrobienie czegoś takiego potrzeba tygodni – zauważyła Chess. – Chyba że ktoś dopłaci za pośpiech albo ma naprawdę dobre układy.

–Tak myślę... – Wyjął wilka z jej ręki, przeszedł do kuchni, wrzucił go do lodówki i zatrzasnął drzwi. – Ta cała Dobrotliwa, co o niej mówiłaś, ma układy, no nie?

–Tak, ale musieliby to zrobić w ciągu dwóch dni. Nie sądzę, żeby któryś z naszych wykonawców dał radę tak szybko.

–Dlaczego dwa dni?

–Pierwsze włamanie było dwa dni temu. Terrible wzruszył ramionami.

–Kto powiedział, że było pierwsze?

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Terrible przyglądał się, jak opadła na kanapę i wygrzebała spomiędzy poduszek pogniecioną paczkę papierosów. Pustą. Przypalił swojego i jej podał.

–Kiedy Bump prosił mnie, żebym zbadala lotnisko? W piątek? Tak, w piątek. Sprawę Mortonów dostałam następnego dnia. Nie minął nawet dzień.

–Ale twój przyjaciel z drugiej strony ulicy mówi, że coś zostało podłożone dziś rano. Znaczy najpierw zostawili kamerę, a dzisiaj wrócili, podrzucili Mózga i zostawili coś jeszcze.

–Nie widzę niczego na półkach, a on powiedział, że położyli coś na półce.

–Może tylko sprawdzali kamerę. To nie znaczy, że nie zostawili nic więcej dzisiaj albo wcześniej. Kiedy ostatni raz robiłaś tu jakiś przegląd?

Przecież musiałyby wyczuć, gdyby podrzucono jej coś magicznego. Tak jak wyczuła moc pełznącą w górę po jej nogach, kiedy natrafiła na tamten krąg na pasie startowym.

Teraz nie wyczuwała żadnej zmiany, czy raczej niczego, co nie dałoby się przypisać obecności obcych. Ale jeżeli to zostało podłożone w ciągu ostatnich dwóch dni, a w tym czasie jej tu prawie nie było...

Terrible śledził ją wzrokiem, kiedy z zamkniętymi oczami zaczęła przemierzać pokój w tę i z powrotem. To nie mogło być przy półkach z książkami. Słała tam i czego nie czuła. Ale reszta pokoju, reszta mieszkania, pozostawała niesprawdzona.

Nie włożyli tego pod łóżko, bo to najbardziej oczywiste miejsce na podłożenie woreczka z klątwą czy czegoś w tym rodzaju, a poza tym mogłaby to znaleźć, ścieląc łóżko. Ani pod kanapę, ponieważ wyczułaby to, gdyby tylko usiadła. Co jeszcze jest blisko, ale nie na tyle blisko, żeby natychmiast wyczuła magię?

Odpowiedź przyszła w chwili, gdy znalazła się w pobliżu starego fotela. Ledwo dotknęła stopą zwisającej do podłogi falbany z grubego brązowego sztruksu, żołądek się w niej przewrócił.

–Terrible, podaj mi moją torbę.

Słyszała, jak się porusza, ale nie odwróciła głowy. Patrzyła na fotel. Jego kontury zlewały się ze sobą i rozciągały, i nie mogła oderwać wzroku od tego złudzenia optycznego. Czymkolwiek było to, co schowali, miało wielką moc. Tak wielką, że jej serce przyspieszyło i z najwyższym wysiłkiem powstrzymywała się od ucieczki.

Terrible włożył jej torbę do ręki. Na oślep wymacała w środku rękawiczki i założyła jedną na lewą dłoń. Kucnęła obok fotela i uniosła prawą ręką poduszkę, żeby móc pod nią szperać. To był błąd.

Ćmiący ból dłoni, stale obecny od czasu, gdy skaleczyła się amuletem, przybrał na sile i zaczął palić żywym ogniem. Z krzykiem puściła poduszkę o odchyliła się do tyłu tak mocno, że o mało nie upadła. Dłoń pulsowała, piekący ból przeszywał rękę, ogarniał bark, schodził w dół wzdłuż boku.

–Chess, może nie trzeba...

–Nic mi nie jest.

Chwyciła drugą rękawiczkę i zaczęła wsuwać w nią dłoń, starając się nie dotykać rany. Pot wystąpił jej na czoło.

–Może ja... – zaczął znów Terrible.

–Nic mi nie jest – powtórzyła.

Już się nie odezwał. Chess czuła, że jest blisko niej, czuła na nagich ramionach ciepło jego ciała. Wzięła głęboki wdech i spróbowała znowu.

Ból nasilił się przy dotknięciu poduszki, ale nie przeciął jej ostrzem brzytwy jak przed chwilą. Jej ręka sunęła po tkaninie pod poduszką siedzenia, wzdłuż szpary u dołu oparcia... palce natrafiły na coś o konsystencji gnijącego owocu. Od dłoni rozeszło się mrowienie, jakby tysiące demonów z pogrzebaczami przemieszczało się pod skórą. Chess zacisnęła zęby i wyszarpnęła klątwę z kryjówki.

Mrowienie stało się jeszcze gorsze. Wnętrze prawej dłoni zapłonęło żywym ogniem i zrobiło się wilgotne. Nie wiedziała, czy to od potu, czy od krwi, i bała się spojrzeć. Zła na siebie za ten strach, odwróciła dłoń, żeby się jej przyjrzeć przez lateks rękawiczki.

Potrzebowała minuty, żeby dotarło do niej, co widzi. Rękawiczka, teraz różowawa ód krwi, ale pośrodku wciąż biała, brudnobiała, jak zwarzone mleko... jakiś wijący się ruch...

Coś sunęło się zza krawędzi rękawiczki i spadło na podłogę, Robak, Niech to szlag! Robaki wróciły, a ona krzyczy próbując zedrzeć rękawiczkę. Robaki wypełzają z rany, pełzną do krawędzi rękawiczki i sypią się na podłogę jak odrażające krwawe perły z antycznego naszyjnika.

Rękawiczka wreszcie zeszła z lewej ręki Chess. Woreczek z klątwą leżał na podłodze, otoczony przez robaki. Instynktownie wyciągnęła prawą rękę, żeby go odsunąć, ale kiedy tylko dotknęła woreczka, ból niemal rozdarł ją na pół. Znów

chlusnęło obrzydliwą formą życia z otwartej czerwonej rany, wyglądającej jak okrutne usta.

Poczuła mocne ręce Terrible'a. Dźwignął ją z podłogi i zaniósł do kuchni, nie zważając na robaki sypiące się z jej dłoni na jego gołą skórę. Posadził ją na blacie koło popękanego zlewu, odkręcił wodę, wsadził jej dłoń pod kran, a drugą ręką włączył młynek do odpadów.

–Spokojnie, Chess... nie patrz na to, patrz na ścianę. Patrz tam bez przerwy. Skup się i patrz.

Szybko przemierzył pokój i po chwili był z powrotem przy niej. Wraz z ustępowaniem bólu w głowie zaczęło się jej przejaśniać, ale kiedy zerknęła do zlewu, niemal zemdląła na widok ohydnej brązowoczerwonej wody i białawych robaków wijących się, wciąganych przez wir i wsysanych do odpływu. Przełknęła ślinę i wpatrzywszy się z powrotem w ścianę, próbowała wymazać obraz setek małych ciał wypełzających spod jej skóry.

–Wygląda, że to koniec – powiedział Terrible, ujmując jej dłoń. Delikatnie nacisnął kciukiem okolice rany i jeszcze raz przepłukał ją pod kranem – Odsunąłem twoją torbę od tej krwi.

Skinęła głową.

–Dzi... dzięki.

–Nie ma sprawy. – Ich oczy spotkały się na moment, po czym Terrible odwrócił się po papierowe ręczniki, którymi zaczął osuszać jej dłoń – Co mylisz? Bandażować czy zostawić otwarte, na wypadek gdyby to miało wrócić?

–Oczyścić i zamknąć na dobre. Te robaki... to rana je produkowała, rana i klątwa. Tak przynajmniej przypuszczam, bo rana była czysta.

Pomasował się po brodzie.

–Zamknąć na dobre... To będzie bolało, Chess. I zostanie pieprzona blizna.

–Wiem.

–Dobra. – Znikł i po chwili wrócił z jej torbą. – Na twoim miejscu wziąłbym parę pigułek. Daj mi te wytrychy, co ich używasz. Ze stali, tak?

Potwierdziła, a potem przyglądała się, jak zapala palnik kuchenny. Dłoń ją mrowiła, kiedy grzebała w torbie, żeby znaleźć pudełko z pigułkami i wytrychy. Połknęła trzy cepty, chociaż poprzednie brała zaledwie dwie godziny temu. Nie dało się zrobić tego

bezboleśnie, ale miała nadzieję, że pigułki przynajmniej trochę pomogą.

Terrible, przyjrząwszy się wytrychom doświadczonym okiem, wybrał największy, którego prawie nigdy nie używała. W uszach zaczęło jej dzwonić, kiedy trzymał go nad niebieskim płomieniem gazowego palnika.

–Może usiądź na podłodze. Nie chcę, żebyś spadła.

Zsunęła się na popękane linoleum i czekała, patrząc na wytrych rozgrzewający się do czerwoności.

–Jesteś pewna, że tego chcesz?

Skinęła głową i wyciągnęła rękę. Ciągle jeszcze mogła się wycofać, powiedzieć, że się rozmyśliła, i wcale przez to nie miałby o niej gorszego zdania...

Za późno. Jedną ręką chwycił jej palce i ściskając razem z brutalną siłą, drugą przyłożył rozżarzoną stal do rany we wnętrzu dłoni.

Rozdział 32

Nie daj się nakłonić do błędnego

mniemania,

jakoby skrucha była możliwa do

osiągnięcia środkami

innymi niż te, które wyznacza i nakłada

Kościół.

Ból sam w sobie nie oczyszcza.

Księga Prawdy, Prawa, Artykuł 82

Chess wrzasnęła i szarpnęła ręką w tył – nie chciała jej cofnąć, to był odruch – ale Terrible trzymał mocno. Łzy popłynęły jej z oczu. Gwałtownie pochyliła się do przodu, mając nadzieję, że zaskoczony rozluźni uchwyt, lecz on tylko obrócił się lekko i unieruchomił jej rękę między swoim bicipsem a piersią.

Wrzeszcząc dziko, wolną ręką biła go po szerokich plecach, a gdy to nie poskutkowało, nachyliła się i ugryzła go, jak zwierzę schwytane w potrzask. Zapomniała własnego imienia, zapomniała, gdzie jest. Docierał do niej tylko ból, niepodobny do niczego, co kiedykolwiek czuła. Zelżał na kilka sekund, gdy on na nowo rozgrzebał wytrych, a potem eksplodował znowu, kiedy przyłożył go do jej skóry.

Nic nigdy nie brzmiało piękniej od dźwięku wytrycha spadającego na podłogę. Chess oparła głowę o pierś Terrible'a, wdychając podnoszące na duchu zapachy dymu, pomady i mydła, a z jej gardła wydobywało urywane łkanie. Wątpiła, czy jeszcze kiedyś będzie mieć siłę, żeby podnieść głowę. Wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła wstać.

Terrible delikatnie wyplątał się z jej ramion, wstał i otworzył lodówkę. Patrzyła zamglonym wzrokiem, jak owija kostki lodu papierowym ręcznikiem, wraca i wciska je w jej dłoń. Cudowne wycucie. Fala adrenaliny, przepłynęła przez jej ciało, powodując niewytłumaczalną radość. Roześmiała się histerycznym chichotem brzmiącym zupełnie obco. Poczowała smak krwi na ustach. Nie swojej. Jego.

–Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam cię zranić...

–Nie ma sprawy.

–Ale...

–Trzymaj ten lód i powiedz, jak zdjąć tę twoją klątwę.

–Cholera. – Zaśmiała się nerwowo. – Zupełnie o tym zapomniałam, masz pojęcie?

–No.

–Dobra. – Wzięła głęboki oddech. I kolejny. – Przynieś to.

Nie wyglądał na zachwyconego, ale spełnił polecenie. Umieścił woreczek w bezpiecznej odległości od Chess. Lodowate zimno w dłoni uniemożliwiało stwierdzenie, czy woreczek oddziałuje na nią, ale przypuszczała, że jednak nie.

Kierując się jej instrukcjami, Terrible za pomocą wytrychów rozwiązał woreczek. Gdy go opróżnił, oczy wyszły jej na wierzch.

–To nie jest zwykła klątwa. To jest... klątwa śmiertelna.

Pokiwał głową.

–Od razu pomyślałem, że to jakaś grubsza sprawa. Co mam robić?

Przez moment siedziała w milczeniu, ściskając w dłoni zwitek przemokniętego papieru z topniejącym lodem. Potem obejrzała zawartość woreczka. Martwy owad. Czarny proszek, Połamane szpilki i gwóźdź do trumny. Kulka czarnego wosku, która zawierała pasek papieru z jej imieniem i długie pasemko włosów.

Jej włosy. Jak, do cholery... No jasne!. Ktoś z Kościoła. Zebrał włosy z ramienia, z podłogi w łazience albo z łóżka. Może nawet z poduszki Doyle'a następcy ranka? Najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła, było to, że pozwoliła tej gnidzie dotykać się tymi lepкими, brudnymi łapskami.

No cóż, oczywiście nie to było najgorsze. Był to jednak głupi błąd, jakiego już nie popełni.

Terrible skrzywił się, kiedy z woreczka wypadły ostatnie przedmioty. Płatek miedzi, na widok którego zacisnęła wargi, ale który jej nie zaskoczył. Mniejsza kulka ciasno zwiniętych kręconych włosów i kawałek materiału sztywny i brązowy od zaschniętej krwi.

–Włosy trupa. Krew menstruacyjna – wyjaśniła odpowiadając na niezadane pytanie.

Z tego, co wiedziała, krew mogła należeć do niej albo pochodzić z kościelnych zapasów, Doyle nie wszedł w jej posiadanie podczas ich wspólnej nocy.

Terrible kręcił głową.

–Co, jakbyśmy tego nie znaleźli?

–Prawdopodobnie umarłabym. Nie od razu. Śmiertelne klątwy potrzebują trochę czasu, żeby zadziałać. Niekiedy nawet tygodni. Gdybym częściej przebywała w domu, poszłoby szybciej, ale ostatnio rzadko tu bywałam.

–Kto to zrobił? Masz jakieś wskazówki?

–Mnóstwo wskazówek. I żadnych dowodów. Coś takiego wymaga dużo mocy niewyobrażalnie dużo... Ktokolwiek to był, prawdopodobnie dokonał w tym celu jeszcze jednej ofiary, ale ciało zostało gdzieś porzucone.

Podciągnęła nogi i spróbowała wstać. Na sekundę pokój przechylił się na bok, ale dość szybko się wyprostował.

–Jasna cholera. Nawet nie wiedziałem, że można narobić tyle gówna tą magią.

–To tylko energia – powiedziała Chess. – Wszystko ma energię, wiesz? Chodzi o to, jak jej używasz, i czy potrafisz jej używać. Im większą masz moc, tym więcej możesz zrobić.

–Znaczy ten, co to zrobił, ma moc.

Przytaknęła w milczeniu. Strach ścisnął jej gardło – strach nie tyle przed tym, z czym mają do czynienia, ile na wspomnienie, że część tej mocy jest jej mocą za sprawą głupiego związku krwi. Hybrydowy duch złożony z mieszanki choroby i zła nabierał mocy dzięki jej krwi. Nie było innego wyjścia, niż go pokonać.

A skoro o tym mowa...

–Chcesz spuścić to wszystko do zlewu i nastraszyć z przyczajki podejrzaną rodzinę z przedmieścia?

Terrible wyszczerzył się w uśmiechu.

–Ty tu rządzisz.

Spóźnili się. Dom był cichy, jakby wymarły; ostre światło górnych lamp pozbawiało twarze Mortonów wszelkiego koloru i wyglądali niemal eterycznie – dzieci we mgle

Śpiące snem wiecznym.

Spali głębokim, spokojnym snem sprawiedliwych i nieważne, że byli winni. Ich nieruchome ciała leżały na kanapie i podłodze. Albo nie zdążyli dotrzeć do łóżek, albo za bardzo się bali w nich spać.

Z zewnątrz dobiegało tylko cykanie świerszczy i szelest wiatru w młodych drzewach. Wszystkie domy wzdłuż ulicy były ciemne, kiedy je mijali. Czy mieszkańcy zasnęli? Czy złodziej już zaczął gromadzić moc?

Chess nerwowo uniosła dłoń do czoła, uważając, żeby nie zetrzeć pieczęci. Terrible potoczył oczami w górę, jakby chciał w ten sposób sprawdzić swoją, ale wydawał się całkiem spokojny. Pewnie dlatego, że nie musiał poczuć rozgrzanej do czerwoności stali w otwartej ranie. No i nie miał jeszcze do czynienia ze złodziejem snów.

Jego obecność dodawała jej otuchy. Wzięła głęboki oddech i ruszyła po schodach na górę, w połowie przystanąła przed jaśniejszym miejscem na ścianie, które dostrzegła na zdjęciu. W rażącym oczy świetle nie było tak wyraźne, ale nadal widoczne.

W sypialni Mortonów nie dostrzegła większych zmian. Taki sam nienaganny porządek, tylko nigdzie nie było Księgi Prawdy. Pewnie schowali ją pod łóżkiem.

–Czego szukamy? – spytał Terrible.

–Czegokolwiek. Zdjęć, książek z zaklęciami o różnych bytach. Woreczków z urokami. Listów.

Pokiwał głową.

–Ma być cicho i bez śladu?

–Nie. Ale zrobmy to szybko.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu. Jedynymi towarzyszącymi im dźwiękami był odgłos wysuwanych szuflad i grzechot wieszaków. Terrible okazał się bardziej przydatny, niż przypuszczała – mógł zajrzeć na wysokie meble i na górne półki w ściennej szafie, bez trudu też przesunął meble.

Magiczny woreczek tkwił między zagłówkiem łóżka a ścianą, tak jak u Alberta. Zawartość również okazała się identyczna.

–Oni śpią – zaważył Terrible. – Dlatego, że są daleko od czaru, czy dlatego, że czar nie działa?

–Nie sądzę, żeby działał – odparła. Niedobrze. Dodatkowe cepty może i pomogły na rękę, ale na głowę na pewno nie. – Ten, kto go zrobił, nie uaktywnił go albo nie użył wystarczającej mocy, żeby to zrobić jak należy. Amatorzy.

–Jak oni.

–Tak, tacy jak oni. Zastanawiam się, czy... hm... zastanawiam się, czy ktoś im dał ingrediencje i powiedział, co robić. Może ktoś im to napisał.

Terrible kontynuował poszukiwania. Wystawił szuflady na dywan i przetrzął ich zawartość. Chess przyglądała się przedmiotom na łóżku.

Możliwe, że ktoś próbował zabić Mortonów. W miejsce „ktoś” mogła podstawić Dobrotliwą Tremmell posługującą się Lamaru jako swoim narzędziem. Możliwe, że postanowiła zabić Mortonów i dała im nieskuteczne uroki na dobry sen, aby myśleli, że są chronieni. Możliwe, że knuła razem z nimi w Bankhead Spa, a potem wykombinowała, że ich wykiwa.

Dobrotliwa Tremmell wystawia czeki, więc z łatwością mogła wystawić czek na siebie, przekierować środki na osobne konto albo dokonać jakiejś innej malwersacji.

Ale po co w ogóle dała Mortonom te uroki? Przecież one z pewnością mają jakąś moc. Może zasilają Ereszdirana, zastanawiała się Chess. Razem z amuletem, który wciąż znajdował się w jej torbie, oraz duszą Slipknota i jej własną.

Lamaru na pewno nie przywołali złodzieja snów stąd, ale jeżeli jej teoria jest słuszna – a musi być słuszna, po prostu musi – tutaj na pewno coś jest. Coś, co kieruje tym bytem, coś, co ma nad nim pieczę, coś, co go kontroluje.

Czarna sól jest w powszechnym użyciu. Stosuje się ją w większości zaklęć banicyjnych i kontrolujących. Szpon kruka, choć rzadszy, to również nic niezwykłego. Wiele systemów magicznych stosuje części ptasiego ciała do przeciwdziałania bezsenności i sprowadzania dobrych snów. Musi więc chodzić o płatek miedzi albo pojedynczy czarny włos. Tak, to musi być to.

Włos nie należy do żadnego z Mortonów, ale może należeć do kogokolwiek innego, na przykład któregoś Lamaru. Kimkolwiek jest ten, kto popełnił morderstwo w celu przywołania Ereszdirana, może go kontrolować za pomocą tego włosa, przynajmniej do pewnego stopnia.

–W porządku, Chess? Aż podskoczyła.

–Cholera! Przepraszam. Zapomniałam, że tu jesteś.

–Gapisz się na te rzeczy od pięciu minut, jakbyś ich słuchała.

–Ja tylko... Co?

–Wyglądało to, jakbyś próbowała im kazać, żeby mówiły.

Kolana zrobiły jej się miękkie.

–Jakbym próbowała... No jasne! Oczywiście! One usiłują mówić. Pamiętasz, jak Earl powiedział, że miedź przewodzi elektryczność, więc przewodzi też magię? – Powinna była sama o tym pomyśleć i pomyślałaby, gdyby nie miała takiej waty w głowie. – Amulet jest miedziany. W tych woreczkach też są płatki miedzi. Prawdopodobnie jest więcej woreczków. Założę się, że każdy w to zamieszany ma taki woreczek, więc może wyczuć, czy złodziej snów jest aktywny i nabiera mocy. Może go pilnować, rozumiesz? Moc wysyła sygnał, taki jak dreszcz, i jeżeli jesteś na to wrażliwy, poczujesz.

–Znaczy się, jak mam woreczek, a złodziej snów kręci się koło innego woreczka, ja to wiem?

–Dokładnie. Nawet taki maleńki kawałeczek naładowanej miedzi go przyciąga. Trzyma pod kontrolą, ogranicza jego ruchy... Tak samo ten cholerny ptasi szpon. Ptaki też są psychopompami, przeprowadzają duchy do i z Miasta. Duch nie może być sprowadzony tutaj, a potem gdzieś sobie zniknąć. Musi trzymać się tego obszaru. To tak jak z elektrycznymi płotami.

Jeden z kawałów miedzi był w śmiertelnej klątwie w jej mieszkaniu. Wizytówka czy przyzwolenie?

–Trzymać się obszaru czy trzymać się blisko kawałków miedzi? – spytał Terrible. – Nie przywołali go częściowo, żeby straszył tutaj? Zrobili te czary, co nie pozabijają Mortonów, ale włożyli miedź, żeby na pewno tu został i ich nawiedzał.

Miała ochotę go ucałować. Może nawet zrobiłaby to, gdyby nie był po drugiej stronie pokoju i... Tak. Terrible ma rację. To jest nie tyle płot, ile magnes. Związali złodzieja z pewnymi miejscami, pewnymi punktami. Starali się zminimalizować ryzyko, chociaż tylko zupełny ignorant mógłby pomyśleć, że to będzie działało przez długi czas. Ale czy długi czas jest im potrzebny? Nie miała pojęcia, na kiedy zaplanowali ucieczkę.

Tak czy inaczej, zostawiając kawałek miedzi w jej mieszkaniu, próbowali związać złodzieja i z tym miejscem. Zabić ją. Może myśleli, że nie ma już amuletu? A może chodziło o wzmocnienie efektu?

Pomyślała o Kościele, o chatach pracowników i o większych domach Starszych. Setki kryjówek, Czy Lamaru i Dobrotliwa Tremmell już to podłożyli, czy najpierw chcą dostać wypłatę Mortonów?

Dłoń wciąż jej pulsowała, kiedy zaczęła przeglądać jedno z pudeł z teczkami wyciągnięte przez Terrible'a z szafy w ścianie. Niczego nie pragnęła bardziej, niż dostać się na Chester i skończyć z tym, ale najpierw musiała się dowiedzieć, czy ma rację co do Dobrotliwej Tremmell i czy pieniądze były jedynym motywem. Breloczek do kluczy i wyrzucony rachunek były ważne, ale potrzebowała czegoś, co mogłaby przedstawić władzom, czegoś, co udowodniłoby im i jej samej, że nie zwariowała aż tak, jak się jej zdawało.

Rzygała już tą sprawą i wszystkimi tymi ludźmi. Bump, Terrible, Lex, Mortonowie, Lamaru, Doyle, Dobrotliwa Tremmell... zdecydowanie za dużo tego. Gdyby je życie i samo istnienie Kościoła nie były zagrożone, rzuciłaby to i zaszyła się w palarni na cały tydzień.

Przerzucała te czki jak automat. Rachunki, rachunki, rachunki. Odrzucała je jeden za drugim. Żaden nie zawierał niczego, co mogłoby dotyczyć Ereszdirana, do Dobrotliwej Tremmell albo kogokolwiek innego.

Ale przecież Dobrotliwa Tremmell wiedziała, że Chess będzie przeszukiwać dom Mortonów. Może dlatego nie dała jej upoważnienia do przeszukania ich skrytki depozytowej.

Z drugiej strony, Dobrotliwa Tremmell nie należała do kobiet obdarzonych wyobraźnią. Rachunek za wynajęcie magazynu rzuciła na podłogę, zamiast go podrzeć i zniszczyć. Może Mortonowie byli równie nieostrożni.

–Pomóż mi podnieść materac – powiedziała, odwracając się do Terrible'a.

Rozdział 33

Roztropnie jest mieć ogniotrwały sejf

lub skrytkę depozytową do przechowywania

rodzinnych fotografii i dokumentów,

zwłaszcza o charakterze genealogicznym.

Nigdy bowiem nie wiadomo, kiedy może

nastąpić katastrofa.

Kto już zaczął łamać prawa, będzie

to robić, dopóki nie

otrzyma kary dla oczyszczenia duszy.

Z tej przyczyny należy przyglądać się

sąsiadom

i przyjaciołom, jak również członkom

rodziny, aby

uchronić ich przed potępieniem.

Pani Increase Rady pani Increase dla

pań

Koperta była nie pod materacem, tylko wetknięta koło sprężyny, pod starannie zaszytym rozcięciem na tapicerce. Chess nie spodziewała się, że tam ją znajdzie. Większość ludzi niszczy obciążające ich dokumenty albo przynajmniej przechowuje je poza domem. Normalnie musiałyby przesłuchać dziesiątki przyjaciół i znajomych Mortonów oraz przeszukać ich domy w poszukiwaniu czegoś, co mogło zostać im przekazane z poleceniem ukrycia. Tym razem nie musiała. Wnętrze materaca to bezpieczna kryjówka, ale – jak widać – nie najbezpieczniejsza.

A może Mortonowie wiedzieli, że wszystko idzie nie tak, czuli że wysysana jest ich energia i złodziej nabiera mocy, więc włożyli tam kopertę w nadziei, że znajdzie ją ktoś, kto będzie umiał im pomóc. Ktoś, kto dopilnuje, żeby sprawca został ukarany.

Chess wzruszyła ramionami. Nie obchodziły jej pobudki Mortonów. Sięgnęła po kopertę otworzyła ją i wyjęła zawartość.

Niewiele tego było. Kilka arkuszy papieru i dwie wyblakłe fotografie. Jedna przedstawiała młodą kobietę, prawie dziewczynkę, o zmęczonej twarzy i z niemowlęciem na ramionach. Na drugiej widniał równie młody mężczyzna podczas rozdania dyplomów – kościelnego rozdania dyplomów – w niebieskim kapeluszu z szerokim rondem. Chess miała taki sam kapelusz i trzymała go w pudle z przezroczystego plastiku na najwyższej półce w szafie.

O cholera. Myliła się, bardzo się myliła. Ten nieśmiały uśmiech na twarzy ze zdjęcia... Ile razy widziała ten uśmiech i lekceważyła go? Lekceważyła jego właściciela? Przeciętny Demaskator, nudny, nie za bystry...

Wyglądało na to, że Randy Duncan jest znacznie bystrzejszy, niż sądziła.

Randy Duncan, który zgodnie ze świadectwem urodzenia znajdującym się w kopercie był nieślubnym synem pani Morton. Teraz Chess dostrzegła wyraźne podobieństwo. Właśnie to nie dawało jej spokoju, kiedy po raz pierwszy zobaczyła panią Morton.

Randy nie powiedział jej, że odnalazł swoją biologiczną matkę, ale on nigdy nie mówił o swoim życiu. Wszyscy wiedzieli tylko, że był adoptowany o tym, co znajdowało się w kopercie – o świadectwie urodzenia, o rachunku z prywatnej agencji detektywistycznej, świadczącym, ile pieniędzy Mortonowie zainwestowali w odnalezienie go – nikomu nie wspomniał. Jasne, że nie, skoro wykombinował, że można wykorzystać Kościół do uzyskania pieniędzy, a wtedy Mortonowie pozwolą sobie na większy dom.

Mortonowie mieli zgłosić nawiedzenie, a Randy miał potwierdzić jako prawdziwe, Kościół wypłaciłby odszkodowanie i wszyscy byliby szczęśliwi.

Tymczasem wkroczyła Chess i dochodzenie. Teraz przynajmniej wiedziała, kto był następny w kolejce do przydziału spraw.

Ale czy rzeczywiście chodziło tylko o to? Po co Randy wciągał w to Lamaru? Czy był aż takim nieudacznikiem, że musiał prosić o przywołanie ducha, zamiast zrobić to samemu? Przecież podstawy przywoływania przerabiali na drugim roku. Ona umiałaby przywołać ducha w każdej chwili – byłoby to bezprawne, ale potrafiłaby – czemu więc Randy miałby nie umieć? Dlaczego zwrócił się do Lamaru? I po co przywoływać Ereszdirana zamiast ducha podstawowego?

To nie miało sensu, nic tu nie pasowało, nawet gdyby znała odpowiedzi na resztę swoich pytań. Przeczucie, że Mortonowie sfingowali sprawę, nie myliło jej. Sfingowali, ale jakimś cudem już podczas jej pierwszej wizyty zdołali sprowadzić Eresdirana – zasilonego jej własną mocą – i rozpętało się istne pandemonium. A wszystko dlatego, że Randy chciał pomóc rodzinie. Nieszczęsny, naiwny Randy, który wplątał się w sprawy Lamaru.

Nic dziwnego, że pani Morton nie zniszczyła tej koperty ani że nie zdecydowała się na przechowywanie jej w jakimś innym miejscu. To musiało być okropne – oddać dziecko, potem latami go szukać... Chess nie potrafiła sobie tego wyobrazić, tak jak nie umiała sobie wyobrazić, że ktoś poświęcił tyle pieniędzy i czasu, żeby zostać częścią jej życia.

Odchrząknęła.

–Dobra. Myślę, że to wszystko, co...

–Nie tak szybko.

Niedobrze. Odwróciła się na nogach gotowych załamać się pod nią, aby zobaczyć Randy'ego, który stał w drzwiach zaledwie metr od niej, z nożem myśliwskim w kolorze matowej czerni zaciśniętym w lśniąco białej dłoni. Jego zazwyczaj potargane włosy przylgnęły do czoła w zlepionych potem pasmach, a zęby przygryzały suche wargi, zostawiając czerwone ślady tam, gdzie przecięły delikatną skórę.

Jakaż była głupia, było oczywiste, że Randy zjawi się tutaj. I że będzie miał nóż. Jak mogła pomyśleć, że zamknięcie drzwi na klucz go powstrzyma?

Sądziła, że jest sprytna, każąc Terrible'owi zaparkować o przecznicę od domu i przyprowadzając go tu, żeby pomógł jej w szybszym przeszukaniu. Nie uznała nawet za konieczne założenia jakichś magicznych pułapek.

Teraz przyjdzie jej zapłacić za to życiem.

Terrible stał z drugiej strony łóżka. Nie dopadnie Randy'ego, zanim Randy dopadnie jej. Umiała się bić, ale wątpiła, czy zdąży obezwładnić Randy'ego, zanim on ciężko ją zrani. Uchwyciła spojrzenie Terrible'a i nieznacznie pokręciła głową.

–Myślę, że masz coś, co należy do mnie – powiedział Randy. – Nawet całkiem sporo, zaczynając od świadectwa urodzenia, a kończąc na amulecie. Odłóż proszę, dokumenty i powiedz mi, gdzie jest amulet.

Papiery opadły na łóżko z cichym szelestem.

–W mojej torbie. Tam, przy szafie.

–O nie. Ty go przyniesiesz. Nie spuszczę cię z oka. Ani ciebie, ani tego bandziora, z którym się prowadzasz. Wiem, co zrobił Doyle'owi.

–Więc poleciałeś do Doyle'a.

–Przynieś torbę. Powoli.

Zaczęła przesuwając się pomału po wykładzinie. Terrible wpatrywał się w nią z nieruchomą twarzą, tylko jego oczy były otwarte trochę szerzej niż zwykle, spojrzenie trochę bardziej intensywne.

Randy uniósł rękę i złapał ją za kark.

–Nie chcę, żebyś oddalała się ode mnie – powiedział. – I owszem, poleciałem do Doyle'a. Powiedział, że pytałaś o Dobrotliwą Tremmell – jakby ona miała z tym cokolwiek wspólnego – i o Lamaru. Dlaczego, do cholery, nie pilnujesz swoich spraw? Nic cię nie nauczyło to, co się stało z tym dzieciakiem, który się pętał koło ciebie?

Mózg zobaczył rytuał... Widziani od tyłu, Randy i Doyle są prawie nie do odróżnienia, zwłaszcza po ciemku. Zwłaszcza kiedy świadkiem jest przerażony mały chłopiec. Nic dziwnego, że uciekł, zobaczywszy u niej Doyle'a, a potem znowu, kiedy po niego przyszła. Myślał, że ona też jest w to zamieszana. Umierał, myśląc, że go wydała.

Mdliło ją ze strachu i poczucia winy, ale starała się tego nie okazać. A Dobrotliwa Tremmell? Randy musiał włamać się do szafy z aktami, wyjąć rachunek i wyrzucić go podczas którejś wizyty w archiwum. On też musiał podarować Dobrotliwej breloczek – drobna łapówka, żeby na pewno nie ominęła go kolejka? Chess pomyślała, że powinna przeprosić Dobrotliwą Tremmell, ale przypomniała sobie, z jaką wyższością tamta spojrzała na nią, kiedy zobaczyła ją za swoim biurkiem, i ostatecznie postanowiła dać sobie z nią spokój, o niczym nie wie, więc ją nie boli.

–Jednego nie rozumiem. Jak to się stało, że się z nimi związałeś?

–No cóż, skoro nie rozumiesz, to twój problem. Miałaś mnie za idiotę. Tak samo jak inni. Biedny Randy, taki marny z niego Demaskator, taki dureń... Wy nic nie wiecie. Ale Lamaru wiedzą i ja też wiem.

Duma w jego głosie, nawet po wszystkim, co się stało, sprawiła, że Chess musiała się skrzywić.

–Randy...

–Żadne „Randy”! Lamaru mnie potrzebowali, obiecali mi... obiecali mi wszystko. I

dali mi to. Kiedy przejmą władzę, ja będę przywódcą. Ja będę rządzić.

Jego buta mrowiła krew w żyłach. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego od kogoś, kto uwierzył, że bliski jest uzyskania wszystkiego, czego pranie – kto uwierzył w puste obietnice szaleńców.

Nie odwracając wyroku, Chess powoli uklęknęła przy torbie i sięgnęła po nią sztywną, obolałą prawą ręką. Dopiero za drugim razem udało się jej chwycić języczek zamka błyskawicznego.

Randy patrzył na nią groźnie.

–Najpierw zabrałaś moją sprawę. Zamachałaś tymi mikroskopijnymi cyckami przed Starszym Griffinem i dostałaś sprawę, która powinna być moja. Potem weszłaś na lotnisku i zasiłaś mojego ducha. My go mieliśmy, nie ty, rozumiesz? My mieliśmy go pod kontrolą, dopóki ty się nie wtrąciłaś!

–Przykro mi – powiedziała, bo wydawało się, że on to właśnie chce usłyszeć.

Jej patce zamknęły się wokół owiniętego w szmatkę amuletu. Kiedy odda go Randy'emu, on ją zabije. Poderżnie jej gardło i zadźga Terrible'a, kiedy ten rzuci się na niego. Będzie to wyglądało, jakby zrobił to Eresdiran, przynajmniej Randy tak powie, a czemu ktoś miałby wątpić w jego słowa? Sprawy kościelne są poza jurysdykcją zwykłej policji.

–Kiedy Lamaru przejmą władzę, wszystko będzie inaczej. Nie będzie już praw określających, co ludziom zajmującym się magią wolno robić i w co wolno im wierzyć. Nie będzie więcej kłamstw, nie będzie łatwych odpowiedzi na trudne pytania. Rozejrzyj się, Chessie. Naprawdę uważasz, że to jest dobry świat? Naprawdę uważasz, że to dobrze, gdy ludzie przestrzegają praw ze strachu, dokładnie wiedzą, co się stanie, kiedy umrą, i nie wierzą w nic poza samymi sobą i mocą? Tu nie ma tajemnicy. Tu nie ma nadziei. Ten świat jest jak piekło – Randy pokręcił głową i wykrzywił wargi. – A Lamaru chcą przywrócić tajemnicę, nadzieję. I potrzebowali mnie, żebym im w tym pomógł, mnie i moich zdolności. Żebym im pokazał, jak się dostać do miasta, i żebym im pomógł pobudzić złodzieja. A tak w ogóle, to co ty, do cholery, robiłaś na lotnisku?

–W jaki sposób zaangażowałaś się we współpracę z nimi?

Nie miała zamiaru odpowiadać i wydawało jej się, że on tego nie zauważy. Jej myślenie bywało pozbawione jasności przez narkotyki, ale Randy pożegnał się ze zdrowiem psychicznym już jakiś czas temu.

Przez chwilę było jej go żal. Miał rację. W Kościele wzbudzał tylko śmiech, był jak maskotka, której nikt nie traktuje poważnie. A tu nagle okazuje się, że ma rodzinę i że

potężna grupa magiczna chce się od niego uczyć, obiecuje mu władzę, bogactwo i szacunek... No i nie miał ucieczki. Zabiliby go, gdyby spróbował, a on zdawał sobie z tego sprawę. W tle przechwałek słyszała w jego głosie panikę.

A co do jego uwag na temat świata, w którym żyją... wołała się nad nimi nie zastanawiać. Takie myśli są herezją, a Kościół dał jej nadzieję, że w ogóle może istnieć. Może Randy miał rację z tymi łatwymi odpowiedziami, ale przecież skoro odpowiedzi istnieją, to czy ludzie nie mają do nich prawa?

Znów zerknęła na Terrible'a. Tym razem wykonał ruch. Miał założone ręce, ale palcem nieznacznie wskazywał w prawo, tam gdzie przykucnął Randy.

No właśnie, przykucnął. Utrzymywał równowagę, kiwając się na piętach. Łatwo byłoby go z tej równowagi wytrącić. Gdyby zdołała go uderzyć... Unieruchomił jej prawą rękę, ale i tak nie mogła jej użyć. Trudno jej było nawet zgiąć palce. Więc lewa... jeśli zdoła zamachnąć się i trafić go lewą, może odrzuci go tak daleko, że znajdzie się w zasięgu Terrible'a.

Mrugnęła, mając nadzieję, że Terrible zrozumie ten sygnał, i naprężyła mięśnie.

–Spotkałem jednego z nich w Sp... Daj mi mój amulet.

–Mogę ci pomóc, Randy. – Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. – A więc Lamaru spotykają się, a przynajmniej prowadzą rekrutację, w Bankhead? Skąd biorą pieniądze? – Podniosła wzrok, chcąc spojrzeć mu w oczy, ale on nie zamierzał jej puścić. – Mogę ci pomóc, razem się ich pozbedziemy. Kościół zrozumie, będzie...

–Zamknij się! – Uniósł wolną rękę do ciosu.

Z gardła Terrible'a wydobył się niski dźwięk. Chess nie ośmieliła się na niego spojrzeć, natomiast Randy opuścił rękę z powrotem na jej kark.

–Mogę pomóc...

–Nie dotarto do ciebie, głupia dziwko? Ja nie chcę twojej pomocy. To wszystko... cały ten bajzel to twoja wina, a oni uważają, że to ja jestem odpowiedzialny i jeżeli nie oddasz mi amuletu, zabiją mnie, nie tylko...

Przerwał gwałtownie, jakby o mało nie wyjawiał ważnego sekretu. Jakby nie wiedziała, że Lamaru chcą jej śmierci.

–Tylko mi go oddaj – podjął Randy. – Oni mnie potrzebują. Mogę z nimi porozmawiać, mogę im powiedzieć, że to przypadek i że ty nic nie wiesz.

Akurat. Już w to wierzy. Wzięła drżący urywany oddech.

–Dobra. Masz.

Skręciła tułów, udając, że chce podać mu amulet prawą ręką. On w prawej dłoni trzymał nóż, więc lewą musiał zdjąć z jej karku, żeby odebrać amulet.

Chess nigdy nie była dobra w walce na pięści, ale zrobiła, co mogła, wyprowadzając cios lewą ręką ponad swoim ciałem. Było to niewygodne, ale okazało się skuteczne. Jej pięść trafiła Randy'ego w oko, odtrącając go w tył. Wypuściła amulet, chwyciła nóż i pchnęła nim przed siebie, ale Randy był szybszy. Złapał ją za rękę i ścisnął.

Trzonek noża uderzył w zranioną dłoń. Ból zaćmił jej wzrok. Krzyknęła i przetoczyła się na bok, starając się wyrwać, ale on ścisnął jeszcze mocniej. Przez mgłę łez widziała jego twarz, jego wargi wykrzywione wściekłością. Uniósł prawą rękę. Światło księżyca błysnęło na krawędzi ostrza.

Terrible złapał go, podniósł, rzucił. Randy uderzył o ścianę z łomotem, od którego zatrząsał się pokój, po czym osunął się na podłogę. Byłoby to nawet zabawne, gdyby tak szybko nie wyskoczył w górę.

Z przeraźliwym wrzaskiem zamierzył się nożem, ale Terrible był szybszy. Rzucił się w przód, złapał Randy'ego za przegub i szerokimi ramionami przygwoździł do ściany tak mocno, że aż popękał tynk. Nóż upadł na podłogę.

Randy bił Terrible'a po plecach lewą ręką, ale przestał, gdy poczuł czubek jego noża na gardle.

–Co teraz? – Terrible zwrócił się do Chess.

–Zabieramy go ze sobą – odpowiedziała. – Widziałam na dole jakieś liny. Zwiążemy go i pojedzie z nami odesłać z powrotem złodzieja snów.

–Nie możesz go odesłać – zaprotestował Randy – Nie rozumiesz? Bez amuletu nie mamy nad nim kontroli. On się robi coraz silniejszy, widziałas, co zrobił mojej mamie. Trzymamy go w pułapce, ale on się wyrwa. Potrzebują amuletu, żeby...

Zgasły światła. Wszystkie. Zostali w ciemności owiewającej ich swoim oddechem. Skóra Chess piekła i cierpła wzdłuż linii tatuaży.

Szept Randy'ego był jak szelest suchych liści.

–On tu jest.

Rozdział 34

Nie zdołasz pokonać śmierci.

Tylko Kościół może tego dokonać,

a dzięki szkoleniu także pracownicy

Kościola.

Księga Prawdy, Veraxis, Artykuł 5

Chess uklęknęła i przesuwiała dłonie po wykładzinie, szukając amuletu. Miała wrażenie, jakby ktoś namalował jej na plecach tarczę strzelniczą. Gdzie jest Eresdiran? Przed nią, szczerząc długie, splamione zęby? Za nią, bliski zgromadzenia mocy wystarczającej, żeby zacisnąć jej pętlę na szyi albo poderznąć gardło?

Ciemność była zupełna, bez choćby śladu światła. Było ciemno jak w paszczy drapieżnika.

Łkanie Randy'ego rozchodziło się echem w pokoju.

–On tu jest, on tu jest, proszę, znajdź ten amulet. Chessie, prędzej...

Trudno było skupić się na czymś,, mimo adrenaliny krążącej w żyłach. Nagle poczuła się senna, rozluźniona i senna, było tak ciemno, a wykładzina taka miękka. Mogłaby się położyć, zwinąć w kłębek, zdrzemnąć, mogłaby...

–Nie zasypiać! – krzyknęła, ale jej głos utonął w brzęku tłuczonego szkła.

Z tyłu? Lustro, lustro na komodzie. Eresdiran musiał w nie uderzyć. Nabrał tyle siły od czasu, gdy widziała go ostatnio, że mógł zabić Randy'ego, mógł zabić Terrible'a... Czy teraz zabije ją? Czy jeszcze jej potrzebuje przy całej mocy, jaką czerpie ze śpiących na dole? Ze śpiących w całym osiedlu?

Strach nie pozwalał jej zamknąć oczu, kiedy grzebała w torbie, nieporadne ruchy sprawiały jej ból. Tam był speed, w torebeczce, którą da jej Lex.

–Chess?

–Nie zasypiaj, Terrible, nie zasypiaj, zostań tam, gdzie jesteś, nie ruszaj się!

Randy krzyknął. Coś ciepłego i mokrego rozprysło się na twarzy Chess. Krew. Nie odważyła się jej zetrzeć, nie w chwili, gdy potrzebowała obu rąk do szukania dwóch

przedmiotów, które mogły zachować ją przy życiu.

–Chess!

Wrzask Randy'ego przeszedł w łkanie. Słyszała ich ruchy, słyszała skrzypienie łóżka, kiedy zwalili się na nie. Coś otarto się o jej włosy, ale nie miała pojęcia, czy to był człowiek, czy duch, i z każdą chwilą jej powieki stawały się cięższe, sen owijał jej umysł watą spokoju.

Ereszdiran pojawił się przed nią. Jego fosforyzująca twarz o centymetry od niej, jego usta otwarte w krzywym, przerażającym uśmiechu. Chess krzyknęła i wypuściła torebkę, którą akurat namacała. Znikła w głębinach torby.

Terrible stęknął. Randy wrzasnął. Zimny wiatr owionął jej kark. Złodziej snów bawił się z nimi, bawił się z nią. Coś nacięło lekko wierzch jej lewej, dłoni – pocałunek ostrza, przedsmak tego, co nadejdzie. Zaczepnęła tchu i postarała się nie zwracać uwagi na krew kapiącą z rany.

Znalazła torebkę, wyszarpnęła z torby i drżącymi rękami otworzyła, wsuwając paznokieć pod zatrzask. Nie wolno jej zasnąć, jeszcze długo nie wolno jej zasnąć...

Podłoga się zatrzęsała. Cały dom się zatrzęsł. Moc coraz potężniejsza – teraz, szukała ujścia. Mógł zwalić na nich cały dom, i zrobi to, jeżeli nie będzie dość szybka. Czuła, jak z niej czerpie.

Terrible wykrzyknął jej imię, ale nie odpowiedziała, skupiając się na pigułce leżącej na dłoni. Żadnej spinki żadnego klucza, nie było czasu. Nabrała, ile się dało, pod paznokieć – niedużo, bo paznokcie obcinała krótko – i zbliżyła rękę do twarzy, mając nadzieję, że trafi.

Nie trafiła. Coś przeleciało przez pokój, chyba lampa, która rozbiła się o ścianę, i skończyło się na tym, że paznokieć pełen speedu wetknęła sobie w oko. Poczowała się, jakby użądliła ją pszczoła, ale otrzeźwiło ją to skutecznie, więc spróbowała znowu, mimo łez spływających po twarzy. Z każdą chwilą w pokoju robiło się coraz zimniej, tak zimno, że drętwiały jej palce. Czy uciekła? Czy zasnęła i śni głęboko w trzewiach złodzieja?

Kolejny trzask i łomot. Krzyk Randy'ego wydawał się bardzo odległy. Przecież był tuż obok, gdzie jest teraz? Nie myśląc o tym dłużej, opadła na kolana i spróbowała ponownie.

Tym razem się udało. Nie była to duża działka, ale wystarczyła. Jej serce przyspieszyło, oczy otworzyły się szerzej.

–Terrible? Terrible, tutaj. – Machając ręką, starała się go znaleźć, aż wreszcie jej

palce trafiły na grubą łydkę. Poruszyła się. Ich dłonie się znalazły i Chess wcisnęła mu torebkę. – Nie wolno nam zasnąć.

Usłyszała szelest plastiku, usłyszała jak Terrible wciąga nosem raz i drugi. Potem ścisnął ją za ramię i podniósł na nogi, ciągnąc tak, że straciła równowagę i oboje zatoczyli się na ścianę. Koszulę miał mokrą, nie wiedziała od potu czy od krwi.

–Nie! Neeee! – Wrzask Randy'ego przeszedł w bulgotanie, w straszliwy zduszony dźwięk, po czym urwał się.

Skóra Chess ścierpła. Znalazła swoją latarkę i pewna, że nie zadziała, włączyła ją.

Zadziałała. Promień światła padł na twarz Randy'ego, na jego wybałuszone oczy i krew ciekącą z dziury zionącej w miejscu, gdzie powinno być gardło. Ledwo miała czas ogarnąć to wszystko wzrokiem, kiedy złodziej snów podstawiał odłamek lustra, którego użył do zabicia Randy'ego, pod promień światła z latarki, oślepiając ją.

Latarka wypadła jej z ręki, bo Terrible złapał ją za ramię, boleśnie zaciskając palce, wyrwał ją ze stuporu i pchnął w kierunku drzwi. Nic nie widziała, białe plamy przed oczami były gorsze niż ciemność.

–Amulet, musimy mieć...

–Mam go, chodź!

Wciąż ją trzymając, rzucił się do przodu. Usłyszała, jak coś wbija się w tynk w miejscu, gdzie przed chwilą byli. Wypadli na podest za drzwiami.

Pognali w dół po schodach, co bardziej przypominało staczanie się niż bieg. Łądując na dole, skręciła sobie kostkę, ale nie zatrzymała się. Czowała, że złodziej snów jest tuż za nimi.

Wyskoczyli w cieniu nocy i puścili się biegiem przez trawnik w stronę samochodu Terrible'a, Może nie było to najbezpieczniejsze miejsce, ale jedyne, co mogła wymyślić, to spróbować stąd odjechać. Odjechać, dostać się na lotnisko, odprawić rytuał. Nie miała wyboru. Nawet zaklęcia i zabezpieczenia w Kościele mogą nie wystarczyć, żeby ją ochronić, skoro złodziej jest z nią połączony poprzez krew.

Nie śmiała się odwrócić. Nie było sensu się odwracać. Ścigał ich oczywiście, że ich ścigał, ponieważ mieli amulet. Jediną rzecz, która mogła go kontrolować, i jedyną, która mogła przyciągnąć go do niej.

–Daj mi amulet – zdołała wydyszeć.

O nic nie pytał, tylko włożył jej amulet w dłoń i zacisnął na nim jej palce.

Ereszdiran śmignął koło nich jak czarna smuga w blasku ulicznych latarni. Chess wciągnęła powietrze w płuca i wypowiedziała słowa zaklęcia banicyjnego, pierwsze słowa mocy, jakich uczy się każdy pracownik Kościoła.

–Arkranda beliam diszager!

Nie zatrzymali się, żeby zobaczyć, czy zaklęcie zadziało. Prawdopodobnie nie, a jeśli nawet, to nie na długo. Jeżeli jednak zyskali choćby kilka minut, czas wystarczający na utrzymanie go z dala do chwili, aż będzie mogła zacząć rytuał, to znaczy, że było warto.

W końcu dobiegli do samochodu. Terrible zostawił kluczyk w stacyjce, więc uruchomił silnik, zanim Chess zdążyła usiąść. W chmurze spalin samochód oderwał się od krawężnika, zarzucając tyłem.

Chevelle połykał autostradę, płynnie zmieniając pasy. Chess patrzyła przez okno na inne samochody zostające w tyle, aż ustało drżenie jej rąk.

Pierwszą jej czynnością było wzięcie kolejnej działki, drugą – wypicie połowy wody i oddanie reszty Terrible'owi.

–W porządku. Chess? Nie jesteś ranna?

–Nie, nic mi nie jest. A ty?

Wzruszył ramionami. Światło z deski rozdzielczej błysnęło w odłamku lustra sterczącym z jego lewego ramienia.

–Trafił cię...

–Nie tak mocno. Miałem już gorzej.

–Tak? Jak to było?

Chciała, żeby mówił, o czymkolwiek. Po prostu jego spokojny, niski głos, jak żwir sypiący się na gołą ziemię jej przerażenia.

–Jedna znajoma pani raz mnie ugryzła.

Roześmiała się wbrew sobie, śmiechem brzmiącym jak czkawka.

–Chcesz powiedzieć, że pozwoliłaś dziewczynie zrobić sobie krzywdę?

–Niektórym paniom pozwalam robić, co tam sobie chcą.

Nie miała pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Żartował, nie mogło być inaczej. Nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy u Naciągaczy. Jaki był na nią wściekły.

Tylko że jakoby nic z tego nie pamiętała. O co więc mu chodziło? Skoro myślał, że ona nie pamięta... och, pieprzyć to. Najlepiej uznać całą rzecz za niebyłą.

Po chwili odchrząknął i zapytał:

–Ten Randy sprowadził ducha, żeby dostać kasę, tak?

–Tak – odpowiedziała trochę za głośno, wdzięczna za zmianę tematu. – W zasadzie tak. Najpierw chciał upozorować nawiedzenie, żeby dostać wypłatę z Kościoła. Ale ja dostałam sprawę zamiast niego, więc potrzebowali prawdziwego ducha, bo ja bym ich złapała na oszustwie. Chyba się nie zorientowali, że znalazłam amulet i moja... moja krew go dotknęła. Nakarmiła złodzieja i dała mu moc. Oni już go obudzili i chyba myśleli, że mogą go wysłać najpierw do domu Mortonów, zanim użyją go przeciwko Kościołowi, więc... Tak. On to zrobił.

–Nie ta Dobrotliwa?

–Nie. – Wolałaby, żeby o tym nie wspominał. Świadomość własnej głupoty była wystarczająco żenująca bez przypominam, że on też wie, jak się myliła. – Randy z Mortonami pojechali do Spa i tam on spotkał kogoś, kto go zwerbował do Lamaru. Ona tylko dostała od niego breloczek. To znaczy tak przypuszczam.

–Próbował ją przekabacić, tak? Kombinował, żeby była za nim, pchnęła go w górę.

–I pewnie tak by się stało, gdyby...

Twarz Eresdirana pojawiła się pośrodku przedniej szyby, łypiąc na nich obleśnie, jego czarna peleryna powiewała jak macki chłuszczące powietrze. Chess z wrzaskiem wcisnęła się w oparcie fotela i uderzyła o drzwi, kiedy Terrible gwałtownie skręcił w lewo.

Eresdiran znikł. Coś ciężkiego uderzyło w dach samochodu, aż się ugiął. Terrible przyspieszył do prędkości, przy której nie było widać linii na jezdni, skręcił na pobocze i dał potężnemu silnikowi pełną moc. Samochody, które wyprzedzili, znikły, ale ciężar na dachu pozostał.

–To nie on – powiedziała, kiedy coś znowu walnęło w dach. – On nie ma wagi, trzyma coś...

Prawa ręka Terrible'a wystrzeliła i uderzyła ją w pierś, wyciskając z niej całe powietrze. Depnął po hamulcach. Ciężki przód chevelle'a zanurkował w dół, tył się podniósł. Eresdiran poleciał do przodu, upuszczając kamień, którym walił w

samochód. Kamień potoczył się na bok. Terrible wrzucił z powrotem bieg i nacisnął na gaz tak mocno, że aż silnik zawył.

–Nie. nie możesz...

Uderzyli w Eresdirana, przejechali przez niego. Na sekundę lodowate zimno wypełniło jej ciało, jej umysł. Krzyknęła. Odczucie minęło, zanim krzyk zdążył wybrzmieć w powietrzu.

Złodziej snów powrócił, wlewał się do samochodu, jego lodowate palce sunęły po jej skórze. Terrible syknął. Spojrzała i zobaczyła, że odłamek lustra wbity w jego ramię przekręca się, znika w ciele. Jego palce zacisnęły się konwulsyjnie na kierownicy, ale samochód nie zwolnił, nie zakołysał się.

Uniosła amulet, wykrzykując słowa zaklęcia banicyjnego. Złodziej skrzywił się, ale nie znikł. Wykrzyczała zaklęcie jeszcze raz, jeszcze głośniejsze, wkładając w to każdą cząstkę mocy, jakie miała w sobie. Drgnął, lustro wysunęło się z jego palców, które stawały się coraz bardziej przezroczyste.

Jeszcze raz.

–*Arkranda beliam diszager!*

Zadziało. Eresdiran zniknął w chwili, gdy chevelle skręcił z zjazd prowadzący na lotnisko. Na lotnisko, gdzie to wszystko się skończy. Tak czy inaczej.

Rozdział 35

Kościół zawsze czuwa w twoim imieniu i

to jest fakt.

Księga Prawdy, Veraxis, Artykuł 2

Na błotnistym parkingu czekał na nich istny tłum. Bump w pełnych regaliach i wystrzępionej pelerynie dla dopełnienia wizerunku. Niektórzy z jego ludzi palili papierosy, stojąc w grupkach przypominających grupy bomb. Na widok świateł wszyscy zwrócili się w jednym kierunku, odruchowo sięgając do noży w pochwach przytroczonych do pasa, ale rozluźnili się, kiedy poznali samochód.

–Wygląda, że to moja biedroneczka. – Bump podpłynął do samochodu, z którego wysiadła Chess. – Gotowa do tych swoich czarów?

Skinęła głową, w nadziei, że jeżeli będzie udawać, że jest gotowa, to w końcu będzie. Prawdopodobnie, kiedy będzie już po wszystkim.

–Git. Slipknot jest tam, gdzie powinien. Terrible dał cynk, czego ci potrzeba. Wszystko gotowe, my nie nawalamy.

–W porządku.

Domyśliła się, że Terrible zadzwonił, kiedy była w kościele. Ona nawet nie pomyślała, by go spytać, czy zaaranżował przygotowanie wszystkiego, co jest potrzebne. Wszystkiego oprócz jej sprzętu, który miała w torbie.

–Więc czemu tu stoimy? Ruszmy się, do cholery, co?

Znow tylko skinęła głową. Gardło miała zbyt ściśnięte, żeby wydobyć choćby słowo.

Przeszli przez dziurę w siatce i ruszyli po kruszejącym betonie pasa startowego jak kondukt pogrzebowy. W pewnym sensie nim byli. Slipknot zostanie uwolniony... albo odesłany do bardziej komfortowego więzienia. Co do pozostałych...

Zabrzęczała jej komórka. Znowu Lex, Dzwonił dziesiątki razy, zostawiał wiadomości, ale nie zwracała sobie głowy odsłuchaniem ich. Mężczyźni przed nią szli kołysząc się krokiem, klucząc między bryłami betonu. Odebrała telefon.

–Niech cię, tulipanku! Już się bałem, że nie żyjesz. Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

–Mówiłam ci dlaczego. Kiepsko cię słyszę, więc...

–Czekaj, muszę z tobą porozmawiać, jak najszybciej, Spotkaj się ze mną.

–Nie mogę, jestem...

–Wiem, gdzie jesteś, i wiem, co chcesz zrobić. Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Jestem na końcu pasa, za płotem. Koło tych domów. Podejdź tu, musimy to załatwić.

–Nie mogę. – Terrible obejrzał się, więc zniżyła głos. – Tu nie chodzi o to, o czym rozmawialiśmy.

–Chodzi o tego złodzieja, tak? Mam z tobą do pomówienia, tulipanku. Dowiedziałem się czegoś, co ci się przyda.

–Dlaczego po prostu nie powiesz... – zaczęła, ale Lex już się rozłączył. Niedobrze.

Przed nią, pośrodku pola, zwłoki Slipknota leżały na platformie ustawionej z prostych drewnianych skrzynek. Byli już prawie na miejscu.

–Muszę pójść do toalety.

Nie była to genialna wymówka, ale jedyna, jaka przyszła jej do głowy, niepodważalna i dająca jej trochę prywatności. Gdyby dała się przyłapać z Lexem, zdecydowanie nie wyszłoby jej to na zdrowie.

–To nie może poczekać? – Bump zmierzył ją wzrokiem. jakby chciał ocenić, czy rzeczywiście musi odejść na stronę.

I wtedy uświadomiła sobie, że rzeczywiście musi. Jeszcze tylko tego brakowało. Co robić? Porozmawiać z Lexem i mieć nadzieję, że jakoś wytrzyma, zrezygnować z rozmowy czy pójść za potrzebą po spotkaniu, co będzie trwało i Bump zacznie się zastanawiać, co ona robi tyle czasu?

–Nie, nie może – odparła.

–Terrible, idź z nią i nie spuszczaaj jej z oka – rozkazał Bump.

Terrible pokręcił głową.

–Spokojnie, daj jej trochę prywatności. Ona nie ucieknie, bo teraz to coś ją goni, no nie?

Chess ogarnęło poczucie winy tak głębokie, że aż bolesne.

–Zaraz wrócę.

–Mam ludzi naokoło. Powiedz im, że ci pozwoliłem.

Skinęła głową i ruszyła w stronę skraju pola zwawym krokiem, ale nie za szybko, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

Ostre zadziory na siatce wrzynały jej się w dłonie, dodatkowa atrakcja – rdza w świeżo wypalanej ranie. Po przejściu przez ogrodzenie splukwała prawą dłoń wodą z butelki, ale w ciemności nie zdołała dostrzec, czy to coś pomogło. Nie pozostawało nic innego, niż mieć nadzieję, że tak, i brać się do roboty.

Przez chwilę stała, rozglądając się niepewnie, świadoma, że znikając z pola widzenia Bumpa i Terrible'a staje się bezbronna. Jeżeli plan Lexa obejmował porwanie – kolejne – podawała mu siebie na tacy.

Do jej uszu nie docierał żaden dźwięk poza szumem wiatru. Ciemne domy widoczne w bladej poświacie księżyca wyglądały na opuszczone. Ich mieszkańcy prawdopodobnie śpią. Strumyczek potu pociekł jej po plecach. Niemal czuła, jak śpią, przewracając się z boku na bok w skotłowanej, wilgotnej pościeli, a ich sny przemieniają się w energię napędzającą to, co miała pokonać.

Sama.

Lex złapał ją za rękę. Drgnęła i zamachnęła się odruchowo, ale uchylił się. Jego miękki śmiech pieścił jej skórę.

–Zdenerwowana, tulipanku?

–Czego chcesz? To naprawdę nie jest dobry moment.

–Naprawdę? – Objął ją w talii, żeby przyciągnąć bliżej. Wbrew sobie zadrżała i zamknęła oczy, czując jego wargi na nasadzie szyi. – Dla mnie dobry.

Z wysiłkiem oderwała się od niego.

–Nie wygłupiaj się. Powiedziałam im, że muszę do toalety. Czekają na mnie, więc mów szybko.

–No już dobrze. Nie zapomniałaś o naszej umowie, mam nadzieję.

–Nie, nie zapomniałam. Tylko tu nie chodzi o duchy. Chodzi o złodzieja, a on może w każdej chwili się pojawić, więc...

–Bump oczekuje, że skończysz robotę. Co mu powiesz, jak zapyta?

-Myślałam, że jest ci wszystko jedno.

-Może niezupełnie.

-Mówiłeś, że masz dla mnie ważne informacje.

-A tak, mam. Rozejrzałem się trochę, tulipanku. Po cichu. Byli tu dzisiaj moi ludzie, widzieli tych Lamaru. I oni wiedzą, jarzysz? Wiedzą, co się dzieje.

-Wiedzieli od dawna. Ci faceci, którzy się włamali i...

-Nie o tym mówię. Oni cię znają, wiedzą, gdzie mieszkasz, jasne, ale wiedzą też, co się dzieje tutaj. Wiedzą, że masz to załatwić dzisiaj. Może być gorąco, więc skończ z tym jak najszybciej i wuj. Do tunelu, będę tam czekał.

-Po co?

-Jak to po co?

-Po co będziesz na mnie czekał? Co chcesz ze mną zrobić?

Nawet w słabym świetle księżycy mogła dostrzec jego uśmiech.

-Ależ tulipanku, myślałem, że wiesz, co chcę z tobą robić.

-Nie to miałam na myśli.

Tylko siłą woli powstrzymywała się, żeby nie drżeć.

Pocałował ją, wciąż trzymając przy sobie, aż musiała się odchylić. W jej i tak skołatanych nerwach nastąpiło przeciążenie. Speed i adrenalina w połączeniu z pożądaniem sprawiły, że kolana jej zmiękły i przywarła do niego w sposób, który byłby dla niej żenujący, gdyby tak rozpaczliwie nie próbowała udawać, że nic szczególnego się nie dzieje.

-Wierzę w ciebie – powiedział na koniec. – Nie jesteś głupia. Coś wykombinujesz.

-To rzeczywiście ogromna pomoc.

-Nie jestem pomocnym facetem.

Chess prychnęła i podeszła, do ogrodzenia. Lada moment mogą kogoś przysłać, żeby jej poszukał, jeżeli jeszcze tego nie zrobili.

-Będę o tym pamiętać.

–No dobra. – Rzuciła swoją torbę na ziemię obok szczątków Slipknota i wzięła się pod boki. Nie może tego schrzanić. Stawką jest jej życie, i nie tylko jej. – Przede wszystkim nikt nie może zasnąć. Byt, z którym mamy do czynienia, żywi się snami. Potrafi sprawić, że poczujecie się senni. Ale pod żadnym pozorem nie wolno wam zasnąć, jasne?

Wszyscy poza Bumpem i Terrible'em pokiwali głowami. Bump stał nieruchomy jak posąg naprzeciwko swoich ludzi, a Terrible wpatrywał się w Chess.

–Poza tym ludzie, którzy to zrobili – ciągnęła – prawdopodobnie wkrótce się tu zjawią. A nic nie może przerwać mojego kręgu, jeżeli zostanie przerwany, kiedy już zacznę, będziemy mieć problem, i to poważny. Czyli macie pilnować, żeby nikt się tu nie zbliżał, jasne? Teraz podejdźcie do mnie, bo muszę was wszystkich naznaczyć. To może pomóc.

Narysowanie im na czołach pieczęci kawałkiem czarnej kredy, który kupiła po południu, zajęło jej tylko kilka minut. Gdy skończyła, wyglądali jak członkowie dziwnego zespołu rewiowego.

–Rozejść się i pilnować – rozkazał Bump. – Niech biedroneczka robi swoją robotę. Zaspasz, nie żyjesz, tak? Żadnego, kurwa, spania.

Trawa zaszleściła pod ich stopami, kiedy zaczęli się rozchodzić. Chess, z dziwnym uczuciem, jakby występowała w programie rozrywkowym, spojrzała na kompas, ustawiła swój statyw, pozostałe elementy rozłożyła u jego podstawy, a następnie stopą narysowała septagram i na każdym z jego wierzchołków umieściła świecę. Septagram służył zapewnieniu dodatkowej energii, i tym samym dodatkowej ochrony. Ona dotychczas użyła go tylko raz, ale kilku Demaskatorów stosowało go przy każdej okazji.

Wiatr rozwiął jej włosy, gdy uniosła głowę i rozejrzała się, niemal pewna, że zobaczy wyszczerzone zęby Eresdirana. Ale zobaczyła tylko puste pole i plecy ludzi Bumpa ustawionych dookoła.

I Terrible'a. Rzuciła mu przelotny uśmiech, a on w odpowiedzi nieznacznie kiwnął głową. Przy pracy nie ma czasu na takie fanaberie jak uprzejmość. A może był po prostu zdenerwowany. Zetknął się ze złodziejem snów, widział ciało Randy'ego, czuł jak cały dom Mortonów drżał w posadach, więc lepiej niż inni zdawał sobie sprawę, z czym mają do czynienia. W dodatku Lamaru mogli pojawić się w każdej chwili, gotowi do walki.

Nie jej zmartwienie. Wprawdzie między nią a tymi, którzy mogli się zjawić, stało niewiele ponad tuzin mężczyzn, z pewnością byli to wyjątkowo groźni mężczyźni.

Narysowała pieczęcie na swoim czole i pociągnęła kredą końcowe linie niektórych tatuaży, aby je uaktywnić. Jeszcze nigdy aż tak się nie zabezpieczała.

Sięgnęła po nową czaszkę i rozpałała węgiel drzewny pod kociołkiem. Zajął się, więc mogła wrzucić zioła.

Kilka minut później wszystko było gotowe. Zioła leżały w swoich saszetkach obok kociołka, amulet spoczywał w kieszeni, gotowy do wyciągnięcia, kiedy będzie potrzebny. Gdyby nie dodatkowe świece i palenisko, wyglądałoby to, jakby szykowała się do odprawienia typowego rytuału.

Popiła wodą dwa cepty i, schylona, żeby osłonić się, przed wiatrem, wciągnęła, nosem jeszcze dwie działki.

–Terrible? Możesz tu podejść?

Gdy podszedł, podała mu speed.

–Może ci się przydać. Tak dla bezpieczeństwa.

–Jeszcze się nie pokazał. Myślisz, że usypia ludzi?

–Tak, to możliwe. Zerknął na przygotowany przez nią ołtarzyk.

–Wszystko gotowe?

–Tak. Teraz zawiążę krąg, zapalę świece, a potem mam nadzieję, skończymy z tym.

–Żadne „mam nadzieję”. Skończymy z tym i już. Chess zagryzła wargę.

–Gdyby... gdyby coś poszło źle i nie dałabym rady, musisz iść do Doyle'a. To egoistyczny gnojek, ale zna się na swojej robocie. I zna kilku innych ludzi, którzy widzieli złodzieja. Może skłonią Kościół do działania, a w każdym razie dokończą to, co ja zacznę. Mam tylko jedną prośbę. Nie mów mu, jak się w to wplątałam. To znaczy o Bumpie.

Nie próbował jej pocieszać ani bagatelizować jej obaw. Po prostu spojrzał jej w oczy i skinął głową.

–On nie potrzebuje tego wiedzieć. Nie jego interes.

–I moje mieszkanie. Tam jest... jest trochę rzeczy. Niech Kościół przejmie wszystko.

–Zajmę się tym.

–Dzięki.

–Słuchaj. Chess. – Przeształł z nogi na nogę i wsadził ręce do kieszeni. – Tak sobie myślałem...

Przerwały mu krzyki ludzi Bumpa. Chess poderwała się na nogi i zobaczyła, jak Terrible odwraca się i wraca na swoje stanowisko. Jest jej ostatnią linią obrony, uświadomiła sobie. Jeżeli on padnie, to ona też. Przybyli Lamaru. Czas zaczynać.

Rozdział 36

Magie duszy zostaw Kościołowi.

Molly Brooks – Cahill *Zrób to sam.*

Poradnik dla początkujących

Sól przesypywała się między drżącymi palcami Chess, tworząc linię wyznaczającą krawędź kręgu. Nie zawsze wiązała pełny, ale to zakłęcie zdecydowanie tego wymagało. Nie mogła ryzykować.

Moc pełzła z ziemi pod jej stopami, sączyła się po skórze. Tatuaze rozgrzały się. Włosy stanęły dęba. Czowała więcej mocy niż kiedykolwiek przedtem. Tyle, że nie wiedziała, czy zdoła ją pomieścić. Przewyciężywszy obawy, rozciągnęła usta w niepewnym uśmiechu i wyszeptała słowa zaklęcia wzywającego eskortę umarłych.

Kiedy skończyła, krąg jarzył się ciemnym błękitem, od jego migotliwej jasności aż rozbolały ją oczy.

Wiatr ustał. Dobrze, Ściana światła działała. Obeszła septagram, zapalając każdą świecę nową zapalką, którą następnie wrzucała do paleniska. Każda otrzymywała inną fizyczną ekspresję energii wkładanej w wypowiedziane sylaby. *Eratosz, Astagosz, Bidamosz, Ligorosz, Hapmalosz, Kolabosz i Septazosz*. Przy *Septazosz* buchnęły płomienie, strzelając iskrami, które nikły w świecącym kręgu.

Krzyki i dźwięk uderzania ciała o ciało przenikały do kręgu. Były jeszcze daleko, ale to mogło się zmienić lada moment. Zaczęła poruszać się szybciej. Sekunda na podjęcie decyzji, rozluźnienie granic umysłu i prześlizgnięcie przez nie.

Jej serce wciąż pracowało w szaleńczym tempie, ale teraz była to wyłącznie moc, czysta i buzująca. Nie była już Cesarią. Była mocą. Była bramą.

Zimne palce Slipknota nie chciały się zamknąć wokół bryłki srebra, którą włożyła mu w dłoń, zakrywając wycięte na niej, niedające się teraz odczytać runy. Żadna niespodzianka, tak samo jak stłumione uderzenie jego zmaltretowanego serca. Ona również poczuła dodatkową energię. Połączenie ze złodziejem snów ciągnęło ją, nie dawało ani na chwilę zapomnieć o jego obecności.

Wyjęła z torby kawałek sznurka, owinęła nim pięść Slipknota i zawiązała mocno, ale delikatnie. Potem czarną kredą narysowała znaki przejścia na niewielu wciąż nadających się do tego miejscach na jego ręce.

Do kociołka wrzuciła asafetydę, gryzącą i lekko oleistą w nieruchomym powietrzu, imbir i wreszcie garść zmielonej przez Edsela corrideiry.

Gdy pióropusz dymu uniósł się w powietrze, formując kształty, które widziała oczyma duszy, zaczęła szeptać słowa zaklęcia.

–Wzywam eskortę z Miasta Umarłych – sięgnęła po rytualny nóż – aby uwolnić człowieka, tego oto Slipknota, od jego śmiertelnych szczątków. Aby zaprowadzić go na spoczynek. Aby odciąć go od ziemskiego więzienia i mocy trzymającej go tutaj.

Czaszka poruszyła się, ale nie uniosła, Na zewnątrz kręgu krzyki stawały się coraz głośniejsze, Chess trzymała lewą dłoń tuż nad wierzchołkiem czaszki.

–Oferuję eskortcie pokój, aby mogła wykonać swoje zadanie.

Czubkiem noża nacięła koniuszek małego palca. Krew kapiąca z rany w niebieskawym świetle nabrała fioletowoczarnej barwy. Krople rozpryskiwały się na czaszce na drobniejsze kropelki iskrzące się w powietrzu.

Coś uderzyło głucho z lewej strony, wewnątrz kręgu. To serce Slipknota przyspieszało, w miarę, jak energia wypełniała jego duszę. Jej serce również się rozpędziło. Czuła, że chce wyskoczyć z piersi, z trudem powstrzymywane przez mięśnie i kości. Odwróciła się w stronę kociołka, wpuściła do niego kilka kropli krwi i dodała włos wyrwany z głowy Slipknota.

–Eskorto, wzywam cię!

Wrzuciła do kociołka ostatnią ingrediencję: czaszkę kruka startą na proszek. Czarny dym buchnął pod sklepienie kręgu, przesłaniając błękit.

Wypełnił płuca Chess, otoczył jej ciało. Tatuaze bolały, jakby zostały zrobione zaledwie przed chwilą.

Poprzez ciemny opar zobaczyła, że czaszka się unosi. Za nią pojawiło się więcej kości zbudowanych z czarnego gryzącego dymu.

Krzyki na zewnątrz kręgu były coraz bliższe, tymczasem do kości przyrosły mięśnie, a potem szorstka czarna sierść porosła gołe ciało. Ślepią zapłonęły purpurą i zielenią, zasilane tą samą mocą, która przeszła Chess jak błyskawica. Przeciągły warkot wydobył się z gardła psa. Przeszły ją ciarki. Psychopompy nie powinny warczeć w ten sposób.

Drżącymi dłońmi posypała pozostałym proszkiem czaszki kruka ciało na platformie. Fala energii, mrocznej i gorączkowej, wdarła się w jej ciało. Jej głos zaskrzypiał jak zardzewiałe zawiasy:

–Nich ten człowiek będzie wolny, *kadeskia regontu balaktori!*

Serce Slipknota biło coraz szybciej i głośniej, jego arytmiczny łomot rozbrzmiewał w uszach Chess. Jej serce starało się synkopować, ale czuła, że to zbyt duży wysiłek, że nie zdoła sobie z tym poradzić...

Przenikliwy krzyk wypełnił powietrze i uświadomiła sobie, że to ona krzyczy. Ona i Slipknot, którego dusza opuściła żalosne szczątki i zobaczyła, czym się stały. Z szeroko otwartymi oczami i ustami jak ziejąca czarna dziura wykrzykiwał przerażenie i grozę, jakich doświadczał.

Chess oblała się wodą, próbując zwilżyć spierzchnięte usta i przepłukać suche, gardło.

–Slipknot, odejź! Wzywam eskortę, która odprowadzi cię do Miasta. Rozkazuję ci odejść!

Pies skoczył. Wrzask Slipknota stał się tak przenikliwy, że ledwo go słyszała. Nie było dobrze, Otaczało ją zbyt wiele energii i nie potrafiła nad nią zapanować. Czuła, jak złodziej ją wsysa, jak ciągnie ją za sobą dzięki istniejącemu między nimi połączeniu...

Zdesperowana prawą ręką dotknęła krawędzi paleniska. Ból, jaki przeszył jej dłoń, był potworny, ale zacisnęła zęby i zebrała całą moc, by przeciąć niewidzialną linę wiążącą ich ze sobą.

Puściła, strzelając jak gumowa rękawiczka. Oczy Chess zaszyły łzami, lecz już po chwili odzyskała ostrość wzroku. Zobaczyła Slipknota, który wyciągał ręce, usiłując wrócić do znanego sobie świata, i psa, który chwycił potężnymi szczękami jego dłoń i pociągnął go w pustkę śmierci.

Na moment ogarnęła ją ciemność. Była to ciemność snu, ale nie jej snu, tylko złodzieja i tych, których mocy użył. Bez Slipknota jako filtru cały ciężar więzi krwi spadł na nią. Niech to szlag...

Migawki ze snów, obrazy ludzi śpiących w łózkach i na twardym bruku ulic. Starła się opanować drżenie całego ciała. Na próżno. Wykręcała sobie ręce, mięśnie roztrzęsione. Wreszcie wcisnęła lewy kciuk we wnętrze prawej dłoni, powodując przeraźliwy ból świeżo wypalanej rany.

Zadziałało. Znów była sobą i znajdowała się w kręgu. Slipknot i pies zniknęli, a moc nieco osłabła, pozwalając jej zaczerpnąć tchu. Gdy podnosiła kociołek, sparzyła się w zdrową, lewą dłoń. Ledwo zwróciła na to uwagę. Przechyliła kociołek nad paleniskiem i wylała na nie zawartość, dodając garść suszonej melidii.

Błękitna ściana zafalowała. Byli blisko, tak blisko, że ich krzyki zagłuszały jej myśli. Cała drżała. To była najważniejsza część rytuału, jeśli popełni najmniejszy błąd, krąg ulegnie przerwaniu, a ona będzie zgubiona.

Potarta łepkiem zapałki o brzeg paleniska.

–Eresdiran – wymówiła jego imię po raz pierwszy. Od samego słowa zabołał ją język. – Eresdiran *kalepta barima*.

Ktoś wykrzyknął jej imię. Terrible.

Chciała odpowiedzieć ale głos wiał jej w gardle. Złodziej ukazał się w pelerynie powiewającej na wietrze, którego nie czuła, z kapturem odrzuconym do tyłu, tak, że widać było połyskującą bladą skórę naciągniętą na kości czaszki. Pod skórą coś pulsowało. Żyły? Nie to były robaki, takie same jak w jej ranie.

Z gardła Chess wydobył się jęk. On chce ją pożreć. Zaciągnąć do zarobaczonego piekła, z którego przybył i w którym ona zostanie. Robaki nią zawładną. Będą ją zjadać, wpełzać pod skórę, przekopywać się przez ciało i mózg...

Nie mogła oderwać wzroku od jego świecących hipnotycznie oczu i zębów błyszczących w granatowym powietrzu. Nie mogła przestać patrzeć na odbijającą się w nich własną twarz, na miniaturowe obrazy siebie na tle kompletnej pustki.

Zobaczyła długie palce o splamionych krwią szponach. Sięgały po nią. Chciała się uchylić, ale nie mogła, nie mogła nawet odetchnąć. Powieki jej opadały, myśli traciły ostrość. Gdzieś w głębi wiedziała, co się dzieje, ale nie potrafiła nakłonić ciała do posłuszeństwa.

Terrible znów wykrzyknął jej imię, przerywając działanie zaklęcia. Chess rzuciła zapałkę. Melidia zajęła się, buchając ścianą ognia, która odgrodziła ją od okrutnej, piekielnej obietnicy tych twardych oczu rekina.

Złapała amulet, nie zwracając uwagi na elektryzujący ból. Zignorowała też pewność, że jej skauteryzowana rana otworzy się i znowu wyroją się robaki. Płomienie lizały jej skórę, kiedy trzymała amulet nad paleniskiem, przyzywając tyle mocy, ile zdołała.

–Eresdiranie, rozkazuję ci wrócić. Wracaj do swojego miejsca ciszy, wracaj do swojego miejsca ukrycia, wracaj do miejsca, gdzie nie masz mocy. Rozkazuję to poprzez ogień, rozkazuję to poprzez dym. Wracaj!

Wrzuciła amulet w płomienie.

Jakieś ciało wpadło do kręgu, przewracając Chess. Błękitna ściana znikła. Krąg został przerwany.

W uszach jej dzwoniło, kiedy zaczęły wdzierać się w nie krzyki i odgłosy walki, dotychczas tłumione przez krąg, Postacie wokół uchylały się, jakby tańczyły, w chaosie przewrócił się statyw, zburzony został staranny układ. Jeden z walczących mężczyzn nadepnął jej na nogę. Wyszarpnęła ją, lekceważąc ból, skupiona jedynie na tym, co było jej ołtarzem.

Palenisko zostało zniszczone. Amulet wypadł, ledwo nadtopiony w piekielnym ogniu, który miał go zniszczyć.

Instynktownie naciągnęła rękaw na dłoń, zanim go podniosła. Nie pomogło to na gorąco, ale zapobiegło odcisnięciu się wzoru na jej skórze, co związałoby z nią Eresdirana na zawsze, a nie tylko do chwili zniszczenia amuletu.

Żdźbła suchej nawy kłuły ją, kiedy przetaczała się na bok, oddalając się od walczących w przestrzeni, która miała być przestrzenią rytualną. Eresdiran nie próżnował. Dostrzegła kątem oka, jak zbliża szponiasty palec do głowy mężczyzny, który natychmiast zapadł w sen. Nóż wypadł mu z dłoni, a Eresdiran podniósł go, otworzył i ruszył w kierunku Chess.

Miała amulet, więc teoretycznie mogła kontrolować złodzieja, ale była prawie pewna, że to nie zadziała. Dla pewności spróbowała jednak, wykrzykując zaklęcie banicyjne. Ledwo drgnął.

Obróciła się w lewo i zatoczyła szerokie koło wokół walczących. Krew tryskała w powietrze, noże migły w świetle księżyca jak lampy stroboskopowe. Powietrze było ciężkie od potu i bólu, gęste od energii niepodobnej do niczego, co kiedykolwiek czuła. W górze przeleciał klucz ptaków – skrzydlatych psychopompów zbierających dusze. Śmierć zawładnęła pasem startowym, wisiała nad głową, a Eresdiran niepowstrzymanie posuwał się do przodu.

Bawił się z nią, czekał, aż ogarnie ją zmęczenie, czerpiąc potrzebną mu moc z ludzi znajdujących się w pobliżu. Nie było ich tak wielu, jak wyglądało z początku, ale wszyscy walczyli zaciekle. Ludzi Bumpa napędzał speed i lojalność, a Lamaru prawdopodobnie wściekłość i chciwość.

Gdy złodziej zawrócił w jej stronę, dostrzegła szansę. Zanurkowała, o włos unikając ciosu pięścią w głowę, i pobiegła do pozostałości swojego ołtarza. Zostało jej trochę melidii, sproszkowanych kości kruka i corrideiry. To mogło utrzymać go z daleka przez kilka, minut, wystarczających na rozpalenie ognia i ponownie zawiązanie kręgu.

Przemknęła koło kolejnej pary walczących i złapała wszystko, co było jej potrzebne. Zwaliło się na nią ciężkie ciało. Jeden z ludzi Bumpa – nieprzytomny albo martwy, nie wiedziała. Wiedziała tylko, że ziemia usunęła się z miejsca, w którym powinna być, i

uderzyła w nią, a krawędź asfaltu przecięła koszulkę, wbijając się głęboko w skórę. Złodziej już ją dopadał z triumfalnym uśmiechem, bo jej krew znów lała się na jego amulet.

Rozdział 37

Kościół uratował ludzkość i wtedy

zawarto porozumienie,

a było ono oparte na Prawdzie.

Księga Prawdy, Veraxis, Artykuł 27

Żołądek ją palił, a coś w trzewiach przesunęło się, poruszało. Złodziej czerpał z niej, wzmacniał ich więź. Czuła, jak przepastne jamy jego czarnych oczu wsysają ją i rzucają w sny śpiących mieszkańców miasta.

Z tyłu rozległy się głosy, jakby czarownicy wyczuli, co się dzieje. Słowa mocy unosiły się w powietrzu, nabierając siły. Nie mogła oddychać, jej ręce i nogi nie chciały się ruszać. Usiłowała przedzierać się do przodu, ale upadła.

W ziemi wciąż czaiła się moc. Czuła ją wcześniej, kiedy zawiązywała krąg. Jej zmęczony umysł próbował się buntować, ale wiedziała już, że przegrała. Była z nim związana, połączona i mógł wyssać ją do końca, a potem zająć się kimś innym, wszystkimi innymi. Jej dusza zostanie uwięziona w rozkładającym się ciele. Uwięziona na wieczność. Tutaj na lotnisku.

W lewej ręce ścisnęła ingrediencje, które zdołała chwycić. Krew wciąż ciekła z małego palca i skapywała na ziemię, jej krew karmiła ziemię. Karmiła złodzieja snów. Ziemia... nawiedzona... Miasto pod nią i plan Lamaru, żeby uwolnić duchy...

–Chess! Chess! – Ryk Terrible'a przebił się przez nieprzerwaną inkantację.

Przynajmniej on jej szukał. Powiedział, że jak nazywano tych pilotów? Asami lotnictwa? Przynajmniej dowiedziała się, co nawiedza lotnisko... Asy lotnictwa. Asy z rękawa. Na pewno da się to jakoś wykorzystać.

Nawiedzają to miejsce, są na powierzchni. Asy lotnictwa, które nie zeszły do Miasta. Myśli wirowały jej w głowie, ale nie potrafiły przedrzeć się przez gęsty czarny szum generowany przez połączenie ze złodziejem.

Oparła czoło o ziemię, próbując się skoncentrować. Miasto. Mordercze duchy, Lamaru panujący nad duchami, panujący nad tym, co przywołali...

Zapach ziemi, dymu i zieleni wypełnił jej nozdrza i rozjaśnił w głowie, tak, że mogła się otworzyć, skupić na swoim małym palcu i swojej krwi sączącej się w ziemię.

Wirujące myśli wskoczyły na swoje miejsca. Lotnisko jest nawiedzone. To są prawdziwe duchy. Prawdziwe duchy obecne tu od ponad stu lat, powstałe podczas pożaru, kiedy... pozbawienie snu wywołało szaleństwo. Szaleńcy, którzy zginęli, czasem ulegają rozszczepieniu, a potem splatają się i zlewają ze sobą, tworząc nowe byty.

Takie jak złodziej snów.

Jeżeli stąd się wzięł, jeżeli powstał z części lotniskowych duchów, one mogłyby dążyć do wchłonięcia go z powrotem. Miałyby nad nim przewagę, rozpuściłby się w nich.

Oby tylko miała rację. Bo jeśli nie... jeśli się myli, cały batalion duchów unicestwi wszystkich żywych obecnych na polu w ciągu jakichś dwóch minut.

Pieprzyć to. Przecież i tak nie ma wyboru. Albo złodziej i Lamaru pozabijają wszystkich, albo zrobią to duchy, ale z duchami przynajmniej ma jakąś szansę. Otworzyła się jak najszerzej, czekając, aż energia do niej wróci i ogarnie jej zmysły. Czekala na ten moment tak samo, jak na wchłonięcie się pigulek, to jednak miało być mocniejsze niż każdy narkotyk. Ostateczna gorączka. Zakłęcie przywołujące czekało na czubku języka, gotowe wyrwać się z jej ust w chwili, gdy poczuje moc.

Nic się nie działo. Wiedziała, że złodziej się zbliża, że lada moment jej dopadnie. To musi zadziałać, musi! Nie miała pojęcia, jak to później naprawi ani co to będzie znaczyło dla Bumpa czy Lexa, ale przynajmniej wciąż żyła i mogła to zrobić. Spokojnie...

Energia przepłynęła z ziemi do jej palca, przepłynęła przez nią całą. Tego rodzaju mocy nie mogą czerpać duchy, tylko ludzie, bo ziemia jest ich więzieniem, z którego nie mogą się wydostać.

Chess przekoziołkowała. Złodziej znajdował się niewiele ponad metr od niej. Mało czasu. Wzięła w palce zapałkę, potarła ją o dżinsy, przytknęła do ziół sypiących się z dłoni.

–Kadira tam! Kadira tam! Jesteś wygnany! Przez krew cię przywołuję i przez krew cię odprawiam!

Wiatr wyrwał jej ostatnie słowa z gardła. Nic się nie wydarzyło. Niedobrze. Jeszcze nigdy tego nie robiła i złamała pół tuzina kościelnych praw samą próbą zrobienia tego teraz.

Złodziej snów stał nad nią z uniesionym nożem. Kopnęła go, ale jej noga przeszła przez niego. Tylko nóż. I trzymająca go dłoń miały stałą konsystencję. To dobrze.

Odchyliła się w tył, jakby bała się zrobić coś więcej i czekała na jego atak. Szansa nadejdzie, trzeba być w gotowości...

Pochylił się, a wtedy ona wystrzeliła w górę jak sprężyna. Ostrze noża skaleczyło ją w ramię, ale prawie tego nie poczuła, bo czuła, tylko straszliwy ból towarzyszący przejściu przez sam środek jego postaci.

Znalazłszy się za nim, nie broniła się przed upadkiem, przewróciła się na brzuch z głuchym odgłosem. Na ziemi wciąż było trochę melodii i ta ilość mogła wystarczyć.

Przez cichnące odgłosy walki dało się słyszeć inny dźwięk, niskie buczenie przypominające pracę świdra. Chess nie zwróciła na niego uwagi. Przegrała, ale wciąż żyła i nie zamierzała się poddać. Jeżeli on jest z nią połączony, ona może go odłączyć.

Znalazła melidię. Czarna kreda gdzieś się zawieruszyła, więc został jej tylko nóż. Nie najlepsze wyjście, ale jedyne.

Buczenie stawało się coraz głośniejsze, zagłuszało wszystko inne. Chess chwyciła nóż i wbiła czubek ostrza w lewe przedramię. Zaciskając z bólu zęby, patrzyła, jak złodziej snów się podnosi.

Paskudny trzask przeciął powietrze i ciało czarownika zważyło się bezwładnie na ziemię, z głową wykręconą w bok. Stopa Terrible'a koło jej nogi. Skręcił tamtemu kark.

Przejechała nożem po rękę,. W górę, do końca, w dół... run wiążący, run ochronny, run czystości – wszystkie wycięte w ciele. Ból wbił w nią ostre zęby, a obraz przed oczami drgał, gdy runy toczyły walkę ze złem, którym złodziej zbrukał jej krew.

Wiatr owionął jej skórę, rozwał jej włosy. Złapała melidię i zerwała się na nogi, kiedy złodziej rzucił się na nią. Jego nóż trafił w miejsce, w którym znajdowała się sekundę wcześniej.

W tym momencie uświadomiła sobie, że już nikt nie walczy. Przestali. Przestali i wpatrywali się w nadlatujące samoloty. Było ich tyle, jakby niebo zostało z nich zrobione.

Udało się. Duchy przybyły.

Z pochyloną głową przemknęła między stojącymi nieruchomo ludźmi, a kiedy znalazła się na skraju grupy, wysypała z torebki resztkę melodii, która zapaliła się z sykiem. Z rany na małym palcu wycisnęła kilka kropli krwi i rzuciła na stosik amulet.

Z tyłu jakieś ciało uderzyło o ciało. Instynktownie odwróciła głowę i zobaczyła

Terrible'a z zębami wyszczerzonymi z bólu i wściekłości, z dłońmi zaciśniętymi na ręce złodzieja samotnie wiszącej nad jej głową. Złodziej znikł.

Pierwszy samolot podszedł do lądowania. Białe światła zamieniły pas startowy w jakiś kosmiczny pejzaż, niemal pozbawiony koloru, niesamowity. Mężczyźni rozbiegli się, wznawiając walkę.

–Eresdiranie, rozkazuję ci wrócić. Wracaj do swojego miejsca ciszy, wracaj do swojego miejsca ukrycia, wracaj do miejsca, gdzie nie masz mocy. Rozkazuję to poprzez ogień, rozkazuję to poprzez dym. Wracaj!

Wylądował następny samolot potem kolejny. Widmowi mężczyźni zaczęli wysiadać z otwartych kokpitów, kiedy tylko śmigła zwolniły obroty.

Eresdiran pojawił się znowu obok Chess. Znikając, zgubił nóż, ale jego zęby wyglądały na wystarczająco stale, tak samo jak obie dłonie.

Zebrała się w sobie i złapała je, czując, jakby zanurzała ręce w suchym lodzie.

Krzyknęła. Jej żołądek skręcał się i szarpał, nogi były jak z waty. Musiała utrzymać go do czasu, aż stopi się amulet... Skierowała moc w ogień, podsycając go. Teraz palił się płomieniem tak jasnym, że aż musiała zamknąć oczy.

Złodziej znów znikł, zostawiając ją z energią przepływającą przez ciało z szybkością rozpędzonego samochodu.

Ogień. Przysunęła ręce do ognia, tak blisko, jak tylko mogła wytrzymać, przewidując jego następny ruch.

Myliła się. To Lamaru rzucił się po amulet. W wykrzywionej wściekłością twarzy dostrzegła patrzące na nią oczy złodzieja. Owładnięcie – sprytny ruch, ale niefortunny. Zapomniał, że ludzi można zranić, że umierają.

Błysnął nóż Terrible'a. Krew trysnęła na włosy i twarz Chess. Czarownik opadł, łapiąc się za gardło. Złodziej wyłonił się z jego ciała jak księżyc wznoszący się nad drzewa.

Krew czarownika sięgnęła ognia, podsycając go mocą Eresdirana. Złodziej zachwiał się, usiłując zniknąć. Jego wyłupiaste oczy zwróciły się w prawo, skąd nadciągały duchy.

Wylądował następny samolot. I jeszcze jeden. Lądowały jeden za drugim z zapierającą dech precyzją. Niebo wciąż było ich pełne, amulet wciąż płonął u jej stóp. Miedź topiła się z sykiem.

–Odprowadzam cię!

Chess ścisnęła swój palec i potrząsnęła ręką. Krew rozprysła się w powietrzu, ściekała na ziemię. Wymierzyła ociekający krwią palec w Ereszdirana i pchnęła całą energię zaczerpniętą z ziemi w następane słowa:

**–Przywołałam cię i jesteś wygnany! Przez krew i moc będziesz mi posłuszny!
Ereszdiran *tama longram!***

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę duchy pozostawały nieruchome. Żołądek podszedł jej do gardła. Jeżeli myliła się co do pochodzenia Ereszdirana albo jeżeli nie jest w stanie kierować duchami, które sprowadziła, wszyscy zginą. Czy użyła wystarczającej mocy?

Duchy przechodziły koło niej, przez nią, maszerując na Ereszdirana. Widziała jego otwarte usta – czarną plamę pośrodku twarzy – kiedy go otoczyły, zacieśniając krąg, zwierając szeregi.

Terrible wstrzymał oddech. Chess na chwilę oderwała wzrok od duchów i spojrzała na niego. Stał z odrzuconą w tył głową, po raz pierwszy nie zwracając uwagi na wszystko, co się wokół niego dzieje. Zaciśnął palce wokół jej dłoni.

–Patrz – szepnął. – Patrz na nie.

Samoloty rysowały wzory w powietrzu. Wznosiły się w niebo, potem nurkowały w dół. Z każdą minutą nadlatywało ich coraz więcej, różnych, wyglądających na nowe i starszych.

Na polu zaczął się ruch. Ludzie Bumpa – zwycięzcy – ścigali trupy porzucane wśród odłamków betonu. Gdzie jest Bump? Nie widziała go od chwili rozpoczęcia rytuału. Pewnie wrócił do samochodu i obserwował, jak inni wykonują swoją robotę.

Nagle nogi się pod nią ugięły, jakby ktoś uderzył ją z tyłu pod kolanami. Zanim zdołała się wyprostować, poczuła ich, poczuła ludzi budzących się w całym mieście. Serca im waliły, ale już zapominali szczegóły swoich koszmarów i cieszyli się, że się obudzili i żyją.

Ogień zgasł. Chess spojrzała w dół i dostrzegła tylko strumyczek miedzi zastygający w trawie. Przytrzymała nad nim dłoń, otworzyła się. Nic. Czysto. Miedź była pusta... I ona też. Żaden złodziej nie czał się w środku. Nic poza własnym ja i przemożną energią ziemi i duchów. Czowała się dobrze. Czowała się żywa i naprawdę cieszyła się z tego. Z żalem cofnęła dłoń. Ta moc nie była jej. Uwolniła ją, pozwoliła jej spłynąć w dół ciała, wyciec drobnymi falami ze stóp.

Błada, uschnięta ręka wystrzeliła w górę spomiędzy duchów. Ręka Ereszdirana

zaciśnięta desperacko pięść, zanim skurczyła się i znikła. Chess zadrżała i niemal straciła równowagę. Oparła się o Terrible'a, aby nie upaść, i poczuła, że on także drży. To ziemia się trzęsła, usuwając się im spod nóg, jakby próbowała rodzić.

Za późno zrozumiała swój błąd. Zaczepnęła energię z ziemi, połączyła ze swoją i użyła do przywołania i zasilenia duchów a gdy potem zwróciła zabarwioną przez duchy energię, ziemia zareagowała gwałtownie na tę nienaturalną mieszankę.

Świat zaczął wirować. Chess, na wpół biegnąc, a na wpół pozwalając Terrible'owi, by ją ciągnął w kierunku ogrodzenia i parkingu, widziała, jak samoloty jeden po drugim znikają z nieba i z pasów startowych. Te wszystkie światła śmigające w ciemności i niknące w niej były jak deszcz meteorów. Nie odprawiła ich, nie miała okazji... nie musiała.

Potknęła się i naciągnęła kostkę, ale biegła dalej mimo bólu. Ludzie Bumpa zrównali się z nimi, wyprzedzili ich.

Rozpadający się drewniany budynek zawalił się zupełnie. Woda tryskała ze studni obok, gejzer ścieków. Chess przyspieszyła. To już niedaleko, ogrodzenie było tuż – tuż.

W błocie potworzyły się szczeliny rozchodzące się na boki. W powietrzu fruwały kamienie, bryły betonu, ostry żwir wbijał się wszędzie.

Ogrodzenie się rozpadło. Oka zardzewiałej siatki rozsypały się pod jej stopami, kiedy po niej przebiegli. Wreszcie dopadli samochodu. Terrible uruchomił silnik, wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Żwir trysnął spod szerokich opon. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Chess, zanim odjechali, była ogromna betonowa płyta z pasa startowego. Stała na sztorc, po czym zapadła się w ziemię niczym tonący statek.

Rozdział 38

I oto ósmego dnia wstało słońce i

ludzie zobaczyli, że duchy odeszły.

Mogliby dziękować Bogu, ale znali

Prawdę.

Podziękowali zatem Kościołowi.

Księga Prawdy, Artykuły początkowe

1000

Terrible zapalił dwa papierosy i podał jej jednego, nie odrywając wzroku od drogi. Nigdy jeszcze papieros nie smakował jej bardziej.

Było po wszystkim. Nie będzie już Ereszdirana, nie będzie Mortonów, nie będzie niebezpieczeństwa. Mogła wrócić do domu. Mogła wrócić do własnych zajęć, a nie do pracy dla Bumpa.

–No więc – powiedziała, wyjmując z torby chusteczki dla niemowląt, żeby przetrzeć odsłoniętą skórę – taka to była zabawa.

–To nie był zwykły wieczór – przyznał.

–Co się stanie z tymi ludźmi, których złapał Bump?

Nie odpowiedział. Słusznie. Pewnie lepiej, żeby nie znała odpowiedzi na to pytanie. Chociaż mogła się jej domyślać.

–Bump chyba, nie będzie mógł korzystać z tego lotniska?

–Wygląda na to, że nie. – Wzruszył ramionami – Bump zawsze ma plan awaryjny. Nie musisz się martwić. Zrobiłaś, o co prosił, tak?

Znów te cholerne wykuty sumienia, To nie jej wina, że lotnisko się rozpadło, ale ona przywołała duchy. Zrobiła to, żeby uratować życie i pokonać Ereszdirana, ale faktem jest, że je przywołała, nie dbając o to, co stanie z lotniskiem.

Mimo wszystko nie czuje się winna. Bump ją wykorzystał, powiększył jej zadłużenie o jakieś bzdurne procenty i w ten sposób zmusił do śledztwa, którym wcale nie miała ochoty się zajmować. Cholera, istniało duże prawdopodobieństwo, że gdyby nie pojechała na Chester i nie znalazła amuletu, nic by się nie wydarzyło. Mogłaby poprosić o pomoc Starczych i odprawić złodzieja snów z domu Mortonów. Mózg mógłby żyć. Randy mógłby żyć.

Co prawda Randy sam był sobie winien. Wiążąc się z Lamaru, przywołując albo pozwalając im przywołać taki byt... Pokręciła głową. Głupota, ale taka, którą potrafiła zrozumieć. Potrzeba przynależności jest bardzo silna. Tak silna, że ona sama codziennie z nią walczy. I nawet gdy myśli, że pokonała ją na dobre, ona wyskakuje znowu.

Randy nigdy nie był mocny, więc dał się opętać. Mimo to wszystko mogło być w porządku, gdyby nie jej krew, gdyby Ereszdiran, który wbił się w jej duszę zatrutym kolcem i wykorzystywał jej moc w połączeniu z tą, którą dawał mu Slipknot, aby pokonać tych, którzy chcieli go usidlić. Czyli ona przyczyniła się do tego... na rozkaz Bumpa.

Rozkazy Bumpa doprowadziły do niej Mózga, pozwoliły Randy'emu usłyszeć od tej papli Doyle'a, że chłopiec u niej był, więc Randy i Lamaru mogli skojarzyć fakty i domyślili się, że byli widziani. W każdym razie pewnie tak to się odbyło, ale nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić jej przypuszczenia. Poza Doyle'em, a on raczej nie będzie skory do rozmowy z nią.

Nie, nie miała poczucia winy z powodu Bumpa. Miała poczucie winy z powodu Terrible'a. On jej zaufał, a ona zawiodła to zaufanie. Nie raz.

To nie było coś, za co można przeprosić albo co można wyjaśnić.

–A tak swoją drogą, to jak ty to zrobiłaś? Sprowadziłaś te duchy i napuściłaś je na niego?

Samopoczucie trochę się jej poprawiło. Przynajmniej kogoś obchodzi, co zrobiła.

–On był ich częścią – odparła. – Powstał z nich po tym, jak oszaleli i spalili bazę. Porozszczepiali się czy coś w tym rodzaju, a ja im pozwoliłam wziąć go z powrotem. Zrobili to, i ponieważ użyłam energii złodzieja i energii ziemi, aby ich przywołać, kiedy jego już nie było i oddałam tę energię, musieli odejść.

Pokiwał głową.

–Cholernie sprytne.

Poczuła ukłucie irytacji. Czy Terrible nie ma zamiaru wyrazić choć trochę podziwu?

Czy „cholernie sprytnie” to wszystko, na co go stać?

W tym momencie uświadomiła sobie, że on nigdy nie zwątpił w jej zdolność rozwiązania problemu. Kiedy pełzała po ziemi, śmiertelnie przerażona, pewna, że złodziej zaraz ich wszystkich pozabija, Terrible niezachwianie wierzył w jej umiejętności, w to, że ich uratuje. Tak jak ona nigdy nie wątpiła, że on obroni ją przed Lamaru.

–Co powiesz w Kościele o tym... jak mu tam... co nie żyje?

Zastanawiała się przez moment, zanim odparła.

–Prawdę, a przynajmniej część prawdy. Mortonowie to była moja sprawa, a Randy był w nią zamieszany. Będę musiała powiedzieć, że dowiedziałam się o tym dopiero dziś wieczorem i dlatego nie zawiadomiłam ich wcześniej, ale... nie muszą wiedzieć o całej sprawie.

–Znaczy się u nich masz cacy? Bardzo dobra robota i w ogóle.

–Tak, chyba tak.

Westchnęła. Miała poczucie, jakby zrobiła coś złego, jakby na jej duszy pojawiła się nowa plama. Odwróciła się do okna i pogrążyła w rozmyślaniach.

–Wszystko w porządku? Nie mówisz za dużo.

–Tak, ja tylko... Nie gniewaj się. Wiem, że zależało ci na tym, żeby lotnisko znów działało.

Przechylił nisko głowę, patrząc na nią z rozbawieniem.

–Żartujesz, tak? Dziś wieczorem widziałem na tym niebie coś dużo lepszego niż jakaś jednosilnikowa purkawka. To było warte tego wszystkiego. Mówiłem ci, są inne miejsca. Bump zawsze ma jakiś plan awaryjny. Tak jak ty, co? Masz jakiś plan na teraz?

–N... tak, mam. Mam się z kimś spotkać. To znaczy obiecałam, że się spotkam, jak skończę. On... oni na mnie czekają.

Milczenie. Bardzo krótkie, ale je zauważyła.

–Widzisz? Już masz następny ruch, Chess. Gdzie cię podrzucić?

Tunel, w którym czekał Lex, był niedaleko, na tej samej ulicy, za sklepem spożywczym. Poprosiła Terrible'a, żeby się tam zatrzymał.

Co powinna powiedzieć? Popatrzyła na jego twarz, nieźle opuchniętą i posiniaczoną po walce. Dobrze było z nim pracować. Spędzać z nim czas. Tak jakby po raz pierwszy w życiu miała prawdziwego przyjaciela. Ale czy może powiedzieć coś takiego, nie wychodząc na idiotkę? Co się mówi ludziom, kiedy chce się, żeby byli blisko?

–Czekaj. – Wyciągnęła świeżą chusteczkę. – Jesteś cały brudny.

Nie drgnął mu ani jeden mięsień, kiedy wilgotną chusteczką zaczęła wycierać mu twarz. Robiła to lewą ręką, bo prawą trzymała go pod brodę. Pod palcami czuła ciepło jego skóry.

–Zamknij oczy.

Posłuchał. Sięgnęła po drugą chusteczkę i wycierała dalej, aż zorientowała się, że robi to trochę za długo. Zgniotła chusteczkę w dłoni.

–No dobra. To jak, zobaczymy się?

–Wiesz, że zawsze jestem w okolicy.

–Nie, chodziło mi... – Cholera! Co ludzie mówią w takich sytuacjach? – Chciałam powiedzieć, że możesz do mnie zadzwonić, jakbyś miał ochotę. Spotkać się albo coś...

Powiódł wzrokiem po jej twarzy, jakby czegoś szukał. Znalazł to czy nie, nie wiedziała, ale skinął głową.

–Jasne. Chess. Zadzwonię.

Musiało być coś więcej do powiedzenia, ale cokolwiek to było, nie przyszło jej do głowy. Poza tym Lex czekał. Podała Terrible'owi rękę. Uścisnął ją delikatnie, żeby nie dotknąć oparzenia.

Wysiadła z samochodu i patrzyła za nim długo, dopóki gardłowy ryk chevelle'a nie wmieszał się w odgłosy miasta.

–Czyli żyjesz mimo wszystko, tulipanku. Już zaczynałem się martwić. Słyszałem, że rozpadło się tam istne piekło.

–Nie zostałeś popatrzeć?

Uśmiech rozlał się po jego twarzy, leniwy i miękki. Wziął ją za rękę, zdjął jej z ramienia torbę i powiesił na swoim. Cholera. Lubiała go. Jak to się stało?

–Chwilę popatrzyłem.

–Dobry show?

–Niekiepski, zdecydowanie niekiepski. Wyglądałaś jak regularny wojownik z tymi wszystkimi znakami.

–Więc patrzyłeś dłużej niż chwilę, skoro to widziałeś.

–Jedni oglądają telewizję, inni wolą przedstawienia na żywo.

–Więc lubisz sobie popatrzeć. Nigdy bym się nie domyśliła.

Roześmiał się.

–Pilnuję swoich inwestycji. Już nie będzie lotniska, co?

–Nie... Ale... nie dlatego to zrobiłam. Wzruszył ramionami.

–Nie chęci się liczą, tylko wynik. A coś mi się widzi, że ten wynik nie jest zły. Chociaż wyglądasz na trochę sponiewieraną.

–Tak, ale...

–Żadne ale. Jest już po sprawie, tulipanku. Dajmy sobie z tym spokój. Wrócimy do mnie, pokażesz mi, gdzie cię boli. Może być?

Wbrew sobie uśmiechnęła się szczerze.

–Pewnie.

Pozwoliła wziąć się za rękę i poprowadzić przez tunel.

Starszy Griffin położył dłoń na jej ramieniu, patrząc, jak inni Demaskatorzy opuszczają salę. Nazwanie tego porannego zebrania „cichym” byłoby jak nazwanie Dolnej Dzielnicy „brudną”.

–Cesario – powiedział, a jego błękitne oczy pociemniały. – Muszę cię prosić na słówko.

Zamarła. Niedobrze. Przyłapali ją, nie wiadomo jak. Może Doyle coś powiedział albo... gdzieś popełniła błąd? Dokładnie przestudiowała swoje notatki, myślała, że jej historia trzyma się kupy, ale może...

–Usiądź. – Podsunął jej krzesło.

Opadła na nie, prawie pewna, że zza oparcia wysuną się stalowe klamry i zatrzasną wokół niej. Starszy usiadł obok.

–Na pewno dobrze się czujesz? Widzieć, jak przyjaciel umiera w taki sposób, nawet jeżeli sam był sobie winien... – Pokręcił! głową. – Jestem do dyspozycji, gdybyś chciała porozmawiać, moja droga.

–Dziękuję, ale nic mi nie jest. Naprawdę.

Ogarnęło ją uczucie ulgi prawie tak samo słodkie, jak przytulne ciepło pigulek. Jest bezpieczna. Nie przyłapali jej, nic jej nie grozi.

–Jestem z ciebie dumny. Wiesz, że Prastarszy nigdy nie uważał Lamaru za poważne zagrożenie. Świadomość, że udało im się przeciągnąć na swoją stronę jednego z naszych, przeniknąć w nasze szeregi, jest bardzo niepokojąca.

Chess nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko skinęła głową.

–Oczywiście wysłaliśmy Porządkowych na poszukiwanie. Sprawdzają niektóre sprawy Randy'ego... – Przerwał i dotknął lekko jej ramienia. – Wybacz. Wiem, że to nie jest przyjemny temat. Uważamy, że w ten sposób możemy trafić na coś, co doprowadzi nas do Lamaru, być może nawet zdołamy ich wyplenić... Już dotarliśmy do ich agentki w Bankhead Spa. Jest przesłuchiwana. Chcielibyśmy żebyś sporządziła raport dotyczący wszystkiego, czego dowiedziałaś się o ich organizacji. Nie muszę ci mówić, że powinnaś mieć się na baczności, dopóki ich nie wyeliminujemy. Są znacznie bardziej groźni, niż nam się zdawało, Cesario. Nie chciałbym, żebyś znalazła się w niebezpieczeństwie.

Pokręciła głową. Jakby kiedykolwiek pozwoliła sobie nie mieć się na baczności.

–Może byłabyś zainteresowana powrotem na teren Kościoła? Jest kilka wolnych chat. Byłabyś bezpieczniejsza.

Na samą myśl o tym ścierpła jej skóra.

–Nie, dziękuję. Wszystko w porządku. Jestem pewna, że Porządkowi zdołają ich złapać – Prawdę mówiąc, wcale nie była tego pewna, ale chodziło o jej dom. – Wolałabym zostać tam, gdzie mieszkam.

Skłonił jasną głowę.

–Jak sobie życzysz.

–Dziękuję.

Zapadła cisza. Chess zastanawiała się, czy powinna wstać, czy już skończyli. Starszy Griffin przyglądał się jej z uśmiechem.

–Ściśle mówiąc – rzekł – nie tylko ja jestem z ciebie dumny. Starsi odbyli dziś rano dyskusję poświęconą twoim dokonaniom. Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni.

–Dziękuję. – Zaczynała się czuć jak zdarta płyta.

Historia, którą im opowiedziała, była prosta: Lamaru zwerbowali Randy'ego i w zamian za jego pomoc wysłali Ereszdirana do domu Mortonów. Nie wspomniała o lotnisku, o Slipknocie, o więzi krwi ze złodziejem. Mogłaby całkowicie pominąć wątek Lamaru, gdyby nie to, że poprzedniego dnia pytała o nich Doyle'a. Mortonowie też z pewnością milczeliby na ich temat, nawet gdyby znali pełny zakres intrygi. Chess nie miała jeszcze okazji zapoznać się z zeznaniami Mortonów. Wiedziała tylko, że żyją, obudzili się i przebywają w areszcie.

Starszy Griffin sięgnął po teczkę z aktami leżącą na długim szklanym stole, wyjął z niej kopertę i dwa arkusze papieru.

Pierwszy arkusz zawierał pochwałę. Drugi... Musiała przeczytać dwa razy, zanim dotarło do niej znaczenie słów.

–To w zasadzie nie jest awans – powiedział Starszy. – Nadal pozostaniesz Demaskatorem. Będziesz jednak czasami służyć pomocą innym wydziałom w prowadzonych przez nie śledztwach. Każdorazowo otrzymasz premię, rzecz jasna.

Miała ochotę się roześmiać. Co za ironia losu. Okłamała wszystkich i oto jest za to nagradzana. Najwyraźniej tak właśnie postanowiło się ułożyć jej życie – najpierw dodając jeszcze darmowe pigułki od Lexa, potem skasowany dług u Bumpa. A teraz to.

Odłożyła list na stół i otworzyła kopertę.

–Przecież już dostałam premię – powiedziała ze zdumieniem – Przed zebraniem.

–To jest dodatek. Mamy świadomość, że pokonanie Lamaru zasługuje na coś więcej.

Suma nie była duża. Wystarczy jednak na nowe łóżko, jedzenie na tydzień czy dwa albo na miły weekend w palarni fajek...

Jeszcze raz podziękowała Starszemu Griffinowi, po czym wyszła z budynku w łagodny blask jesiennego słońca.

Doyle czekał przy jej samochodzie. Na twarzy miał kolorowe siniaki, jakby się ubrudził przy malowaniu.

–Cześć, Chessie, masz chwilę?

–Raczej nie.

–Proszę. – Wyciągnął do niej prawą rękę, ale powstrzymał się i wsadził ją do kieszeni. Lewa ręka wisiała wzdłuż boku, mały palec był wzięty w łubki i obandażowany. – Chciałem tylko powiedzieć, że przepraszam za to... co zrobiłem. Naprawdę nie chciałem. Ja tylko... wiesz, że traktowałaś mnie dość podle.

–No cóż, dziękuję za przeprosiny. Teraz muszę już iść.

–Nie możemy o tym porozmawiać?

–Nie.

Potrzebne jej były nowe opony. Cholera, potrzebny jej był nowy samochód. Teraz mogłaby go kupić, gdyby znalazła odpowiedni. Miała nadzieję, że premia za odprawienie Ereszdirana będzie wyższa, ale powinna, wystarczyć, zwłaszcza że mogła ograniczyć zakupy u Bumpa – przynajmniej na jakiś czas, dopóki Slobag i Lex nie dojdą do wniosku, że już ją spłacili.

Powinna kupić nowy samochód, zanim przepuści pieniądze na piwo i fajki.

–Ja naprawdę nie jestem złym człowiekiem – próbował dalej Doyle.

–Tu jesteś, tulipanku. Kim jest twój przyjaciel?

Chess odwróciła się, z trudem kryjąc zaskoczenie.

Lex. Nie widziała się z nim ani nie miała od niego wiadomości od trzech dni – od poranka nazajutrz po ostatecznej rozgrywce na lotnisku – i nie była pewna, czy czuje z tego powodu ulgę, czy smutek. Zapewne jedno i drugie, ale zobaczyć go było miło.

Lex przyglądał się Doyle'owi spod przymrużonych powiek.

Niedobrze.

–To gość, z którym pracuję – powiedziała.

–Zapomniałaś, jak mam imię? – skarcił ją urażony. – Jestem Doyle.

–Ty jesteś Doyle? Więc chyba jesteś facetem, którego szukam.

Chess zapaliła papierosa i odwróciła się tyłem do nich w chwili, gdy Doyle rzucił się do ucieczki. Nie musiała na to patrzeć, tak samo jak nie musiała myśleć o przyszłości. Zamiast tego spoglądała na kościół wznoszący się z ziemi jak słup czystego, białego dymu i spoglądający na nią z łagodnym dystansem. Pomyślana o Mieście, o uwięzionych tam duszach, oddzielonych od niej setkami metrów twardej ziemi. Są tam, gdzie jest ich miejsce, przemknęło jej przez głowę.

I po raz pierwszy uwierzyła, że gdzieś jest także jej miejsce, poza Kościołem i wykonywaną dla niego pracą. Może któregoś dnia będzie mieć dość odwagi, żeby je odnaleźć. Na razie...

Zdeptała niedopałek i ruszyła na poszukiwanie Lexa. Miała przed sobą wolne popołudnie i tatuaż, który chciała mu znowu pokazać.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/